

*Leavitt Caroline*

*Gdzie jesteś, Jimmy*



*Dla Jeffa i Maxa z wyrazami miłości*

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

**1956**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wróciła do domu i zastała go w kuchni. Nie była w dobrym nastroju, bo cały rano musiała wyklócać się z adwokatem. Ale co miała zrobić - Jimmy Rearson, najlepszy przyjaciel jej syna, zadurzony w niej po uszy, trochę zarośnięty dwunastolatek - przyszedł do jej domu po szkole, w środę, o trzeciej po południu. Stał i postukując palcem w pudełko, odczytywał skład wypisany z tyłu opakowania mieszanki do wypieku ciasta cytrynowego.

- Nastaw piekarnik na wysoką temperaturę - przeczytał na głos, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Ścisnęło jej się serce, ulitowała się nad nim, chłopcem tak samotnym, że udaje zainteresowanie ilością cukru i jajek, które należy dodać do ciasta. Niespieszony pochylił się i włączył radio - Elvis nucił *Heartbreak Hotel*, w kuchni rozległy się słowa piosenki.

- Jak się tu dostałeś? - spytała Ava, wyciągając rękę, by ściszyć radio.

W sąsiedztwie nikt prócz niej nie zamykał drzwi na klucz. Jej syn nosił swój zestaw na szyi, niczym amulet. Inne dzieci mogły biegać swobodnie, wchodząc do każdego domu, do czego Ava nie potrafiła przywyknąć. Nie żeby posiadała jakieś cenne przedmioty - prawdę powiedziawszy, miała teraz o wiele mniej niż dawniej - ale gdzieś dale-

ko stąd był Brian, który groził odebraniem syna, chwalił się doskonałym adwokatem i doradzał jej, by też znalazła sobie prawnika, bo zamierza wystąpić do sądu o ponowne rozpatrzenie rozwiązanej już sprawy. Zaczęła zamykać drzwi na klucz zaraz po tym, jak tylko odjechali pracownicy firmy spedycyjnej, dwa lata temu, i może to sprawiło, że sąsiedzi stali się wobec niej podejrzliwi.

„Nie lubisz dzieci? O co ci chodzi, boisz się, że zdemolują ci dom?” - zapytała sąsiadka, ale jak miałyby jej wytłumaczyć, czego się obawia?

- Twój zamek łatwo otworzyć - oznajmił Jimmy. - Wystarczy kawałek drutu.

- Nigdy więcej nie włamuj się do mojego domu - powiedziała, nie będąc pewna, czy jest zła, ale nie podobał jej się sens słów: „twój zamek łatwo otworzyć”.

- Lewis jest u dentysty - oświadczyła.

Dała synowi pieniądze na taksówkę (nie powinna dużo kosztować); gdy Lewis zakończy wizytę i bezpiecznie wróci do domu, ona będzie w pracy.

- Wiem, powiedział mi w szkole. Później spotkamy się u mnie w domu.

Skinęła głową w stronę pudełka w jego dłoniach, a potem zerknęła na zegarek. Ciasto nigdy się nie udawało, bez względu na to, jakie kupiła. „Szybko i łatwo” - zachęcała etykieta, ale ciasto zawsze wychodziło suche i łamliwe. Co z tego, że szybko, skoro bez smaku? Cóż, pieczenie to zawsze jakieś zajęcie, a mieli trochę czasu. Nie zostanie dziś w pracy, w zakładzie produkującym urządzenia sanitarne, dłużej niż do piątej. Ma dziś dzień wolny, ale z konieczności wzięła popołudniowy dyżur. Nie mogła sobie pozwolić na odrzucenie propozycji, bo nie chciała wrócić do pracy w sprzedaży detalicznej, gdzie wynagrodzenie było niższe, dawano jej mniej godzin i nie miała szansy na podwyżkę. Dziś wieczorem czekała ją jakaś godzina wystukiwania na maszynie listów na temat czternastokaratowych toalet i kolorowych wanien, które, jak powiedział szef, Richard, mają

być gotowe na rano, ale dzięki temu będzie mogła wpłacić do banku kilka dolarów.

- Chcesz to upiec? - spytała, a on podniósł na nią wzrok.

- Chłopcy nie gotują - odparł, odkładając pudełko na blat. - Moglibyśmy zagrać w warcaby?

- Jasne. Czemu nie?

Ustawiła szachownicę na stole w jadalni i dała Jimmy'emu czerwone pionki. Nie przepadała za warcabami, ale grywała w nie z dziećmi, zawsze dbając o to, by wygrywały, dzięki czemu miały dobre samopoczucie. Dziś jednak chciała uwolnić się od zaprzatających jej głowę kłopotów, skupiła się na grze i nie mając takiego zamiaru, wygrała.

- Coś takiego! - powiedziała. Spojrzała na chłopca i ze zdumieniem stwierdziła, że Jimmy z trudem powstrzymuje łzy. - Dlaczego płaczesz? - spytała. - To tylko gra. I przecież wygrywasz ze mną za każdym razem.

Podawała mu chusteczkę, którą miała w kieszeni. Ze złością otarł oczy.

- Zawsze wygrywam - powiedział. - Nigdy, przenigdy nie przegrałem.

Ava pochyliła się do przodu, opierając się na łokciach.

- Nie można zawsze wygrywać - powiedziała. - Szkoda, że nie można.

- Pomyślała o Brianie, oczyma wyobraźni ujrzała, jak przesuwając w jej stronę szachownicę. „Zaszachuj mnie” - miał w zwyczaju mówić.

- Nie mów nikomu, że płakałem.

- Kto płakał? Ktoś tutaj płakał? - Wstała, wygładzając sukienkę. - Muszę iść do pracy - oznajmiła. - A ty musisz zmykać.

Włożyli pionki do pudełka, a potem on czekał przy stole, aż Ava przygotuje się do wyjścia. Miał na sobie czerwoną bluzę i kraciaste zielone szorty oraz tenisówki całe pobazgrane mazakiem. Patrzył, jak Ava krząta się po pokoju, szukając torebki i kapelusika z woalką, który czasami nosiła, aby wyglądać bardziej profesjonalnie. Czowała na pie-

cach krople potu. Straciła calutki ranek i część popołudnia na rozmowę z adwokatem o tym, że Brian zagroził jej odebraniem dziecka. Odkąd Brian ich opuścił, minęło pięć lat, a on prawie nie płacił alimentów, prawie nigdy nie telefonował, i chociaż to on wystąpił o rozwód, nagle zarzucił jej, że stanowi psychiczne i fizyczne zagrożenie dla ich syna. Musiała się dobrze nauwijać, by znaleźć niedrogiego adwokata, bo tylko na takiego mogła sobie pozwolić. John Smith przyjmował w maleńkim, przegrzanym biurze, nawet nie miał sekretarki, i był tak niewzruszony, że miała ochotę nim potrząsnąć.

- To istna bzdura, prawda? - spytała adwokata.

- Prawo nigdy nie jest bzdurne - odparł John Smith.

Opowiedziała mu o tym, że Brian ma problem alkoholowy, który zaczął się, gdy od niej odszedł, i że kilkakrotnie telefonował do niej po pijanemu. Mówiła o tym, jak porzucił swojego syna - i ją - gdy przestało mu się wieść w pracy. W ciągu pięciu lat prawie nie widywał Lewisa. Więc jak może sobie teraz wyobrażać, że będzie mu przyznana opieka nad dzieckiem? Wypluła z siebie szczegóły dotyczące jej życia, a John Smith przez cały czas nie odezwał się słowem. Po prostu, ze złożonymi w namiot dłońmi, odchylił się do tyłu na oparcie krzesła i czekał, aż Ava skończy, a wtedy wzruszył ramionami.

- Okoliczności się zmieniają - oznajmił. - I ludzie także. Powiedziała pani, że mąż ma cały etat, a pani pracuje tylko w niepełnym wymiarze godzin, co oznacza, że ma bardziej stabilną sytuację finansową niż pani. Sąd może uznać jego dom za lepsze miejsce dla dziecka.

- Pan chyba żartuje. Mój dom jest wystarczająco dobrym miejscem.

- Czyżby? - spytał, obracając pióro w palcach. - Powiedziała pani, że mąż wyobraża sobie, że spotyka się pani z wieloma mężczyznami. Potrafi pani udowodnić, że to nieprawda? Może pani wykazać, że pani rachunki są płacone na czas?

Ava pomyślała o skrupulatnie przechowywanych w pudełku po butach rachunkach, o tym, jak uważnie przegląda je co miesiąc. Miała osobne konto bankowe, gdzie składała oszczędności, aby wykupić dom, który na razie wynajmowała, i starała się co tydzień odłożyć chociaż trochę, choćby dziesięć dolarów.

- Mam oszczędności. Mam dom.

- Poprawka: pani wynajmuje dom. Nie posiada go pani na własność. A banki nie lubią dawać kredytów hipotecznych kobietom.

- Ale ja go będę miała - odparła Ava z naciskiem.

Pomyślała o tym, jak trudno było jej przekonać pośrednika handlu nieruchomościami, by zechciał wynająć jej dom, jak ją wypytywał, czy nie ma jakiegoś mężczyzny, który mógłby poręczyć wynajem. Możliwe, że przyjdzie jej walczyć z bankiem, by udzielił jej kredytu hipotecznego, ale była na to zdecydowana.

- Jednakże nie posiada go pani obecnie. I jeśli nie potrafi pani udowodnić, że stan pani finansów jest dobry, możemy mieć problem. Jak sobie radzi syn? Ma przyjaciół? Czy dobrze mu idzie w szkole? - Przesuwał papiery na biurku, czekając na jej odpowiedź, lecz ona nagle zdała sobie sprawę z tego, że adwokat w niczym jej nie pomoże, a ona mimo to będzie mu musiała płacić za jego czas. - Niech pani to wszystko sobie przemyśli, pani Lark - powiedział.

Wróciła do domu, czuła mdłości i bolała ją głowa. Zabawa z Jimmym trochę ją odprężyła, ale teraz musiała pojechać do pracy, a tymczasem niepokój zaczął ciążyć jej niczym zbyt ciepły płaszcz zimowy.

- Avo - powiedział Jimmy, a ona gwałtownie obróciła się w jego stronę. Czuła na sobie jego wzrok, śledzący ją, gdy sięgała po torebkę.

- Zwracaj się do mnie per pani Lark, Jimmy.

- Pani Lark - powiedział, chociaż obojwoje wiedzieli, że w pobliżu nie ma żadnego pana Larka, że Ava nie jest mężatką.



- Muszę iść do pracy - powtórzyła, machając mu na pożegnanie.

Wiedziała, co powinna zrobić. Powinna przekonać firmę, w której pracuje, że jest na tyle dobrą pracownicą, by zatrudniono ją na pełny etat o stałych godzinach, z pakietem świadczeń socjalnych, a nie trzy razy w tygodniu lub gdy jej po prostu potrzebowano. Musi płacić rachunki, łącznie z honorariami dla nieprzydatnego adwokata i opłatą za wynajem domu. Był to jedyny dom czynszowy w okolicy; mniejszy i sprawiający wrażenie starszego od innych, anomalia, którą pominięto, gdy wznoszono nowe osiedle, ponieważ właściciel nie chciał się wyprowadzić, a gdy zmarł, inne domy były już ukończone i zamieszkane, a firma budowlana Brookstone Company dawno się stamtąd wyniosła. Gdyby nie był czynszowy i w złym stanie, nigdy nie mogłaby sobie na niego pozwolić, ale właśnie z tego powodu wciąż nie czuła się bezpiecznie.

Ava wyminęła Jimmy'ego, podeszła do stolika do gry w karty, wysunęła górną szufladę i wyjęła trochę pieniędzy, które miała odłożone na kupno paliwa. Schowała pieniądze do kieszeni i starła kciukiem smugę kurzu ze ściany. Dopóki nie stać jej na farbę, powinny wystarczyć mydło i woda.

- Pani Lark.

Obróciła się. Jimmy przestępował z nogi na nogę, znów się w nią wpatrując. Była dorosłą kobietą z kłopotami ludzi dorosłych i nagle zniecierplawiło ją ciche uwielbienie Jimmy'ego, sposób, w jaki wodził za nią wzrokiem po całym pokoju.

- Lewis wkrótce wróci od dentysty - oznajmiła. - Możesz na niego poczekać u siebie w domu.

Paznokcie Jimmy'ego były obgryzione do żywego mięsa, poczuła, że ma ochotę odgarnąć mu włosy z czoła, umyć twarz wilgotnym ręcznikiem. Miała ochotę pochylić się i porządnie zawiązać mu sznurowadła u tenisówek, zmyć z nich nabazgrane mazakiem litery oraz potraktować je wybielaczem, by znów stały się białe. Dostrzegła część napi-

sów na jednym bucie: „Oblatany”. „Twardziel”. Był za młody na jedno i na drugie. Wskazała mu sznurówki i patrzyła, jak samodzielnie zaciąga małe podwójne pętelki podobne do króliczych uszu.

Adwokat zapytał ją, czy Lewis ma przyjaciół. Większość dzieciaków trzymała się od niego na dystans; może dlatego, że Lewis był taki bystry. Gdyby nie przynosił ze szkoły krytycznych uwag, mógłby przeskoczyć dwie klasy. Nauczyciele wciąż jej powtarzali, że Lewis nie wykorzystuje swoich możliwości, że rozprasza uczniów, nieustannie zadając pytania.

- Nie wolno zadawać pytań? - spytała Ava.

- Uczeń ma słuchać - odparła nauczycielka Lewisa, wzdychając.

Gdy Lewis był jeszcze malutki, Ava robiła wszystko, żeby w przyszłości osiągał sukcesy. Kupowała książki, dużo mu czytała i gdy miał zaledwie trzy latka, uczyła go literek. Dobra edukacja może człowieka przygotować na wszystko - myślała. Ale gdy posłała go do przedszkola, wkrótce została wezwana przez przedszkolankę.

- On umie czytać - powiedziała oskarżycielsko. Poleciała Avie zakończyć naukę w domu, bo Lewis bardzo wyprzedza swoich rówieśników, co nie jest dobre ani dla niego, ani dla innych dzieci. - Wszyscy powinni być na tej samej stronie książki - upierała się.

Ava nie zgadzała się z takim podejściem. Im więcej umiesz, tym lepiej - myślała. Nadal zabierała go do biblioteki i zachęcała do czytania. A Brian kupił mu nawet komplet *Encyklopedii Colliera*. Lewis co wieczór przeglądał ilustracje i w miarę możliwości czytał. Ava do dziś pamięta wyraz twarzy syna, gdy Brian, na krótko przed odejściem, dał mu jedną ze swoich starych teczek, by Lewis mógł zanieść do szkoły tom encyklopedii. Lewis był taki dumny, taki podniecony tym, że się uczy! Ale nie pasował ani do tamtej szkoły, ani do nowej, gdy się przenieśli do Waltham.

- Nauczycielka powiedziała, żebym odrabiał to, co mi zadaje - poskarżył się, zmartwiony.

Zdał do drugiej klasy, a potem do trzeciej. Nauczyciele nie wzywali jej teraz, by się uskarżać, że syn zanadto wyprzedza inne dzieci, lecz dlatego, że za nimi nie nadąża. Musiała podpisać niedostateczny wynik jego pracy klasowej z nauk przyrodniczych.

- Przecież umiesz to wszystko - rzekła zdumiona. -Wczoraj wieczorem wyrecytowałeś mi, z czego są zbudowane wszystkie planety.

A Lewis milczał.

Zaczęła znajdować w pokoju syna niedokończone prace domowe, leżały zmięte na biurku, skrupulatnie wygładzała je i umieszczała w tekturowej teczce. Jak to możliwe, że czytał pożyczoną z biblioteki *Odyseję*, a dostawał trójczynę z testu na temat *Przygód Hucka Finna*? Jak to możliwe, że czytając co wieczór encyklopedię i zaznaczając w niej działy, które poznał, że zaskakując Avę przy śniadaniu rewelacjami o trzech rodzajach wybuchów wulkanicznych i o tym, jak można na podstawie samej lawy rozpoznać rodzaj erupcji, wciąż nie potrafi zaliczyć nauk przyrodniczych? Z tego powodu wpadła w panikę, bo co będzie z Lewisem, jeśli nie dostanie się na studia? Nie mają żadnej rodzinnej firmy, która by go zatrudniła, ani pieniędzy, by zabezpieczyć jego przyszłość. Na myśl o tym, że czeka go takie samo ciułanie, jakie stało się jej udziałem, miała ochotę płakać, i niechaj będzie przeklęta, jeśli pozwoli mu zaciągnąć się do wojska. Po studiach będzie miał zawód. Stanie się kimś.

Na szczęście Jimmy i Rose także wydawali się bystrzymi dziećmi i Ava miała nadzieję, że wywrą dobry wpływ na Lewisa. Lewis i Jimmy zawsze odrabiali razem lekcje, rozwaleni na podłodze w pokoju. Słyszała, jak syn z przejściem rozmawiał z Rose o *Czarnoksiężniku z krainy Oz*, książce, za którą obydwójce przepadali. Ale Lewis i tak wciąż przynosił do domu świadectwa usiane trójkami.

Ma dobrych przyjaciół, Jimmy'ego i Rose. To już coś,

prawda? Mówili o sobie „trzej muszkieterowie”. Przydomek pochodził z programu telewizyjnego „Klub Myszki Miki”, który oglądali czasami o piątej po południu na kapryśnym czarno-białym telewizorze marki Zenith, waląc pięścią w odbiornik, aby pozbyć się pionowych smug. Rose była dziwną dziewczynką pod wieloma względami: miała bladą cerę i czarne włosy, które niczym atrament rozlewały się po jej plecach, podczas gdy obaj chłopcy mieli cerę ogorzałą, a ich kudłate włosy były piaskowo-brązowej barwy. Jimmy i Lewis byli teraz w szóstej klasie u panny Calisi w szkole podstawowej Northeast. Rose w wieku trzynastu lat poszła do gimnazjum MacArthur przy Lexington Street, ale mimo że uczęszczali do różnych szkół, nadal razem się bawili. Jeździli po okolicy na rowerach. Przy uchwytach kierownicy powiewały plastikowe paseczki, a stare karty do gry Avy terkotały, uderzając o szprychy. Chodzili do Star Market oglądać czasopisma i zabawki. Trwonili czas w pubie Brigham, sącząc malinowo-cytrynowe koktajle. Ava odczuła ulgę, bo tak bardzo martwiła się, czy Lewis znajdzie sobie przyjaciół.

- Wie pani, to nie jest okolica zamieszkała przez Żydów - poinformował Awę pośrednik, gdy po raz pierwszy pokazywał jej dom do wynajęcia.

Usiłował zaprezentować jej te nędzne małe mieszkania, ale ona już dwukrotnie wyprowadzała się z mieszkań w Watertown. Chciała czegoś, gdzie poczuje się jak w domu, jak u siebie. Pragnęła prawdziwego domu.

Cieszyła się, gdy Lewis znalazł Jimmy'ego i Rose. Oczywiście będą trzymać się razem, jedyne dzieci w okolicy bez ojców, wychowywane przez samotne matki. Ava była wdzięczna również za to, że Dot ma otwartą głowę. Wkrótce zaprzyjaźniły się na tyle, by od czasu do czasu pogawędzić przy filiżance kawy. Dot nie podzielała uprzedzeń, jakie mieli inni rodzice. Och, Ava nasłuchiwała się rozmaitych uwag: „rozwódka i Żydówka, dwa w jednym”.

- Zabiliście Jezusa - oznajmił jej rzeczowo jeden dzie-

ciak z sąsiedztwa, przebiegając przez trawnik przed jej domem.

Ava stała wstrząśnięta. Wystarczająco okropne było to, że Lewis musiał każdego ranka odmawiać w szkole modlitwę („Po prostu złoż ręce, zamknij oczy i myśl o tym, co będziesz robił później” - poradziła synowi), ale gdy w trzeciej klasie wrócił do domu z jedynką z testu i już miała na niego nakrzyczeć, spostrzegła, że wszystkie pytania dotyczyły Bożego Narodzenia - Marii, Jezusa i Józefa. „Kto był matką Jezusa?”. Poszła więc porozmawiać z panem Powersem, dyrektorem szkoły.

- Rozumiem wrażliwość waszego narodu - powiedział krótko, jakby to była jej wina.

Tak, te dzieci miały szczęście, że trafiły na siebie. Nie trzeba było geniusza, by się zorientować, że Rose jest zauroczona Lewisem. Ava nie pamiętała, co czuła, będąc trzynastolatką, czy miłość tak bardzo wytrąciła ją z równowagi, jak to było w przypadku Rose. Czy to możliwe, że w tak młodym wieku można kochać aż tak intensywnie? Rose chodziła za Lewisem, pochylając głowę, jakby czekała, że chłopiec odezwie się do niej. Wpatrywała się w niego, oddychając w tym samym co on rytmie. Ava wiedziała, że Rose wślizguje się do jej pokoju i maluje usta jej szminką, że skrapia nadgarstki jej perfumami Wind Songs, ale Rose nie wiedziała, że Ava celowo zostawia kosmetyki na wierzchu, by łatwiej mogła je znaleźć. Kiedyś Ava podpatrzyła, jak Rose staje za plecami Lewisa, który malował model samolotu, i unosi dłoń tuż nad jego głowę w taki sposób, jakby go błogosławiła, spoglądając spod długiej grzywki. Lewis nic nie zauważył, ale spostrzegła to Ava i pomyślała tylko: „biedna mała”.

Zajrzała do garderoby, by wziąć białe rękawiczki. Jimmy poszedł za nią i niemal się zderzyli, gdy wychodziła.

- Jimmy - powiedziała, a on uśmiechnął się szeroko. Wszyscy oni źle ulokowali swoje uczucia. Jimmy podkochuje się w niej. Rose jest zakochana w Lewisie. Lewis jest

zakochany w ojcu, a Brian w sobie. Tylko Ava nie potrafi sobie wyobrazić, że kiedyś jeszcze mogłoby ją spotkać to szczęście, niewinne zauroczenie jak u dzieci lub to, czego pragnęłaby najbardziej, miłość, która nie przemija.

- Spotykasz się z różnymi mężczyznami - oskarżył ją Brian. Upierał się, że słyszy ich głosy na podwórku, gdy do niej telefonuje. Twierdził, że znajomy z Bostonu wielokrotnie widywał Awę w mieście, skąpo ubraną, wyzywającą. Czy to wypada matce? - Mój znajomek powiedział, że wyglądałaś na pijaną - obstawał przy swoim Brian.

Ava nie piła alkoholu. A jeśli spotykała się z mężczyznami, to tylko od czasu do czasu, przez kilka tygodni. Szybko orientowali się, że w pakiecie jest Lewis, a nie mieli zamiaru ojcować cudzemu dziecku. Rychło okazywało się, że pomimo wydatnych bioder („Może powinnaś na nich powiesić dzwoneczek, żebyśmy słyszeli, kiedy nadchodzisz” -zażartował pewnego razu księgowy, który zaprosił ją na kolację) Awę interesują wyłącznie uczucia, że poszukuje związku, który zakończy się obrączką na palcu.

Czuła pulsujący ból przy prawym oku.

- Możesz mi podać szklankę wody? - spytała Jim-my'ego, który natychmiast wślizgnął się do kuchni.

„Dziś wieczorem wrócę do domu i nie będę rozmyślać o tym, jak bardzo nienawidzę swojej pracy i jak bardzo jej potrzebuję - myślała. - Zapomnę o adwokacie i o groźbach Briana”.

Tego wieczoru miał do niej wstąpić jej najnowszy przyjaciel, Jake. Zabierze ją z Lewisem na lody do Brigham. Ava była zachwycona tą perspektywą. Lewis idzie nazajutrz do szkoły, więc musi być w łóżku o dziesiątej, ale Ava uważała, że pierwsze spotkanie dwóch mężczyzn jej życia powinno być krótkie. Nic ją nie obchodziło, co sobie myśli Brian, ponieważ to było naprawdę coś obiecującego. Spotykali się już trzy miesiące. Powiedziała jednak Jake'owi, by się zbyt wiele nie spodziewał, bo gdy zakomunikowała Lewisowi, że pozna Jake'a, napomknął o ojcu, jak

gdyby ona i Brian wciąż byli małżeństwem, a ona popełniła przestępstwo, po czym zamknął się w swoim pokoju.

- Dogadamy się jakoś - odparł Jake.

Dotychczas nigdy nie pozwalała na to, by Lewis widywał mężczyzn, z którymi się spotykała, ponieważ nigdy nie była ich pewna. Ale Jake wydawał się inny. Miała nadzieję, że łączy ich coś, co może potrwać dłużej. Jake w niczym nie przypominał Briana i bardzo ją to pociągało. Był wprawdzie muzykiem i w przeciwieństwie do Briana nie miał stałej pracy ani pieniędzy, ale był łatwy w obejściu. Miły. Zdawało się, że lubi i ceni Avę taką, jaka jest.

Pomyślała, że zgodzi się, by Lewis zamówił sobie piętrową porcję lodów. I chociaż nie pozwoli mu przejechać się na motocyklu Jake'a, chyba nie będzie kręcił nosem, by trochę na nim posiedzieć.

- Może jutro znowu pogramy w warcaby? - zapytał Jimmy. - Wiem, jaki popełniłem błąd. Nie powinienem był się ruszyć, toby pani nie zbiła moich dwóch pionków.

Podał jej wodę w fioletowym stalowym kubeczku, który dostała w promocji od faceta ze stacji Esso, chociaż nie miała pieniędzy, by zatankować do pełna. Spojrzała na Jimmy'ego. Że też sama będąc samotna, nie spostrzegła, jak bardzo on jest osamotniony.

- Twoja mama jest w domu? Kto się tobą zajmuje? - spytała, a on wzruszył ramionami, lekko urażony.

- Sam się sobą zajmuję - odparł. - Nie jestem małym dzieckiem. Mam dwanaście lat. - Stał wyprostowany. - A mama z salonu piękności wybiera się na dobroczynny festyn przy kościele.

Salon piękności. Ava pamiętała czasy, gdy stać ją było na spędzenie tam całego popołudnia na pielęgnowaniu urody. Trwała ondulacja sprawiała, że jej kręcone włosy nie wyglądały na nieposkromione, a dzięki pasemkom lśniły w słońcu. Robiono jej pedikiur i malowano paznokcie u nóg lakierami o wdzięcznych nazwach w rodzaju Zachwycający Róż

czy Fiolet Północy. Pracownice salonu piękności uwijały się wokół niej, zadając niezliczone pytania na temat Briana, którym były bardzo zainteresowane, bo to taki przystojny i czarujący mężczyzna, który nadskakiwał im wszystkim, gdy wstępował po Avę. Jest sprzedawcą - miała ochotę im przypomnieć. Potrafi sprzedać wszystko i wszystkim, nawet samego siebie. Ona także powinna była mieć to na względzie. Teraz sama przystrzygała sobie włosy w domu, sama je układała, korzystając ze skomplikowanych wskazówek w „Ladies' Home Journal”, i stosowała farby Lady Clai-rol, zeskrobując je potem z wanny twardą szczotką.

- Jeśli dasz mi chwilkę, odprowadzę cię do domu - powiedziała, spoglądając na zegarek.

Dochodziła czwarta. Z powodu korków dojazd do Bostonu zajmie jej trzy kwadranse. Sięgnęła po gazetę, zerknęła na nagłówki. Komuniści i podobna do piezzonego ziemniaka twarz Eisenhowera, ostrzegającego wszystkich przed katastrofą jądrową. **Musimy być bezpieczni, musimy być bezpieczni.** Wciąż to samo, jak warkot werbli. Widziała w wiadomościach telewizyjnych Chruszczowa, gniewnie rozprawiającego o Stalinie. Przypominał jej pięcioletniego Lewisa, który dostał napadu złości w dziale z ubraniami w Filene's, ponieważ był zmęczony zakupami i chciał wracać do domu. W szkole prowadzono zajęcia z ochrony przeciwoatomowej. Dzieci kulily się pod ławkami, nakrywając głowy rękoma, przeczekując sfingowany atak jądrowy, aż nauczyciele dali im sygnał, że alarm już odwołano. Ava nie potrafiła zrozumieć, skąd ktoś może wiedzieć, że już po wszystkim, skoro promieniowanie jest niewidzialne, a poza tym czy nie jest ono w stanie przeniknąć poprzez ławkę, nie wspominając już o rękach?

Jimmy wyjrzał przez okno.

- Sam trafię do domu. - Był smukłej budowy, podobnie jak Lewis. Obydwaj powinni by nabrać więcej ciała. Westchnął, jakby żartobliwie. - Może pani patrzeć przez okno. Nic mi się nie stanie - powiedział.



- Po prostu uważaj - odparła. - I poczekaj chwilę. Wyjdziemy razem. W zeszłym tygodniu, przebiegając na ukos przez jezdnię, żeby pożyczyć kilka jajek od matki Jimmy'ego, Dot, usłyszała sąsiadki plotkujące na temat mężczyzny, który kręcił się w pobliżu szkolnego placu zabaw, natarczywie wpatrując się w dzieci. Gdy nauczycielka podeszła, by spytać, o co mu chodzi, pospiesznie oddalił się do lasu. Tydzień wcześniej podano w „Waltham News Tribune”, że w Belmont jakiś samochód gwałtownie skręcił, wjeżdżając na krawęznik, i przestraszył małą dziewczynkę. Nieznany mężczyzna usiłował ją chwycić, ale udało jej się uciec. Dzieci zaniepokoiła ta wiadomość, zwłaszcza Jimmy'ego, który wciąż pytał Awę, o ile szybciej od dziecka biega dorosły mężczyzna.

- A jeśli będzie jechał samochodem? I co mogą mi zrobić, jak mnie złapią? - nie dawał za wygraną.

- Nic takiego się nie zdarzy - odparła wtedy Ava. - Nawet o tym nie myśl.

- Musimy bardziej pilnować naszych dzieci - powtarzała Ava sąsiadom, ale ktoś powiedział w końcu, mrużąc oczy:

- A może to był któryś z twoich licznych przyjaciół, Avo?

- Jej przyjaciele nie interesują się dziećmi - powiedział jakiś dowcipniś i wszyscy się roześmiali, wszyscy oprócz Awy.

Potem wszystko ucichło.

- To bezpieczna okolica - orzekli ludzie. - Dobra okolica. Nie było żadnych nowych doniesień, i jeśli Ava czuła

się niepewnie, to prawdopodobnie dlatego, że wszystkie te plotki zawsze zdawały się w jakiś sposób dotyczyć Awy Lark.

Zebrała rzeczy, wyszperała w torebce szminkę i umalowała usta. Uniosła palec, co miało oznaczać, żeby Jimmy na nią poczekał, i zatelefonowała do Jake'a, żeby się upewnić, że są umówieni na dzisiejszy wieczór.

- Jasne, dziecino - powiedział. - Zobaczymy się o ós-

mej. - I słuchając jego głosu, zawieszistego niczym syrop klonowy, przycisnęła słuchawkę do skroni. Gdy się obróciła, zobaczyła, że Jimmy jej się przygląda.

- Chodźmy - rzekła.

Wypuściła go z domu, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. („W porządku! Niech sobie będzie jedyną osobą w sąsiedztwie, która zamyka drzwi!”).

Jak na tę porę roku było nadzwyczaj gorąco. Roślinność sprawiała wrażenie przywiędłej i zmarniałej. Powierzchnia asfaltowej jezdni odkształciła się od upału. Samochód Avy był brudny, ale nie chciała wydawać pieniędzy na mycie. Może umyje go później z Lewisem lub z Jimmym i Rose. Urządzą sobie zabawę w mycie samochodu.

Jimmy i jego siostra byli jedynymi dziećmi poza Lewisem, które wychowywała tylko matka, ale Dot owdowiała, i Ava wiedziała, że w opinii sąsiadów była kimś lepszym niż rozwódka, ponieważ nie była winna, że jej mąż dostał ataku serca, kosząc trawnik. W owym czasie Rose miała trzy latka, a Jimmy zaledwie dwa. Dot powiedziała Avie, że mąż był ubezpieczony na tak znaczną sumę, że ona nigdy nie będzie musiała pracować. Sąsiedzi przez kilka tygodni przynosili jej garnuszki z ugotowanym jedzeniem oraz kwiaty, i nadal zapraszali ją i jej dzieci na kolacje, barbecue w ogrodzie oraz przyjęcia. Kiedy z kolei zorientowali się, że Ava jest rozwódką, przestali zapraszać ją na wieczorki, a nawet na prezentacje wyrobów Tupperware, co nie było aż tak złe, bo Ava nie miała pieniędzy na dodatkowe wydatki. Kobiety widziały, jak ich mężowie wodzą za Avą wzrokiem i że rozmawiają z nią w taki sposób, jakby była egzotyczną papugą z Ameryki Południowej. Dopytywali się, czy nie potrzebuje pomocy w naprawie rynny lub wywozie śmieci.

- Dla ciebie wszystko - oznajmił znacząco jeden z nich.

- Gdzie się wszyscy podziali? - głośno zastanawiała się Ava. - Dlaczego jest tak pusto i spokojnie, jakby znieruchomiało nawet powietrze?

- Prawdopodobnie są w kościele Matki Boskiej - odparł Jimmy. - Na festynie dobroczynnym. Tak samo jak moja mama. Nie zawlekliby mnie tam nawet wołami. Plac zabaw jest do niczego, a hot dogi jak z gumy. -1 Ava przypomniała sobie, jak przejeżdżając obok niewielkiego parkingu kościelnego przy Trapelo, widziała tłum ludzi przy nakrytych stołach. - Moja mama wróci dopiero po kolacji.

Jimmy przez chwilę spoglądał w głąb ulicy.

- To pa! - powiedział i pobiegł co sił w nogach; najlepszy przyjaciel jej syna.

Czasami uświadamiała sobie zawstydzona, że tylko on dotrzymuje jej towarzystwa. Patrzyła, jak Jimmy wypada z jej ganku, przecina trawnik, przebiega przez jezdnię i skręca w lewo, w kierunku swego domu, trzeciego z kolei, pomalowanego na żółto, mającego białe okiennice. Dopadłszy do drzwi, obrócił się i pomachał Avie obydwoma rękami, uśmiechając się szeroko.

Właśnie to powiedziała później policjantom. Jaki był uszczęśliwiony, że bezpiecznie dotarł na miejsce. I jak się uśmiechał.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ava pospieszyła do pracy na popołudniową zmianę. Minęła wielki zielony szyld Perkin's Plumbing (OSIĄGAMY SZCZYTY WSPANIAŁEGO WZORNICTWA!) i wbiegła do ciasnego, mrocznego pomieszczenia, w którym oprócz niej stukały na maszynach do pisania trzy inne kobiety, wszystkie poniżej trzydziestki, młodsze od Avy o jakieś dziesięć lat. Ulice były zatłoczone, korki ciągnęły się na wiele kilometrów, ale zdążyła dokładnie na piątą. Pozostałe kobiety były tam od dziewiątej rano i właśnie skończyły pracę. Porządkowały swoje stanowiska, przykrywały maszyny do pisania plastikowymi pokrowcami. Stwierdziła z ulgą, że za zamkniętymi drzwiami gabinetu Richarda już jest ciemno, co oznaczało, że nie będzie musiała z nim rozmawiać. Betty, marszcząc brwi, spojrzała na Avę sponad okularów. Zdjęła poplamiony kalką maszynową fartuch. Charmaine i Cathy już wkładały lekkie płaszczyki.

- Spójrzcie, kogo tu mamy - powiedziała Cathy.

Ava siadła przy biurku, zdjęła pokrowiec z maszyny, sięgnęła po jeden z dokumentów do swojej przepełnionej skrzynki, w której i tak piętrzyła się mniejsza sarta niż u jej koleżanek. Każda następna faktura, którą miała przepisać, była nudniejsza od poprzedniej. Umiejętność błyskawicznego pisania była dla Avy przekleństwem, gdyż im szybciej

kończyła pracę, tym więcej nowej dodawał jej Richard, i tym bardziej nie lubiły jej inne maszynistki.

Może nie lubiły jej także dlatego, że była od nich starsza. Betty, Cathy i Charmaine zamierzały pracować do czasu, gdy uda im się wyjść za mąż. Potem miały rozpocząć nowe życie, o czym bezustannie rozprawiły. Cathy i Betty dzieliły mieszkania z innymi młodymi kobietami, które też pracowały, a Charmaine mieszkała u matki, którą traktowała jak przyjaciółkę, wciąż do niej telefonowała po radę lub po prostu, żeby porozmawiać. Wszystkie trzy miały przyjaciółki i ulubione zwierzątka (Betty przyniosła kiedyś do pracy nowego kociaka Fluffy i ukrywała go w szafce na akta, dopóki Richard nie usłyszał miauczenia i nie kazał jej zabrać kota do domu). Wszystkie pracowały na pełnym etacie i miały płatne urlopy oraz ubezpieczenie. Betty była zatrudniona już pięć lat, a Cathy i Charmaine niewiele krócej.

Ava nie wiedziała, dlaczego inne kobiety jej nie lubią. Na początku bardzo się starała, przynosiła słodycze, by je częstować, i usiłowała nawiązać rozmowę. Na początku traktowały ją przyjacielsko. Chciały się o niej wszystkiego dowiedzieć. Betty zachwycała się oprawioną w ramki fotografią Lewisa, którą Ava przyniosła do biura.

- Jesteś z jego ojcem? - spytała Charmaine.

- Rozwiedliśmy się - cicho odparła Ava, a wkrótce potem dziewczyny przestały się nią interesować. Spoglądały na nią tak, jakby coś z nią było nie w porządku. Jakby się bały czymś zarazić.

Pierwszego dnia Richard zawołał ze swego gabinetu:

- Przynieście mi kawę!

Ava wstała, chcąc wyręczyć inne pracownice, ale Cathy szybko się zerwała i przepchnęła przed Awę.

- To należy do mnie - oznajmiła oschle.

Ava przyglądała się, jak Cathy, wdzierając się, podaje Richardowi kawę, pochyla głowę, by loki opadły jej na twarz, a wróciwszy do biurka, przesyła jej wyzywający, triumfalny uśmiech.

Ava wciąż się starała, ale bez powodzenia. Betty organizowała wszystkie biurowe przyjęcia z okazji urodzin i zaręczyn, i obraziła się, gdy Ava nie przystroiła swego biurka na Boże Narodzenie.

- Jestem Żydówką - powiedziała Ava.

- Wybacz, że starałam się wprowadzić świąteczny nastrój - z przekąsem odparła Betty.

Ava zaczęła się czuć w pracy tak niepewnie, jakby stąpała po polu minowym, więc trzymała się na uboczu. Patrzyła, jak inne kobiety śmieją się i rozmawiają ponad jej głową, jakby była nieobecna. Ale współczuła koleżankom. Gdy Charmaine telefonowała do matki, wciąż ją pocieszała.

- Mamo, przestań płakać. Wkrótce wrócę do domu i ci pomogę - mówiła.

Cathy wyraźnie interesowała się Richardem, ale on lekceważył ją jeszcze bardziej niż Avę, a Betty spędzała całe godziny, planując biurowe przyjęcia, kupując ozdoby za pieniądze z podręcznej kasy i z przejęciem dekorując jedną z sal konferencyjnych, ale jeśli nie było to przyjęcie na cześć którejś z sekretarek lub maszynistek, nie zapraszano jej na uroczystości, które tak pieczołowicie organizowała. Jedyne, co jej pozostawało, to spoglądanie z zazdrością na własne dzieło.

Ava siedziała za biurkiem i przeglądała stertę dokumentów, które musiała przepisać: faktury i listy. Doprawdy miała szczęście. Łatwa praca, dzięki której mogła opłacić rachunki. Wciąż była oszołomiona rozmową z adwokatem. Powtarzała sobie, że będzie myśleć wyłącznie o dobrych stronach swojej obecnej sytuacji, że zapomni o pogroźkach Briana. „Myśl o Lewisie. Myśl o Jake'u" - powtarzała sobie i kąciki jej warg się uniosły.

- Czyżby na twojej twarzy wreszcie pojawił się uśmiech? Może jesteś na gazie? - spytała Betty, a Cathy się roześmiała. Ava spłonęła rumieńcem, jakby przyłapano ją na publicznym wkładaniu majtek, ale zachowała milczenie.

- Nie mam ochoty iść dzisiaj do Rudy'ego - powiedziała Cathy do Charmaine. - Tamtejsi faceci wypatrują łatwych okazji i rozwódek.

Ava opanowała drżenie rąk, wkręciła papier do maszyny i szybko zaczęła pisać.

- Chcesz zaprosić Barb z rachunkowości? - spytała Charmaine. - Jest taka zabawna.

Ava skończyła pierwszą fakturę i sięgnęła po następną. Pomyślała, że także jest zabawna, ale jej nigdy nie zapraszały. Dziewczyny wyszły, śmiejąc się i powiewając płaszczkami. Ava lubiła, gdy w biurze nikogo nie było. Pracowała w wąskiej smudze światła i czasem przynosiła małe radio tranzystorowe. Ustawiała je na biurku i słuchała, pracując. Sięgnęła po następną fakturę. Umywalki w kratkę. Któż by chciał kratkowane urny walki?

Spojrzała na zegarek. Dziś wieczorem zobaczy się z Jakiem. Wciąż o nim myślała. Jake był muzykiem jazzowym, grał na saksofonie. Od czasu rozstania z mężem najdłużej spotykała się z Jakiem.

Poznała go pewnego wieczoru, gdy Lewis nocował u Jimmy'ego, a ona sama pojechała do Bostonu. Wstąpiła do zadymionego małego klubu jazzowego przy Tremont Street i usiadła przy stoliku z przodu. Jake był na scenie sam. Szczupły i wysoki, z czarną czupryną. Gdy grał, było tak, jakby w pomieszczeniu istniał tylko on i jego muzyka. Kołysał się przy każdym dźwięku, uśmiechał do siebie tajemniczo. Ava nie mogła oderwać od niego wzroku. Czuła się tak, jakby on i jego muzyka przedostali się do jej krwiobiegu. Jake przez cały czas miał zamknięte oczy, ale gdy skończył grać, Ava ujrzała, że są bladoniebieskie, niczym kry lodowe. Stał zahipnotyzowany radością, aż Ava poczuła wbrew sobie, że mu zazdrości.

Po występie zszedł pomiędzy publiczność. Otoczyło go kilka kobiet, ale Ava dostrzegła, że patrzy wyłącznie na nią. Niezrażone wielbicielki nie odstępowały go na krok.

- Przypominasz mi Jamesa Deana - powiedziała blond-

dynka, przywierając do jego ramienia. - Promieniujesz tą samą pełną seksu aurą.

- A pani? - zapytał nagle, zwracając się do Avy. - Podobała się pani ta wiązanka?

- Mnie pan przypomina Charliego Parkera - powiedziała Ava. Odchrząknęła i powtórzyła to, tym razem głośniej, aby ją usłyszał pomimo gwaru, by zrozumiał, że przyszła tu jedynie ze względu na muzykę. - W pańskim jazzie pobrzmiewa blues - oznajmiła. Jake spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Lubi pani Charliego Parkera? - zapytał, ale ona wiedziała, że chodzi mu o coś innego.

Oparł się jedną ręką o stół i pochylił nad nią.

- Czy pozwoli się pani zaprosić na kolację? - zapytał impulsywnie. - Pani wybiera miejsce.

- Przecież pan mnie nie zna - odparła. Przyglądała mu się z uwagą, zastanawiając się, co by sobie pomyślał, gdyby wiedział, kim jest. - Jestem rozwódką - powiedziała. - Mam syna. I jestem Żydówką.

Odsunął krzesło i usiadł obok.

- Lubię dzieci - oznajmił. - Uczę trochę. Dzieci są moimi ulubionymi uczniami.

- Nie jest pan stale w trasie? - spytała, nieco odprężona. - Jak pan to godzi z nauczaniem?

Znała opowieści o muzykach, o tym, że nie można na nich polegać, że mają mnóstwo kobiet, że piją i biorą narkotyki. Trzeba mieć źle w głowie, by chcieć się z takim związać. A potem pomyślała o Brianie i jego stałej pracy, o tym, jak zawsze pędził na konferencje, jak przynosił do domu nagrody i odznaczenia, a raz nawet ogromną lśniącą gwiazdę dla najlepszego sprzedawcy. I przypomniało jej się, jak bardzo czuła się samotna.

- To nie dla mnie. Jestem do cna zepsuta. Mam tu stały angaż. I w kilku innych miejscach w tym mieście. - Uśmiechnął się do zachęcająco.

- Naprawdę?



- Mam nawet własny dom - rzekł, przysuwając się bliżej. Hipoteka. Zapłacił hipotekę. Poczwała, że coś się w niej

budzi. Dreszczyk. Znowu pomyślała o tym, jak przed chwilą grał, zatopiony w jakimś szaleńczym zachwycie.

- To kiedy możemy pójść na kolację? - zapytał. - Pani wybiera dzień i miejsce.

- Mogę wybrać?

- Wybór należy do pani.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Brian zawsze planował wszystko za nich oboje. Prowadzał ją do najlepszych restauracji w Bostonie, ale nieodmiennie zamawiał dania dla nich obojga. Zabierał ją na rozmaite spektakle, ale to on decydował, co obejrzą. Gdy usiłowała wytłumaczyć innym kobietom, że chciałyby mieć coś do powiedzenia, tylko się śmiały.

- Przynajmniej cię z sobą zabiera - powiedziała jedna z nich. - Bądź wdzięczna losowi.

I Ava była wdzięczna.

Spowijał ich dym papierosów i Ava czuła się tak, jakby spoglądała na Jake'a przez mgłę. Zamrugła powiekami, chcąc się jej pozbyć. Zastanawiała się, czy rozmawiając z nim, postępuje rozsądnie. A wtedy on zaczął z ociąganiem wstawać od stolika, wciąż się do niej uśmiechając. Powstrzymała go. Gdy ujął jej wyciągniętą dłoń, poczuła, że przenika ją ciepło.

- W czwartek - powiedziała. - Co pan powie na czwartek?

W czwartek, gdy Lewis znowu nocował u Jimmy'ego, Ava spotkała się z Jakiem w wybranej przez siebie restauracji, chociaż zaproponował, że po nią przyjedzie. Nie pojechała samochodem, bo trudno było o miejsce do parkowania, lecz wsiadła do autobusu, który zatrzymał się tuż przy wejściu do lokalu. Gdy podniosła wzrok, Jake już tam był. Stał w drzwiach.

Usiedli przy stole w głębi, obok drzewka w donicy, któ-

re delikatnie pachniało jaśminem. Jake miał podwinięte rękawy białej koszuli. Czują jego zapach, jakby sosny i traw. Wiedziała, że należy zachęcać mężczyzn, by opowiadali o sobie, ale to on powiedział:

- Opowiedz mi o Avie.

I opowiedziawszy, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo była zablokowana, kiedy nie mogła rozmawiać z sąsiadkami ani z koleżankami w pracy o swoim życiu. Jake zdawał się nie przejmować tym, że była kiedyś zamężna, że ma syna i jest Żydówką. Gdy opowiedziała mu o Brianie, o tym, jak ją zdradzał, wymykając się z kobietami, z którymi pracował, tylko pokręcił głową.

- To ci dopiero palant - powiedział. - Dobrze, że się rozwiodłaś.

Nikt dotychczas nie powiedział jej czegoś takiego. Jake nie spoglądał na nią z litością ani nie zapytał, co takiego zrobiła, że Brian od niej odszedł. Wyciągnęła rękę i dotknęła palców Jake'a, jednego po drugim, aż się roześmiała.

Gdy zaproponował, że odwiezie ją do domu, nie wahała się ani chwili. Ale gdy wyszli z restauracji, poczuła wątpliwości na widok motocykla.

- Czy to bezpieczne? - spytała.

- Tak. Gdy ja prowadzę.

Nie wiedziała, co robić, ale on cierpliwie czekał, więc założyła na głowę ciężki kask, który jej podał, i przerzuciła nogę przez siodełko. Przywarła do Jake'a, przyciskając głowę do jego pleców. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na ulice, którymi przemykali. Wiatr chłostał jej policzki i powiewał spódnicą, odsłaniając kolana, ale nie poprawiała jej; trzymała się kurczowo. Gdy zajechali pod dom, zobaczyła, że w oknie naprzeciwko uchylono zazdrostki, i przez chwilę poczuła zaniepokojenie, że ten cudowny wieczór zostanie zepsuty przez sąsiedzkie plotki.

Zsiadła z motoru. Nogi jej dygotały.

- Musisz się przyzwyczaić do stąpania po ziemi. - Jake roześmiał się i podał rękę, aby ją podtrzymać. Uprzejmie odprowadził do drzwi. Nie usiłował pocałować, nie spytał, czy może wejść do środka. Tylko przebiegł palcami po ręce Avey, jakby wygrywając nuty, co ją rozśmieszyło. - Pasujemy do siebie, współbrzmimy tak jak w jazzie - powiedział. - A potem dodał. - Do zobaczenia, dziecino.

Zatelefonował już następnego popołudnia i zaczęli się spotykać, jakby to było zupełnie naturalne. Rozumiał, dlaczego Ava na razie nie chce przedstawić mu Lewisa. Dziecko należy przygotować na takie spotkanie. I nie dopytywał się o sprawy, o których nie chciała mówić. Szanował, że troszczyła się o to, jak ją postrzegają sąsiedzi, i starał się przyjeżdżać późno, gdy wszyscy w koło już spali, wyłącznie wtedy, gdy Lewis nocował u Jimmy'ego.

- Będziemy improwizować - powiedział ze śmiechem. Zawsze pojawiał się niespodziewanie. W piątek po północy, w środę rano, gdy Lewis był w szkole. Nazywał ją nutą bluesową, bebopem, ale nigdy kochaniem. A gdy odjeżdżał, Ava, słysząc cichnący w oddali warkot motocykla, miała ochotę za nim pobiec.

Nocami, gdy była sama, niepokoila się czasem. Jake nie posiadał tego, co uważała za wielce pożądane. Miał wprawdzie hipotekę, ale jego dom stał w Cambridgeport, w ubogiej, położonej nad rzeką części miasta, gdzie wszystko było tanie jak barszcz. Nie pracował na pełnym etacie i nie miał mnóstwa pieniędzy. To ją przerażało. Pewnej nocy powiedziała sobie, że związek z nim jest zbyt szalony, zbyt trudny i nie ma przyszłości. Musi więc zerwać z Jakiem. A potem pojawił się o drugiej w nocy ze swoim saksofonem. Był podekscytowany i zanim zdążyła otworzyć usta, powiedział:

- Posłuchaj tego. - I zaczął coś grać specjalnie dla niej, melodię tak niesamowitą, że słuchała zafascynowana.

Nie mogąc się powstrzymać, podeszła do Jake'a i położyła mu dłoń na plecach. Mogłaby przysiąc, że czuje prze-

nikające ją vibracje muzyki, niemal tak, jakby to ona grała na instrumencie. Zadrżał, a ona przymknęła oczy.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - powiedziała. Wiedziała, że poznanie Jake'a z Lewisem to wielki krok

na przód, coś, co zupełnie odmieni ich związek. To Jake był inicjatorem spotkania i uznała, że to bardzo istotne. Leżeli w łóżku, spoceni, pod wentylatorem.

- Zaczekaj - powiedział Jake i wyszedł z pokoju. Pomyślała, że idzie do łazienki lub zrobić drinka. Ale on wrócił ze szklanką wody. Śmiejąc się, opryskiwał nią Avę, aż zamknęła oczy. Poczowała, że Jake się nad nią pochyla. - Avo - powiedział. - Najwyższy czas, żebyś pozwoliła mi poznać swojego syna.

Spodobało jej się, że tak to ujął. Jakby to ona tu rządziła, jakby to od niej zależało. „Żebyś pozwoliła mi poznać”. Przeczesła palcami włosy Jake'a, przyciągając jego głowę, żeby pocałować go w usta.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze pięć minut pracy i będzie mogła wrócić do domu, aby się przygotować.

Szykując się na randkę, wzięła prysznic i umyła się mydłem o zapachu kwiatów bzu. Stała w obłoku perfum Tabu, których próbkę dostała w Gro ver Cronin's, i wciągnęła na siebie nową czerwoną suknię z głębokim dekoltem. Oto początek nowej fazy ich związku. Była tego pewna. Gdy się w coś angażuje dziecko, koniec z lekkomyślnością. I zaproponował to Jake, nie ona, może właśnie dlatego jej serce biło tak szybko. Wciąż zastanawiała się, jak ten wieczór powinien się potoczyć. Nie wypije więcej niż jeden łyżeczek wina, ale Jake lubił wypić cały kieliszek, więc kupiła butelkę czerwonego wina, które polecił jej właściciel winiarni. Zapewniał, że jest doskonałe, choć niedrogie. Narwała stokrotek i postawiła je w wazoniku na stole. Przygotowała nawet kilka płyt Charliego Parkera.

Przechadzała się po domu, czekając na Lewisa. Nie była pewna, jak syn zachowa się tego wieczoru, czy będzie miły,

czy da jej przyjacielowi szansę. Gdy o siódmej Lewis wciąż nie wracał do domu, zaczęła się niepokoić. Chciała, żeby włożył porządne spodnie i ładną koszulę, przeczesał włosy wilgotnym grzebieniem i uporządkował swój pokój.

Zaglądała do każdego pomieszczenia, sprawdzając, czy jej dom dobrze się prezentuje. Miała zamęt w głowie. Wróciła do salonu i usiadła na kanapie. Doznawała sprzecznych uczuć: niepokoju z powodu Briana, radości z powodu Jake'a. Ale przecież zasługiwała na szczęście i ciężko na nie pracowała. Brian i Jake, dwaj całkowicie odmienni mężczyźni. Historia chyba się nie powtórzy.

Wstała i strzepnęła pyłek kurzu z brzegu kanapy. Znowu zerknęła na zegarek. Wpół do ósmej. Jak to możliwe, że już tak późno? Gdzie się podziewa Lewis? Wyrzwała przez okno, zapadał zmrok.

Jimmy powiedział, że jego mama jest na festynie dobroczynnym w kościele Matki Boskiej. Ale gdy dojrzała światło w oknach naprzeciwko, zatelefonowała do Dot, która powiedziała z rozpaczą:

- Jimmy także jeszcze nie wrócił do domu.
- Ach, ci chłopcy - odparła Ava z ulgą. A więc Lewis nie jest sam.
- I dziewczynki. Rose także nie wróciła - westchnęła Dot. - Przynajmniej są razem i dobrze się bawią - dodała.
- Trzej muszkietierowie - zażartowała Ava, a Dot się roześmiała.
- Dobrze z nich dzieciaki. Cieszę się, że trzymają się razem.

Ava nie chciała sobie popsuć dobrego nastroju, krzycząc na Lewisa, gdy wreszcie wróci do domu. Nie chciała także, by stał się opryskliwy lub zamknięty w sobie, gdy odwiedzi ich Jake. Nie, Ava będzie ponad to. W pracy też nic nie powiedziała, gdy Richard, przybierając pozę władczego szefa, stanął w pokoju maszynistek i oskarżył ją o spartaczenie sprzedaży nowych turkusowych umywalek, które właśnie sprowadzili, a przecież każdy wiedział, że Ava tyl-

ko przepisywała listy i faktury, a umywalki się nie sprzedawały, bo były brzydkie. Koleżanki także spoglądały na nią tak, jakby była winna, a może po prostu cieszyły się, że to ona jest kozłem ofiarnym, nie one.

Poczeka na odpowiedniejszą chwilę. Odłoży rozmowę z Lewisem na później. Wyjaśni mu, że należy się liczyć z innymi i ich nie lekceważyć. A on zwiesi głowę, jakby się modlił. Ale ona dobrze go zna: choć czasami postępował lekkomyślnie, jest wrażliwym dzieckiem i weźmie sobie jej słowa do serca.

Wyjrzała przez duże panoramiczne okno. Kilku sąsiadów wracało z festynu. Dzieci niosły balony i pluszowe zabawki. Dorośli trzymali w rękach przykryte folią aluminiową talerze z jedzeniem. Zobaczyła żony, które wróciły do domu wcześniej i witały mężów na progu. Obejmowały ich, śmiały się, zagadywały. O ósmej była wściekła i zastanawiała się, czy Lewis postępuje tak celowo. Jake wkrótce tu będzie. Ava całkowicie straciła humor, radość prysła. Stokrotki w wazoniku przyblakły, wymięta suknia straciła świeżość, płyty z muzyką jazzową, które od niechcienia położyła na stole, wyglądały jakoś głupio i nienaturalnie, więc ustawiła je z powrotem na półce. Co powie Jake'owi, gdy nadejdzie? No i gdzie się podziewa Lewis? Jak się potoczy wymarzony wieczór?

Weszła do kuchni, dotkliwie uderzając się biodrem o kant stołu. Przyłożyła dłoń do obolałego miejsca. Właśnie miała podnieść słuchawkę, żeby znów zadzwonić do Dot, gdy odezwał się telefon. Na pewno Lewis. Z sali bilardowej Wal-Lex albo z wrotkami. A może przemówi ściszym głosem z biblioteki. Bo tam zwykle spędzał czas. W innych okolicznościach nie byłaby na niego zła, ale to przecież specjalny, taki ważny dla niej wieczór.

- Nie wiem, gdzie są Jimmy i Rose - odezwała się Dot. -Szczerze mówiąc, zaczynam się niepokoić.

Ava oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Nie była przestraszona. Wtedy jeszcze nie.

- Te dzieciaki są nieodpowiedzialne - powiedziała. -Wszyscy troje mają zegarki, dlaczego nie nauczą się z nich korzystać?

Pomyślała o zegarku Lewisa, czerwono-żółtym, z Supermanem. Obiegła calutki Boston, żeby kupić go na urodziny syna. Opakowała pięknie prezent i dołączyła kartkę z podrobionym podpisem Briana, żeby Lewis myślał, że ojciec o nim pamięta. Lewis nie zdejmował zegarka z ręki. Nie rozstawał się z nim nawet w nocy. Gdy ktoś go pytał, skąd ma taki zegarek, odpowiadał: „Od taty”.

Ciszę zmącił warkot motocykla.

- Co to takiego? - spytała przestraszona Dot.

- Muszę kończyć - odparła Ava.

Na dworze stała grupka sąsiadów przyglądających się parkującemu Jake'owi. Podchodząc na wysokich obcasach, które nieco grzęzły w trawie, Ava czuła na sobie wzrok mężczyzn. Usłyszała czyjś głos:

- Co ona ma na sobie?

Ta uwaga ugodziła ją niczym strzała; Ava starannie wygładziła przód sukni. Jake był w garniturze i trzymał w ręku niewielki pakiecik. Uśmiechnął się na jej widok, a gdy powiedziała mu o Lewisie, wzruszył ramionami.

- Dzieciaki - powiedział. - Ja też bym się dąsał, gdyby ktoś zalecał się do mojej mamy.

Zaleca się. Powiedział „zaleca się”. Pochylił się i ją pocałował.

- Mamy czas - ciągnął. - Uniósł zawiniątko. - Powiedziałaś, że lubi sztuczki, więc kupiłem mu specjalny zestaw.

Odkleił kawałek taśmy i odwinął papier z jednej strony, odsłaniając pudełko. Poczowała falę ciepła. Taki miły gest. A potem spojrzała na lśniące opakowanie i serce w niej zamarło. Ujrzała wystającego z cylindra głupkowatego królika i magika rodem z filmów rysunkowych, trzymającego zwierzaka za uszy. Widać było, że to zabawka dla młodszych dzieci, a co gorsza, na pudełku widniał napis: „4-6

lat". Lewis poczuje się urażony. Przecież czyta książki dla dorosłych. Taki prezent to nie dla niego, zupełnie jakby dostał smoczek. Pozostawała nadzieja, że mimo wszystko Lewis zachowa się uprzejmie.

Ava i Jake usiedli w salonie i sączyli burgund, ale ona nie mogła się odprężyć. Niepokoila się nieobecnością Lewisa. Wciąż spoglądała na zegarek. Z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. Wypiwszy pół kieliszka, miała wrażenie, że słyszy dzwonięcie. Grali z Jakiem w remika, ale Ava wciąż zastanawiała się, co powie i co zrobi, gdy wreszcie wróci Lewis. Była ciekawa, czy przeprosi ich za spóźnienie i czy wieczór uda się uratować, bo jeśli nie przeprosi, ona z pewnością wybuchnie. Zabroni mu wychodzić z domu. Ustali nowe zasady, których syn będzie musiał przestrzegać. Była wściekła, że postępuje tak niefrasobliwie. Dzieciaki. Z nikim się nie liczą. Biegają gdzieś, wracają brudne i zmęczone, wymyślają jakieś wymówki, a ty się zastanawiasz, czy na nie nawrzeszczyć, czy je mocno wyściskać.

O dziesiątej odchodziła od zmysłów. Lewis nigdy przedtem nie zostawał poza domem do tak późna, nawet z Jim-mym i z Rose. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że jest bardzo ciemno.

- Musimy go poszukać - powiedziała do Jake'a, a on skinął głową i wstał.

Właśnie wtedy zdzwonił telefon.

- Telefonowałam na policję - oznajmiła Dot głosem pełnym napięcia.  
- Przyjadą tutaj.

Przyjechali po dziesięciu minutach pod dom Dot, która czekała na ulicy. Miała bladą, nieumalowaną twarz i związane chustką kręcone włosy w stylu *Kocham Lucy*\*. Ava i Jake podeszli bliżej, ale Dot spojrziała na nich jak na obcych i rzuciła się ku pierwszemu poliqaantowi, który wysiadł z samochodu; starszawemu umięśnionemu gościowi,

**\* *Kocham Lucy* - amerykański czarno-biały serial komediowy emitowany w latach 1951-1957. (Wszystkie przypisy autorstwa tłumaczki).**



który w roztargnieniu poklepał ją po ręce. Za nim wyskoczył młody i chudy. A potem z domów wyszli sąsiedzi, żeby dowiedzieć się, co się stało. Przerazona Ava nie przejmowała się tym, że sąsiedzi widzą ją z Jakiem, że pożerają go wzrokiem. Lewis. Gdzie jest Lewis?

- Gdzie oni mogą być? - płakała Dot.

Ava pomyślała o mapie, którą widywała przez ostatni tydzień w pokoju syna, zanim zwrócił ją Jimmy'emu. Pozaznaczali na niej pinezkami miejsca, które mieli zamiar zwiedzić, gdy podrosną, podczas wycieczki, która miała być wielką przygodą. Wypuściła dłoń Jake'a.

- Planowali podróż - powiedziała. - Jest taka mapa.

- Mapa była dla zabawy, to bez znaczenia! - powiedziała Dot. - To były szczęśliwe dzieci, czemu miałyby uciekać z domu?

- Nie wiadomo, czy uciekli z domu - powiedziała Ava ostrym tonem.

Usiłowała sobie wyobrazić Lewisa na drodze. Zrobiło jej się niedobrze. Lewis nie miał orientacji w terenie. Kiedyś wstał od stolika w restauracji, żeby pójść do toalety, i wracając, zabłądził. Nie chciał prosić kelnerów o pomoc. W końcu poszła go szukać i znalazła w drugiej sali przy akwarium z tropikalnymi rybami. Usiłowała go nauczyć, jak odnaleźć drogę ze szkoły czy ze Star Market do domu. „Zwracaj uwagę na drogowaskazy - mówiła. - Wypatruj charakterystycznych drzew, znaków na murze”. Na myśl o tym, że Lewis jest gdzieś tam w ciemności, wzięła Jake'a pod rękę.

- Kto widział dzieci po raz ostatni? - zapytał jeden z policjantów.

- Dziś po południu Jimmy przyszedł do naszego domu spotkać się z Lewisem - powiedziała Ava i policjant spojrzał na nią z zainteresowaniem. - Nie wiedział, że Lewis jest u dentysty.

- Znowu w waszym domu? - powiedziała Dot. - Znowu? - Jej głos wzniósł się o oktawę.

- Co przez to rozumiesz? Jakie znowu? Oczywiście, w naszym domu. Dzieci zawsze przebywają u nas. Jimmy czekał na Lewisa. Nie lubię, jak zostają w domu pod moją nieobecność, więc go wygoniłam, żeby pojechać do pracy. Poszedł prosto do swojego domu. Widziałam.

- Z kim jeszcze się przyjaźniły? - zapytał policjant. - Czy miały jakichś wrogów? Co robiły, żeby się wyładować?

Ava opowiedziała wszystko, co pamiętała. Jak Jimmy wyglądał w ów upalny dzień, stojąc na ganku swojego domu. Jak Lewis obiecał, że wróci do domu o szóstej. Czuła metaliczny posmak w ustach, a jej serce waliło tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi.

Patrzyła, jak jeden z policjantów coś notuje. A potem, w oddali, niczym miraż, ujrzała Lewisa i Rose zbliżających się niepewnym krokiem w złocistej poświacie latarni ulicznej.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Tamtego dnia, wcześniej niż zwykle, po wizycie u dentysty, który oczyścił mu zęby („Musisz je lepiej szorować” -zbeształ go dentysta, wciskając mu do ręki nową czerwoną szczoteczkę), Lewis poszedł do biblioteki po szkolną lekturę. Potem miał się spotkać z Jimmym u niego w domu. Zaplanowali to wcześniej, w szkole, i chociaż Lewis miał ochotę zajrzeć, co się dzieje na kościelnym festynie dobroczynnym, Jimmy nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Banda staruchów i rodzice z maluchami - powiedział wzgardliwie.

Czasami Lewis zastanawiał się, czy Jimmy nie kręci się wokół niego wyłącznie ze względu na Awę, co było upiorną myślą.

- Czy twoja mama będzie dziś rano w domu? - zapytał Jimmy, co zirytowało Lewisa.

- A jeśli nie będzie? - odparł, a Jimmy tylko wzruszył ramionami. - Muszę iść do dentysty, ale spotkamy się u ciebie około czwartej - dodał Lewis.

A potem podczas lunchu w jadalni, gdy dwóch nieokrzesanych chłopaków, Billy D'Adario i Tommy Scanell, wyrwali Lewisowi kanapkę, żeby zajrzeć, czy jest czymś przełożona („Ha, ha, kanapka z samego chleba!” - powiedział szyderczo Tommy), Jimmy w ogóle nie zareagował. Billy cisnął na stół kilka zaśnieżonych centów.

- Jesteś Żydem, pozbieraj je - rozkazał.

Przez jedną okropną chwilę Lewis walczył ze sobą, by tego nie zrobić, bo bardzo by mu się przydały. Mógł je /garnąć i włożyć do kieszeni, gdzie miał pieniądze na taksówkę, które dała mu mama. Potem ukryłby je w schowku, gdzie zbierał fundusze na podróż, którą planowali odbyć /. Jimmym, gdy dorosną. Ale w końcu postąpił tak, jak pouczyła go mama. Odwrócił się ze znudzoną miną, udając obojętność, więc napastnicy odeszli.

- Dlaczego nie stanąłeś w mojej obronie? - zapytał Lewis Jimmy'ego.

- Z nimi nie wygrasz - odparł Jimmy, popijając sok /. termosu w kratkę.

- Po prostu się boisz - mruknął Lewis, a Jimmy oblał się r umięncem, co oznaczało, że Lewis ma rację.

Ale Lewis także się bał. Wpatrywał się w swoją pustą, sponiewieraną przez łobuzów kanapkę, a potem ją odsunął. Zobaczył, że centy wciąż leżą na stole, ale ich nie tknął.

To się zdarzyło wcześniej, ale u dentysty wciąż był poruszony, a nawet tutaj, w bibliotece, jeszcze odczuwał zdenerwowanie. Wszedł do głównej sali, gdzie było chłodno i mroczno. Spojrzawszy na rzędy książek na półkach, poczuł się nieco lepiej. Powiódł palcami po skórzanych grzbietach powieści (to jego ulubiony dział) i wyjął *Wielkiego Gatsby'ego*. Może będzie ciekawe. Skręcił w prawo, a potem w lewo, aż dotarł do biografii. Przed oczyma migwały mu rozmaite tytuły. Miał wybrać biografię słynnego człowieka i napisać o nim pracę na zakończenie szóstej klasy. Ale żadne nazwisko do niego nie przemawiało. Benjamin Franklin był tłustym nudziarzem, Clara Barton\* miała wredną minę. W przeciwieństwie do wszystkich innych dzieciaków Lewis nie zamierzał odgrywać Davy'ego Cro-

**\* Clara Barton (1821-1912) - amerykańska pielęgniarka, działaczka, założycielka Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.**

cketta\*, tylko po to, by kupić sobie ten głupi futrzany kapelusz.

Żałował, że musi chodzić do szkoły. Każda następna klasa była nudniejsza od poprzedniej. Czytał biegle już w przedszkolu, bo nauczyła go matka. Załatwiła mu kartę biblioteczną, gdy umiał nagryzmolić swoje nazwisko.

- Jeśli chcesz zostać kimś, musisz być wykształcony -oznajmiła.

W każdy piątek zabierała go do biblioteki, gdzie godzinami mógł przeglądać książki dla dzieci, wybierając tyle, ile dał radę udźwignąć. Ojciec, zanim od nich odszedł, kupił mu najwspanialszy prezent urodzinowy, komplet *Encyklopedii Colliera*.

- Jest tutaj wszystko, czego zechcesz się dowiedzieć -powiedział.

Za każdym razem, gdy Lewis pochwalił się jakąś nową wiedzą, Brian wicherzył mu włosy i go ścisnął. Gdy ojciec odszedł, Lewis zaczął systematycznie czytać encyklopedię, zaczynając od A. Stale sobie wyobrażał, jak dumny będzie z niego ojciec, gdy wróci, a on opowie mu wszystko o bombie atomowej albo o tym, jak rozpalano ogień. Za każdym razem, gdy dostał nową zabawkę, czy to plastikowe dinozaury, czy talię kart, zaglądał do *Colliera*, by przeczytać wszystko na ich temat.

Ale w szkole było inaczej. Wiedząc więcej niż inne dzieci, musiał siedzieć, słuchając, jak wszyscy uczą się nazw kolorów, a potem dukają *Biegnij, Sally, biegnij* z książeczki *Dick and Jane*. Ale nie tylko czytanie przychodziło mu z taką łatwością. Matma też była prosta. Niejednokrotnie szybko wykonywał polecenie, a potem siedział beczynnie, czekając na resztę klasy. Nauczycielka nie dawała mu nic do roboty, nawet wtedy, gdy ją o to prosił.

Szybko się zorientował, że wie więcej niż niejeden z na-

**\* David Crockett (1786-1836) - amerykański polityk, żołnierz i pionier. Jako bohater legendarnych, częściowo nieprawdziwych wyczynów, stał się bohaterem ludowym.**

uczycieli i że, co odkrył wstrząśnięty, nie jest przez to lubiany. Rozpoczynając nową klasę, za każdym razem myślał, że teraz będzie inaczej, ale gdy tylko zadawał pytania, nauczyciele odpowiadali:

- Może dopuścisz do głosu inne dzieci.

Gdy zaczęli omawiać prawa obywatelskie, Lewis przypomniał sobie o państwie Milk, rodzinie murzyńskiej, która chciała się wprowadzić do ich kwartału, ale wszyscy sąsiedzi napisali petycję, by ich powstrzymano. Tylko matka Lewisa odmówiła podpisania złożenia podpisu. W końcu dom sprzedano rodzinie białych.

- Dlaczego w naszej szkole nie ma czarnoskórych dzieci? - zapytał, a nauczycielka odpowiedziała:

- Chodzą do innych szkół.

A gdy Lewis zapytał, co to za szkoły, nauczycielka poradziła mu, żeby nie był zbyt ciekawski. Gdy w piątej klasie uczyli się o Indianach, nauczycielka przyniosła zdjęcia tipi. Lewis podniósł rękę i nauczycielka westchnęła.

- Tak, Lewisie? - spytała.

Powiedział, że Indianie nie mieszkają wyłącznie w tipi, lecz także w wielu innych rodzajach domów, zależnie od tego, gdzie żyją.

- Tam, gdzie jest ciepło, mają domy z trawy. Budują także domy z drewna i z suszonych na słońcu cegieł.

- Tak. Ale najczęściej mieszkają w tipi - powiedziała.

- Tylko Indianie z Wielkiej Równiny Prerii - dodał.

- Przejdźmy dalej - zadysponowała nauczycielka, uciszając go srogą miną.

Szósta klasa u panny Calisi nie była lepsza. Nauczycielka wciąż opowiadała o tym, jak uprawia taniec w cztery pary, oraz pouczała, dlaczego rock and roli przyczynia się do wzrostu przestępczości wśród nieletnich. Na dodatek czuć ją było brudnymi skarpetkami. Lewis dojrzał iskierkę nadziei, gdy na początku roku oznajmiła:

- Jestem naprawdę wymagająca. Wszyscy będziecie musieli ciężko pracować

Ale wszystko było tak samo łatwe jak poprzednio i nadal nie wolno było zadawać zbyt wielu pytań. Wtedy Lewis zupełnie przestał się starać i zaczął zajmować się tym, co go interesowało. Rysował w zeszytach schematy budowy radia, zapisywał wiadomości dotyczące waleni. Pewnego dnia porównywał rysunek przedstawiający białuchę i płetwala błękitnego. Nagle na zeszycie pojawił się cień. Lewis podniósł głowę i zobaczył nachmurzoną pannę Calisi.

- Zadałam ci pytanie, a ty nawet mnie nie usłyszałeś - powiedziała gniewnie. - Czym się zajmujesz? - Wzięła jego zeszyt i ze zdumieniem spojrzała na rysunki. Lewis przygarbił się w ławce. - To nie ma nic wspólnego z dzieleniem liczb wielocyfrowych - dodała oschle.

Przekartkowała zeszyt, po czym wetknęła go sobie pod pachę. Lewis przestraszył się, że już go nie odzyska. Patrzył, jak nauczycielka siada za stołem i coś pisze, podczas gdy uczniowie obracają się w ławkach i gapią się na Lewisa. Następnie nauczycielka wróciła i podała mu zeszyt z wpisaną uwagą.

- Niech twoja matka to podpisze - powiedziała. - A teraz otwórz podręcznik do matematyki. - Stała nad nim, dopóki nie wykonał polecenia. Siedział potem, słuchając, jak głądzi o dzieleniu liczb wielocyfrowych, a on wyobrażał sobie, że słyszy żałobne zawodzenie wielorybów fałdowców.

Nie miał zamiaru pokazywać uwagi matce. Zawsze mu powtarzała, że to bardzo ważne, żeby się dobrze uczył, że musi dostawać dobre oceny, bo od tego zależy, czy uzyska stypendium na uczelni. Ale on nie widział w uczelni nic nadzwyczajnego. Sporządził sobie listę znanych ludzi, którzy nigdy nie studiowali. Henry Ford. And Drew Jackson — a przecież został prezydentem. George Washington. Gandhi. Hitler. Wykreślił Hitlera, bo uznał go za przykład przemawiający za tym, że należy iść na studia, by nie stać się takim jak on. Umieścił tam wszystkich znanych polityków, przywódców, wynalazców. Można zostać, kim się chce. Miał cały zeszyt zawodów, które chciałby wykonywać. Zostać le-

karzem. Badaczem zwierząt. Może naukowcem. I wiedział, jak to zrobić bez tej głupkowatej szkoły. Wszystko, co potrzebne, jest tutaj, w bibliotece. Jego tata był taki. „Wszystko zawdzięczam wyłącznie sobie” - zwykł mawiać. I przecież zdobywał te wszystkie trofea i nagrody dla najlepszego sprzedawcy.

Podrobił pod uwagę podpis matki.

Przechadzał się pomiędzy bibliotecznymi regałami. Tak naprawdę interesowała go biografia Houdiniego. Harry Houdini był Żydem, tak jak on, i był super. Nie miał ochoty spotkać się dziś wieczorem z przyjacielem matki, Jakiem. Wolałby zniknąć. Jake. Cóż to za imię? W sam raz dla głupka. Trzymaj się z dala od mojego życia, Jake.

Matka mu powiedziała, że Jake zabierze ich oboje na lody.

- To przyjaciel. Świetnie spędzimy czas - nalegała.

- A co z tatą? - zapytał Lewis. - A co z tym, co powiedział pan Gallagher z naprzeciwka? Że są małżeństwem na zawsze, pobrali się w obliczu Boga, on i jego żona Tina. A ich dziecko, mały Eddy, który wciąż chłostał zarośla kijem do baseballa, był jak przymierze. Oto dlaczego rozwód to coś nieprawdziwego.

Ava zmrużyła oczy.

- Rozwód jest całkowicie realny - oznajmiła.

Nie lubił myśleć o matce i tym jej nowym facecie, Jake'u. A jeśli on naprawdę jej się podoba? Na samą myśl o tym znów musiał sporządzać swoje listy. Przemyśliwał o tym, żeby uciec z domu, ale dokąd by poszedł? Z czego by żył? Gdyby tylko odnalazł swego ojca, ale na razie nie potrafił. Wiedział, że ojciec odszedł przez mamę, bo się kłócili. A gdy kilka razy zatelefonował do Lewisa, można było poznać po głosie, jak bardzo jest szczęśliwy, że rozmawia z synem. Lewis nie wiedział, dlaczego tata nie odwiedza go ani nie telefonuje. Wiedział tylko, że ma to coś wspólnego z mamą, i dlatego był wobec niej taki ostrożny. Bo mogła wszystko pogorszyć. Zwłaszcza z tym facetem, Jakiem.



- Lewis. - Obejrzał się zaskoczony. Pani Groth, bibliotekarka, tyczkowata kobieta, której nie podobało się, że Lewis wybiera książki z działu dla dorosłych, i wciąż odsyłała go do sali dziecięcej, z tymi wszystkimi głupimi zabawkami i miniaturowymi pulpitami, spoglądała na niego gniewnym wzrokiem. - Czy to jest miejsce odpowiednie dla ciebie? - spytała ostro. Utkwiła wzrok w *Wielkim Gatsby*, a potem odebrała chłopcu książkę. - Jesteś na to za młody -oznajmiła, jakby miała jakiegokolwiek pojęcie o intelektualnym poziomie Lewisa. Przekartkowała tom i spostrzegła lekko rozdartą stronicę. - Skąd to się wzięło? - spytała, wskazując palcem na uszkodzenie.

Lewis spojrział na rozdarcie, na strzępek oderwanego papieru.

- Gdy wziąłem książkę, już taka była - odparł. Bibliotekarka ściągnęła usta.

- Ach tak - powiedziała. Podeszła do swego stanowiska, sięgnęła po kawałek papieru, coś na nim napisała i wręczyła świstek Lewisowi. - Musisz zapłacić za to, co zniszczyłeś -oznajmiła.

- Niczego nie zniszczyłem - powiedział Lewis. Spojrział na karteczkę. Pani Groth napisała na niej czarnym atramentem: „Dwa dolary za zniszczenie własności biblioteki” i podkreśliła tekst dwukrotnie. Gdy poprzednio postąpiła tak samo, Lewis po powrocie do domu wszystko opowiedział matce, a ona, ku jego zaskoczeniu, pojechała do biblioteki, podeszła wprost do pani Groth i oświadczyła, że nie tylko pamięta rozdarcie („Nie wiem, dlaczego biblioteka nie dba bardziej o swoje zbiory” - powiedziała), ale jest już zmęczona komentarzami, jakie książki jej syn może pożyczać.

- Jestem jego matką i jeśli Lewis chce czytać *Kochanka Lady Chatterley*, to ja nie mam nic przeciwko temu - warknęła. - Co panią obchodzi, co on czyta? Najważniejsze, że czyta.

Pani Groth spąsowiała. W tamtej chwili Lewis nadzwyczaj kochał swoją matkę.

- I nie zapomnij za to zapłacić - powiedziała pani Groth.

Wepchnął kartkę do kieszeni. Począł, aż pani Groth sobie pójdzie, i znów zaczął spacerować wzdłuż półek z książkami dla dorosłych. Wiedział, że jeśli poprosi, matka jeszcze raz stanie w jego obronie. W takich sprawach nigdy go nie zawiodła. A jednak, choć był jej za to wdzięczny, nieraz wolałby, żeby była inna.

Żadna inna matka nie robiła kanapek z bajgli ani nie przynosiła do domu jedzenia w rodzaju wędzonego łososia, kurzych wątróbek lub, co gorsza, jęczora. Lewis lubił bajgle, ale czuł się zakłopotany, gdy na ich widok dzieciaki wyśmiewały się z niego.

- Cóż to za chleb z dziurką? - pytały drwiąco.

Inne dzieci uskarżały się, że muszą w niedzielę chodzić do kościoła, a mama Lewisa nie zabierała go do synagogi. Jedynym obyczajem mającym związek z religią było u nich w domu zapalenie w piątkowe wieczory tych głupich świec szabatowych. Tylko wtedy, gdy o tym pamiętała, co nie zdarzało się zbyt często. Od czasu do czasu opowiadała mu o Bogu, ale nie było to nic w rodzaju tego, co mówiły dzieciaki.

- Każdy łączy się z Bogiem na swój własny sposób -mawiała. Nie wierzyła, że jakaś religia jest lepsza od innych. - Odnajdziesz swoją własną prawdę - powiedziała.

Nie była podobna do żadnej innej matki. Wkładała kostiumy i wychodziła do pracy, podczas gdy inne matki snuły się po domu w szlafrokach. Kąpieli słonecznych zażywała w skąpych dwuczęściowych opalaczach, a inne matki ubierały się w jednoczęściowe kostiumy ze spódniczką. Inne matki nosiły luźne spodnie, a jego matka paradowała w obcisłych ogrodniczkach z podwiniętymi nogawkami.

- Dlaczego ubierasz się inaczej niż wszyscy? - zapytał Lewis.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ubieram się inaczej? - Spostrzegł, że zaczęła uważnie przyglądać się sąsiadkom. Dwa dni później wróciła z zakupów z parą spodni, które zapinały się na suwak z boku, oraz z podomką, która miała szokujący odcień pomarańcza.

Lewis wciąż pamiętał pełną zdumienia reakcję Jim-my'ego, gdy po raz pierwszy ujrzał Avę. Chłopcy przechodzili obok jej domu i zajrzeli przez wielkie panoramiczne okno do salonu, gdzie tańcząc, odkurzała meble miotełką z piór. Wymachiwała miotełką i kołysała biodrami.

- To twoja mama? - zapytał Jimmy.

Chłopcy przystanęli na chodniku i Lewis przyglądał się, jak jego matka się kolebie, zarzucając głową tak mocno, że włosy zupełnie zakrywały jej twarz. Poruszała ustami, jakby śpiewając. Lewis usłyszał, że Jimmy gwałtownie wdycha powietrze, i zapragnął, żeby matka przestała się miotać, żeby przynajmniej zaciągnęła zasłony. Jimmy zamachał rękami, że niby się wachluje.

- Ale kociak - powiedział Jimmy. - A niech mnie. - Lewis chwycił go za ramię. - Oj, przepraszam, bardzo przepraszam - powiedział Jimmy, ale nie oderwał wzroku od Avy.

Lewis właściwie nie wiedział, co czuje do matki. Raczej nie mógł jej ufać. Ostatnio wyglądało na to, że skrywa mnóstwo tajemnic. Czasami miał wrażenie, że aż grzechoczą w jej wnętrzu, niczym szklane kulki uwięzione w słoiku.

W zeszłym tygodniu nocował u Jimmy'ego i Rose, co rzadko zdarzało się w dni powszednie. Cały wieczór spędzili, grając w „Go to the Head of the Class”\*. Później Lewis położył się w śpiworze na podłodze pomiędzy łóżkiem Jimmy'ego i śpiworem Rose, i chociaż nazajutrz mieli iść do szkoły, oglądali *Deszczową piosenkę* na migającym telewizor-ku w pokoju Jimmy'ego. Lewis był obolały i kręciło mu się w głowie. Spociał się i pidżama przyłgnęła mu do skóry.

- Chcę wracać do domu - powiedział Jimmy'emu. - Chyba jestem chory.

Rose położyła mu dłoń na czole.

- Jesteś rozpalony - stwierdziła.

Nie chcąc budzić mamy Jimmy'ego, która robiła się zrzędliva, gdy musiała zdjąć z oczu maseczkę oraz wyjąć zatycz-

**\* „Go To The Head of the Class”- słynna gra pytań i odpowiedzi, w którą mogła grać cała rodzina.**

ki z uszu, Jimmy i Rose narzucili płaszcze na pidżamy, włożyli papucie i odprowadzili Lewisa do domu po drugiej stronie ulicy. Wieczór był bezwietrzny, ale rzeński, niebo usiane gwiazdami. Lewis z każdym krokiem czuł się gorzej. Doznawał wrażenia, że domy się przesuwają, a podłoga jest tak grząskie i kleiste, że można się zapaść. Rose objęła go w pasie, a on oparł się na niej, czując pulsujące gorąco.

U drzwi usłyszał muzykę. Frank Sinatra. Jedną z ulubionych płyt matki. Lewis widział, że wydycha obłoczek pary, czuł pot spływający mu po plecach. Rose na chwilę przymknęła oczy, kołysząc się w rytm muzyki.

- Twoja mama jest w dechę - powiedziała. - Muzyka po północy! Moja mama nawet nie ma gramofonu. A gdy sobie nuci, podśpiewuje melodię z reklamy Alka-Selzer.

Jimmy uniósł głowę w stronę okna i znieruchomiał. Przytrzymał Lewisa ręką, tak jak jego mama, prowadząc samochód, gdy miała gwałtownie zahamować i nie chciała, by Lewis wpadł na przednią szybę. Lewis się potknął, a potem spojrzął na okno, na widoczne przez firankę cienie. Wszyscy troje zobaczyli jego matkę, jak stoi, wspierając głowę na czyimś ramieniu, tańcząc wolniutko, jakby poruszała się w jakiejś zawieszynie. Rose wstrzymała oddech.

Lewis skamieniał. Cień jego matki całował się z drugim cieniem. Odwrócił głowę.

- Już mi lepiej - powiedział z trudem, zwracając się przodem do ulicy.  
- Wracajmy do was.

Jimmy i Rose ani drgnęli, wpatrując się w niego.

- O rany. Nic mi nie jest - powiedział Lewis. - Chcę wrócić do waszego domu.

Rose chwyciła go za rękę, ale on gwałtownie ją cofnął i ruszył przed siebie. Muzyka cichła z każdym jego krokiem, obraz matki i mężczyzny stawał się coraz bardziej niewyraźny, a Lewis czuł się słaby i tak mu się kręciło w głowie, że najchętniej położyłby się na środku jezdni. Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy Rose i Jimmy idą za nim, ale słyszał szuranie ich kapci i był wdzięczny za to, że nic nie mówią.

Weszli do domu, zdjęli kurtki, zrzucili kapcie i położyli się na posłaniach. Lewis nie spał, wpatrując się w sufit i usiłując nie płakać. Pokój wirował wokół niego. Słyszał, że Jimmy zaczyna pochrapywać. Nigdy dotąd nie czuł się taki samotny.

A potem usłyszał, że Rose wierci się w swoim śpiworze. Wstała i wyszła z pokoju. Po kilku minutach wróciła. Usłyszał odgłos stąpania jej bosych stóp. Usłyszał, że się zbliża, jakby chciała mu powierzyć jakąś wielką tajemnicę.

Przytknęła do jego czoła ręcznik, zadziwiająco chłodny. Z westchnieniem zamknął oczy. Po chwili poklepała go po ramieniu. Uniósł powieki i dostrzegł nad sobą jej niewyraźną postać.

- Weź to, Lewisie - powiedziała i podsunęła mu dłoń z dwoma aspirynami pośrodku.

Zobaczył, że podaje mu szklankę wody. Nie widział jej oczu ukrytych za długą, czarną jak pędzle z sobolowego włosia grzywką. Gdy pochyliła się niżej, jeden z jej warkoczy musnął mu pierś, która podnosiła się i opadała w ciężkim oddechu. Rose przysiadła na skraju śpiwora. Czekala, aż Lewis połknie aspirynę i popije wodą.

- A teraz się połóż - wyszeptała.

Ale nie odeszła, a on chciał, żeby została. Za każdym razem, gdy się budził i otwierał oczy, widział ją ponad sobą, spokojną i nieruchomą. Jej widok sprawiał, że robiło mu się lepiej. Czuł jej obecność i stopniowo znów pogrążał się we śnie.

Myśląc o tym teraz, byłby gotów przysiąc, że ów cień, który widzieli przez okno, to był Jake. Ale zapomnijmy o Jake'u. Zapomnijmy o matce. Zapomnijmy o tamtej nocy. Odbił wizytę u dentysty. Wyszedł z biblioteki. Miał teraz wstąpić do Jimmy'ego. Kto wie, co będą robić, jakie snuć plany? Opuściwszy bibliotekę, zdziwił się, że dzień jest taki upalny i duszny. Szedł, trzymając się budynków wzdłuż Lexington Street, aby nie zabłądzić, co często mu się zdarzało; stawał się wtedy bezradny i spięty, jakby świat bez

jego wiedzy zmieniał kształt. Po prawej stronie był kościół, a po lewej stacja benzynowa. A dalej rósł wielki klon.

Przejeżdżający samochód zatrąbił na Lewisa, więc przesunął się, by iść chodnikiem dalej od jezdni. Przez chwilę zdawało mu się, że za kierownicą siedzi jego ojciec. Czyż to by nie było wspaniałe? Gdyby to był tata, nie musiałby dziś wieczorem spotykać się z tym głupim Jakiem. Mama też by się z nim nie spotkała. Gdyby to był tata, wszystko wróciłoby do normy.

Gdy ojciec odszedł niespodziewanie zaraz po siódmych urodzinach Lewisa, nawet się nie pożegnawszy, zmienił się cały świat. Wszystko nabrało innego smaku. Lewis zjadał odrobinę zupy mlecznej, która smakowała jak stek. Ziemniaki na obiedzie w szkole miały metaliczny posmak i musiał je wypluwać do serwetki. Zupełnie jakby świat nagle zwariował. Matki Lewisa nie było stać na samodzielne utrzymywanie dużego mieszkania w Back Bay, więc przeprowadzali się z jednego do drugiego ciasnego mieszkania na przedmieściach, aż wreszcie zamieszkali w Waltham, w wolnostojącym domu z ogródkiem. Przynajmniej tyle.

- Czy tata wie, że tu jesteśmy? - wciąż pytał Lewis.

- Oczywiście, że wie - odpowiadała matka, ale wydawała mu się jakaś mniejsza.

- Skąd wie? - Lewis pomyślał o krótkofalówkach, o głosie wędrującym po przewodach telefonicznych.

- Po prostu wie - mówiła matka.

Raz nawet miał odwiedzić Lewisa. Zatelefonował zaraz po jego ósmych urodzinach, zupełnie niespodziewanie. Gdy Lewis usłyszał jego głos, zaczął płakać.

- Ejże, co to za płacz? - zażartował ojciec jowialnie. Śmiesznie przeciągał słowa. - To nie może być mój Lewis, prawda? Mój Lewis nie płacze.

Lewis pociągnął nosem.

- Ja nie płaczę - upierał się, ocierając oczy. - Gdzie mieszkasz? Jak mam cię znaleźć?

Ojciec odchrząknął.

- Cóż, teraz nie możesz mnie odwiedzić. Siedzę na walizkach. Ale może za jakiś czas. Na razie to ja mogę odwiedzić ciebie.

- Kiedy?

- Nie wiem, zuchu. Może w przyszły weekend, co ty na to?

Nawet przez telefon słychać było oddech ojca, głęboki i miarowy.

- Poprawię się - powiedział Lewis. - Będę grzeczny w szkole. Będę miał dobre stopnie. - Cisza. - Tęsknię za tobą - mówił Lewis. - Będę czekał przed domem.

A wtedy matka wyjęła mu z ręki słuchawkę i odłożyła na widełki.

- Tata przyjedzie do mnie w przyszłym tygodniu - powiedział Lewis, ale matka podeszła do zlewu i zaczęła zmywać naczynia.

W tamten weekend Lewis czekał na ganku, chociaż matka namawiała go, żeby wszedł do środka. Za każdym razem, gdy nadjeżdżał samochód, Lewis się podrywał, ale samochód jechał dalej. Gdy Ava wyszła z domu i zaproponowała, że zabierze go ze sobą do sklepu, pokręcił głową.

Wróciwszy, zastała syna w tym samym miejscu. Nie wierzyła własnym oczom. Wsiadła z samochodu i wyjęła z torby paczkę ciasteczek Fudge Stripes, jego ulubionych.

- Tak mi przykro - powiedziała, siadając obok. Rozerwała celofan i choć była to pora przedobiadowa, zjedli całe opakowanie.

Znów przejechał samochód, a potem następny, ale oczywiście w żadnym nie siedział ojciec. Lewis wsparł brodę na kolanach. Dlaczego tata nie przyjeżdża? Gdyby jego wady i zalety wypunktować w dwu kolumnach, miałby przecież więcej plusów niż minusów. Widział to jasno. Więc dlaczego nie widział tego ojciec? Lewis nie potrafił dociec, czym zawinił.

„Kocham cię” - powiedziała mama, ale czy na pewno go kochała?  
„Jesteś moim najlepszym przyjacielem” - zapew-

niał Jimmy, ale Lewis nie był o tym całkowicie przekonany. Musiał sobie wciąż powtarzać, że Jimmy i Rose zawsze wychodzą tylko z nim, nie chcą się zadawać z nikim, prócz niego. „Ej, smutasie - żartowała Rose. - Jak będziesz się tak zamartwiał, twoja twarz na zawsze zastygnie z tą ponurą miną” - mówiła z uśmiechem.

Houdini zwykł był mawiać, że ludzie widzą to, co chcą zobaczyć, wyobrażają sobie, że taka jest prawda. Może właśnie tak było z Lewisem. Ale wyglądało na to, że Jimmy i Rose są prawdziwymi przyjaciółmi, najprawdziwszymi z wszystkich, jakich Lewis miał kiedykolwiek. On i Jimmy planowali wspólną przyszłość. Gdy dorosną, kupią samochód i pojedą w świat. Zbierali na to pieniądze i kupili ogromną mapę, którą przykleili taśmą do ściany w pokoju Jimmy'ego. W każdym miejscu, które chcieli odwiedzić, bo miało dla nich znaczenie, wkłuwali pinezkę. Lewis za każdym razem, gdy widział mapę, odczuwał dreszcz podniecenia. Rose miała im za złe, że wyłączyli ją ze swoich planów.

- To męska sprawa - powiedział jej Lewis.

- Będziesz nas mogła odwiedzić - zapewnił ją Jimmy. - Zatrzymamy pokój specjalnie dla ciebie.

- Pewnie, że tak - dodał Lewis. Lubił Rose. Gdy robił swoje magiczne sztuczki, zawsze zgadzała się trzymać cylinder lub być świnką morską. Słuchała z zainteresowaniem i przyjemnością, ilekroć Lewis opowiadał jej, co czyta - o podróżach kosmicznych lub o mięsożernych roślinach. Zawsze chciała dowiedzieć się więcej.

- Mogę sobie znaleźć własny pokój - odparła. - I będę mogła wyruszyć wcześniej niż wy, bo jestem starsza. Wybiorę się do mnóstwa ciekawych miejsc.

Lewis i Jimmy mieli zamiar pojechać do Kentucky lub Wyoming albo do Kalifornii, gdzie zostaną szefami biznesu lub lekarzami. Jimmy chciał się zatrzymać w Santa Fe, ponieważ mieszkała tam jego ukochana ciocia. Marzył o Los Angeles, bo tam były gwiazdy filmowe. Może zobaczy Na-



talie Wood, w której się podkochał. Lewis chciał zobaczyć Springfield w Missouri, bo myślał, że tam toczy się akcja serialu *Father Knows Best*\*. Będzie musiał zahaczyć o pustynię Mojave, gdzie znajduje się Dolina Śmierci, ponieważ uwielbiał program *Dolina Śmierci* i zawsze go oglądał. Mieli być szczęśliwi i sławni, a on nie będzie już myślał o przyjaciółkach matki ani o odcięciu prądu, bo rachunek nie został zapłacony, ani o używanych ubraniach z Morgan Memoriał, które musiał nosić. Będzie taki sławny, że napiszą o nim w wiadomościach, albo może zostanie gwiazdą telewizji i przeczyta o nim ojciec, i poczuje się okropnie, i natychmiast do niego zatelefonuje, żeby mu wszystko wynagrodzić.

Szedł, skręcając z Main Street w boczne uliczki, bo był znudzony znaną okolicą. Przy Chesterbrook Road zobaczył trójkę chłopaków na pustej błotnistej parceli. Znał ich z widzenia. Chodzili do gimnazjum. Mieli ulizane włosy, a dwaj z nich palili papierosy. Wszyscy trzej pociągali z butelek napoje gazowane. Joey Salvatore, ten z kręconymi ciemnymi włosami, czekał kiedyś na tym samym przystanku autobusu szkolnego co Lewis. Joey wyjął wtedy kawałek kredy z kieszeni i napisał na słupie telefonicznym PENIS, a potem POCHWA, rżąc i wyjąc ze śmiechu, gdy jedna z dziewczyn zerknęła i stanęła w pasach. Kiedy indziej zabrał komuś kostium gimnastyczny i wepchnął go do skrzynki pocztowej, a gdy właściciel zaprotestował, kopnął go tak mocno, że tamten upadł na ziemię.

Lewis nauczył się, że od Joeya i jego bandy należy się trzymać z daleka, ale teraz było za późno na ucieczkę. Czuł, że chłopaki mu się przyglądają.

- Hej, pokrako. - Joey pomachał mu od niechcienia. -Poznaję tę koszulę.

**\* *Father Knows Best* („Ojciec wie lepiej”) - serial telewizyjny emitowany od 1949 roku. Gwiazda serialu, Robert Young, wcielił się w rolę mężczyzny, którego nowoczesne metody wychowawcze niezbyt podobają się jego tradycyjnemu ojcu.**

Lewis spojrział, co ma na sobie. Niebiesko-czerwona szachownica. Koszula z toreb Morgan Memoriał. Gdy ją wkładał, nie zastanowiło go, do kogo mogła należeć. Wiedział tylko tyle, że nie była jego.

Joey zarżał.

- Zrzygałem się na nią, dlatego moja mama ją wyrzuciła. Lewis szedł dalej, mając nadzieję, że dadzą mu spokój.

Pomyślał, że po powrocie do domu od razu wyrzuci koszulę. Woli nie mieć co na siebie włożyć niż nosić coś, co należało do Joeya Salvatore'a. Nagle chłopcy otoczyli go, uśmiechając się od ucha do ucha. Patrzyli na niego wrogo, wyzywająco.

- Żydek - powiedział Joey.

- Jak tam? Jesteś głodny? - zapytał inny chłopak, Barney, popychając Lewisa. - Bo mamy ciastka. - Pokazał do połowy opróżnione opakowanie oreo. - Chcesz jedno?

- Nie - odparł Lewis.

- Och, nie bądź taki - szydził Joey, zaciągając się papierosem. Łyknął haust napoju gazowanego. - Spragniony? - zapytał. - Nie naplułem do środka. Możesz się napić.

Lewis milczał.

- Opuść spodnie, to dostaniesz ciastko - powiedział Joey. Wyrzucił papierosa, wyjął ciastko z opakowania i pomachał nim przed nosem Lewisa. - Mniam. Świeże pyszne ciasteczko. - Pozostali chłopcy się roześmiali, a Joey przybliżył się na tyle, by przytknąć nos do nosa Lewisa.

Chwycił za połą koszuli Lewisa i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mówię poważnie - rzekł przymilnie. - Opuść spodnie. Słyszałem, że Żydzi mają inne siusiaki, i chcę to sprawdzić. - Lewis czuł oddech Joeya, słodki od oreo, kwaśny od tytoniu. Widział stojących za Joeyem chłopaków, zniecierpliwionych, przestępujących z nogi na nogę, czekających, co będzie dalej. Joey potrząsnął butelką, płyn zasyczał. - No, zwilż swój gwizdek - powiedział Joey i chlusnął na Lewisa, oblewając mu ubranie.

Barney schylił się, zagarnął garść ziemi i rzucił w Lewisa, brudząc mu koszulę i spodnie.

- Ach, jaka szkoda. Ale ty przecież przywykłeś do brudnych ubrań, prawda? - powiedział.

Joey zarżał i coś w Lewisie pękło. Walnął pięścią w szczękę Joeya. Sam nie wiedział, kto jest bardziej zaskoczony, on czy Joey. Poczł pulsowanie w knykciach. Ogłupiały ze strachu, usiłował przełknąć ślinę, ale klucha w jego gardle ani drgnęła.

Dwaj pozostali stanęli jak wryci, oczy Joeya płonęły.

- Już nie żyjesz - powiedział, rozcierając szczękę, a Lewis obrócił się i rzucił do ucieczki.

Okazało się, że jest od nich szybszy. Był kiepski z gimnastyki, do zespołów zawsze wybierano go na końcu, ale potrafił biegać, i teraz biegł co sił w nogach, słysząc własny oddech. A gdy wypadł na Lexington Street, była tam Rose, niczym zbawienie, w żółtej sukience, jakby na niego czekała. Spojrzała na chłopaków za nim i chwyciła go za rękę, gdy przebiegał obok.

- Biegiem! - wysyczała.

Biegli razem, słysząc za sobą krzyki.

„Pamiętaj, najwięksi twardziele zawsze są tchórzami” - powiedział mu kiedyś ojciec. Ale ci trzej wciąż biegli. Nie dawali za wygraną. Dźwięk ich tenisówek był coraz bliżej.

- Tędy - powiedziała Rose, pociągając go za sobą. - Musimy się ukryć.

Wbiegli na wijącą się pośród drzew ścieżkę prowadzącą do Green Acres Day Camp. Wpadli w zarośla, rozchylając krzaki. W końcu słyszeli tylko własne oddechy. Przystanęli i Lewis rozejrzał się w koło.

Miękkie od mchu podłoże usiane było plamkami słońca. Rose stała tak blisko Lewisa, że czuł woń jej włosów, pachnących wilgotnym drewnem i jagodami. Nie słyszał żadnych głosów ani kroków. Rose dotknęła go, a on się wzdrygnął.

- Drzysz - powiedziała. - Twoje ubranie jest mokre i zabłocone.

Podeszła jeszcze bliżej, a on nie mógł powstrzymać płaczu. Płakał nie z upokorzenia i nie ze strachu, ale dlatego, że z Jakiem i z ojcem wszystko było nie tak.

- Wyszuszu ubranie na słońcu. - Wskazała plamę jasnego słońca na polance. - Wtedy wykruszymy błoto.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Zamknę oczy. Masz wilgotne ubranie. To tylko ja. Jego ubranie - ubranie Joeya — było wilgotne i lepkie,

oblepione błotem. Gdyby mógł, najchętniej by je spalił.

- Mam młodszego brata, pamiętasz? Nie zobaczę nic, czego bym nie widziała przedtem. - Patrzyła na niego poważnie, czystymi szarymi oczami. - Nikomu nie powiem -zapewniła. - Nawet Jimmy'emu.

Lewis pomyślał o drwinach chłopaków. „Słyszałem, że siusiaki Żydów są inne. Chcę to sprawdzić”. Odkąd ją znał, nigdy go nie zawiodła, nawet wtedy, gdy on i Jimmy sprzymierzali się przeciwko niej i łaskotali ją albo zabierali pamiętnik, grożąc, że go przeczytają. Nigdy nie powiedziała I ,ewisowi złego słowa, gdy wyganiaли ją z pokoju Jimmy'ego, bo mieli swoje chłopięce sprawy. Czasami Rose także ich unikała, na przykład, gdy chciała poczytać.

Jimmy nie przepadał za książkami, ale Rose czytała tak zawzięcie, że można by jej strzelać nad uchem, a ona nie oderwałaby się od fabuły. Dopiero gdy się nią potrzęsnęło, spoglądała znad książki nieprzytomnym wzrokiem, jakby wciąż tkwiła w centrum akcji. A najlepsze było to, że rozmawiała z Lewisem o swoich lekturach. To ona dała mu *Orkan na Jamajce* i namawiała, by to przeczytał. Dała mu *A Tree Grows in Brooklyn* i *Buszującego w zbożu*. *Czytał* w łóżku jej książki z pozaginаныmi rogami, znaczącymi ważne dla niej miejsca. Odczytywał notatki na marginesie. „Ja też to czuję. Uwielbiam tych piratów!”. A raz: „Co teraz zrobimy?”. Zupełnie jakby czytali razem, omawiając każdą stronę.

- No, na co czekasz? - powiedziała Rose.

Poczuł się nietęgo. Ale nie dlatego, że będzie się musiał

rozebrać. Włożył pod spodnie spodnie gimnastyczne, bo mama nie zrobiła prania i nie miał nic innego.

Zdjął buty. Spojrzał na zegarek. Za późno, by zobaczyć się z Jimmym. A potem będzie musiał spotkać się z Jakiem. Ale jak ma to zrobić, skoro jest zupełnie załamany?

- Tu w słońcu jest bardzo ciepło. Ubranie wyschnie, a potem strzepniemy błoto - powtórzyła. Wciąż się nie ruszał, więc spojrzała na niego ze współczuciem. - Nic się nie stało - rzekła. - Wszystko jest w porządku. - Zasłoniła oczy rękami i ostrożnie położyła się w plamce słońca. Zdjął spodnie i koszulę, po czym rozprostował je na słońcu. Wyciągnął się obok Rose. Leżeli nieruchomo. Nie śmiał na nią spojrzeć, a Rose nadal miała zasłonięte oczy. - Po prostu tutaj poleżymy - powiedziała.

Słuchał jej oddechu, a potem swojego, zupełnie jakby to była rozmowa; jej krótkie, szybkie oddechy i jego dłuższe.

- Jimmy będzie wściekły - powiedział.

- Nie może być zły na *nas* - odparła Rose.

Lewis nie zaprzeczył. Nigdy przedtem nie miał przyjaciół takich jak Jimmy i Rose, dzięki którym poczuł się zakotwiczony w świecie. Zanim przeprowadzili się tutaj, mieszkał z matką w Watertown i trzymał się z chłopcem z tej samej klasy. Ale chociaż Don był zabawny i tak samo jak Lewis lubił jeździć na rowerze i grać w „Go to the Head of the Class”, tak naprawdę lubił ojca Dona. Był to duży, przysadzisty mężczyzna, który zawsze radował się na widok Lewisa.

- Mój drugi syn! - mawiał. Zabierał ich obu do kina, muzeum, teatru. Gdy Don trzymał ojca za rękę, a Lewis nie miał na to odwagi, tata Dona śmiał się i sam chwycił palce Lewisa. Ojciec rozpieszczał Dona, kupując mu gry i zabawki. Wystarczyło, że Don spojrzał na coś, a ojciec od razu mu to kupował. I Lewisowi także. Lewis był zachwycony, gdy w lodziarni sprzedawczyni podająca im rożki, powiedziała:

- Ma pan dwóch wspaniałych synów! - A tata Dona

wcale tego nie sprostował, tylko uśmiechnął się tak, jakby mu to bardzo odpowiadało.

Kilka miesięcy później ojciec Dona dostał pracę w Teksasie i cała rodzina się wyprowadziła. Zrozpaczony Lewis pobiegł do ich domu i patrzył na odjeżdżającą ciężarówkę.

- Będę do ciebie codziennie pisał! - obiecał Don, ale jakże Lewis miał mu wytłumaczyć, że to nie za nim będzie tęsknił? Uściskał ojca Dona, zaciskając powieki, by powstrzymać łzy, a on pogłaskał go po włosach. Lewis właśnie się zastanawiał, gdzie się ukryć, by wyjechać z rodziną Dona, gdy nadeszła matka i objęła go.

- Chodź, kochanie - powiedziała łagodnie. - Pora wracać do domu.

Jimmy'ego poznał od razu pierwszego dnia w czwartej klasie, niedługo potem, jak wprowadzili się do Waltham. Podczas plastyki robili portrety rodzinne i Lewis szybko się zorientował, że oprócz niego jedynym chłopcem bez ojca jest Jimmy.

- Jestem Żydem - powiedział Lewis obcesowo, bo chciał to mieć za sobą i uniknąć podejrzliwych spojrzeń i dziwaczkich pytań („To znaczy, że nienawidzisz Chrystusa?” - zapytało go dziecko w poprzedniej szkole).

- Masz szczęście, nie musisz chodzić w niedzielę do kościoła - odparł Jimmy.

Potem Lewis poznał siostrę Jimmy'ego, Rose, która zaproponowała, że nauczy go grać w warcaby, i miała całą ścianę w sypialni zastawioną półkami pełnymi książek, które chętnie mu pożyczała. Wkrótce zaczęli trzymać się razem, tworząc małą rodzinę. Nigdy nie rozmawiali o swoich nieobecnych ojcach. Gdy w szkole dzieci miały robić prezenty na Dzień Ojca, Jimmy i Lewis spędzili czas, szukając informacji o miejscach, które mieli zamiar odwiedzić, gdy dorosną. Lewis pieczołowicie notował wszystko w jednym z zeszytów.

- Madison w Wisconsin słynie z doskonałego sera - poinformował go Jimmy. - Zapisz to. I jeszcze, że mają tam rodeo.

Na widok ojców grających z synami w piłkę biegli we troje na boisko szkolne, gdzie było pusto i spokojnie, więc mogli grać po swojemu, nie zwracając sobie głowy ojcami.

Leżąc teraz z zamkniętymi oczyma obok Rose, miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia, aby się przekonać, czy naprawdę tu jest. Miała teraz otwarte oczy i spoglądała w niebo. Powietrze było gorące niczym koc, którym ktoś okrył świat. Im dłużej wsłuchiwał się w oddech Rose, tym bardziej czuł się zmęczony. Powoli, delikatnie, żeby w pierwszej chwili nic nie poczuł, przytuliła się bliżej i położyła mu głowę na ramieniu.

- Rose - powiedział, a potem pomyślał o Jimmym, który na niego czeka, o ich wspólnych planach, i o tym, że musi wracać do domu, a potem odpłynął w sen i zapadał weń coraz głębiej, podczas gdy Rose coś mu szeptała do ucha, początek jakiejś historii, której właściwie nie słyszał.

Obudził się nagle. Było już ciemno. Miał wrażenie, że drzewa przesuwają się wokół nich. Obrócił się ku Rose, która spała z ręką przerzuconą przez jego pierś. Gdy się poruszył, otworzyła oczy. Wzdrygnęła się i zaczęła strącać gałązki z sukienki.

- Szybko - powiedział. - Nagle poczuł się zakłopotany i sięgnął po spodnie i koszulę.

Przeschły, ale wciąż były lepkie, uwalane błotem. Usiłował usunąć błoto, ale tylko je rozmazał. Włożył koszulę i wciągnął spodnie. Rose pospiesznie rozczesywała włosy palcami. Nie spojrzała na niego.

- Mama mnie zabije - powiedziała.

- Mnie też.

Jimmy. Zerknął na zegarek. Wpół do jedenastej. Jimmy nigdy mu nie wybaczy. Ani matka. Będzie wściekła, że nie wrócił do domu, by poznać Jake'a. Gotowa pomyśleć, że zrobił to naumyślnie.

Przez całą drogę do domu, stąpając po ciemku pośród

gałęzi i kamieni, usiłowali wymyślić jakieś usprawiedliwienie.

- Moglibyśmy powiedzieć prawdę - zaproponowała Rose, a Lewis spojrzał na nią ze złością.

- Moja mama zaraz zatelefonowałaby do ich mam - powiedział.

- W takim razie nie możemy.

Wymyślali coraz to nowe historie. Mama Rose była na organizowanym przez kościół Matki Boskiej festynie dobroczynnym, więc nie mogli powiedzieć, że tam poszli, bo by ich przyłapała na kłamstwie. U Brighamów było otwarte do późna i zawsze roiło się tam od dzieciaków z liceum. Może spróbują powiedzieć, że poszli tam na lody.

- Ale co z Jimmym? Miałem się z nim spotkać u was w domu. No i dlaczego wracamy tak późno?

- Powiedz, że zapomniałeś - podsunęła Rose. - Że obydwoje straciliśmy poczucie czasu.

- To by naprawdę rozzłościło Jimmy'ego. Przypomniało mu się, jak Jimmy nie stanął w jego obronie w jadalni szkolnej. Oj, źle. Nie należy go irytować.

Rose uniosła palec.

- Wiem. Powiedz, że byłam zdenerwowana. Płakałam, bo mam kłopoty w szkole, i musiałeś mnie uspokoić. - Spojrzała na niego wzrokiem pełnym nadziei. Rose prawie nigdy nie płakała. - Możesz na mnie zwalić winę - upierała się.

Usiłował coś wymyślić i oto już byli na chodniku, i szli Lexington Street do Trapelo Road, i dalej do Warwick Avenue.

Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegł, był samochód policyjny, biało-czarny z błyskającym na dachu światłem. Przystanął zdumiony.

- Przecież nie zniknęliśmy na aż tak długo - powiedział. Drzwi samochodu były otwarte, niczym usta. Obok stali

dwaj policjanci. Jeden wspierał dłonie na biodrach. A w grupie ludzi była jego mama, Dot oraz kilku sąsiadów. Lewis zobaczył, że mama wskazuje go palcem.



- Lewis! - zawołała jakimś dziwnym, pełnym napięcia głosem, aż poczuł się niepewnie. - Lewis!

Rose i Lewis szli w kierunku grupy. Gdy znaleźli się całkiem blisko, matka chwyciła Lewisa za ramiona.

- Gdzieście się podziewały, dzieci? - płakała. - Jest dziesięć po jedenastej! - Potrząsnęła nim, a potem go uściskała, tak mocno, że nie mógł złapać tchu. - Nigdy więcej tak nie rób - powiedziała. - Nigdy więcej!

Lewis zobaczył obok niej mężczyznę, który patrzył na niego natarczywie, mrużąc oczy, jakby go oceniał. To Jake -pomyślał Lewis. To musi być Jake. Przez chwilę myślał, że popsuł im randkę, i poczuł złośliwą satysfakcję.

Ava wypuściła syna z objęć i przyjrzała mu się.

- Co się stało z twoim ubraniem? Co to jest, błoto? Coście robili?

- Masz pojęcie, jak się wszyscy niepokoiiliśmy? - spytała Dot, zwracając się do Rose. - Jeździłam po okolicy! Dzwoniłam do wszystkich! - Dot położyła dłonie na ramionach córki. Rose zeszywniała.

- Co się z tobą dzieje? - powiedziała Ava. - Wyobrażasz sobie, jaka byłam przerażona?

Lewis zwiesił głowę.

- To moja wina - wypaliła Rose.

- Gdzieście się podziewali? - spytała Dot. - Coście sobie myśleli?

- Poszliśmy do kina - skłamał Lewis. - Siedliśmy na ławce i zasnęliśmy.

- Co? Coście robili? - Ava spojrzała na syna jak na kogoś obcego. - Skąd wzięłeś pieniądze na kino? Dlaczego nie zatelefonowałeś?

Lewis unikał jej wzroku. Zerknął na Rose, która w milczeniu pokręciła głową. **Nie. Nie mów.** A gdy Ava spojrzała na Rose, ta odwróciła oczy i przestraszona przysunęła się do Lewisa.

- Co się z wami dzieje? - spytała Ava. Usiłowała przyszpilić Lewisa wzrokiem.

Policjanci nieco się odprężyli.

- Dzieciaki - powiedział jeden z nich i zaczął coś pisać, podczas gdy drugi wsiadł do samochodu, aby zameldować, co się stało.

Mężczyzna, który według Lewisa musiał być Jakiem, podszedł bliżej i objął matkę w talii. Skinął Lewisowi głową, ale nic nie powiedział. Pochylił się i wyszeptał coś mamie na ucho, ona mu przytaknęła. Lewis się cofnął, nie chcąc rozmawiać z Jakiem. Nawet był zadowolony z jego obecności, bo przy nim matka go nie ukarze. Przynajmniej na razie.

Dot wypuściła Rose, która roztarta ramiona, jakby uścisk matki je posiniaczył. Dot odeszła, wymijając grupę sąsiadów. Uniosła głowę i mrużąc oczy, spoglądała gdzieś w dal. A potem zwróciła się do Rose.

- Gdzie jest twój brat? - spytała.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie ma Jimmy'ego? - zdziwił się Lewis.

Ava patrzyła na syna z niedowierzaniem. Miał zmierzwione włosy, koszulę i spodnie całe w błocie.

- Twój brat nie był z wami?! - wykrzyknęła Dot, a Rose spuściła wzrok. - Gdzie on jest?

Ava poczuła na karku dłoń Jake'a. Pomyślała o Jimmym, który rozplakał się, bo przegrał z nią w warcaby. Przypomniała sobie, jak z zadartą głową i szerokim uśmiechem stał na progu swego domu, machając do niej. Jimmy - pomyślała. O Jezu, Jimmy.

Policjanci kręcili się wokół, zadając mnóstwo pytań.

- Musimy przeprowadzić poszukiwania - powiedział jeden z sąsiadów, a policjant uniósł dłoń.

- Na razie po prostu się uspokójcie i pozwólcie nam robić to, co do nas należy - warknął. - Trzeba działać szybko i w należyty sposób, a jeśli będziecie się wtrącać, możecie bardziej zaszkodzić niż pomóc.

Bob Gallagher pokręcił głową.

- Numer buta dwanaście, kapelusza pięć. Oto jak ich dobierają do służby: krzepcy, ale głupi - mruknął.

- Bob - uciszyła go żona Tina, wsuwając mu dłoń pod ramię. Jej wielkie srebrzyste kolczyki zaśniły przy policzkach.

- Pan coś mówił? - zapytał jeden z policjantów.
- Ja, nie, panie oficerze - odparł Bob Gallagher.
- Podejdźcie tu, dzieci - powiedział drugi policjant. Przykucnął, aby jego twarz znalazła się na poziomie ich 1 warzy. - Dokąd lubił chodzić wasz przyjaciel Jimmy?
- Lewis patrzył na niego oszołomiony. Przygryzł dolną wargę, usiłując się skupić, ale w głowie miał pustkę.
- Zajrzyjcie do wszystkich piwnic - poradził jeden z sąsiadów.
- On nie lubi ciemności - bąknął Lewis. - Nigdy nie wchodził do piwnicy.
- Nie? - powiedział policjant. - A dokąd lubił chodzić? Było ciepło, ale Rose miała dreszcze i gdy policjant na nią spojrzał, dygotała na całym ciele.
- Lubił się wspinać na drzewa - powiedziała. - Lubił szerokie puste przestrzenie. Lubił Wal-Lex!\* - zaskrzeczała łamiącym się głosem.
- Nie zapominaj o lokalu Brighamama - wtrącił Bob Gallagher. - Wszystkie dzieciaki spędzają tam czas. Mój Eddy uwielbia tam chodzić. No i jeszcze huśtawki na placu zabaw przy szkole podstawowej Northeast oraz kino Embassy.
- Z kim jeszcze się przyjaźnił? - zapytał policjant.
- Tylko z nami. Miał tylko nas - odpowiedziała Rose. Któryś z sąsiadów zaczął mówić o wyrzuconej lodówce - ro niedaleko Star Market i jeden z policjantów zapisał to w swoim notesie.
- On by nigdy nie wszedł do lodówki! - zaprotestowała Rose, ale policjant wciąż notował.
- A co z lokalem Brighamama? - powtórzył Bob Gallagher.
- Nie widziałam go na festynie dobroczynnym - wtrąciła się Tina Gallagher.
- Jimmy nie poszedłby na kościelny festyn - upierała się Rose.

**\* Wal-Lex Recreation Center (potocznie Wal-Lex) - kompleks rekreacyjny w Waltham, Massachusetts. Działał od roku 1947 do 2002.**

Policjanci chcieli, żeby Dot i Rose pojechały z nimi, aby nawoływać Jimmy'ego z różnych miejsc. Ava i Lewis mieli z innym oficerem objechać okolicę samochodem patrolowym. Jake stał z rękami w kieszeniach. Ava obróciła się ku niemu.

- Nie wiem, co robić - powiedziała.

- Jedźcie - odparł. - Powinniście pojechać z Lewisem.

Miała ochotę podejść i go pocałować, dotknąć jego twarzy, ale czuła na sobie wzrok sąsiadów, więc posłusznie ruszyła w stronę samochodu policyjnego. Wyrzała przez brudną szybę. Dwa samochody patrolowe odjechały w przeciwnych kierunkach, aby przeszukać większy obszar. Ava obejrzała się i zobaczyła wydłużające się cienie powracających do domu sąsiadów.

Nocą Waltham było ciemne i niezachęcające. Parking przy kościele opustoszał po festynie. Kościół zamknięto. Policjant przejechał obok, nie zatrzymując się.

- Mój partner z nimi porozmawia - oznajmił Avie. - Ja tylko sprawdzam. - Radiostacja w samochodzie zatrzeszczała i policjant burknął pod nosem: - Jezu, dajcie mi spokój.

Ulice były puste, przechadzało się tylko kilku studentów z uniwersytetu Brandeis oraz pary młodych ludzi trzymających się za ręce. Puste wystawy w domu towarowym Grover Cronin's były zasłonięte brązowym papierem, bo zmieniano ich wystrój. Avie wszystko wydawało się jakieś obce i niebezpieczne.

Jimmy nie był w Wal-Lex. Nie grał tam w bilard. Nie było go też u Brighamama. Podjechali do boiska szkolnego i wysiedli. Lewis włókł się z tyłu, brudząc buty pyłem pokrywającym plac zabaw. Szczupłą twarz miał skurczoną, minę nieszczęśliwą. Ava zerknęła na zegarek. Już prawie północ. Lewis nieomal zasypiał w marszu. Dotknęła ramienia policjanta i ruchem głowy wskazała na syna.

- Jest naprawdę późno - powiedziała. - Muszę go zabrać do domu.

- Mowy nie ma - odparł policjant.
- Wrócili do samochodu. Ava i Lewis usiedli z tyłu. Ilekroć spojrzała w lusterko wsteczne, widziała, że policjant jej się przygląda.
- Czy możliwe, by Jimmy usiłował się dostać do szkoły? - zapytał.
- Po co miałby to robić? - zdziwił się Lewis.
- Czy ma dziewczynę?
- Mamy po dwanaście lat. W tym wieku nikt nie ma dziewczyny.
- Mógłby mieć. To chyba możliwe, co? Lewis pokręcił głową.
- Trzymaliśmy się z Rose - odparł. - Z jego siostrą. A ja bym wiedział, gdyby miał dziewczynę.
- Dokąd mógł pójść? - spytała Ava. Lewis przysunął się do drzwi, jakby miał ochotę je otworzyć i wyskoczyć w ciemność.
- Kochanie - ciągnęła - Jimmy powiedział, że idzie spotkać się z tobą u siebie w domu. Dlaczego tam nie poszedłeś?
- Po prostu nie poszedłem.
- Ale dlaczego, kochanie... Policjant odchrząknął.
- Dlaczego twoje ubranie jest takie zabłocone? - zapytał i Lewis zeszywniał.
- Przewróciłem się - powiedział.
- Jak?
- Nie wiem. Po prostu upadłem!
- Powiedz prawdę: gdzie byłeś?
- Już panu mówiłem... z Rose. Spacerowaliśmy po okolicy! - przycisnął się do drzwi. - Dlaczego mi pan nie wierzy? Byłem z Rose! - Spojrzał na Avę błagalnie. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia, a potem usiadła prosto.
- Dosyć - powiedziała. - Żadnych pytań dzisiejszej nocy. Radiostacja znów zatrzeszczała i odezwał się głos:
- Do diabła! Co robisz, Maroni?

Policjant chwycił słuchawkę.

- A jak myślisz? - warknął. - Usiłuję znaleźć chłopaka. Jeździmy po okolicy. Wziąłem kogoś z sąsiedztwa. Najlepszego przyjaciela chłopaka i jego matkę.

Trzaski się wzmogły.

- W samochodzie patrolowym? Oszalałeś? Natychmiast odwieź ich do domu i wracaj na posterunek - rozkazał głos.

Policjant odwiesił słuchawkę.

- Jak sobie życzysz, do cholery - burknął pod nosem, zawracając.

W samochodzie zapanowało milczenie. Ava żałowała, że nie widzi twarzy syna, ale Lewis zwiesił głowę. Wpatrywała się w ulicę, jakby lada chwila miała zobaczyć wyłaniającego się z zarośli Jimmy'ego.

Gdy wrócili, w sąsiedztwie było ciemno. Można by pomyśleć, że nic się nie stało. Pogaszono światła, pozamykano drzwi, tylko przed domem Dot stał samochód policyjny. Ujrawszy go, Ava zamarła.

- Proszę zatelefonować, jeśli coś przyjdzie pani do głowy - powiedział policjant i podał jej wizytówkę. Nazwisko było wypisane drobnym drukiem „Detektyw Hank Maroni”. - Zazwyczaj wysyłają najpierw zwyczajnych oficerów - powiedział. - Ale akurat tędy przejeżdżałem.

Lewis pośpiesznie wysiadł z samochodu. Ava za nim. Zobaczyła Jake'a siedzącego na ganku od frontu. A więc został. Na jej widok wstał i wyszedł naprzeciw.

- Nie mogłem odjechać - oznajmił, a Ava skinęła głową. - Straszne zamieszanie. Przyjechało jeszcze kilku policjantów i przeczesywali okolicę. Wypytywali wszystkich, notowali odpowiedzi. Pojawiła się ekipa telewizyjna. Rozmawiałem z kilkoma sąsiadami, a potem usiadłem na ganku i wpatrywałem się w gwiazdy. - Dotknął ramienia Avy. - Dowiedzieli się czegoś nowego? - Był taki przejęty. Ava poczuła, że lgnie do niego.

- Nie, na razie nic.

- Szkoda - westchnął Jake. Stał blisko, dodając Avie

otuchy. A potem spojrział na Lewisa. - Hej - powiedział, podając mu prezent. - To dla ciebie. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Twoja mama powiedziała, że pewnie będziesz zadowolony.

Lewis odebrał podarek, nie zaglądając do środka.

- Dziękuję - bąknął ze schyloną głową. Wyminął Jake'a i przygarbiony wszedł do domu.

- Miło z twojej strony, że na nas zaczekałeś - powieli ziała Ava.

- Chciałem się przekonać, czy wszystko u was w porządku.

Ava zerknęła na Lewisa, który otwierał sobie drzwi własny m kluczem.

- To jego najlepszy przyjaciel. Jest zdenerwowany.

- Tak, wiem.

Ava oparła głowę na ramieniu Jake'a. Chciała go zaprosić do środka, aby z nią posiedział. Żeby położył się obok i ją przytulił, żeby nie czuła się taka biedna i opuszczona. Zapragnęła wynieść się z tej okolicy, zabrać Lewisa i pojechać do domu Jake'a, ale on nigdy jej nie zaprosił. Przejechała kiedyś obok, by zobaczyć, gdzie mieszka. Dom był wielki i stary, jasnożółty, o dużych panoramicznych oknach, /. kwiatami wzdłuż chodnika. Przez chwilę wyobrażała sobie siebie w tym domu. Nie miała pojęcia, co Jake robi, gdy nie jest z nią, czy tak jak ona spędza czas w ogrodzie, czytając godzinami. Usiłowała sobie przypomnieć, czy zapytał ja kiedykolwiek, czego chciałaby w życiu, ale pamiętała tylko to, jak całował jej rękę po wewnętrznej stronie łokcia i jak ją gładził po biodrze.

- Przełożmy spotkanie na kiedy indziej - powiedział. Pochylił się i pocałował ją przelotnie. Pocałunek trwał tyle co ćwierćnuta. Nim się zorientowała, że nawet nie powiedział, czy zatelefonuje ani kiedy się zobaczą, już go nie było.

Gdy weszła do domu, panowała tam cisza.

- Lewis?! - zawołała i zajrzała do niewielkiego gabinetu,



gdzie siedział jej syn, wpatrując się w zestaw dla magika. Opakowanie było podarte na drobne strzępy. Zamrugął z niedowierzaniem na widok fotografii szeroko uśmiechniętego mężczyzny. Spojrzał na dymek, w którym widniał napis „Abra-kadabra!”.

- To dla małych dzieci - powiedział, ale wstając od stołu, zabrał zestaw i wsunął go pod pachę. Wyszedł do swojego pokoju, trzaskając drzwiami.

Ava położyła się, ale nie mogła zasnąć. Martwiła się, że Lewis się nie wyśpi. Pomyślała o tym, że ma jutro pojechać do pracy, i nakryła głowę poduszką. Mogłaby zatelefonować do Richarda i powiedzieć, że musi wziąć wolny dzień, bo nie chce, aby jej syn, po tym, co się stało, został sam w pustym domu. Ale wiedziała, co Richard jej odpowie.

„Musisz tu być, kiedy cię potrzebujemy, albo w ogóle zrezygnuj z pracy”. Widziała kiedyś, jak Richard wyrzucił maszynistkę za to, że się spóźniła do pracy o pół godziny, a gdy nieszczęsna dziewczyna usiłowała się wytłumaczyć, powiedział: „Nie obchodzi mnie, co to było, choćby nawet bomba atomowa”. Bez pracy Ava nie będzie miała szansy na to, by nadal opiekować się Lewisem. Mogłaby poprosić którąś z sąsiadek, by pozwoliła Lewisowi pobyc u niej kilka godzin, dopóki ona nie wróci z pracy, albo przynajmniej by miała jej dom na oku. Ale czy któraś by się zgodziła? Jeśli Lewis zostanie w domu, nic mu się nie stanie.

Myśli kłębiły się w jej głowie. Rozpatrywała coraz to nowy scenariusz. I gdzie, na Boga, podziewa się Jimmy? Wstała i wyszła z domu. Policjant powiedział jej, że przeszukali okolicę, ale i tak przetrząsnęła cały swój ogród. Przypomniła sobie, jak kiedyś w nocy, obudziwszy się z bólem głowy, niespokojna z powodu niezapłaconych rachunków, Briana i opieki nad Lewisem, wyjrzała przez kuchenne okno i zobaczyła rozciągniętego na trawniku Jim-my'ego w pidżamie. Leżał z zamkniętymi oczami. Wyszła w koszuli nocnej i szlafroku. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy przekonała się, że pierś chłopca unosi się i opada z od-

dechem. Po prostu spał, i tyle. Dlaczego przyszło jej do głowy, że może być inaczej?

- Jimmy - powiedziała, a on otworzył oczy i uśmiechnął się szerokim, sennym uśmiechem. Poruszył stopą po pokrytej rosą trawie i między palcami utkwiał mu kwiat mleczu.

- Co tutaj robisz? - spytała szeptem. Usiadł, trąc powieki.

- Nie mogłem zasnąć. - Miał zieloną bawełnianą pidżamę z nadrukiem przedstawiającym statki kosmiczne. Pomyślała, że wygląda najwyżej na dziesięciolatka.

- Biedactwo - powiedziała, przejęta współczuciem. Kazała mu przyrzec, że nigdy więcej tego nie zrobi, odprowadziła go do domu i zaczęła, aż wejdzie do środka.

Przyrzekł jej, ale ona i tak szukała go w ogrodzie, czując zimną trawę pod bosymi stopami. Była nieomal pewna, że go znajdzie, bo czyż jakiegokolwiek dziecko kiedykolwiek okazało nieposłuszeństwo dorosłemu? Rozchyliła gałęzie przerośniętego krzewu różanecznika, obeszła dom, a polem, zmartwiona, wróciła do środka. Podeszła do pokoju Lewisa i uchyliła drzwi, żeby zobaczyć, jak śpi, jak spokojnie oddycha przykryty po sam nos. Poczwała przyływ miłości. Co by poczęła, gdyby to jej syn zaginął? Jak by sobie poradziła? I jak on dałby sobie radę?

Lewis miał wiele różnych fobii. Bał się owadów, psów, ptaków, a nawet drabinek gimnastycznych, na które inne dzieci lubiły się wspinać. Z tego powodu serce Avy krwawiło.

„Nie ma się czego bać” - powtarzała mu, namawiając, by wspinał się po linie czy wysoko się huśtał, ale on kręcił głową i odwracał się na pięcie. „Bądźże mężczyzną!” - mawiał Brian, gdy Lewis był mały, ale nie na wiele się to zdało. „Mój Lewis nie płacze” - powiedział, gdy Lewis zdarł sobie skórę z kolan, grając z ojcem w koszykówkę.

Lewis miał teraz dwanaście lat i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, dorósł. Zaczął sam sobie czytać w łóżku, za-

sypiając z książką i nie przychodząc, by ucałować matkę na dobranoc. „Zapomniałem” - powiedział jej rankiem, ale potem zapominał coraz częściej, a ona uświadomiła sobie, że liczy owe małe straty, jakby to były długi, które nigdy nie zostaną spłacone. Gdy teraz zajrzała do jego pokoju, Lewis raptem wydał jej się taki dorosły, że wprawilo ją to w osłupienie. Często przebywał sam w swoim pokoju albo z Jimmym i Rose, a gdy Ava wchodziła z ciasteczkami, nagle przerywali rozmowę i nie podejmowali jej na nowo, dopóki nie wyszła. „Zamknij drzwi, mamo” - powiedział kiedyś. Mamo. Już nie „mamusiu”, ale krótko, jakby zatrzaskiwał drzwi.

Ava zaczęła pojmować, jak bardzo będzie jej brakowało chłopczyka, którym był dawniej. Ale dwunastolatek to wciąż jeszcze dziecko, prawda?

Zostało jeszcze ładnych parę lat, zanim odejdzie z domu.

Weszła do jego pokoju. Gdy wychodził do szkoły, często tu zaglądała, nie żeby węszyła - nigdy nie węszyła - ale po prostu chciała poznać jego otoczenie, dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Cichutko zbliżyła się do łóżka, wdychając woń jego włosów, które pachniały listowiem, a wtedy on nagle się obudził. Usiadł na łóżku.

- Co tutaj robisz, mamo? - spytał, przecierając oczy.

- Nic, kochanie - odparła. Spojrzał na nią z ukosa, a potem opadł na łóżko i zasnął na nowo.

Nie będzie pamiętał tej chwili, ale ona nigdy jej nie zapomni.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy tylko Ava wyszła z pokoju, Lewis odrzucił kołdrę. Wciąż miał na sobie ubranie, był w pełnym pogotowiu. Każdy odgłos, każde przeczucie mogło oznaczać, że Jimmy jest w pobliżu. Nie przebrał się w pidżamę, bo musiał być przygotowany na szybkie wyjście z domu, a w tym celu niezbędne było ubranie i buty. W głowie kłębiły mu się myśli. „Jak to możliwe, że Jimmy uciekł?” - zastanawiał się, wpijając paznokcie w skórę dłoni. „To powinienem być ja”.

Słyszał, że matka szczeka garnkami, chodzi po domu i sprząta, jak zawsze, gdy jest zdenerwowana. Ona także nie mogła zasnąć.

- Jimmy - wypowiedział na głos imię przyjaciela, jakby go wołał.

Jimmy był w tym pokoju zaledwie dzień wcześniej i możliwe, że Lewis wciąż oddycha tym samym co on powietrzem. Powiódł dłonią po narzucie, bo przeczytał kiedyś, że komórki odpadają ze skóry, więc może w ten sposób dotknie komórek pozostawionych tu przez Jimmy'ego. To dziwne - myślał - że gdy ludzie odchodzą, świat nie wypełnia pozostawionej po nich pustki. Gdy odszedł jego ojciec, Lewis powiedział sobie, że tata po prostu jest na konferencji i że wróci z nagrodą oraz drobnymi podarunkami dla mamy i dla niego, na przykład z kubkami z nazwą miasta

albo szklanymi kulami, w których pada śnieg, jakich miał już wiele na półce w swoim pokoju. Nie wiedział, gdzie jest ojciec ani dlaczego nie wraca, czuł tylko, że odszedł z jego winy. Tak samo jak teraz Jimmy.

Kto będzie następny? Jedna z sąsiadek powiedziała, zasłaniając usta dłonią, jakby nie chciała, by jej słowa wybiegły w świat. „Czy którekolwiek z naszych dzieci jest bezpieczne?”.

W domu zapanowała cisza. Najwyraźniej mama przestała sprzątać i poszła spać. Lewis z trudem oddychał. Pocił się. Pokój wypełniały cienie. Podeszedł do okna i spojrzał na drugą stronę ulicy. W domu Rose i Jimmy'ego paliło się światło. Ale nikogo nie dojrzał.

Gdy mama weszła do jego pokoju, bał się, że będzie go wypytywała o Jimmy'ego i dowie się, że Lewis się z nim nie spotkał, choć tak się umówili. Ale teraz nie chciał być sam. Dygocąc, poczłapał do pokoju mamy. Uchylił drzwi. Spała; widział, że miarowo oddycha. Przeczytał kiedyś, że tuż przed zaśnięciem człowiek znajduje się w stanie podobnym do hipnozy i można swojemu umysłowi wydać polecenie. Położył się obok i nakazał sobie, by nazajutrz zbudzić się o szóstej, zanim obudzi się matka. Otworzy oczy i cichutko wróci do siebie. A ona nawet się nie dowie, że spał w jej łóżku.

Następnego dnia siedział przy kuchennym stole i wsypywał do miseczki płatki śniadaniowe, gdy do jadalni weszła ubrana w kostium mama. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Idziesz do pracy?

- Tak. A ty do szkoły - odparła. Rozsunęła zasłony a drobinki kurzu zatańczyły w strumieniu światła. - Muszę pojawić się w pracy. Nie mogę pozwolić na to, by pomyśleli, że poradzą sobie beze mnie. - Wyjrzała przez okno. - Chcę, żebyś poszedł do szkoły z innymi dziećmi. Nie sam.

- Poczekam na Rose - odparł. - Część drogi przejdziemy razem.

- Ona chyba nie pójdzie dzisiaj do szkoły, kochanie.  
- Muszę z nią porozmawiać.  
- Zostaw ją na razie w spokoju - powiedziała Ava. - W ich domu nadal jest policja. Ty musisz iść do szkoły. A ja do pracy.

Lewis nie był głodny, ale zjadł płatki, bo w przeciwnym razie mama miałaby pretensje, że marnuje jedzenie. Razem wyszli z domu.

- Posłuchaj mnie - powiedziała. - Masz pójść do szkoły z grupą dzieci. I tak samo wrócić do domu. I zamknąć się w środku. Nie wychodzić na dwór.

- Mamo - zaczął Lewis, ale Ava nie dopuściła go do głosu, kręcąc głową.

- Zamkniesz za sobą drzwi na zamek - powtórzyła. - Tak będzie najbezpieczniej. W domu i za zamkniętymi na klucz drzwiami.

Była wyraźnie zdenerwowana. Zlustrowała wzrokiem ulicę. Zobaczyła rodziców ustawiających dzieci w grupy; osobno małe dzieci, osobno większe. Położyła dłoń na ramieniu syna.

- Idziemy - powiedziała i podeszli do pani Hill, która, ustawiając starsze dzieci, czekała na przedszkolankę Barbarę.

- Odprowadzasz dzieci do szkoły? - spytała Ava głosem pełnym napięcia.

- Oczywiście - odparła pani Hill, skinąwszy głową Lewisowi. - Pójdiesz z nami? - zapytała.

- I będzie mógł z tobą wrócić? - spytała Ava.

- Jeśli zaczeka przed szkołą z innymi dziećmi. Ava zdjęła dłoń z ramienia Lewisa.

- Dziękuję - powiedziała. - Bardzo dziękuję. - A potem zwróciła się do syna: - Prosto ze szkoły idź do domu - przykazała. - Jeśli ktoś zatelefonuje, powiedz, że mama jest w domu, ale oddzwoni później. Nikomu nie otwieraj drzwi. Zadzwoń do ciebie z pracy.

W zwykłych okolicznościach nie pozwoliłyby się publicz-

nie ucałować na do widzenia, ale dzisiaj garnał się do matki. Przytulił ją.

- Zobaczymy się później - powiedziała, co zabrzmiało jak obietnica.

Patrzył, jak się oddala i wsiada do samochodu. Do pani Hill podeszła sąsiadka, pani Carter, i chociaż nie stał blisko nich, widział, jak kręcą głowami, odprowadzając wzrokiem jego matkę.

- Kobieta po prostu nie powinna być sama - stwierdziła pani Hill. - Może się zdarzyć coś okropnego.

Pani Carter spojrzała na dom Dot.

- Już się zdarzyło - powiedziała.

Dziwnie było iść do szkoły bez Jimmy'ego. Lewis szedł w grupie, milcząc, ale inne dzieci też nie rozmawiały, nie odzywała się także pani Hill, która ze ściągniętymi brwiami chmurnie spoglądała przed siebie. W szkole Lewis minął klasę Jimmy'ego. Na widok jego pustej ławki przymknął oczy. Tego dnia wszyscy zgromadzili się w sali gimnastycznej i pan Girard, wicedyrektor szkoły, pouczał uczniów, co mają robić, gdyby zbliżył się do nich ktoś obcy. Mieli go kopnąć, najlepiej w krocze. Można było również wybić mu oko.

- Jeśli zostaniesz zamknięty w bagażniku, stłucz tylne światła - powiedział, a Lewis poczuł paniczny strach na myśl o zamkniętym w bagażniku Jimmym. Potem oczyma wyobraźni ujrzał tam siebie. Skąd ma wiedzieć, jak te światła wyglądają? Skąd ma wiedzieć, na jak długo wystarczy mu powietrza? Usiłował to obliczyć w pamięci, ale miał pustkę w głowie. Po raz pierwszy słuchał z uwagą tego, co mówiono podczas szkolnego apelu, po raz pierwszy poczuł, że może się czegoś nauczyć. - Gdy zobaczycie nieznany samochód, zapamiętajcie numer z tablicy rejestracyjnej - ciągnął pan Girard. - Postępujcie mądrze.

Ale mądrość nigdy jeszcze nie przydała się Lewisowi. A poza tym jaki rodzaj mądrości może cię uratować przed kimś, kto jest od ciebie dwa razy większy, trzy razy silniej-

szy i może mieć broń? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym gorzej się czuł.

Wszyscy uczniowie mieli się podpisywać, wchodząc do szkoły i z niej wychodząc. Każda klasa na osobnej dużej kartce papieru. Każdy musiał mieć kogoś, kto go odprowadzi do domu. Pani Hill czekała na zewnątrz, otoczona dziećmi. Na widok Lewisa pomachała ręką.

- Czy twoja mama będzie w domu, gdy wrócisz ze szkoły? - spytała. - Bo myślę, że nie powinieneś być w domu sam. Nie teraz, kiedy się to stało. Spojrzała na niego tak przenikliwie, że się zarumienił.

- Jest w domu - skłamał.

Ruszyli Putney Lane, ocienioną gęstym szpalerem drzew. Dzieci znów milczały.

- Piękny dzień, prawda? - odezwała się pani Hill dziarsko. Gawędziła o pogodzie, aż skręcili w Warwick. Tam zaczęła podprowadzać dzieci do frontowych schodków i czekała, aż bezpiecznie wejdą do środka.

Gdy dotarli przed dom Lewisa, zostało zaledwie kilkoro dzieci. Pani Hill powiedziała do niego:

- Zobaczymy się jutro rano.

Wchodząc do domu, czuł na sobie jej wzrok.

Dawniej Lewis uwielbiał wracać do pustego domu, gdy mama była w pracy. Mógł robić, co tylko zechciał, chociaż nie miał wielkiego wyboru. Zwykle po prostu oglądał telewizję lub czytał. Będąc sam, czuł się zupełnie inaczej, jakby był odpowiedzialny za cały dom. Ale dziś się bał. Przebiegł myślami wszystko, co zapewniało bezpieczeństwo. Okna zamknięte na zasuwki. Lada chwila zatelefonuje mama. Przed domem Rose stoi samochód policyjny. Ale i tak się niepokoił. A jeśli ktoś otworzył drzwi wytrychem i teraz czai się w szafie? Zapalił wszystkie światła i włączył radio oraz telewizor. Potem wziął kij baseballowy i obszedł wszystkie pomieszczenia, zaglądnąjąc pod łóżka i otwierając szafy. Gdy zadzwonił telefon, szybko podniósł słuchawkę.



- To ja. Wszystko w porządku? - Słyszac glos matki, odprezył sie nieco.

- Jasne.

Zatelefonowała do niego jeszcze dwa razy. Słyszał w tle stukanie maszyn do pisania, a raz męski głos, który krzyczał:

- Gdybym chciał, żebyś przyszła pół godziny później, powiedziałbym ci, że masz przyjść pół godziny później!

Ledwie odłożył słuchawkę, już chciał, żeby zadzwoniła znowu. Układał bardzo szczegółowe plany. Jeśli ktoś wejdzie do domu, pobiegnie do swojej szafy i skryje się za zimowymi okryciami. Jeśli wybiją szybę w oknie, wybiegnie z domu drzwiami. Sięgnął po tom encyklopedii z hasłami od J do K i przeczytał o jujitsu, usiłując nauczyć się kilku kopnięć.

Ava wróciła do domu o piątej. Wpadła do środka, wołając: „Lewis!”, a on poczuł się bezpieczny. Miała pod pachą wielką torbę ze sklepu spożywczego.

- Chodź - powiedziała. - Dotrzymasz mi towarzystwa.

Wieczorem po kolacji usiedli na ganku. Samochód policyjny odjechał. W domu Rose paliły się wszystkie światła. Na dworze kilku roślących ojców pilnowało swoich bawiących się dzieci. Lewis pomyślał o tym, co powiedziały panie Hill i Carter o tym, jak okropnie jest być samotną kobietą. Pomyślał, że gdy stało się coś strasznego, spotkało to jedyne chłopca w sąsiedztwie, który nie ma ojca.

- Ile wzrostu ma tata? - zapytał. Matka spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Czemu o to pytasz?

- Powinniśmy do niego zatelefonować.

- Dlaczego? - spytała, spoglądając na syna.

- Gdyby się dowiedział, co się dzieje, na pewno by do nas wrócił.

Ava zacisnęła wargi, jak zawsze, kiedy Lewis wspominał o ojcu. Wstała i wygładziła spódnice.

- Wejdźmy do domu - powiedziała. - Jutro idziesz do szkoły.

Przebrał się w pidżamę i wyszorował zęby. Słyszał, że matka jest w kuchni. Rozległ się gwizd czajnika. Później, gdy leżał już w łóżku, zdawało mu się, że słyszy jej płacz. Wstał i otworzył drzwi swojego pokoju, ale w domu panowała cisza.

Tęsknił za Rose. Podeszedł do okna, które wychodziło na ulicę. Rose miała sypialnię od frontu, tak samo jak Lewis. Ich pokoje były usytuowane naprzeciwko siebie. Zobaczył, że zasłony są zasunięte, wszystkie światła pogaszone.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W piątek, gdy Ava wybierała się do pracy, przystanęła na ganku, by sprawdzić, czy w domu Dot nie zaszły jakieś zmiany. Samochód policyjny wrócił. Zobaczyła kroczącego dostojnym krokiem Hanka Maroniego, któremu ludzie ustępowali z drogi.

Nadeszła pani Hill, a za nią grupka dzieci.

- Lewis! Pani Hill właśnie przechodzi! - zawołała matka. Lewis wypadł na ganek, z niedbale uczesanymi włosami

i rozpiętą koszulą. Był wściekły, że zobaczą go w takim stanie. Im bardziej go przekonywała, że Jimmy wróci, tym bardziej stawał się obcy.

Patrzyła, jak syn dołącza do grupy, oddalając się od niej. A jeśli więcej go nie zobaczę? - przemknęło jej przez myśl.

- Lewis! - zawołała, a on obejrzał się i uśmiechnął blado. - Udanego dnia! - dodała.

Starła się zachować jego obraz w pamięci. Długie rzęsy. Zarys nosa. ***Tak bardzo cię kocham. Nie wiem, co mam robić.*** Poczekała, aż Lewis zniknie z pola widzenia i ruszyła w kierunku samochodu. Już miała wsiąść, gdy zobaczyła zbliżającego się policjanta.

- Pani Lark? - zapytał z uśmiechem. Podał jej rękę. -Larry - przedstawił się. - Czy mogę zadać pani kilka pytań? - Miał notes pod pachą.

Ava spojrzała na dom Dot.

- Już rozmawiałam z policją - powiedziała. Skinął głową.

- Teraz wypytujemy wszystkich bardziej szczegółowo. Pomyślałem, żeby zacząć od pani, bo pani syn jest najlepszym przyjacielem Jimmy'ego.

- Muszę jechać do pracy - powiedziała Ava i oficer znów skinął głową. Pomyślała o tym, że jej szef, Richard, lubi przechadzać się po pomieszczeniach biurowych, strzelając tymi cholernymi szelkami i przyglądając włosy, tak tłuste, że gdyby przytknął głowę do okna, na szybie pozostałaby plama. Miał zwyczaj upewniać się, czy wszystkie maszynistki tkwią przy swoich biurkach i zaczynają pracę punktualnie o dziewiątej. „Skoro ja mogę zdążyć na czas, to wy także możecie” - mawiał, chociaż do pracy miał zaledwie pięć minut drogi, a większość maszynistek dojeżdżała z daleka. - Nie mogę się spóźnić - dodała, a policjant spojrzał na nią ze współczuciem.

- Jeśli pani chce, mogę zatelefonować do pani szefa. Prawdopodobnie słyszał w wiadomościach, co się stało.

Wiadomości. Ava nie włączyła radia ani telewizji, nie czytała gazet. Przez chwilę zastanawiała się, jak postąpić. Czy zaszkodzi jej telefon policjanta? Ale Richard będzie musiał jej uwierzyć. Wygładziła spódnice. Przygryzła dolną wargę i poczuła woskowy smak szminki.

- Zechciałby pan zadzwonić? - spytała, a on skinął głową. - Co mu pan powie? - zapytała, dotykając jego ramienia.

- Że to rutynowe śledztwo. Że rozmawiamy ze wszystkimi.

Uspokoila się. Wpuściła go do domu, zakłopotana, że w zlewie są niepozmywane naczynia. Podała mu numer telefonu i słuchała, opierając się o lodówkę. Mówił uprzejmie, oficjalnie.

- Oczywiście - zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

- Był zły? - spytała, a policjant zmarszczył czoło. - Cze-

mu miałby być zły? - odparł. - Usiądźmy. To nie potrwa długo.

Z bliska dojrzała kilka piegów na grzbiecie jego nosa. „Jest taki młody” - pomyślała. Pewnie nie ma więcej niż dwadzieścia lat i oto przemawia do niej uspokajająco. Zerknęła na jego dłonie. Nie miał obrączki. Nie wiedziała dlaczego, ale w jej umyśle pojawiło się słowo „wolny”.

Usiadł na krześle przy kuchennym stole, wskazując ręką, by także usiadła.

- Co może nam pani opowiedzieć na temat minionej środy, Avo? - zwrócił się do niej po imieniu, jak do przyjaciółki.

- Już powiedziałam policji...

- Proszę mi opowiedzieć jeszcze raz. - Zupełnie jakby zapomniał z powodu kiepskiej pamięci.

- Wyszłam do pracy o czwartej. Miałam tam być na piątą. Gdy wróciłam do domu, dzieci jeszcze nie było. - Zamilkła, słuchając własnego oddechu.

Lany skinął głową.

- Niech mi pani opowie o Jimmym. Rozumiem, że przyjaźniliście się.

- Ujął pióro i postukiwał nim w notatnik.

Aha. O to chodzi. Samotny dzieciak przychodzi do jej domu, a ona dotrzymuje mu towarzystwa. Nagle jest winna.

- Przyjaźni się z moim synem - powiedziała. - Wciąż przebywał w naszym domu.

- Ale czasami bywał tu pod nieobecność pani syna, prawda?

Lany spoglądał na nią beznamiętnym wzrokiem.

- Wiele dzieci bywa w wielu domach - odparła wymijająco. - Tutaj wszystkie drzwi są otwarte.

- Ale nie u pani, jak rozumiem.

- Mieszkałam w mieście, w Back Bay - powiedziała. - Dostrzegła w jego oczach błysk zaskoczenia, że ktoś, kto mieszkał w Back Bay, mógł trafić do takiego lichego domu jak ten. - Czasami Jimmy przychodził, gdy nie było Lewisa.

Lubił tu posiedzieć i poczekać na niego. Zawsze się na to zgadzałam. Niby czemu miałabym się nie zgadzać?

- Czy w sąsiedztwie panuje zwyczaj, by bawić się z cudzymi dziećmi? - spytał przyjaźnie.

- Słucham?

- Pytam, bo kilka matek powiedziało, że widywały panią w ogródku z Jimmym. Całymi godzinami grywaliście w karty. To długo jak na przebywanie z cudzym dzieckiem.

- Które matki? Z kim pan rozmawiał? - Usiłowała sobie przypomnieć, kogo widziała, kto rozmawiał z policjantami, ale pamiętała tylko wielki chaos i bieganinę.

- Czy to ważne? - zapytał, unosząc brew.

- Obydwoje lubimy grać w warcaby. I w remika. - Ava usiłowała uzmysłwić sobie, co inne kobiety robiły z dziećmi. Gdy je widywała, zawsze wyganiały dzieci na dwór, żeby bawiły się na powietrzu, jeździły na rowerach. Wołały do domu na coś do picia, kool-aid lub twinkies. Obmywały poobijane kolana i nalepiały plastry, a potem znowu wysyłały na dwór. Drzwi były w stałym ruchu, niczym drzwi obrotowe. - Wszyscy dbamy o nasze dzieci - wyjaśniła Ava. - Pomagamy odrabiać lekcje, bawimy się z nimi. - Nie była pewna, czy tak jest w istocie. Nie chciała wspominać o tym, że kiedyś podsłuchiwała rozmowę dwojga dzieci. Jedno z nich powiedziało, że rodzice zabraniają mu chodzić do domu Avy, bo mama uważa, że tam jest brudno. „A na dodatek ona jest rozwódką - wyszeptało. - A wiesz, co to znaczy”.

Wiedziała, jakie historie o niej opowiadają, a wszystkie były wyolbrzymione. Lewis przynosił do szkoły puste kanapki, gdy nie miała czasu pójść do sklepu, i raptem zainteresowała się nim organizacją dobroczynną. Owszem, nosił ubrania z Morgan Memoriał, ale wszystkie były wyprane i wyprasowane, z przyszytymi guzikami. Cóż złego jest w oszczędzaniu, zwłaszcza że starała się odłożyć jak najwięcej, aby wykupić dom?

Kto wie, skąd się brały owe opowieści? Gdy zaczęły do

niej docierać te plotki, niemal je odchorowała. Materace w jej domu, owszem stare, ale czyste, rzekomo poplamione były siuškami. Sąsiedzi mówili, że ma karaluchy w kuchni, chociaż ona widywała wyłącznie mrówki, i to w niewielkich ilościach, a wtedy natychmiast czyściła wszelkie powierzchnie wodą z octem. Była Żydówką, a sąsiedzi twierdzili, że wszyscy Żydzi mają pieniądze, więc jeśli Ava jest biedna, to znaczy, że się nie ceni, co także charakteryzuje wszystkich Żydów.

- Sąsiedzi twierdzą, że trzyma się pani na uboczu - zagadnął policjant.

- To prawda - odparła, nie wspominając o tym, jak bardzo starała się utrzymywać kontakty towarzyskie.

Gdy się tu wprowadziła, urządziła przyjęcie. Zrobiła zaproszenia z kolorowego papieru Lewisa i powrzucała je do wszystkich skrzynek na listy. Panie przyszły w spodniach lub skromnych sukienkach, a Ava wystąpiła w lśniącej fioletowej sukni, spryskana francuskimi perfumami. Od razu zorientowała się, że popełniła błąd. Udekorowała ogród świecami i czerwonymi lampionami. „Czyż to nie jest dziwne?” - powiedziała jedna z sąsiadek z wymuszonym uśmiechem, a Ava poczuła się urażona. Nastawiła gramofon, żeby ludzie mogli potańczyć, ale gdy poprosił ją mąż jednej z sąsiadek i poczuła jego dłoń zsuwającą się na biodro, zostawiła go i odeszła. Wtedy jej miejsce natychmiast zajęła jego ciskająca gromy z oczu żona i przyjęcie się skończyło.

- Domyśla się pani, dlaczego Jimmy mógłby uciec z domu?

Ava pokręciła głową.

- On nie uciekł.

Policjant pochylił się do przodu. „Aha - pomyślała - zaraz się zacznie”.

- Będę z panią szczery, Avo - powiedział, obracając w ustach jej imię, jakby to była kostka cukru. - Niektórzy twierdzą, że była pani z Jimmym zbyt blisko.

Ava zmarszczyła czoło.

- To najlepszy przyjaciel mojego syna - powiedziała. - Mój dom był jego drugim domem.

- Chce pani przez to powiedzieć, że był również pani przyjacielem?

- To chłopiec, a ja jestem dorosłą kobietą. Nie może pan podejrzewać, że...

- Ja niczego nie podejrzewam. Po prostu zadaję pytania. - Zanotował coś na żółtej kartce. - Czy kiedykolwiek opowiadał pani o innych osobach dorosłych?

- Nie - odparła Ava. - Nie wiem, jakich dorosłych zna Jimmy. - Poczula na plecach kropelki potu. - Dlaczego zadaje mi pan takie pytania? Chce pan przeszukać mój dom?

- Larry odłożył notatnik i spojrzał na nią z jeszcze większą uwagą.

- Avo - powiedział, nagle zakłopotany, że zwraca się do niej po imieniu, a nie z szacunkiem per pani Lark. - Nie jest pani podejrzana. Ale spotyka się pani z mężczyznami. Wieloma, jak twierdzą sąsiedzi. Kto wie, jak dobrze ich pani zna?

- Znam ich. A poza tym nie przychodzą tu za dnia ani wtedy, gdy Lewis jest w domu - powiedziała. A potem, zdawszy sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało, oblała się rumieńcem. - Po prostu nie chcę, żeby mój syn poznał któregoś z nich, zanim będę pewna, że coś z tego będzie.

- Rozumiem. I jest pani rozwiedziona?

- To nie przestępstwo. Wolno mi chodzić na randki.

- A więc ci mężczyźni, ilu ich jest? - Postukał piórem w jej rękę. Szybko ją cofnęła.

- Żaden z nich nie tknąłby Jimmy'ego.

- Nie sugerowałem tego - powiedział i znów coś zapisał. - Pani Lark, czy zechciałaby pani podać mi nazwiska i numery telefonów pani przyjaciół? Chcemy im zadać kilka pytań. Nic ważnego. Tak samo jak ja teraz pani. Byłoby to bardzo pomocne.

Podsunał jej notes.

- Nie znam na pamięć numerów telefonów - powiedziała. - Musiałabym ich poszukać.



Skinął głową. Nadal przyjaźnie.

- W porządku. Proszę podać same nazwiska, znajdziemy ich.

Zastanawiała się, a on kiwnął głową zachęcająco. Poturlał pióro po stole w jej stronę. Gdy je ujęła, wciąż było ciepłe od jego ręki.

Przed jej oczyma pojawiły się twarze. Każde nazwisko, które zapisała, łączyło się z jakimś wspomnieniem. A drobne fragmenty układały się w mozaikę. Tom Sullivan. Poznała go, tankując benzynę. Miał łagodne, wydatne wargi, którymi muskał ją po obojczyku. Richard Meserve przez rok był jej księgowym. Przynosił kwiaty na każdą randkę, ale potem wydzierał się na kelnerkę, że nie dość szybko podaje wodę, by je wstawić. Avie szybko odechciało się z nim spotykać. Żadna ze znajomości nie trwała długo. Mężczyźni szybko orientowali się, że Avie nie chodzi tylko o to, by miło spędzić czas. Nie pakowała manatków i nie wyjeżdżała z nimi na weekend, ponieważ miała syna. Nie piła do drugiej nad ranem, bo musiała pracować. Nie była gotowa na to, by zdjąć sukienkę po pierwszej randce. Nie takiej kobiety się spodziewali, ale i oni sprawiali jej zawód.

- Czy któryś z nich poznał Jimmy'ego?

- Nie. Nigdy nie spotkali ani Jimmy'ego, ani Lewisa. Z wyjątkiem Jake'a. Jake widział Lewisa, ale już po zaginięciu Jimmy'ego.

Niechętnie wypowiedziała słowo „zaginięcie”. Poczowała żal na wspomnienie odświętnego ubrania Jake'a, podarunku dla Lewisa. Naprawdę się starał. Żaden inny adorator nie interesował się Lewisem, widzieli w nim wyłącznie niedogodność.

Zapisała pięć nazwisk, a potem sześć. Trzy na rok to znowu nie tak wiele. Żadne z nich nie obudziło w niej uczuć. Ale przy nazwisku Jake'a zrobiło jej się smutno. Miała ochotę dotknąć liter palcami, oprzeć twarz na kartce. Odsunęła notes w stronę Larry'ego.

Przyjrzał się nazwiskom.

- Niezła lista. - Wstał. - To wszystko, pani Lark. Gdyby zaszło coś nowego albo przypomniała sobie pani coś, co mogłoby się okazać pomocne, proszę do nas zatelefonować.

Ava także wstała, zerknęła na zegarek. Wpół do dziesiątej. Pół godziny spóźnienia. Mimo telefonu z policji Richard może być wściekły. Jak mu wyjaśni, dlaczego to tak długo trwało? Pomyślała o skrzynce z wszystkimi fakturami, o wannach na lwich łapach, o umywalkach na nóżce, o wszystkim, co ma przepisać, i poczuła zmęczenie. Będzie musiała zostać po godzinach, żeby nadrobić zaległości.

Gdy weszła do biura, Charmaine odprowadziła ją wzrokiem, a Betty postukała palcem w zegarek.

- Zrobiłam trochę twojej pracy - powiedziała, zwracając się do Avy. - Richard potrzebował tego natychmiast. - Uniosła żyłkę, którą maszynistki zeskrobywały błędy. - Dużo błędów, Avo - oznajmiła.

Ava nie wiedziała, czy w jej tonie pobrzmiewa satysfakcja.

- Dziękuję - powiedziała. - Miałam spotkanie w sprawach zawodowych.

Betty wzruszyła ramionami.

- Nie moja sprawa. Dobrze, że jesteś.

A więc Richard im nie powiedział. Dzięki Bogu. Miałyby o czym plotkować podczas przerwy. Zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku. Tak jak się spodziewała, w jej skrzynce piętrzyły się papiery. Na biurku leżały świstki, na których Richard nabazgrał, czego od niej chce. Na niektórych widniały małe wykrzykniki, ostre niczym sztylety. Zdjęła pokrowiec z maszyny i usiadła.

Cathy zaczęła paplać o Maureen, sekretarce z księgowości, która uciekła i wyszła za mąż podczas weekendu, a potem zatelefonowała do biura, żeby zawiadomić, że odchodzi bez wypowiedzenia.

- Wyobrażacie sobie? - Cathy nie posiadała się ze zdumienia. - Powiedziała, żeby jej rzeczy po prostu wyrzucić.

- Czemu nie zaczęła na przyjęcie? - dziwiła się Betty.

- Zazdroszczę jej - dodała Charmaine.

Ava milczała. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby rzucić pracę. Wkręciła papier do maszyny. Wtedy pojawił się Richard. Maszynistki wyprostowały się. Cathy poprawiła fryzurę. Ava zastygła z palcami na klawiaturze.

- Przyjdź, proszę, do mojego gabinetu - zwrócił się do Avy. Uśmiechał się. Ava czuła na sobie wzrok koleżanek. Weszła do gabinetu Richarda. Usiadła na krześle, które jej podsunął.

- Zostanę po godzinach, żeby nadrobić zaległości - powiedziała.

Richard machnął ręką i usiadł, kładąc nogi na biurku.

- Po raz pierwszy w życiu zatelefonował do mnie stróż prawa - oznajmił.

- Przepraszam. Znow machnął ręką.

- Więc o co cię pytali? - Jego oczy lśniły ciekawością. - Co się tam u was dzieje, Avo, i dlaczego chcieli cię przesłuchać?

- Nie jestem podejrzana... Roześmiał się.

- Oczywiście, że nie jesteś.

Nie wiedziała, co jeszcze mu powiedzieć.

- Pytali mnie o kilka spraw.

Opowiedziała, jak zeszłej nocy objechali okolicę z policjantem, pomagając szukać Jimmy'ego. Jak bardzo wszyscy są poruszeni. Słuchał ze współczuciem, ale nie powiedział nic w rodzaju: „Ty też masz syna. Weź dzień wolny.” albo: „Gdybyś chciała odpocząć, pokój socjalny jest dla ciebie zawsze otwarty”.

Pozwolił jej odejść. Minęła go, wróciła do hali maszynistek i usiadła za biurkiem.

- Zmył ci głowę? - cicho spytała Betty, nie podnosząc wzroku znad maszyny. Ava pokręciła głową i spojrzała na zaścielające jej biurko papiery. Zacisnęła powieki, by po-

wstrzymać łzy. Dobrze będzie, jeśli uda jej się skończyć do siódmej, no i z pewnością będzie musiała pracować w czasie przerwy na lunch.

Włożyła do maszyny nowy papier i kalkę, usiłując nie poplamieć rąk i ubrania. Powinna nosić fartuch, tak jak Betty. Koleżanki były zajęte pracą. Ułożyła dłonie na klawiaturze.

O trzeciej, gdy Lewis powinien wrócić do domu, poczuła niepokój. Nie wolno im było prowadzić prywatnych rozmów telefonicznych, więc poczekała, aż Richard pójdzie na spotkanie, i wykręciła numer domowy. Lewis podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Czy twoja matka jest w domu? - spytała ochryplym głosem, naśladowując francuski akcent, który zapamiętała ze szkoły, aby sprawdzić, jak syn zareaguje.

- Mamo, przecież wiem, że to ty - powiedział. - Wszystko w porządku.

Ava wróciła do pracy, uspokojona rozmową z synem. Opowiedział jej, że wszyscy w szkole dziwnie się zachowują z powodu Jimmy'ego.

- Zostanę w pracy do późna, kochanie. Zrób sobie spaghetti na obiad - rzekła.

Popołudnie szybko mijało. Stukanie klawiszy, miarowe dźwięki dzwonek działały na nią hipnotyzująco. O czwartej maszynistki zrobiły sobie przerwę i wyszły coś przekąsić, ale Ava nigdy z nimi nie chodziła, więc nie było nic dziwnego w tym, że przepracowała całą przerwę. Słyszała ich śmiech i rozmowy o skrzyniach posażnych i o sukniach, i o tym, co zjedzą na obiad. W hallu unosił się dym z ich papierosów. O piątej rozległ się dzwonek i koleżanki przykryły maszyny pokrowcami, włożyły płaszcze i wyszły. Ava pisała. Nie przerwała pracy, gdy zajrzał Richard ubrany w płaszcz i kapelusz. Usłyszawszy, że chrząka, pomyślała z nadzieją, że powie: „Idź do domu. Miałaś trudny dzień.”, ale on po prostu wyszedł. Pojawiła się sprzątaczką, zrobiła, co do niej należało, i cicho wyszła.

Ava pisała bez przerwy, tylko od czasu do czasu spoglądała na duże okna w budynku naprzeciw. Światła w oknach gasły jedno po drugim. Na linii jej wzroku przesunęła się jakaś postać. Mężczyzna w płaszczu. Potem kobieta w ozdobionym paciorkami swetrze i w fikuśnym kapelusiku. Wkładała białe rękawiczki. Ava poczuła się tak, jakby była jedyną osobą na świecie.

Wyszła zupełnie wyczerpana. Cicho zajechała pod dom. Zaparkowała po ciemku. Weszła do domu i zastała Lewisa śpiącego na kanapie w salonie, z otwartą książką na piersi. Miał na wpół rozchylone usta i wilgotne czoło. Leciutko nim potrząsnęła.

- Kochanie - powiedziała. - Idź do łóżka. - Wyglądał jak zaspany kotek.

- Która godzina? - zapytał.

- Późno, kochanie. Idź do łóżka. Ja też zaraz się położę. Przypilnowała, żeby umył twarz, wyszorował zęby, a potem oparta o drzwi jego pokoju patrzyła, jak pada na łóżko.

- Dobranoc, mamó - wymamrotał w poduszkę.

Następnego ranka Ava znalazła pod drzwiami zieloną ulotkę. SPOTYKAMY SIĘ O 8:00 U HILLÓW W SPRAWIE JIMMY'EGO REARSONA. Ava zdziwiła się, że jest zaproszona. Wiedziała, co myślą o niej sąsiedzi. Była również w pewien sposób podejrzana, bo Jimmy dużo czasu spędzał u niej w domu. Wiedziała również, że policja nie pochwała samodzielnych poszukiwań prowadzonych przez mieszkańców. „Dziwne” - pomyślała. Zdecydowała jednak, że pójdzie.

Hillowie mieszkali naprzeciw, ale Ava nigdy nie była u nich w domu. Zastukała do drzwi. Debbie wpuściła ją do środka, jakby obecność Avy była najnaturalniejsza w świecie.

- Jesteśmy w pokoju rekreacyjnym - powiedziała, prowadząc ją do mrocznej piwnicy wyłożonej ciemną boazerią.

Nad barem wisiało pieczołowicie oprawione malowidło przedstawiające jelenia w zaroślach. Jeleń sprawiał wrażenie obolałego i wystraszonego. Ava zapragnęła mu powiedzieć, że dobrze wie, jak on się czuje. Obok malowidła wisiała plakietka ozdobiona rysunkiem mężczyzny z wywalonym językiem. Pod rysunkiem widniał napis: TO MIEJSCE JEST REKOMENDOWANE PRZEZ PIJANYCH SPRINTERÓW.

- Chodź, znajdę dla ciebie krzesło - powiedziała Debbie. Poprowadziła Avę do sześciu stolików karcianych, przy których siedzieli sąsiedzi, pochrupując ciasteczka i popijając z kolorowych, wilgotnych aluminiowych kubków. -Boże, błogosław Green Stamps\* - rzekła Debbie. - W tych kubeczkach nawet owocowy poncz dobrze się prezentuje.

Podszedł Dick, mąż Debbie. Niósł naręczę ulotek, przyciskając je do wydatnego brzucha.

- Popatrz, kto tu jest, Dick - powiedziała Debbie, dotykając jego ramienia.

- A gdzie jest Lewis? - zapytał Dick. Wskazał ruchem głowy dzieciaki, które biegały po pomieszczeniu lub siedziały nad różnymi grami. Ava specjalnie zostawiła Lewisa w domu, bo nie chciała, żeby sąsiedzi wypytywali go, co wie o sprawie.

- Bezpieczny w domu - odparła.

- Siadaj - powiedziała Debbie. Posadziła ją przy stole z Corcoranami, którzy mieszkali o jedną przecznicę dalej, przy Greer, i mieli syna Stanleya, o rok starszego od Lewisa. Siedzący obok Teda Corcorana Bob Gallagher skinął głową przyjaźnie.

- Ava - powiedział.

Dick chodził od stołu do stołu, wręczając ulotki.

- Musimy je rozmieścić wszędzie, gdzie się da - poin-

**\* Green Stamps („zielone znaczki”) - popularne w USA od lat 30. do późnych 80. XX w. Wydawano je przy kasach supermarketów, na stacjach benzynowych i w innych punktach handlowych. Za znaczki otrzymywało się produkty z katalogu.**

formował. - Na dole załączyłem spis wszystkich miejsc, które już przeszukaliśmy.

- To chyba należy do poli'ci - odezwał się ktoś, a Dick parsknął ze zniecierpliwieniem.

- Tak. Policja - powiedział. - Jakby cokolwiek zrobili tak, jak należy. Zebrani powtarzali rozmaite pogłoski. Że w domu Dot była telewizja, że z nią rozmawiano, że Dot płakała i błagała ludzi, by nie zaprzestawali poszukiwań. Zaproponowała, że sprzeda dom, by mieć pieniądze na nagrodę.

- Czy Dot jest tutaj? - spytała Ava.

- Ma chyba dosyć na głowie - odparł Dick. - Robimy to dla niej.

Do rąk Avey sfrunęła ulotka. Pod gruboziarnistym zdjęciem Jimmy'ego przedrukowanym z „Waltham Tribune” widniał napis: CZY WIDZIELIŚCIE TEGO CHŁOPCA? Ava dotknęła fotografii. Poniżej zdjęcia znajdował się odręczny rysunek przedstawiający dwoje oczu o źrenicach tak ciemnych, że oczy zdawały się utkwione w czytelniku. JESTEŚMY CZUJNI - informował podpis.

Wstał ślusarz, Frank Fitzgerald.

- Chcę założyć zasuwę w drzwiach wszystkich domów. Nieodpłatnie - oznajmił.

Ted, który był właścicielem sklepu z zabawkami, rozdał wszystkim dzieciom srebrzyste gwizdki na łańcuszkach. Awie wręczył gwizdek dla Lewisa.

- Gdy do dziecka albo do was zbliży się nieznana osoba lub samochód, gwizdźcie co sił w płucach. - Ktoś zadał w gwizdek, którego gwizd zabrzmiał jak wrzask. Ted zasłonił uszy rękami. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym zachować resztkę słuchu - powiedział. - W razie potrzeby gryźcie - dodał, zwracając się do dzieci. - Kopcie w słabiznę. - Wskazał na krocze, a zakłopotana Ava odwróciła zaczerwienioną twarz. - Chwytajcie za gardło, wydrapujcie oczy. Celujcie we wszelkie wrażliwe miejsca -ciągnął. Dzieciaki poszturchiwały jeden drugiego.

- Nie rozstaję się z moją wiatrówką - oznajmił Stanley.
- Możliwe, że przechodzimy obok porywacza, nic o tym nie wiedząc - powiedział ktoś.
- Skąd mamy wiedzieć, że to on? - spytała Debbie. Ava upiła łyk wodnistego ponczu i odstawiła szklaneczkę.
- Nie wiemy. Nic nie wiemy - powiedziała jedna z matek, a Dick prychnął:
  - To nie jest zajęcie dla kobiet. One nie mają pojęcia, co robić.
  - Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają - powiedział Ted.
- Nie w Belmont, nie w Waltham, a już na pewno nie na nowym osiedlu, gdzie mieszkają. Nie w ich równiutko stojących farmerskich domach z porządnymi podjazdami i zadbanymi ogródkami. Nie w enklawie, gdzie wszyscy się znają, gdzie w lecie urządza się barbecue, na które przychodzą ojcowie w szortach w kratkę i matki w wykrochmalonych bawełnianych sukienkach, gdzie dzieciaki mogą zostać do późna i pić z kartonowych kubków napój o nazwie Shirley Tempie.
- Do diabła, jak to się mogło stać? - zapytał gniewnie Ted. - Dwunastoletni chłopiec.
- Gliny krążą po okolicy jak rój pszczół - dodał Bob Gallagher. - Dziwię się, że nie chcieli mi zajrzeć do gardła. Zwłaszcza ten Maroni.
- Powiedziałem mu, że patrolujemy okolicę - mówił Ted. - Można by pomyśleć, że pochwaliłem się bombą atomową. Odparł, że to zły pomysł. Bo najważniejsze jest szybkie działanie, ale ja nie widzę, by odnieśli jakiegokolwiek sukcesy. Niby dlaczego nie mielibyśmy szukać? Dlaczego nie możemy robić wszystkiego, co w naszej mocy?
- Jeden z mężczyzn sporządził listę wszystkich ojców, którzy będą co wieczór obserwować okolicę, zwracając uwagę na nieznane samochody i obcych ludzi.
- Trzymajcie się w grupach, miejcie się na baczności - poradził jeszcze ktoś.



Inni mieli pójść do lasu za podstawówkę Northeast.

- Czy policjanci jeszcze tam nie sprawdzali? - spytała Debbie. - Lepiej nie traćmy na to czasu.

- A jakże, sprawdzali - odezwał się ktoś.

- Tylko pobieżnie - powiedziała Ava i wszyscy obrócili się w jej stronę.

- W takim razie my wejdziemy głębiej - oznajmił Bob Gallagher.

Ludzie zaczęli wstawać. Wtedy zerwała się Debbie.

- Jutro wieczorem - powiedziała. - Spotykamy się tutaj o siódmej wieczorem i będziemy przeczesywać okolicę. Zobaczymy, co się uda znaleźć.

- A właściwie czego szukamy? - spytała Ava i Ted spochmurniał.

- Będziemy wiedzieli, jak coś znajdziemy - odparł.

Gdy Ava wróciła do domu, dochodziła dziesiąta. Panowała cisza. Drzwi do pokoju Lewisa były zamknięte, ale je uchyliła, żeby sprawdzić, co robi. Spał. Weszła do salonu i stanęła przy panoramicznym oknie. Patrzyła na ulicę. Za każdym razem, gdy przejeżdżał samochód, sztywniała, ale potem rozpoznawała sedana któregoś z sąsiadów. Wciąż na nowo przebiegała myślami dzień zniknięcia Jimmy'ego. Jak Jimmy wyglądał, co powiedział, jak spokojnie wyglądała okolica. Wreszcie opadła na fotel. Miała załzawione oczy. Myślała także o Lewisie. „Nie odbierzesz mi go” - oznajmiła Brianowi.

Nie mogła zasnąć. Obejrzała telewizję, aż skończył się program, a potem przeczytała do końca *Marjorie Morning-star*. Była druga nad ranem. Zamknąwszy książkę, poczuła niezadowolenie. Nie podobało jej się, że Marjorie zrezygnowała z kariery scenicznej, ale właściwie jak miała postąpić? Właśnie szła zaparzyć kawę, gdy usłyszała stukanie do drzwi. Przez chwilę była przerażona. Kto to może być o tak późnej porze? Czy coś jej grozi? A może po prostu obawia się usłyszeć złe wiadomości? Czy to Jimmy? Ostrożnie

uchyliła zasłonę i zobaczyła stojącego na ganku Jake'a z rękami w kieszeniach. Nie powinien tu przychodzić, gdy Lewis śpi w domu. Ale ucieszyła się na jego widok. Otworzyła drzwi.

- Nie słyszałam twojego motocykla - powiedziała, ale on się od niej odsunął, unosząc dłonie. Wtedy dostrzegła, że jest bardzo rozgniewany.

- Była u mnie policja - powiedział.

Pomyślała o nazwiskach, które kazał jej zapisać Larry.

- Wejdz do środka - szepnęła.

Usiedli w salonie. Jake powiedział jej, że policjanci pojawili się w klubie. Podeszli do niego po pierwszym występie i zażądali, żeby z nimi wyszedł.

- Czy mogę dokończyć drugą wiązaną piosenek? - zapytał uprzejmie, pewien, że mu pozwolą, ale oni się nie zgodzili.

- Idziemy - powiedział jeden z nich.

„Nie mam nic do ukrycia” - myślał, ale właściciel klubu był oburzony.

- Nie mogą poczekać? - zapytał Jake'a. - Ludzie przyszli specjalnie, żeby cię posłuchać.

Jake'owi również się to nie podobało, przede wszystkim sposob, w jaki go wyprowadzono. Powtarzali, że to nic takiego, ot, rutynowe śledztwo, ale i tak poczuł się upokorzony. Zwłaszcza gdy jeden z policjantów machinalnie położył mu rękę na głowie, kiedy wsiadał do samochodu.

- Wypytywali mnie, jakbym był jakimś bitnikiem - rzekł z goryczą.

Ava wyciągnęła do niego rękę, ale się odsunął.

- Wypytuja wszystkich - powiedziała.

- Zapytali mnie, czy kiedykolwiek tknąłem Lewisa.

- To niesmaczne pytanie - zachnęła się Ava.

- No właśnie. Ale mi je zadali. Chcieli wiedzieć, w co się bawiłem z Lewisem.

- Przecież poznałeś go dopiero tamtego wieczoru.

- Zapytali, czy kiedykolwiek rozmawiałem z innymi

dziećmi. Odpowiedziałem, że przyjeżdżałem, żeby się z tobą zobaczyć, późno, tylko wtedy, gdy Lewis nocował u przyjaciela, aby nie dawać sąsiadom powodu do plotek, ale im wydało się to jeszcze bardziej podejrzane. Wypytywali mnie, gdzie byłem tamtego popołudnia i czy potrafię to udowodnić. Jezu, Ava - powiedział, wstając - mieszkam sam, gram na saksofonie, spotykam się z tobą. Oto całe moje życie.

Nie poprosiła, żeby został. Odprowadziła go na dwór, w noc, do motocykla. W domu Dot wciąż paliło się światło. Ava nagle poczuła się śledzona. Skuliła się i objęła ramionami. Jake uniósł ku sobie jej głowę i ucałował ją przelotnie.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Jakoś to zniosę. - Przebiegł palcami po jej ramieniu.

„Zostań - miała ochotę powiedzieć. - Nie odjeżdżaj, proszę". Pomyślała o tym, że przyszłość pary można przepowiedzieć na podstawie tego, jak poradzi sobie w trudnej sytuacji. Może się zdarzyć, że trudne chwile zbliżą ludzi i pozwolą im docenić to, co mają.

- Może byśmy w przyszłym tygodniu poszli na kolację? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Zadzwoń.

Nie odzywał się przez wiele dni. A gdy wreszcie zadzwonił, to tylko po to, by ją lakonicznie pozdrowić.

Dwa tygodnie po zniknięciu Jimmy'ego usłyszała, że jego sprawa została przekazana do wydziału zabójstw. Słowo to przejęło ją dreszczem. Ilekroć wymawiał je któryś z sąsiadów, robiło jej się niedobrze. Hank Maroni przyjeżdżał teraz w towarzystwie innego detektywa. Dot w ogóle nie wychodziła z domu. Wśród sąsiadów wzrastało napięcie. Ludzie spotykali się wieczorami, by porównać, jakie pytania im zadawano. Okazało się, że pytania stają się coraz bardziej osobiste i kłopotliwe.

- Jakże, do diabła, mam pamiętać, kiedy po raz ostatni rozmawiałem z tym dzieckiem? - złościł się Bob Gallagher.

Do Avy zaczęli dzwonić mężczyźni, z którymi kiedyś się spotykała. Ich głosy brzmiały gniewnie i opryskliwe. Czasem w ogóle się nie przedstawiali, więc musiała rozpoznawać ich po sposobie mówienia.

- Nie układało nam się - oburzył się jeden z nich. - Dlaczego powiedziałaś, żeby do mnie zatelefonowali?

Złócili się, bo niepokojo ich w pracy, bo musieli przyznać się przyjaciółkom, bo dowiadywały się żony. Był to rodzaj dochodzenia, który sprawiał, że na przesłuchiwanym ludzi patrzono inaczej. Ava przypomniała sobie nauczyciela ze szkoły Lewisa, który został oskarżony o molestowanie jednego z uczniów. Stracił pracę i zmuszono go, żeby się wyprowadził. Cztery lata później dziecko cofnęło zeznania. Chłopiec powiedział, że wszystko zmyślił, że złości, bo nauczyciel nawrzeszczał na niego przy całej klasie. Że policjant przesłuchiwał go przez wiele godzin w pomieszczeniu bez okien, więc był wystraszony i starał się mówić to, co według niego policjant chciał usłyszeć.

- Przykro mi - odpowiadała Ava. Pozwalała im się pieklić, dopóki ich gniew nie ustąpił, a wtedy odkładała słuchawkę.

Miała okropne przeczucie, że na domiar złego znowu zadzwoni Brian, domagając się opieki nad dzieckiem. A jeśli się dowie, co się tutaj dzieje, i będzie miał więcej argumentów przeciwko niej?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Ava ujrzała Briana po raz pierwszy, miała dziewiętnaście lat i pracowała w Bostonie u Woolwortha w dziale ze słodyczami. Jej rodzice mieszkali w Chelsea, ale ona, najszybciej jak mogła, wyniosła się z domu, uciekając przed ich nieustannymi kłótniami, i zamieszkała z przyjaciółką w małym mieszkaniu.

- Dziewczyna nie powinna wyprowadzać się od rodziców, dopóki nie wyjdzie za mąż - powiedziała matka. - To źle wygląda. - Avę również to niepokoiło, ale postanowiła spróbować szczęścia.

Odkąd pamięta, jej rodzice zawsze się kłócili, bo ojciec tracił czas i pieniądze na wyścigach konnych. Nie płacił rachunków, nie chodził do pracy na budowie, a wszystkie pewne zakłady na konie o imionach w rodzaju Szczęśliwy Piorun czy Romeo okazywały się nietrafione. Ojciec potrafił być zabawny i czarujący, ale nie można było na nim polegać. Zapomniał o przyjęciu z okazji dziesiątych urodzin Avy. Zapomniał o przyjęciu z okazji rocznicy ślubu. Gdy w końcu pokazał się w domu, goście właśnie wychodzili. Matka Avy zdzieliła go w twarz. Ava nie mogła zapomnieć, jak zabrał ją do kina, ale w środku filmu, gdy Rin Tin Tin miał właśnie uratować sytuację, wstał i dotykając jej ramienia, szepnął:

- Zaraz wrócę.

Oglądała film sama, z trudem skupiając uwagę; co chwi-

ła odwracała się, bo każdy szmer, jaki słyszała, dawał jej nadzieję, że to wraca ojciec. Po skończonym filmie nie wiedziała, co robić. Wyszła z kina i stanęła przy drzwiach. Stała przerażona, popychana przez kłębiący się tłum. Tata przywiózł ją samochodem; nie miała pojęcia, jak wrócić do domu. Wiedziała, że jeśli zadzwoni do matki z automatu w holu, wywoła następną awanturę. Właśnie miała wybuchnąć płaczem, gdy zobaczyła biegnącego ku niej z uśmiechem ojca. Objął ją ramieniem.

- Dzięki tatusiowi pójdziemy dziś wieczorem do eleganckiej restauracji! - oznajmił uradowany, pokazując wachlarz banknotów, ale Ava myślała tylko o tym, jak długo czekała i jak bardzo była wystraszona.

Matka kochała ojca, ale widać było, że jest jej bardzo ciężko. Wyciągała do męża ręce i witała go uśmiechem, ale nigdy nie wiedziała, w jakim nastroju wróci do domu, a on często się na niej wyżywał, doprowadzając ją do hysterii. Matka dawała Avie mnóstwo dobrych rad.

- Nie wychodź za mąż, kierując się wyłącznie miłością - mówiła. - Potrzebny ci jest żywiciel rodziny, który się tobą zaopiekuje. Ktoś spokojny i miły, kto będzie dbał o twoje potrzeby, a nie tylko o swoje własne. Ktoś, kto ma stałą pracę i nie jest hazardzistą.

Ava słuchała. Gdy tylko zaczęła chodzić na randki, każdego chłopca traktowała jak materiał na przyszłego męża. Nie spotykała się z mężczyznami, którzy nie mieli stałego zajęcia i jakichś pieniędzy w kieszeni. Jej wybraniec musiał mieć plany na przyszłość, a jeśli podniósł na nią głos, natychmiast odchodziła.

Marcy, przyjaciółka z działu kosmetycznego, zaproponowała, że umówi Avę na randkę w ciemno. Ava odniosła się do tego niechętnie, ale Marcy powiedziała, że Brian już w wieku dwudziestu dwu lat jest kierownikiem sprzedaży w dużej firmie handlującej samochodami i że nawet ma własne mieszkanie w Back Bay.

- Wiele podróżuje - mówiła Marcy. - Gdybym nie była

z Billym, sama bym się z nim umówiła. - Niebieskie oczy. Blondyn z dołeczkami. Na dodatek wysoki. Daj spokój, chyba nie chcesz całe życie sterczeć za ladą u Woolwortha, prawda?

Więc się zgodziła i Brian stanął na jej progu trzy wieczory później. Był dokładnie taki, jak powiedziała Marcy, a nawet lepszy. Miał idealne i olśniewająco białe zęby. Włosy nie dość, że złociste, to jeszcze układające się w fale, a rzęsy miał równie długie jak Ava, która stosowała kosmetyki Maybelline. Miał na sobie ciemny garnitur i trzymał w dłoni bukietik stokrotek.

- Skąd wiedziałeś, że lubię stokrotki? - zapytała zaskoczona.

- Spytałem Marcy - odparł. - Staram się dowiedzieć, co ludzie lubią, żebym mógł im to ofiarować.

Słuchając go, Ava poczuła, że się rumieni.

Zabrał ją do francuskiej restauracji w Back Bay, gdzie ściany miały lśniącą złocistą tapetę, a kelnerzy nosili smokingi i muszki. Ava nigdy przedtem nie była w tak wytwornym lokalu. Na widok Briana kierownik sali się uśmiechnął.

- Zawsze miło pana widzieć, panie Lark - powiedział, a Brian wsunął mu do ręki trochę pieniędzy, coś do niego szepcząc.

Natychmiast poprowadzono ich do stołu przy oknie, co zrobiło na Avie jeszcze większe wrażenie. Menu było po francusku i Ava spojrzała na nie bezradnie, zbyt zakłopotana, by się przyznać, że nic nie rozumie. Ale Brian szybko się zorientował i delikatnie wyjął kartę z jej rąk.

- Zamówię dla nas obojga - powiedział.

Podczas kolacji mówił tylko on. Opowiedział jej, że stracił matkę, gdy był dzieckiem. Ojciec, z zawodu chirurg, przeszedłszy na emeryturę, przeniósł się na Florydę. Nigdy nie byli sobie bliscy. Gdy kelner przyniósł niewłaściwą przystawkę - wędzone ostrygi zamiast zupy cebulowej - Brian zachował się zupełnie inaczej, niż postąpiłby ojciec Avy. Wcale się nie rozgniewał.

- Nic nie szkodzi - powiedział. - Mogę zjeść ostrygi. Pochwalił się, że dostał już trzecią podwyżkę w roku.

Z rzeczy, które lubi robić, wymienił łapanie ryb, grę w kręgle i przejażdżki samochodem, ale ani słowem nie wspomniał o grze w karty czy o wyścigach konnych. Pod koniec posiłku Ava była pewna, że coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia istnieje, bo właśnie jej się przydarzyło.

Pobrali się owej wiosny. Ona miała białą suknię do pół łydki, z króciutkimi kimonowymi rękawami, w dłoni trzymała bukietik stokrotek. Na ślubie byli obecni wszyscy koledzy z pracy Briana i ich uśmiechnięte żony. Przyjaciółki Avy od Woolwortha płakały ze szczęścia z chusteczkami przy oczach. Po ceremonii ojciec Avy wsunął jej do ręki pięćdziesięciodolarowy banknot. Potem matka odciągnęła ją na stronę.

- Dobrze zrobiłaś, kochanie - powiedziała. - Wybrałaś odpowiedniego mężczyznę.

Rozpromieniona Ava uściskała matkę.

Ava wprowadziła się do mieszkania Briana w Back Bay. Była tam jedna sypialnia z widokiem na drzewa. Brian kupił nowe żaluzje do każdego pokoju oraz nowoczesny prosty tapczan. Do sypialni, ku zaskoczeniu Avy, zamiast dwóch łóżek jednoosobowych wybrał wielkie łóżko małżeńskie, w wersji dłuższej, ponieważ był wysoki, a na dodatek sprawiało ono wrażenie bardziej luksusowego. Gdy Ava mu powiedziała, że według jej matki para małżeńska powinna sypiać w łóżkach jednoosobowych przedzielonych szafką, na wypadek, gdy jedno z małżonków zachoruje, Brian się roześmiał.

- Pragnę cię, nawet jak jesteś przeziębiona - powiedział. Ava przylgnęła do niego całym ciałem.

- Pasuję tu doskonale - oznajmiła. Rzuciła pracę, ma się rozumieć.

- Do ciebie należy prowadzenie domu - powiedział Brian. Nie żałowała marnych pensji, jakie otrzymywała, bo



Brian co miesiąc dawał jej kieszonkowe, które mogła przeznaczyć, na co tylko chciała. Mieli mnóstwo pieniędzy. Była żoną! Nareszcie żoną! Nie mogła się napatrzeć na lśniącą na jej palcu obrączkę. Błyskała nią, by wszyscy mogli ją dostrzec. Co jakiś czas chodzili na kolację z jej rodzicami. Mając u swego boku Briana, nie przejmowała się, gdy ojciec wstawał, by skorzystać z telefonu, i zniknął na dwadzieścia minut. Gdy jej rodzice po wyjściu z restauracji zaczęli się głośno kłócić, Brian brał ją pod rękę i spokojnie prowadził do samochodu. Nastawiał głośno radio, pochylał się i całował, aż poczuła, że napięcie ją opuszcza.

Podobało jej się, że Brian o wszystko się troszczył. Wybierał dania w restauracjach. Decydował, co obejrzą w kinie, na jakie widowisko pójdą. Ale jeszcze bardziej podobało się jej to, że był pogodny. Budził się w radosnym nastroju i taki był przez całe dni, a gdy Ava się denerwowała, najczęściej po rozmowie telefonicznej z rodzicami, brał ją na kolana i kołysał jak dziecko.

- Złote życie - powiedziała matce i minęło wiele czasu, nim pojęła, że nie jest tak różowo.

Zajście w ciążę zajęło jej dwa lata. Ale gdy w końcu się udało, miała wszelkie możliwe objawy. Wczesne mdłości zmieniły się w silne wymioty poranne, które tak wyczerpywały Avę, że nie miała siły, by sprzątnąć mieszkanie. Gdy wyznała Brianowi, że jest w ciąży, rozpłakał się z radości. Ukląkł przed nią i ucałował jej brzuch.

- Poczekaj, aż się przekonasz, jakim będę ojcem! - powiedział.

Wtedy oboje rodzice Avy już nie żyli, umarli jedno po drugim, jak gdyby nie umieli bez siebie żyć. Brian miał na Florydzie ojca, którego Ava nigdy nie poznała, ale powiedział, że to nie ma znaczenia.

- Mamy siebie nawzajem - oznajmił. - Rodzina doskonała. Nic więcej nam nie trzeba.

Ach, jakim na początku był wspaniałym ojcem i jeszcze

wspaniałym mężem! Gdy była w ciąży, miał na jej punkcie kompletnego bzika. Masował jej stopy, czasami nawet przygotowywał kolację, nic skomplikowanego, po prostu podgrzewał mrożone warzywa albo przygotowywał spaghetti z sosem ze słoika. Dla Avy te dania miały boski smak, bo zostały podane przez Briana. Gdy urodził się Lewis, tkwił przy jej łóżku przez cały tydzień, który spędziła w szpitalu. Opowiadał świńskie kawały, żeby ją rozśmieszyć, czarował wszystkie pielęgniarki, ofiarowując im bombonierki.

- Za to, że tak się troszczycie o moją żoneczkę - mówił.

Gdy wróciła do domu, kupił jej kwiaty oraz pluszowe zabawki dla dzidziusia: małą piłkę, małą kłębka i wieloryba. Rzadziej bywał w domu, bo przecież pracował, ale zaczął mówić o kupnie dużego domu na przedmieściu. Ava była podekscytowana. Lubiła miasto, ale przedmieścia były zadrzewione, pełne zieleni, istny raj. Już sobie to wyobrażała. Dom! Może niewielki trawnik, żeby Lewis miał się gdzie bawić.

Czasami, tęskniąc za mężem, brała Lewisa na kolana i rozkładała na podłodze w salonie wycinki z biuletynów firmy Briana. Były tam jego fotografie, na których uwieczniono go z nagrodami za sprzedaż największej liczby samochodów. Uśmiechał się radosnym, promiennym uśmiechem. Oto on, uchwycony migawką, piękny, zwarty i silny niczym dąb. Aż zapierało jej dech.

- To twój tatuś - szeptała, a Lewis uderzał grzechotką o jej nadgarstek.

Fascynowało ją wszystko, co robił Lewis. Lubiła się przyglądać, jak rośnie. Spójrz tylko, jak dźwiga główkę! Jak raczkuje po domu. A gdy zaczął mówić, pragnęła zapamiętać każde słowo. Postanowiła, że zapewni mu wszystko. Studia. Dobrą pracę. Szczęśliwy dom.

Cały czas spędzała z synkiem, czytając mu, ucząc go literek, spacerując z nim po parku, ale Lewis coraz bardziej uwielbiał ojca.

- Lewis jest twoim największym wielbicielem - powiedziała Brianowi.

Przez jakiś czas fascynacja była obopólna. Lewis nie mógł się doczekać, kiedy zacznie kopać z ojcem piłkę, pojedzie z nim na ryby. Gdy miał sześć lat, nawet zwykły spacer z postawnym, wysokim tatusiem stanowił dla niego nie lada atrakcję, a Avie to nie przeszkadzało. Dzięki temu mogła się zdrzemnąć lub po prostu posiedzieć w domu i przejrzeć czasopisma. Czy można sobie wyobrazić lepsze życie?

Ale potem Brian miał zły miesiąc w pracy. Samochody nie schodziły tak dobrze, jak powinny, i musiał zwolnić dwóch sprzedawców. Jednak nowi pracownicy nie sprawdzili się lepiej. Następnego miesiąca wcale nie był lepszy Brian zaczął wracać do domu bez kwiatów i zabawek. Przestał mówić o domu na przedmieściu. Przestali jadać kolacje w re-stauracji, bo wymawiał się zmęczeniem, a gdy Ava usiłowała go pocieszyć, mówił, że nie ma powodu do niepokoju.

- Wszystko się ułoży - obiecywał.

Kilka miesięcy później, wróciwszy z zakupów, zastała go rozwalonego na kanapie w samym środku dnia.

- Musiałem odejść - powiedział cicho. Przysiadła na brzegu kanapy.

- Zwolnili cię? Ot tak? Ale dlaczego?

Ukrył twarz w dłoniach. Przysunęła się bliżej, a gdy płakał w nią wtulony, głaskała go po włosach.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Znajdziesz nową pracę. Taki mężczyzna jak ty!

I rzeczywiście nie zajęło mu to wiele czasu. Doskonale prezentował się w swoim najlepszym garniturze, a uścisk jego dłoni na powrót stał się silny i pewny. Po dwóch tygodniach miał nową posadę. W Buxbaum Buick.

- A nie mówiłem? - powiedział Avie, promieniejąc. Nie ma znaczenia, że sprzedaje się tam głównie samochody używane, a nie nowe. To, że przestał być kierownikiem sprzedaży, a był teraz tylko sprzedawcą, nie stanowiło przeszkody. - Przekonają się, jaki jestem dobry, i wkrótce mnie awansują. - Wynagrodzenie było znacznie niższe, co niepokoilo Avę, ale Brian zapewnił ją, że to także nie jest pro-

blem. - Istnieje coś takiego jak podwyżka - przekonywał. Jeśli przez chwilę miał być zwykłym sprzedawcą, to będzie najlepszym na całym placu.

Wyszkoliwszy tak wielu sprzedawców, dobrze wiedział, że sprzedaż jest prawdziwą sztuką. Nigdy nie sprzedawaj samochodu komuś, kto go mieć nie powinien. Trzeba się zorientować, jakiego samochodu klient potrzebuje, i znaleźć mu odpowiednie auto.

Brian był zaskoczony, gdy Mike, jego szef, dał mu do sprzedaży terenowe samochody dla rolników, na których nie można zarobić dużych pieniędzy. Jak może odnieść sukces z takimi samochodami? Zaczął obmyślać strategię, ale zwykł był pracować spokojnie, a teraz Mike go popędzał.

- Bierz się do bieżących spraw - powiedział. - Na dodatek tylko ty nosisz tutaj koszulę i krawat. Za kogo się masz?

Od tej chwili Brian zaczął intensywnie poszukiwać pracy w całym kraju.

- Co myślisz o zamieszkaniu w Chicago? - zapytał Avę. - Albo w Detroit?

Był taki przejęty, że ona także odważyła się żywić nadzieję. Zaczęła sobie wyobrażać życie w większym, tętniącym życiem mieście, życie na poprzednim poziomie. Ale żadne z jego starań nie zakończyło się sukcesem.

Tymczasem Lewis skończył siedem lat. Brian po powrocie do domu był wiecznie napięty i zrezygnowany. Ava bardzo się starała, zabierała syna do zoo, do cyrku, codziennie wyprowadzała na plac zabaw, ale pełen nadziei Lewis wciąż garnął się do ojca.

- Porzucamy do kosza? - pytał. Unosił rękę, usiłując utrzymać wirującą piłkę na wskazującym palcu. Nie odstępował Briana, niczym szczeniaka.

- Nie dzisiaj - wciąż słyszał tę samą odpowiedź. Lewis wypuszczał piłkę z rąk i patrzył, jak turla się w róg pokoju. Brian wkładał ręce do kieszeni, a potem zasiadał przy stole i zaczynał pisać na poliniowanym papierze, nie zwraca-

jąc uwagi na Avę ani na Lewisa. Przy kolacji milczał. Ava dotykała jego rękawa, ale on nie reagował na ciepło jej dłoni.

- Lewis opowiedział mi dziś coś nadzwyczajnego na temat Alaski - powiedziała kiedyś, a Lewis się ożywił i wyprostował na krześle. Spojrzał wyczekująco na ojca, ale Brian popatrzył na Avę takim wzrokiem, jakby mu oznajmiła, że Księżyc jest z gipsu.

- Jestem zmęczony ~ odparł. - Miałem ciężki dzień. Ava poszła za nim do kuchni, gdzie przetrząsał szafkę z przyprawami.

- Masz syna, który cię potrzebuje - powiedziała ściszym głosem. - I mnie także jesteś potrzebny.

Wziął pojemnik z solą, zamknął szafkę, a potem go odstawił.

- Jestem głodny - oznajmił i wyszedł z domu.

Nie sypiał nocami. Ava słyszała, jak chodzi z kąta w kąt. Kiedyś wstała z łóżka i zobaczyła, że stoi pośrodku salonu i gestykuje. Powtarzał sobie argumenty sprzedażowe zachęcające do kupna sedanów. Spojrzał na nią, mrugając powiekami, i przygarbił plecy.

- Kochanie - powiedziała, kładąc mu głowę na ramieniu, ale on nie uniół ręki, by pogłodzić ją po włosach. Stał jak kołek.

- Wracaj do łóżka - nakazał oschle. - Ja jeszcze tu zostanę. Przestał zajmować się synem. Kiedyś Ava poprosiła, aby przynajmniej pomagał mu w odrabianiu lekcji.

- Jesteś mu potrzebny - nalegała.

Lewis siedział przy stole nad książką do przyrody, bawiąc się piórem. Brian usiadł obok syna.

- Co my tu mamy? - zapytał i Lewis zaczął mu opowiadać o fazach księżycowych.

- Nów, pierwsza faza, Księżyc przybywa. - Ava spostrzegła, że z twarzy Briana znika uśmiech. Lewis rozłożył kartkę z wszystkimi fazami. - Muszę je podpisać - powiedział. Wskazał na chudziutki niczym odrost paznokcia

rozek Księżyca. - Jak myślisz, tatusiu, jaka to faza? - zapytał poważnym tonem, jakby był nauczycielem. Brian zmarszczył czoło.

- To trochę dezorientujące. Wszystkie te diagramy wyglądają podobnie, prawda?

- Nie, to wcale nie jest trudne - odparł Lewis z rozpromienioną twarzą. - Popatrz, tatusiu. To łatwe. Księżyca ubywa. - Wskazał następny diagram. Okrągły Księżyc z wyjątkiem małego plasterka. - A to? - zapytał. - No, tatusiu, przecież potrafisz to nazwać.

Brian gwałtownie zerwał się od stołu, odsuwając książkę.

- Po co mnie prosisz o pomoc, skoro jej wcale nie potrzebujesz? - warknął. - Umiesz to zrobić, więc rób.

Zaskoczona gniewem Briana Ava zobaczyła, że oczy Lewisa są pełne łez, a dłoń zaciska się na piórze.

- Brianie - powiedziała, ale on spojrzał na nią ze złością, jakby to ona zawiniła.

- Przejdę się po mieście - mruknął. Wstał i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Ava spostrzegła, że pieniędzy, które dostaje na prowadzenie domu, jest coraz mniej. Bała się zapytać dlaczego, bo ostatnio mąż wciąż był poirytowany. Przy śniadaniu stracił panowanie nad sobą, bo zapomniała kupić jego ulubiony rodzaj soku pomarańczowego. W nocy, gdy chciała się do niego przytulić, odsunął się, więc leżała, spoglądając w ciemność. Zmienił się nawet jego wygląd. Siwizna na skroniach nagle zniknęła. Ava spostrzegła, że jej tusz do rzęs zniknął, a na poduszce Briana pojawiła się plama. Zorientowała się, że mąż farbuję sobie włosy, by wyglądać młodziej.

Nie miała dostępu do wyciągów bankowych, nie miała też własnej książeczki czekowej, bo wszystkim zajmował się Brian. Zaczęła się niepokoić. Na co idą te pieniądze? Przestraszona, zaczęła robić zakupy spożywcze w Thrift-T-Mart, gdzie było taniej niż w Star Market. Ubrania kupowała na wyprzedażach, a nie w butikach, ale i tak z każdym miesiącem pieniędzy ubywało.

A potem zaczęły się głuche telefony. Słysząc było tylko oddech, a potem odkładano słuchawkę. Ava nie mogła tego znieść. Pewnego wieczoru, gdy leżeli już w łóżku, spytała:

- Spotykasz się z kimś?

Usiadł gwałtownie, odrzucając kołdrę. Ava pożałowała swoich słów.

- Masz mnie za faceta, który zrobiłby ci coś takiego? - powiedział.

- Chodzi o pracę? Nie musisz sprzedawać samochodów - powiedziała. - Mógłbyś robić coś innego. Albo ja pójdę do pracy.

- Jesteś moją żoną. Nie będziesz pracowała.

- Możemy zmienić mieszkanie na mniejsze.

- Wszystko się ułoży - powiedział. - Obiecuję. - Położył się, tak energicznie naciągając kołdrę, że odkrył żonę.

Tydzień później Ava szła na zakupy i mijając restaurację, mimo woli zajrzała do środka; zobaczyła Briana, który gestykulował, rozmawiając. Nie mogła dojrzeć drugiej osoby, więc podeszła bliżej, myśląc, że to kolega z pracy. Naprzeciw Briana siedziała starsza od niego kobieta o szpiczastym nosie i kręconych włosach. Miała na sobie nieelegancki szary kostium i kapelusz. Ava wiedziała, że Brian stosuje innowacyjne sposoby sprzedaży samochodów, więc pomyślała, że zabrał klientkę na lunch, by dobić targu. Ale wtedy Brian uniósł rękę i pogładził policzek kobiety. W pierwszej chwili Ava zastygła.

Zapominając o zakupach, wsiadła do samochodu i wróciła do domu. Dawniej Brian lubił, żeby Ava dobrze się prezentowała. Zachęcał ją, by kupowała nowe suknie, by czesała się u fryzjera. „Moja żona świadczy o mnie” - mawiał. Kim więc była owa kobieta i dlaczego chciał być z kimś takim jak ona?

Nie kupiła mięsa ani warzyw, więc zrobiła na kolację spaghetti, ale Brian nie wrócił. Gdy zadzwoniła do jego biura, nikt nie odebrał telefonu.

- Gdzie jest tatuś? - zapytał Lewis.

- W pracy, kochanie - skłamała z wymuszonym uśmiechem.

Gdy Lewis się położył, obiecała sobie, że wyśle Briana, by ucałował go na dobranoc, nawet jeżeli syn będzie już spał. Siedziała w salonie, przy słabym świetle, czekając na męża. Brian powiedział jej kiedyś, że zawsze ćwiczy argumenty, żeby wypowiadać je z większą pewnością i *emfazą*. Teraz ona zaczęła ćwiczyć, co mu powie. „Co się dzieje? Co moglibyśmy zrobić, żeby poprawić sytuację?”. Weszła do sypialni i szciotkowała włosy, aż zaczęły błyszczeć. Umalowała się i włożyła jedną z jego ulubionych sukien. Po czym wróciła do salonu.

Okolo północy usłyszała klucz w zamku. Wstała i zapaliła światło. Spojrzał na nią zdumiony. Wyczuła w jego oddechu alkohol.

- Myślałem, że już śpisz - powiedział. - Długi dzień w pracy.

Wszystko, co sobie zaplanowała, uleciało jej z głowy.

- Nie kłam, proszę - wyszeptała. - Widziałam cię z nią. Usiadł na kanapie, zasłoniwszy usta rękami.

- Jest starsza od nas? - powiedziała Ava. - Prawda? Brian opuścił ręce.

- Ma trzydzieści osiem lat - odparł wreszcie.

- Nie rozumiem...

- Zajmuje się interesami. Pracuje dla swego ojca w branży papierniczej w Cleveland.

- Pracuje? - Ava pomyślała o tym, jak wielokrotnie błagała Briana, by pozwolił jej pójść do pracy. Ale on upierał się, że kobiety nie pracują.

- Avo, proszę.

- Kto to jest?

- Czy to ma znaczenie?

Wstał i zaczął przemierzać pokój jak zawsze, gdy był zdenerwowany.

- Gdzie ją poznałeś?

- Avo...



- Powiedz mi.
- Przyszła z bratem obejrzeć samochód. Takie rzeczy po prostu się zdarzają.
- Jakie rzeczy?
- Jej ojciec zaproponował mi pracę na stanowisku kierownika sprzedaży.
- Co? Papier? Przecież ty nic nie wiesz o papierze.
- Myślisz, że sobie nie poradzę? - zapytał, mrużąc oczy. - Już we mnie nie wierzysz? Cóż, ona wierzy. I tak samo jej ojciec. Szuka kogoś pierwszorzędneho, kto przejmie całość. To mogę być ja, Avo.
- Kochasz ją?
- Nie spojrzał na nią, ale splótł dłonie.
- Jak możesz nam coś takiego zrobić? - wyszeptała. - To jakieś szaleństwo.
- Możesz zachować mieszkanie, meble, wszystko, co jest na koncie bankowym. Będę potrzebował adwokata. Myślę, że tak będzie lepiej dla wszystkich.
- Dlaczego? Dlaczego tak myślisz?
- Rozmyślając o tym, jak naprawić ich małżeństwo, nigdy nie brała pod uwagę tego, że Brian ich porzuci. Jak ona sobie poradzi? Co teraz pocznie? Poczula, że coś w niej pęka, coś się załamuje.
- A co z Lewisem? - zapytała.
- Ma ciebie - odparł Brian. - I tak kiedyś bym odszedł. On prawie mnie nie zauważa.
- Zwariowałeś? Jesteś jego ojcem! - Usłyszała w swoim tonie błagalną nutę i usiłowała się jej pozbyć. - Nie pożegnasz się z nim?
- Oczywiście, że się pożegnam - odparł. - Gdy tylko się urządzę. I będę się z nim widywał.
- A co ze mną? - spytała. - Jak mamy tutaj żyć bez ciebie?
- Avo - powiedział powoli. - Od pewnego czasu radzisz sobie sama - odparł, cedząc słowa.
- I po prostu odszedł, a ona nadal nie rozumiała dlaczego.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Rose wróciła do szkoły po dwóch tygodniach od chwili zniknięcia Jimmy'ego, była sławna. W „Waltham Tribune” i „Boston Globe” ukazało się jej zdjęcie z matką. Słaba, niewyraźna odbitka, na której Rose ubrana była w zniszczoną sukienkę w kratkę i znoszone półbuty. Włosy miała szesane do tyłu i byle jak zaplecione w warkocz. Patrząc na fotografię, odnosiło się wrażenie, że matka spogląda na Rose, szukając w córce oparcia. Ścisnęła jej rękę w taki sposób, jakby mogła polegać jedynie na dziecku, które jej pozostało. Tymczasem to Rose była zagubiona. Wyczuwała złość matki, która odpychała ją niczym niewidzialne pole magnetyczne. Nikt nie miał pojęcia, jak rozgniewana była matka Rose w chwili, gdy zrobiono to zdjęcie.

- Dlaczego nie pilnowałaś brata? - syknęła oskarżycielskim szeptem.

Od tamtej pory, ilekroć spojrzała na Rose, mrużyła oczy, jakby nie dowierzając, że ma przed sobą Rose, a Jimmy zniknął. Jak gdyby myślała: „Zabrali niewłaściwe dziecko”.

- Najpierw Benjamin, a teraz to - powiedziała.

Benjamin był ojcem Rose. Rose właściwie go nie pamiętała. Miała zaledwie trzy lata, gdy umarł, i chociaż wierzyła, że przebywa z aniołami w niebie, matka mówiła o nim i do niego, jakby wciąż był tutaj z nimi.

- Och, Benjaminie, jakże lubiłeś ten program! - powie-

działa, gdy w telewizji wystąpił Jackie Gleason\*, robiąc miny i wymachując rękoma.

- Weźmy mięso na pieczeń. To ulubione danie twojego ojca - powiedziała kiedyś do Rose w supermarkecie.

W szafie nadal wisiły jego ubrania, biurko pozostało nietknięte, w każdym pokoju znajdowały się jego fotografie. Na zdjęciach widać było matkę w miękkiej jedwabnej sukni ślubnej z obcisłymi rękawami i ojca, eleganckiego, wysokiego i rozpromienionego, o obciętych na jeża gęstych ciemnych włosach, z wąziutkim wąsikiem. Były też fotografie z wakacji. Rodzice na plaży, lśniący niczym foki, albo we dwoje w kajaku, wpatrzeni w siebie, jakby nie mogli uwierzyć własnemu szczęściu. Dot z drobnymi rudymi loczkami ściągniętymi do tyłu. Matka powiedziała Rose, że ojciec co wieczór jej czytał, że układał głupie piosneczki, a potem śpiewali je we dwojkę.

- Hopsa, hopsa, dana, dana, kupię wam zabawkę z rana -zaśpiewała. - Byłaś ukochaną córeczką tatusia - powiedziała Dot, a Rose miała ochotę wrzasnąć: „Jak to?!”. Jakże mogła być ukochaną córeczką, skoro tego nie pamięta? Jakże może tęsknić za cudownym życiem rodzinnym, skoro czuje się tak, jakby go nigdy nie zaznała?

Gdy Rose zasiadała przed telewizorem, żeby oglądać programy rodzinne, nie traktowała tego jak rozrywkę, lecz jak naukę. Do bólu pragnęła być Kitten w *Father Knows Best*. Patrząc, jak Katrin biegnie w ramiona Papy w serialu *Mama*, zaczynała płakać z tęsknoty. Jak by to było wieść takie życie? Młodszy o rok Jimmy nie pamiętał ojca ani trochę, ale Rose zachowała jedno wspomnienie: tata podaje jej misia w pudełku po butach i pokazuje, jak nim poruszać po podłodze, żeby miś pływał łódką. Tylko tyle. Żadnych innych wspomnień o tacie.

**\* John Herbert „Jackie” Gleason, Jr (1916-1987) - amerykański aktor, komik i piosenkarz. Był nominowany do Oscara za rolę drugoplanową w filmie *Bilardzista*. Twórca i główny bohater serialu *The Honeymooners*, którego polska wersja otrzymała tytuł: *Miodowe lata*.**

Jimmy odziedziczył po ojcu gęste włosy i kocie oczy. Uderzające podobieństwo do ojca było pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy. Po śmierci męża Dot zawsze mawiała rozpromieniona:

- To istne błogosławieństwo. Zupełnie jakby Bóg chciał, aby na ziemi pozostał ślad po Benjaminie.

Dot wciąż rozprawiała o Jimmym. Jak bardzo jest przystojny, jak bardzo lubią go nauczyciele. Umieściła na ścianie w kuchni nagrodę, którą Jimmy otrzymał za pierwsze miejsce w rozgrywkach drużyn baseballowych, ale gdy Rose przynosiła do domu świadectwa, na których od góry do dołu widniały najlepsze oceny, matka tylko je przeglądała.

- Zachowaj to sobie - mówiła.

Rose właściwie nie знаła krewnych ojca. Matka powiedziała jej, że Rearsonowie, którzy mieszkali w Kalifornii, nigdy nie uznali jej za wystarczająco mądrą i kulturalną dla ich syna. Raz na rok zapraszali ją na obiad z okazji Święta Dziękczynienia, gdzie wszyscy rozmawiali o książkach, jakich nie czytała, lub o przedstawieniach teatralnych, których nie widziała. Nigdy nie przyszło im do głowy, by ją o coś zapytać.

- Po prostu już tacy są - powiedział Benjamin, pocieszając ją, gdy się rozplakała. - Potrzebują czasu, by lody stopniały.

Twierdził, że w końcu pokochają Dot, ale zachowali rezerwę nawet wtedy, gdy na świat przyszli Rose i Jimmy. Posyłali kartki, a czasami podarunki dla dzieci, ale rzadko pojawiali się z wizytą. A gdy Benjamin umarł na zawał, spotkali się na pogrzebie, a potem zupełnie ją zaniedbali.

- Pamiętaj - powiedziała Dot córce. - Wychodząc za mąż, wchodzisz do jego rodziny. Na dobre i złe. Małżeństwo to coś więcej niż związek dwojga ludzi.

Po zniknięciu Jimmy'ego wszyscy myśleli, że Rose będzie przesiadywać w domu, ale ona nie mogła się doczekać, kiedy wróci do szkoły. W domu matka leżała w łóżku, wpatrując się w sufit albo szcękając naczyńiami z takim

impetem, że się tłukły. Rose nie lubiła chodzić w niedzielę do kościoła, gdzie jej matka modliła się z pochyloną głową, a ilekroć ksiądz wspomniał Jimmy'ego, wybuchała niekończącym się płaczem. Rose nie znosiła kręcących się po domu detektywów. Wciąż ją wypytywali. Nie chcieli, żeby wychodziła na dwór, zupełnie jakby była jakąś cieplarnianą rośliną. Jeden z detektywów, pan Maroni, zapytał ją kiedyś, czy Ava kiedykolwiek chodziła przy nich naga.

- Pan oszalał czy co? - spytała Rose. Na samą myśl o czymś takim była tak zawstydzona, że miała ochotę umrzeć. Ale najbardziej nie lubiła tego, że kiedy przebywała w domu, jeszcze bardziej tęskniła za Jimmym.

Matka nie pozwalała jej jeździć szkolnym autobusem i codziennie wozila ją samochodem w obie strony. Gdy pierwszy raz weszła do klasy, dzieciaki patrzyły na nią, jakby jej nigdy przedtem nie widziały. Panna Pizzi, wychowawczyni, nerwowo skubnęła guzik bluzki, a potem wezwała Rose do siebie.

- Jeśli będziesz chciała wrócić do domu albo zostać w sali plastyki, po prostu daj mi znać - powiedziała znacząco.

Miała kręcone brązowe włosy, spięte z tyłu rdzawą klamrą. Rose zawsze miała ochotę ich dotknąć.

- Nic mi nie jest - zapewniła Rose. Chciała poprawić klamrę panny Pizzi, ale stała z opuszczonymi rękami.

Wciąż słyszała swoje imię.

- Rose - mówił ktoś, ale gdy się oglądała, nie umiała poznać, kto je wymówił. A grupka dzieciaków się rozpraszała.

Noc w noc leżała w łóżku, przebiegając myślą minione zdarzenia. Wróciła wtedy ze szkoły do domu o trzeciej. Jimmy'ego nie było. Postanowiła, że matematykę odrobi później, chociaż zajęłoby jej to zaledwie dziesięć minut. Po prostu nie była w nastroju. Niepokoiło ją coś niesprecyzowanego. Chodziła po pokoju, niezadowolona, że plany Jimmy'ego i Lewisa jej nie dotyczą.

- Dzisiaj żadnych dziewczyn - oznajmił Jimmy tamtego

ranka, a Rose wzniosła oczy, jakby wcale jej na rym nie zależało, jakby miała do zrobienia coś ciekawszego. Około czwartej była zmęczona ciągłym spoglądaniem na zegar, próbami czytania, by zagłuszyć myśli. Czuła jakieś dziwne mrowienie, jakby coś miało się stać. Wyszła z domu. W sąsiedztwie panowały cisza i upał. Nawet matka poszła na ten głupi festyn dobroczynny. Rose miała dosyć chodzenia do kościoła w niedzielę. Jediną żywą istotą na ulicy był Romeo, biały kot z domu przy następnej przecznicy. Patrzył na Rose, liżąc przednią łapę.

Aby zabić czas, postanowiła pójść do Waltham. Może przymierzy jakieś sukienki, chociaż i tak nie stać jej na to, by je kupić.

Wystarczyło wtedy zmienić dwie sekundy życia, a wszystko potoczyłoby się inaczej. Powinna była zrozumieć owo poczucie niepokoju. Oznaczało ono, że powinna udać się na poszukiwanie Jimmy'ego. Albo zostać w domu. A może pójść szybciej i rozminąć się z Lewisem. Ale gdy zobaczyła go biegnącego ku Lexington Street, poczuła, że jest chora z miłości, jakby przyciągało ją ku niemu tysiąc magnesów, więc nie miała siły, by się im oprzeć.

Lewis nie wiedział, że gdyby ją poprosił, żeby pobiła goniących go chłopaków, Rose zrobiłaby to bez wahania, wymachując pięściami i kopiąc. Gdyby ją poprosił, żeby zaśpiewała na środku ulicy, otworzyłaby usta i wydobyłaby się z nich melodia. Bez namysłu chwyciła go za rękę.

- Biegiem! - powiedziała, mając na myśli siebie.

Była taka przejęta Lewisem, że zapomniała o własnym bracie. Wspominała, jak to było, gdy leżała obok Lewisa, mając ochotę go pocałować. Bała się jednak, że on nie odwzajemnia jej uczucia. A jeśli ją odsunie? Albo będzie się z niej śmiał? Tymczasem Jimmy znalazł się w kłopotach, a ona nic o tym nie wiedziała.

Teraz ona i Lewis byli pilnowani przez matki i nie uczęszczali już do tej samej szkoły. Rose nie wolno było blokować telefonu, bo w każdej chwili mógł zadzwonić Jimmy

lub ktoś z jakąś cenną informacją. Czasami miała wrażenie, że Lewis jej unika. Przecież mógłby zejść do niej do domu, prawda?

W szkole podczas przerwy na lunch wszyscy jej się przyglądali. Właśnie jadła kanapkę z kielbasą bolońską i serem, gdy naprzeciwko usiadła Annie.

- Widziałam twoje zdjęcie w gazecie - oznajmiła. Rose skinęła głową.

- Teraz wszyscy wiedzą, kim jesteś - powiedziała Annie.

- To dobrze?

Annie wzruszyła ramionami.

- Więc kim jestem? - spytała Rose. Annie się roześmiała.

- Jesteś głuptasem - odparła.

Przez cały dzień Rose chodziła jak we śnie. Ale wcale nie spieszyło jej się do domu. Nie umiała tam przebywać bez Jimmy'ego. Zawsze miała wrażenie, że brat w jakiś sposób do niej należy. Bawili się razem i spali w jednym pokoju, dopóki Rose nie skończyła dziesięciu lat. Wtedy matka powiedziała:

- Młoda dama potrzebuje intymności. - I oddała jej na wyłączność sypialnię od frontu. Ale Rose tęskniła za czasami, gdy dzieliła pokój z bratem, i chociaż była od niego zaledwie o rok starsza, zawsze miała wrażenie, że opieka nad Jimmym jest jej obowiązkiem.

Pewnego dnia w szkole poczuła otaczającą ją ciemną chmurę. Od razu zrozumiała, że coś jest nie w porządku. Pobieгла do domu i zastała Jimmy'ego przy kuchennym stole z obandażowaną ręką.

- Sparzyłem się o piecyk - powiedział.

Innym razem poczuła wielką, bezprzedmiotową radość. Po powrocie do domu dowiedziała się od rozpromienionego brata, że wygrał turniej w kulki i w nagrodę dostał kulkę z półszlachetnego kamienia o nazwie kocie oko. Pragnęła zawsze być blisko niego i spędzali razem wiele czasu, dopóki Jimmy nie zaprzyjaźnił się z Lewisem.

Kiedyś weszła do pokoju brata i patrzyła na tę przeklętą mapę, która służyła Jimmy'emu i Lewisowi do układania wspólnych planów na przyszłość. Raniła ją każda wbita w mapę pinezka. Niebieskie łebki znaczyły miejsca, w których mieli zamiar pomieszkać: San Francisco, Chicago i Kansas. Na czerwono oznakowali trasy wycieczek: Wielki Kanion i Park Yellowstone - miejsca, w których nie mieli zamieszkać, ale które z całą pewnością chcieli zobaczyć. Wyciągnęła z mapy niebieskie pinezki z Los Angeles i Nashville. Schowała je do kieszeni. Poprzestawiała czerwone, aby popłatać trasy. Gdyby mogła, podpisałaby się na tej ich mapie.

Nigdy nie przyszło im do głowy, że to jej sprawka, co w jakiś sposób tylko pogarszało sprawę.

- Rany Julek, spójrz, co się tutaj porobiło - powiedział Lewis i całe popołudnie spędzili na poprawianiu marszruty, podczas gdy Rose w milczeniu siedziała na łóżku Jim-my'ego.

Kiedyś weszła do pokoju brata, a on burknął:

- Jesteśmy zajęci. - Znowu pracowali nad mapą. -Dziewczynom wstęp wzbroniony.

- Wielka szkoda, bo wiem, gdzie jest basen, do którego można się włamać.

- Nieprawda - odparł Jimmy, ale spojrzał na nią z zainteresowaniem. - Gdzie? - zapytał.

Zaprowadziła ich do Trapelo Road, a potem na Lexington Street i dalej do Green Acres Day Camp i pokazała, jak przeleźć przez wysokie ogrodzenie. Woda w basenie była lśniąca, czysta i chłodna. Wskoczyli do niej w ubraniach, ale Lewis został po płytkiej stronie i tylko brodził.

- Skąd wiedziałaś? - zapytał, opryskując ją wodą.

- Po prostu wie się to i owo - odparła. Prawda była taka, że podsłuchiwała, jak dziewczyna z liceum rozmawiała ze swoim chłopakiem o tym, że zawsze tam chodzą. Chciała jednak, żeby chłopcy myśleli, że dowiedziała się o tym w jakiś magiczny sposób. - Jestem jak Houdini - po-



wiedziała. - Pewne rzeczy mi się ukazują. - A gdy Lewis się uśmiechnął, poczuła w sercu łaskotanie, jak trzepot ptasiego skrzydła. Nie powiedziała, że uważa Houdiniego za głupka. Facet mógłby żyć, gdyby poszedł do lekarza. Obiecał żonie, że wróci po śmierci, a nie wrócił.

- Ona wie różne rzeczy - potwierdził Jimmy. - Nauczyła mnie, jak robić kawały przez telefon. Wie, jak dostać burgera u Brigham'a i wymknąć się, nie zapłaciwszy.

Lewis spojrział na Rose z nowym zainteresowaniem. Po tym zdarzeniu rzadko ją wykluczali, a gdy Lewis przychodził pod nieobecność Jimmy'ego, zostawał i spędzał czas z Rose. Testował na niej swoje sztuczki magiczne, a ona pożyczala mu książki, które według niej powinien przeczytać. Wkrótce zaczęła go chronić tak jak Jimmy'ego, gdy był młodszy. Tylko że w przypadku Lewisa czuła się jakoś inaczej i trochę dziwnie. Powtarzała sobie, że szczotkuje włosy sto razy, bo są splątane, że podkrada perfumy Avy wcale nie z powodu Lewisa, który zresztą w ogóle tego nie zauważał. W końcu wszystkie dziewczyny w szkole chcą ładnie pachnieć. Rozmawiając z nią, Lewis zawsze patrzył jej prosto w oczy, a wtedy ona czuła, że się ku niemu nachyla. Głupio z jej strony. Lewis był najlepszym przyjacielem jej brata. Jej przyjacielem. Był za młody, dzieciak jeszcze. Dziewczyny w jej wieku interesowały się chłopcami z ósmej lub dziewiątej klasy, a nie szóstoklasistami, na których spoglądały z pogardą.

Teraz nie miała nikogo, kto chciałby z nią spędzać czas. Powiodła palcem po napisie, który ktoś wydlubał w blacie ławki. ***Biff kocha Tinę. Na zawsze.*** Zastanawiała się, czy nadal ją kocha. Zastanawiała się, co teraz robi Lewis i gdzie może być Jimmy. Wiedziała, że gdyby Jimmy nie żył, odczułaby to w swoim ciele. Wiedziałyby, gdyby został w jakiś sposób zraniony. A ona wciąż czuła z nim ten sam rodzaj połączenia, jakby nic się nie zmieniło. Ale niektóre rzeczy pozostawały w ukryciu, jak w magicznych sztuczkach Lewisa. Rose mogłaby przysiąc, że jeśli zamknie oczy i będzie

nasłuchiwać, Jimmy wyszepta jej, gdzie jest i dlaczego. Musi tylko wierzyć, że Jimmy żyje.

Pewnego popołudnia, wróciwszy ze szkoły, zastała matkę ubraną do wyjścia, w małym kapelusiku z woalką na głowie.

- Chodź - powiedziała. - Odwiedzimy niezwykle miejsce.

Wsiadły do samochodu. Rose nie odezwała się ani słowem, nawet gdy matka zaparkowała przed jakimś brązowym domem, nawet gdy otworzyła im kobieta w turkusowym turbanie.

- Och, stara dusza - powiedziała, spoglądając na Rose.

- Mam trzynaście lat - obruszyła się Rose.

- To panna Dianę. Medium - przedstawiła ją matka. -Pomoże nam odnaleźć Jimmy'ego.

Rose rozluźniła spięte mięśnie klatki piersiowej. Nic nie szkodzi, że turban panny Dianę z wydrukowanym wzorem w księżycy i gwiazdy wygląda jakoś podejrzanie - pomyślała. Panna Dianę poprowadziła je w głąb domu. Kanapa była przykryta plastikowym pokrowcem. Obok telewizora stała taca, a na niej talerz z czymś, co wyglądało jak makaron z serem. Pachniało czymś kwaśnym, jakby twarogiem. Rose spostrzegła w rogu pokoju kuwetę, a w niej leżącego kota. Dianę dotknęła dłonią ramienia Rose.

- Zobaczmy, co uda nam się dojrzeć - powiedziała.

Usiadły przy zielonym stoliku karcianym. Dot wręczyła pannie Dianę dwa złożone banknoty, które ta dyskretnie wsunęła do kieszeni. Następnie poleciła, by wszystkie wzięły się za ręce. Rose nie podobał się dotyk dłoni panny Dianę, ale gdy usiłowała wyswobodzić rękę, palce panny Dianę uchwyciły ją mocniej. Panna Dianę na chwilę zamknęła oczy i oddychała głośno. Następnie uniosła powieki i ku uldze Rose wypuściła ich dłonie.

- Widzę wodę - oznajmiła. - Głęboką zieloną wodę. -Pokręciła głową.

- Widzę literę „W”. Czy blisko was jest jakiś zbiornik o nazwie zaczynającej się na „W”?

- Walden Pond - odparła matka Rose drżącymi wargami.
- On żyje - powiedziała Rose. Wpiła paznokcie w gąbczaste krawędzie krytego skórą stołu.
- Walden Pond - powiedziała panna Dianę. - Oto co widzę. - I znowu zamknęła oczy. Nastąpiło milczenie. Rose usłyszała skrzypienie podłogi.
- On nie lubił Walden Pond - powiedziała Rose. Ilekroć Jimmy chodził tam z matką i z Rose, zostawał na brzegu. Woda była za zimna albo w koło było zbyt wielu ludzi. Zawsze znalazł jakąś wymówkę.
- Widzę głęboką wodę - ciągnęła panna Dianę. - I imię Jack. Czy ma ono dla pani jakieś znaczenie? - Gdy matka Rose nie odpowiedziała, panna Dianę rzekła: - Widzę imię Thomas. I Martin. Zna pani jakiegoś Martina? - Złożyła dłonie i splótła palce.
- Matka Rose pokręciła głową.
- Kim oni są? Kto to jest Martin? - Spojrzała na Rose, marszcząc czoło. - Może ty wiesz? - spytała błagalnie.
- Widzę jakiegoś Rodneya - powiedziała Dianę. Rozłożyła karty. Pojawiły się dwa króle. - Z całą pewnością mężczyzna - oznajmiła.
- Czy on wróci? - rozplakała się matka Rose. - Czy on żyje?
- On żyje - upierała się Rose, ale panna Dianę wzruszyła ramionami.
- Wiem tylko to, co mi się ukaże.
- Matka Rose chwyciła ją za rękaw, a gdy panna Dianę odsunęła rękę, matka znów ją chwyciła, tym razem mocniej.
- Jak pani może nie wiedzieć? Zapłaciłam czterdzieści dolarów! Jak pani może nie wiedzieć? Cóż z pani za człowiek? - Dygotała na całym ciele.
- Rose rozwarła zaciśnięte palce matki.
- Mamo - powiedziała. Panna Dianę wygładziła suknię.

- Nic więcej nie zobaczę - oznajmiła. - Może innym razem. Ale przynajmniej uzyskała pani informację.

Stała w drzwiach, patrząc, jak Rose i jej matka wsiadają do samochodu. Gdy Rose się obejrzała, panna Dianę pomachała jej ręką.

W drodze do domu Rose rozmyślała o plastikowych pokrowcach, zapachu w domu i kuwecie. Przypomniała sobie, że panna Dianę zamknęła oczy zaledwie na dwie sekundy.

- To oszustka, mamó - powiedziała. - Ja wiem, że on żyje. - Ale matka wpatrywała się w jezdnię przed sobą.

- Pozwól mi się skoncentrować na prowadzeniu auta - syknęła.

Zaraz po powrocie do domu matka zatelefonowała na policję. Rose nie słyszała wszystkiego, tylko tyle, że wciąż powtarzała:

- Proszę. Zróbcie to. Jak daleko jest Walden Pond? Dojedźcie tam w pięć minut. Nic nie wiem o mediach, ale to jedno z miejsc, gdzie chodził. Może warto sprawdzić?

Minęła godzina. Zadzwoił detektyw i powiedział matce, że nic nie znaleźli. Żadnych poszlak. Nikt pracujący w pobliżu nic nie zauważył. Jezioro jest przejrzyste, nie trzeba spuszczać wody. Oznajmił również, że nie mają czasu na fałszywe alarmy.

Następnego dnia po powrocie ze szkoły Rose zastała matkę skuloną na łóżku, jeszcze w koszuli nocnej, chociaż w domu byli policjanci. Popijali kawę przy stole w jadalni.

- Mamó?

Matka przywołała ją, poklepując łóżko. Zaskoczona Rose usiadła przy niej, a matka objęła ją ramieniem, unieruchamiając w miejscu.

- Moja dziewczynka - powiedziała, a Rose usiłowała zmienić pozycję. Perfumy matki pachniały zwietrzałą wanilią. Trzymała Rose jak w imadle. Gdy Rose starała się poruszyć, ścisnęła mocniej. - Zostań - poprosiła.

- Mamo - powiedziała. Czuła się tak, jakby połknęła ścierkę do naczyń. - Ja wiem, że on żyje.

Uścisk zelżał. Matka usiadła.

- Rose, proszę - powiedziała.

- Żyje. Ja to wiem. Czułabym, gdyby coś się stało...

- To się na nic nie zda - odparła matka, podnosząc się z łóżka. Sięgnęła po szlafrok, narzuciła go na siebie. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i odwróciła się z niesmakiem. Rose zawsze uważała, że matka jest ładna, lubiła, gdy w szkole podstawowej pomagała pilnować dzieci w czasie wycieczek, ubrana w kwieciste suknie, stukając wysokimi obcasami. Ale teraz podeszła do córki jak stara kobieta i Rose zapragnęła rzucić jej się w ramiona i błagać: nie odchodź, nie odchodź.

- Mogę go znaleźć - powiedziała.

- Możesz go znaleźć, tak? Przede wszystkim nie trzeba było go zgubić - powiedziała matka i wyszła, zostawiając Rose samą.

Rose wyszła ze szkoły. Matka dała jej pieniądze na taksówkę do domu, ale Rose całą drogę przeszła, nie spiesząc się, pieszo. Nie chciała wracać do domu i nasiąkać smutkiem matki. Gdy dotarła do Warwick Avenue, zobaczyła panią Hill, która właśnie zostawiła Lewisa przy jego domu. Żadne z nich nie spostrzegło Rose. Dobrze się złożyło, bo pani Hill najprawdopodobniej nawrzeszczałaby na Rose, że sama chodzi po okolicy. Poczekala, aż pani Hill odejdzie, i szybko podbiegła do Lewisa.

Wzięła go za rękę i delikatnie odciągnęła na bok.

- Co ty tu robisz sama? - zapytał bezbarwnym, smutnym głosem.

- Jimmy żyje.

Chwycił ją za ramiona, nagle rozpromieniony.

- Naprawdę? Gdzie on jest?

- Nie wiem, gdzie jest. Po prostu znam brata i wiem, że jest gdzieś, żywy.

Lewis wsadził ręce do kieszeni. Opuścił głowę, uśmiech znikł. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Skąd wiesz?

- Po prostu czuję.

- Rose, uczucie o niczym nie świadczy.

- Mówię ci. Ja czuję. Czuję. - Wzięła Lewisa za rękę. -Kto go zna lepiej od nas? Nie mam nikogo prócz ciebie. Powinieneś mi pomóc. Musisz. Pamiętasz Houdiniego? Rzeczy nie zawsze są takimi, jak się wydają. Musimy coś zrobić. Nie możemy po prostu siedzieć z założonymi rękami.

Spoglądał gdzieś poza nią, jakby się zastanawiał.

- Co chcesz zrobić?

To był pomysł Rose. Żeby kupić specjalne notesy i zapisywać wszystko, tak jak policjanci.

- Ilekroć poczuję coś, przechodząc obok jakiegoś miejsca, zapiszę to, żebyśmy mogli sprawdzić - oznajmiła.

- Może powinniśmy zapisywać wygląd ludzi, którzy wydali nam się podejrzani - powiedział Lewis. - I numery rejestracyjne samochodów. Możemy spróbować odtworzyć, gdzie kto był tamtego dnia.

- Zbadamy wszystko. I wszędzie będziemy chodzić z naszymi notesami. Musimy zebrać tyle informacji, ile się tylko da. Potem porównamy notatki.

Poszli do Star Market, chociaż nie powinni byli chodzić bez opieki. Zatrzymali się tylko po to, by Rose zatelefonowała do matki z automatu i skłamała na temat taksówki.

- Wysłałam ze szkoły za późno, więc musiałam ją wezwać jeszcze raz. -1 obiecała, że wkrótce wróci do domu.

W Star były wszelkie rodzaje notatników z podobiznami gwiazd filmowych na okładce. Lewis wybrał notes z Tonym Curtisem, który grał w filmie Houdiniego, chociaż Rose uważała, że jego włosy sprawiają wrażenie zbyt tłustych. Rose uznała, że Judy Garland wygląda jak osoba niezrównoważona psychicznie, i w końcu zdecydowała się na notes z Jimmym Stewartem, bo uznała, że ma sympatyczną twarz i nosi to samo imię co ich Jimmy.

Przyszli do domu Rose, i Dot zdziwiła się na widok Lewisa. Nic jednak nie powiedziała. Natychmiast przystąpili do pracy. Cichutko weszli do pokoju Jimmy'ego i skatalogowali wszystko w swoich notatnikach: guzik w szufladzie z bielizną, ciemna plama na białym podkoszulku oraz narysowany przez Jimmy'ego portret mężczyzny z głową ryczącego lwa na ludzkim ciele.

- Co to może znaczyć? - zdziwił się Lewis. - Czy może nam jakoś pomóc?

- Nie wiem. Po prostu mam przeczucie. Zapisz to.

Tego wieczoru, po wyjściu Lewisa, Rose napisała w swoim notesie krótki list do Jimmy'ego, jakby brat w jakiś sposób mógł odczytać jej słowa i odnaleźć drogę powrotną.

***Kochany Jimmy,  
jeden z gliniarzy, będąc w Twoim pokoju, zostawił biały odcisk  
kubka na stole. Przykro mi, że przeglądali wszystkie Twoje rzeczy i  
prawdopodobnie coś zniszczyli.***

Zastanawiała się, czy mu o tym napisać, ale potem uznała, że nie będzie go oszczędzała, bo kto wie, jaka informacja może mu być potrzebna. Opisała mu wszystko, co się dzieje w pobliżu. Jak sąsiedzi na jej widok uważniej pilnują swoich dzieci, jak ich matka płacze nocami, myśląc, że Rose jej nie słyszy, bo śpi, że mieszkający o przecznicę dalej Bocardowie, mimo że nie mają dzieci, kupili sobie wielkiego dobermana, którego zabierają na spacer, żeby ich bronił. Napisała to wszystko, bo jeśli Jimmy wróci i nie będzie czegoś pamiętał, ona mu to wszystko opowie.

Większość wolnego czasu spędzała, kręcąc się po domu lub czytając. Dzieci nie przestały bawić się na dworze. Widywało się je, ale wyłącznie w towarzystwie rodziców. Gdy natknęła się na któreś z nich, wypytywały o Jimmy'ego. Czy coś o nim wiadomo? Czy są jakieś poszlaki?

- Może pomożecie mi go szukać? - pytała z nadzieją, ale dzieciaki miały stracha.

- Mama by mi nie pozwoliła - odrzekł jeden chłopiec.

- Muszę wracać prosto do domu - odpowiedziała dziewczynka.

Rose spostrzegła, że dzieci unikają jej spojrzenia, a ich ojcowie spoglądają na nią z takim smutkiem, że z kolei ona odwracała wzrok.

Matki były jeszcze gorsze. Kiedyś Rose siedziała sama na ganku, czytając książkę. Nadeszła pani Hill.

- Wejdz do domu - powiedziała.

- Siedzę na ganku - odparła Rose.

W domu wciąż kręcili się policjanci. Rose czytała *Orkan na Jamajce*. Czula się jak angielska dziewczynka na statku, a tu pani Hill ściąga ją z powrotem na ziemię, na Warwick Avenue.

- Masz być posłuszna - powiedziała pani Hill. Chwyciła Rose za ramię, wpijając palce w jej ciało. - To może być każdy. Ktoś, kogo nie znasz. Ktoś, kogo nie chcesz znać. Słyszysz, co mówię? - Rose usiłowała się wyswobodzić, ale pani Hill mocniej zacisnęła dłoń. - Rose - powiedziała. - Po prostu niepokoję się o ciebie. Nie przyprawiaj mnie o atak serca. W domu będziesz bezpieczniejsza. I gdzie masz gwizdek, który powinny nosić dzieci? Dlaczego nie masz go przy sobie?

Wreszcie ją wypuściła i dziewczynka roztarta ramię. Skóra wciąż była czerwona.

Rose otworzyła drzwi i weszła do domu. Panował tam zaduch. Nie musiała zaglądać do pokoju matki, by wiedzieć, że znów zasnęła w ubraniu. Przy łóżku stała ta buteleczka z pigułkami. Ostatnio matka spędzała większość czasu w łóżku. Na krzesłach piętrzyły się brudne ubrania, a w zlewie niepozmywane naczynia. Jeśli Rose czegoś nie ugotowała, do jedzenia były tylko płatki śniadaniowe i jakieś owoce.

Dawniej Lewis opowiadał Rose, że nie lubi przebywać w domu, bo matka wciąż jest w pracy. Pokazał jej, jak ugotować obiad, a pewnego popołudnia nawet przygotował dla niej spaghetti, czym bardzo jej zaimponował. Teraz ona



także nie lubiła siedzieć w domu. Sąsiedzi nadal przynosili im jakieś jedzenie - kamionkowe naczynia z zapiekanymi hot dogami i *tatertotsy*\*, które wystarczyło podgrzać i już nadawały się do podania, ale matka najczęściej nie wstawiała na obiad.

Rose nie smakowały te zapiekanki, bo pachniały jakoś dziwnie, ale tego dnia w lodówce nie było nic prócz rozmiękłych pomidorów i cebuli. Wyjęła je i położyła na blacie. Wyjęła z szafki paczkę spaghetti i usiłowała sobie przypomnieć, jak gotował je Lewis. Nalała na patelnię trochę oliwy. Pokroiła pomidory i cebulę. Smażyła je, mając nadzieję, że wyjdzie z tego jakiś sos i że zapach nie obudzi matki. Gdy zrobiła się papka, spróbowała troszeczkę. Zupełnie niezłe - pomyślała i polala nią ugotowane kluski. Nałożyła na talerz i zaniósła matce.

- Mamo - powiedziała. - Musisz coś jeść. - Matka przeturlała się na bok i przykryła kocem.

Rose ją szturchnęła.

- Przygotowałam dla ciebie posiłek - nalegała. Matka uniosła się i spojrzała na Rose jak na obcą osobę. - Daj mi spać - powiedziała.

„Moja piękna dziewczynka - mawiała o niej matka. - Z twarzyczką jak u lalki”.

Zapraszała do domu akwizytorkę firmy Avon, żeby dostać darmowe próbki szminki. Czasami zabierała Rose do dyskontowego sklepu Zayre, żeby kupić jej sukienkę. Ceny przyprawiały je o zawrót głowy. Ubrania były tak tanie, że można było kupić trzy sukienki naraz. Zdarzało się, że wróciwszy ze szkoły, znajdowała ułożone na łóżku ubrania z Filene's Basement. Sukienki ze sztucznego jedwabiu ze złotymi guzikami i jedwabnymi wiązaniami. Welwetowe spódniczki z czerwonym zygzakiem na obrąbku. „Spójrz na metki! - mówiła matka. - Bergdorf Goodman, I. Magnin. Spójrz na ceny!”. Chwaliła się, że szykowną sukienkę za

**\* Tater Tots - rodzaj przekąski przyrządzanej z pieczonych ziemniaczków.**

dwadzieścia dolarów udało jej się kupić za dwa dolary. „Nie musisz być bogata, żeby wyglądać elegancko, jakbyś wydała masę pieniędzy” - mówiła.

Teraz Rose już nie wyglądała elegancko. Prawdę powiedziawszy, przez cały tydzień nosiła ten sam żółty pulower i tylko zmieniała bluzki, które pod niego wkładała. Nie szczotkowała włosów, tylko splatała je w warkocze. Ludzie traktowali ją wyrozumiale.

„Przeżywa trudne chwile” - usłyszała jedną z nauczycielek. Ale Rose miała ochotę zapytać: „A co z Jimmym? Co on przeżywa?”.

Rose wróciła do kuchni i zjadła spaghetti sama. Właściwie nie była głodna, ale powiedziała sobie, że musi być zdrowa i mieć siłę, by odnaleźć brata. Następnie pozmywała po sobie i umyła wszystkie zalegające w zlewie naczynia i kubki, z których policjanci pili kawę. Poszła do łazienki i przejrzała się w lustrze. Grzywka urosła tak bardzo, że zasłaniała oczy. Nauczycielki zawsze prosiły, żeby związywała włosy, co było kłopotliwe i denerwujące. Miała teraz włosy do pasa, takie długie i czarne, że dzieciaki pytały, czy jest czarownicą i rzuca uroki.

- W waszej wyobraźni - odparła.

Gdyby umiała czarować, zrobiłaby to już dawno. Zamachała rękami. „Abrakadabra” - wyszeptała, ale nie zdarzyło się nic, oprócz tego, że włączyło się ogrzewanie.

Ostatnio schudła tak bardzo, że miała zapadnięte policzki, a przy bladej twarzy oczy sprawiały wrażenie bardziej błyszczących. Nieobecność Jimmy'ego czyniła ją bardziej tajemniczą. Dzieciaki przyglądały jej się, a starsi chłopcy nagle zaczęli ją zauważać. Była dziewczyną, której brat zniknął. Przeżywała coś, co sprawiało, że wiedziała więcej niż oni.

Nadal co wieczór pisywała do Jimmy'ego w swoim notesie. A im więcej pisała, tym silniejsze miała wrażenie, że Jimmy stoi obok niej. „Ludzie mówią, że Twoje zwłoki są w lesie, w wodzie. Ja w to nie wierzę”. Czasami odczyty-

wała na głos swoje zapiski, jakby słowami budowała most. Im więcej stron zapełniała, tym większą czuła nadzieję. On ją usłyszy. Odnajdzie drogę powrotną.

Nagle ogarnął ją paniczny strach. Usiadła na sedesie. To przez nią. Ona była za niego odpowiedzialna. Gdyby sobie nie poszła, zatrzymałaby samochód, którym go porwano, albo pobiłaby i skopała osobę, która go uprowadziła. Mogłaby wzywać pomocy - wszyscy reagują na wrzaski dziewczyny. Mogłaby go uratować.

Zielona szczoteczka do zębów, której używał Jimmy, wciąż wystawała z jego kubka. Rose dotknęła szczeciny, a potem szybko polala ją wodą, żeby była wilgotna, jakby przed chwilą się nią posłużył. Znów przejrzała się w lustrze. Ma jego oczy. W odpowiednim świetle ma także jego podbródek. Zastanawiała się, czy ludzie, patrząc na nią, widzą Jimmy'ego. Jeśli człowiek, który zabrał jej brata, tak pomyśli, może zechce zabrać także ją i w ten sposób doprowadzi ją do Jimmy'ego.

Otworzyła apteczkę i znalazła nożyczki matki. Ujęła pasmo włosów i obcięła na wysokości uszu. Włosy opadły na podłogę, obsypując Rose drobnymi ścinkami. Zawsze nosiła długie włosy. Nie chciała pójść do fryzjera w salonie piękności Clip N' Curl, nie chciała zakładać wałków na noc, a rano spryskiwać loków lakierem. Nie podobały jej się fryzury, które podsuwała jej matka: na chryzantemę albo na chłopczycę czy na pudła. Na widok własnych włosów zaścielających podłogę doznała wstrząsu, ale nie przestała ich ścinać. Skróciła nawet grzywkę, dzięki czemu jej oczy stały się wielkie jak u bohaterek filmów rysunkowych. Gdy skończyła, włosy miała króciutkie jak chłopak. Spojrzała w lustro i dotknęła swego odbicia.

Wyglądała jak Jimmy.

Sprzątnęła łazienkę, wyrzuciła włosy do kosza, wymyła umywalkę. Głowa stała się niewiarygodnie lekka, jak gdyby miała wzlecieć, niczym balon napęczniony helem. Rose zupełnie się zmieniła i dobrze się z tym czuła.

Weszła do pokoju Jimmy'ego. Otworzyła szufladę i wyjęła parę dzinsów oraz ulubioną koszulkę brata. Ubrała się w nie. Dzinsy były trochę za duże, ale trzymały się na biodrach i mogła wziąć z szafy Jimmy'ego kupiony w wiosce indiańskiej pasek. Włożyła jego tenisówki, nakładając je na trzy pary skarpetek brata, żeby nie spadały jej z nóg.

Zasiadła w fotelu w salonie i zaczęła czytać książkę o piratach. Tak ją to pochłonęło, że nie zauważyła matki, która weszła do pokoju. Spostrzegła ją dopiero wtedy, gdy usłyszała jej okrzyk. Rose podniosła głowę znad książki i zobaczyła, że matka opiera się o ścianę.

- Coś ty zrobiła, Rose? - powiedziała i podeszła bliżej. Pachniała snem i potem. Zaniepokojona Rose wstała.

- Pójdziemy do Clip N' Curl. Jakoś to poprawią.

- Nie chcę, żeby ktoś dotykał moich włosów. Matka spojrzała na ubranie Rose.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytała, a potem położyła dłoń na głowie Rose. Pochyliła się i Rose poczuła pocałunek na włosach. - Przepraszam - powiedziała. - Bardzo cię przepraszam, córeczko. - Rose chciała przytulić się do matki, ale Dot powlokła się do sypialni.

Rano, gdy Rose zeszła na śniadanie w spodniach Jimmy'ego, matka nic nie powiedziała. Ale podała jej szczotkę do włosów.

- Przynajmniej szesz je do tyłu - poleciała i Rose wykonała kilka symbolicznych ruchów.

Gdy pojawiła się na przystanku szkolnego autobusu, dzieciaki gapiły się na nią, ale nikt nie powiedział ani słowa, chociaż niektóre dziewczynki z zażenowaniem pomacały własne fryzury i odsunęły się od Rose, szepcząc i nie spuszczać z niej oczu. Rose wsiadła do autobusu i znalazła miejsce z tyłu. Siedziała sama, co jej bardzo odpowiadało, bo mogła wyglądać przez okno i wypatrywać śladów Jimmy'ego. Wmaszerowała do szkoły i natychmiast usłyszała podążające za nią szepty, niczym ścigający ją przy-

pływ. Fale zbliżały się do niej, przez co czuła się jeszcze bardziej wyzywająca. Jediną osobą, która się do niej odezwała, był dyrektor, który wezwał ją do swego gabinetu po trzeciej przerwie.

- Jeśli chcesz pójść do domu, nie wpiszę ci nieobecności - powiedział. Rose odparła, że chce zostać w szkole.

Po powrocie do domu stanęła na ganku, czekając na przejeżdżający samochód. Czekając, aż człowiek, który zabrał Jimmy'ego, wróci i ją znajdzie. Nadjechał samochód, a ona wyprostowała się, czując łomotanie serca. No, chodź -myślała. Wzywam cię. Chodź i mnie zabierz. Dobijemy interesu. Ja zamiast niego. Czuła, że rozpozna porywacza, gdy tylko go zobaczy.

Siedząc na frontowych schodkach, spostrzegła Lewisa. Stał nieruchomo, nie spuszczać z niej wzroku.

- Myślałeś, że to on, prawda? - spytała. - Przez chwilę myślałeś, że to on. - Usłyszała własny, łamiący się głos i zaczęła dygotać na całym ciele. Zaciśnęła wargi.

Podszedł i usiadł obok niej. Czuła ciepło jego ciała.

- Wiedziałem, że to ty - powiedział, a potem objął Rose ramieniem, gdy się rozplakała.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miesiąc po zaginięciu Jimmy'ego, w chłodny majowy wieczór, Ava stawiała się na sąsiedzki patrol ubrana w czarne elastyczne spodnie z gumkami pod podbiciem, czerwone pantofle na płaskim obcasie i z włosami związanymi złocistą szyfonową chustką. Przyszła pół godziny przed czasem, ale była tak niespokojna, że po prostu nie mogła dłużej czekać. Zmarzła w dłonie, więc mocno je zacisnęła, a idąc, dla rozgrzewki energicznie stukała piętami o ziemię. Nikt jej nie zapraszał, ale zobaczyła zawiadomienia rozlepione na słupach telefonicznych. Widniała na nich adnotacja: „WYŁĄCZNIE RODZICE”. ELLIE ROBERTS, 105 WARWICK, ZAPEWNI OPIEKĘ DZIECIOM. Ava nie chciała, by Lewis wychodził z domu, i przypomniała mu o swoim zakazie odbierania telefonów i otwierania drzwi. Przed wyjściem sprawdziła okna i zamknęła drzwi na zamek.

Lewis już nie pozwalał, by całowała go na pożegnanie w białe jak mleko policzki ani w szyję, ani nawet w nos. Ale pochylił głowę, więc mogła przycisnąć wargi do jego głowy, do jedwabistych włosów.

- To nie potrwa długo - zapewniła.

Mieli się spotkać o szóstej przed domem Boba Gallaghery, ale ulica jeszcze była pusta. Ava nie mogła stać i czekać - była zbyt spięta i roztrzęsiona - więc obeszła kwartał,

załując, że wcześniej nie zwracała uwagi na okolicę, dzięki czemu teraz poznałaby, czy coś się zmieniło. Pośrodku Greer Street znalazła sznurowadło z wystrzępionymi końcami, ale mogło przecież należeć do każdego. Wepchnęła je do kieszeni, jak talizman. Zauważyła coś lśniącego obok studzienki ściekowej, ale gdy przystanęła, spostrzegła, że to klucz od wrotek, a Jimmy nie jeździł na wrotkach.

Szła dalej, wypatrując czegoś, co mogło mieć jakieś znaczenie. Im bardziej się starała, tym więcej szczegółów jej umykało. Czuła się coraz gorzej.

Dotarła do Abbot Road i zawróciła. Gdy wróciła na Warwick, dookoła domu Boba Gallaghera zebrał się już pokaźny tłum. Pomachała im, a podchodząc bliżej, czuła na sobie wzrok mężczyzn. Spojrzała w dół na swoje elastyczne spodnie. Sprzedawczyni w Filene's namówiła ją do tego zakupu, zapewniając, że się rozciągną. „Doskonale uwydatniają pani wspaniałą figurę” - powiedziała, a Ava przejrzała się w lustrze, głaszcząc się po biodrach i czując miły dotyk napiętej tkaniny. Teraz zrozumiała, że popełniła błąd. Wystarczy spojrzeć, jak Ellie pilnuje męża, który zlustrował Avę wzrokiem. Ava pożałowała, że nie wzięła swetra, którym mogłaby się obwiązać w tali.

Debbie spojrzała na nią zaskoczona.

- O Ava, także tu przyszłaś - powiedziała.

- Dot jest moją przyjaciółką - odparła Ava.

- Dot nie przyszła - rzekła Debbie.

Gdy ruszyli wzdłuż ulicy, Ava wlokła się w tyle, za grupą, więc nic dziwnego, że nikt z nią nie rozmawiał. Rozdano latarki, ale ona przyniosła własną i pokazała ją z dumą.

- Po co ci taka duża latarka? - spytała Tina Gallagher zaczepnie.

- Ma daleki zasięg - wyjaśniła Ava, oświetlając zarośla wzdłuż chodnika.

- Oszczędzaj baterie. Bardziej przydadzą się w lesie - pouczył ją Bob Gallagher.

Ale Ava nadal świeciła tu i tam. Nie chciała niczego

przeoczyć. Smugi światła padły na domy. Spod samochodu umknął spłoszony kot. Weszli do lasu za szkołą. Stąpając po gąbczastym, podmokłym gruncie, Ava poczuła, że zarośla drapią ją po kostkach.

- Powinni byli spalić ten las - powiedział ktoś, a Ava pomyślała o tym, że gdy wynajmowała dom, ów las uchodził za zaletę. „Nie ma pani pojęcia, ile ludzie płacą, by mieć roślinność tuż obok domu” - zapewniał ją agent.

Dolatywały do niej strzępki rozmów. Ktoś wspomniał, że policja nie jest zbyt aktywna. Czemu nie uruchomią gorącej linii? Dlaczego nie bywają codziennie w domu Dot? Dlaczego detektywi nie patrolują okolicy wraz z mieszkańcami? Ava słyszała, jak policjanci mówili, że wiele razy dokładnie przeczesał okolicę i że nic się już nie znajdzie. „Usiłując pomagać, wcale nie robicie nam przysługi - powiedział detektyw Maroni. - Przeoczylibyście kluczową przesłankę, nawet o tym nie wiedząc”. - Ale przecież nie mogli pozostać bezczynni. A poza tym o jaką przesłankę chodzi? Przecież wszyscy wiedzą, że policja nic nie znalazła. Sąsiedzi rozprawiali coraz głośniejsze.

- Uważam, że nie powinniśmy chodzić zwartą grupą. Trzeba się rozdzielić - powiedział Bob Gallagher. - Być może należy posługiwać się walkie-talkie. Zdaje się, że mój dzieciak ma coś takiego.

Każdy miał coś do powiedzenia. Avie wszystkie te sugestie wydawały się nic niewarte.

- Powinniśmy zatrzymywać każdego, kto przyjedzie do Waltham, i jeśli się okaże, że nie ma sensownego powodu, by tu być, spiszemy numery rejestracyjne samochodu - powiedziała Debbie.

- Moglibyśmy uruchomić punkty kontrolne - dodał jej mąż.

- A co ze śmietnikiem przy Morgan Memorial? - zapytał ktoś.

- Już tam sprawdzaliśmy - odparł z westchnieniem Bob.

- Słyszałam, że detektywi chcą po prostu kogoś złapać.



I to szybko - powiedziała Debbie. - Czy powiedzieliby to samo, gdyby chodziło nie o Waltham, ale o Belmont albo Cambridge?

Rozmawiano o Dot, o tym, jakie to dla niej musi być okropne. Najpierw młodo straciła męża, a teraz syna. Jakie to szczęście, że ma jeszcze Rose, chociaż to taka dziwna dziewczynka. Zdaje się, że nie ma zbyt wielu przyjaciół. A poza tym cóż to za matka, że pozwala jej chodzić w ubraniach brata i z obsmyczonymi włosami?

- Rose wcale nie jest dziwna - wtrąciła się Ava. Odchrząknęła i dodała głośniej: - Jest śliczną młodą dziewczyną.

Kilka idących z przodu pań spojrzało na Awę.

- Przyjaźni się z moim synem - ciągnęła Ava. Oblała ją fala gorąca. Kiedy to powiedziała, przepełniło ją poczucie winy, jak gdyby zrobiła coś złego.

Debbie poruszyła wargami, jakby coś mówiąc. A wtedy wykrzyknął Bob Gallagher:

- Znaleźliśmy coś!

Kobiety przestały interesować się Awą i wszyscy pobiegli naprzód. Ava także. Oddychała z trudem. Bob Gallagher podniósł zabłocony sandał ze zwisającym niczym język rzemieniem. Ręce Boba drżały. Trzymał sandał wysoko, aby każdy mógł go zobaczyć. Metalowa klamerka lśniła srebrzyście w świetle latarek.

- Na miłość boską - odezwał się kobiecy głos. - Toż to sandał mojej Marshy. Zgubiła go w zeszłym tygodniu.

Podano sandał kobiecie, która przyjrzała mu się i odrzuciła na ziemię.

- Jest zniszczony - oznajmiła.

Po tym zdarzeniu wszyscy wrócili do domu, chociaż Ava uważała, że powinni szukać dalej.

- Świat się dzisiaj nie kończy - skwitował Bob Gallagher. Ale jeśli w głębi lasu coś się kryje? Poszłaby sama, ale w ciemności brakło jej tchu.

Rozejrzała się w koło, poszukując wsparcia, ale nikt nie

był zainteresowany dalszymi poszukiwaniami. Stracili zapach, z jakim zaczęli wędrówkę. Grupa zawróciła. Tym razem Ava znalazła się na początku, ale nikt nic nie mówił. Słychać było tylko szelest liści pod stopami, a od czasu do czasu świst gałązki, która wczepiła się w czyjeś ubranie. Gdy wyszli z zarośli i dotarli do Warwick Avenue, świat wydał im się tak jasny, jakby ktoś włączył oświetlenie.

- Do widzenia, do jutra - powiedziała Ava, lecz nikt jej nie odpowiedział.

Wróciła do domu i z zadowoleniem stwierdziła, że Lewis, tak jak go prosiła, zamknął drzwi frontowe na wszystkie spusty. Był w sypialni, dochodziła stamtąd muzyka. Uchyliła drzwi, żeby zobaczyć jego twarz. Spał w łóżku. Wyłączyła radio, przykryła syna kocem i zgasiła światło.

Poczuła się samotna i opuszczona. Wyjrzała przez okno. Kilko sąsiadów wciąż kręciło się po okolicy.

Usłyszała terkotanie zbliżającego się motocykla. Stukanie do drzwi. Otworzyła. Na progu stał Jake.

Usiedli w salonie i Ava opowiedziała mu o minionym wieczorze. Jake odchrząknął.

- Przemyślałem sprawę - powiedział i wtedy Ava spostrzegła, że jest bardzo starannie ubrany. Miał na sobie białą jedwabną koszulę, włosy zaczesał do tyłu. - To nie wygląda dobrze, Avo.

- Nie mów tak - powiedziała cicho. - Przecież nic nie wiesz.

- Nie mogą go znaleźć i sytuacja wygląda coraz paskudniej. A gdybyśmy wszyscy troje, ty, Lewis i ja, stąd pry snęli?

- Co?

- Zatelefonowałem już tu i tam. Mam coś na oku na zachodnim wybrzeżu. Moglibyśmy wynająć dom na plaży. Lewis byłby zachwycony. Tobie też by się podobało, Avo.

- Chcesz się stąd wynieść, Jake? Ja nie mogę. Brian grozi mi odebraniem opieki nad dzieckiem. Jeśli zabiorę naszego syna z tego stanu... on tylko czeka, żeby mi utrudnić życie.

- Niech spróbuje. Poradzimy sobie. Ava przekrzywiła głowę.

- Mówisz o małżeństwie?

Milczenie Jake'a sprawiło, że Ava zapragnęła zapaść się pod ziemię. Wiedziała, jakie ma zdanie na temat małżeństwa. Wielokrotnie wskazywał milczące pary w restauracjach. „Oto jak wygląda małżeństwo” - mawiał.

- Nie moglibyśmy najpierw po prostu zobaczyć, jak się nam ułoży?

- Nie mogę się do ciebie wprowadzić - powiedziała. - Brian odebrałby mi Lewisa, a sąd by na to wydał zezwolenie.

- Jesteś pewna?

- Nie znasz Briana. Oskarżyłby mnie o to, że jestem latawicą. A poza tym nie mogę przenieść Lewisa do innej szkoły, z dala od przyjaciół.

Jake westchnął.

- Gdyby Brian miał zamiar coś zrobić, czy już by tego nie zrobił?

- Wolę nie ryzykować - odparła.

Lewis spał w domu, więc Jake nie mógł zostać na noc. Rano Ava zatelefonowała do adwokata, ale gdy poruszyła temat ewntualnej przeprowadzki, ten odchrząknął i powiedział:

- Nie wiem, czy to najodpowiedniejsza chwila. Musi pani udowodnić, że zapewnia dziecku spokojny dom. A wprowadzając się bez ślubu do jakiegoś faceta, nie przekona pani sędziego.

Gdy powtórzyła to potem Jake'owi, milczał przez chwilę.

- To co ja mam zrobić? - zapytał w końcu. - Nie chcesz być ze mną?

- Oczywiście, że chcę. Jestem z tobą! Powtórzyłam ci tylko, co powiedział adwokat.

Czuła, że Jake się oddala. Po tej rozmowie nie widywała go zbyt często, a gdy telefonował, było tak późno, że zasypiała nad słuchawką. Wypytywał, jaki miała dzień, ale gdy

tylko poruszała temat Jimmy'ego lub sąsiadów, powtarzał zawsze to samo:

- Możemy to zostawić, Avo. Możemy się przenieść gdzie indziej.
- Już ci mówiłam, że nie mogę się stąd wyprowadzić. Nie teraz.
- Romans na odległość mnie nie interesuje - powiedział kiedyś. - Tylko od ciebie zależy, czy nasz związek przetrwa. - Zamilkł na chwilę. - Jestem zmęczony. Nie chcę o tym rozmawiać. Spotkajmy się jutro u mnie w klubie. Wtedy porozmawiamy o przyszłości.

Poczuła ulgę. Porozmawiają. Właśnie tego potrzebowała. Zawsze lepiej przedyskutować sprawę twarzą w twarz, a nie przez telefon. A poza tym liczyła na komunikację pozawerbalną. Pomyślała o ciemnym lesie i o tym, jak bezpiecznie by się poczuła podczas poszukiwań, gdyby on był przy niej.

- Zobaczymy się o ósmej - powiedział. - Pod Szerszeniem.

Ava siedziała przy małym drewnianym stole naprzeciw Jake'a. Miał przerwę pomiędzy występami i mógł jej poświęcić pół godziny. Zazwyczaj na przywitanie brał ją za rękę i całował w koniuszki palców. Dziś nawet jej nie tknął. Już po sposobie, w jaki grał, poznała, że coś jest nie w porządku. Dźwięki brzmiały jakoś sztucznie. Spostrzegła również, że podczas rozmowy spogląda na zegarek i wierci się na krześle. Chciała dotknąć jego włosów i odgarnąć je z czoła. Pragnęła przytknąć czoło do jego czoła, aby poznać jego myśli. Wyciągnęła rękę ku jego dłoni, ale on ją cofnął.

- Mam wilgotne ręce od piwa - wymówił się i wytarł dłonie w serwetkę, zanim znów sięgnął po szklanke.

Wokół nich rozbrzmiewały rozmowy, ale Avie słowa więzły w gardle. Poczuła, że w przegrzanym klubie jej włosy stają się wilgotne i poskręcane. Jeszcze trochę, a fryzura całkiem się rozleci i ubranie przesiąknie dymem pa-

pierosów. Przysunęła się bliżej do Jake'a, rysując krzesłem podłogę.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała. Własny głos wydał jej się obcy, jakby zardzewiały. - Już się stęskniłam - powtórzyła. Odczuwała ból w całym ciele. Miała ochotę ukąsić go w ramię, wziąć go za rękę i włożyć sobie do ust jego palce.

- Ja także za tobą tęskniłem - powiedział. - Nie bierz tego do siebie - dodał.

Niby jak ma nie brać tego do siebie? Wszystkie czasopisma kobiece pouczyły, że należy ustępować mężczyźnie. Rozmawiać z nim o tym, co go interesuje. Dbać o swój wygląd, by mu się podobać. Gotować jego ulubione dania. Przyjaźnić się z jego przyjaciółmi. Robiła to wszystko, a nawet więcej, dla Briana, i oto do czego ją to doprowadziło. Nauczyła się wędkować, chociaż kołysanie łódki przyprawiało ją o mdłości, bo Brian lubił łapać ryby. Namówił ją na przefarbowanie włosów na blond. I zrobiła to, a jedwabiste włosy zmieniły się w sztywne druty. „Przyznaję, że to był błąd” - oznajmił Brian, dając pieniądze na fryzjera, by przywrócił jej naturalny kolor brunetki.

Jake nigdy o nic nie prosił. „Podobasz mi się taka, jaka jesteś” - powiedział kiedyś, ale najwyraźniej teraz coś go w niej drażniło. Co powinna zrobić? Kim powinna być?

Wygladziła sukienkę z białej ażurowej bawełny, z podwyższonym stanem, krótkim kimonowym rękawem i krynoliną. Wiedziała, że wygląda dobrze. Gdy weszła do klubu, chciało ją poderwać czterech mężczyzn, ale ich zlekceważyła. „Hej, ślicznotko!” - wołali za nią. A teraz Jake jakby jej nie dostrzegał. Wypił piwo i skinął na kelnerkę, pokazując pustą szklankę.

- Wyglądasz, jakbyś nie spała albo nie jadła - powiedział. - Masz podkrążone oczy.

- Wszystkiemu winne jest to, co się dzieje w sąsiedztwie - odparła.

- Chcę, żebyście ty i Lewis wyjechali i zamieszkali ze mną. Ile razy mam ci powtarzać?

Kelnerka przyniosła piwo. Jake pociągnął łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

- Wiem, że przeżywasz to, co się stało, ale moglibyśmy wszystko zostawić za sobą.

- Mówiłam ci, że nie mogę teraz wyjechać. Chodzi o Briana...

- Tu nie chodzi o Briana. - Jake odstawił szklanę, rozchlapując pianę. - Co takiego zrobił Brian, oprócz tego, że ci groził?

- Musiałam wynająć adwokata - powiedziała Ava głosem pełnym napięcia.

- Wyjedź ze mną, Avo.

Sięgnęła po kieliszek z winem, usiłując opanować drżenie rąk.

- A ja chcę, żebyś został - powiedziała, czując suchość w ustach. - Ze mną i z Lewisem. Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś mi pomógł przez to przejść.

Odchylił się na oparcie krzesła, odsuwając się od Avy. Spojrzał na nią tak, jakby nigdy nie spał w jej ramionach, jakby jej nigdy nie całował, jakby nigdy nie śpiewał dla niej piosenek Billie Holiday. Brian zawsze gasił światła, gdy się kochali, ale Jake chciał ją widzieć.

- Dlaczego nie możesz zostać? - naciskała. - Policjanci znów z tobą rozmawiali? O to ci chodzi? Ze mną rozmawiają bez ustanku. Możemy utworzyć jednolity front. - Pokręciła głową. - Coś się z tobą dzieje, a ja nawet nie wiem, co to takiego.

Obracał szklanę w palcach.

- Musisz podjąć decyzję, Avo. Wyjedź ze mną albo zostań beze mnie.

Ava podniosła kieliszek i wypła wino. Nie znała się na winach, ale to miało ostry, podobny do octu posmak. Najbardziej podobało jej się w Jake'u to, że we wszystkim pozwalał jej podejmować decyzje. Dawał jej odczuć, że to ona steruje ich związkiem.

- Nie mogę wyjechać - powiedziała. - A ty nie chcesz

zostać przy mnie. Czy to, czego pragnę, ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Nie słuchasz mnie. Chcę, żebyście wyjechali ze mną.

- A ja ci powiedziałam, że nie mogę.

- Avo. - Jake miał taką minę, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Tu nie chodzi o mnie - wyszeptała Ava. - Chodzi o coś, co się zdarzyło tobie, a ja nawet nie wiem, co to takiego - powtórzyła.

Czuła się tak, jakby straciła grunt pod nogami. Kiedy Jake tak się zmienił? A ona nawet tego nie zauważyła. Czy wtedy, gdy szukała w sąsiedztwie Jimmy'ego, żałując, że nie ma przy niej Jake'a? Pragnęła, by ją zapewnił, że zostanie przy niej i będzie walczył, że będzie ją wspierał do chwili, gdy wszystko się ułoży. Chciała całować jego twarz, chciała, by do niej powrócił. Poczowała w oczach piekące łzy. Wyprostowała się.

- A gdybym przyjechała później, gdy poradzę sobie z Brianem?

- A kiedy to nastąpi? Za pół roku? Za rok? Czy będziemy mogli rozmawiać przez telefon? A może boisz się, że Brian założy ci podsłuch? Może powinienem ci wysyłać sygnały dymne, by ich nie namierzył?

Pomieszczenie wokół niej jakby się skurczyło. To z powodu wina. Za dużo wypła.

- Dlaczego to robisz? - spytała.

Twarc Jake'a spoważniała, ale nie miała ochoty czekać na to, co jej powie. Już to słyszała. Od innych mężczyzn. Znała to na pamięć. Pusta gadanina, pod którą kryło się coś innego. „Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, Avo. Znajdziesz sobie kogoś odpowiedniego. Beze mnie będziesz szczęśliwsza”. Po prostu w ten sposób mówili: „Zegnaj. Żegnaj. Żegnaj. Odchodzę”. Najbardziej podobało jej się w Jake'u, że jest taki niefrasobliwy, ale teraz przekonała się, że to wcale nie jest zaletą. Dzięki owej niefrasobliwości łatwo było mu od niej odejść.

Dźwignęła się z trudem, opierając się o krzesło.

- Zaczekaj, Avo - powiedział.

Mówił coś jeszcze, ale ona go nie słyszała. Całą uwagę i siłę skupiła na wstawaniu z krzesła. Spostrzegła, że Jake się podniósł. Ależ była głupia, całując go niepotrzebnie. To jej wina, uwierzyła, że tym razem będzie inaczej. Wspomniała słowa matki. Powiedziała jej kiedyś, że prawdziwa miłość to taka, gdy mężczyzna wytrwa przy tobie nawet wtedy, gdy twój świat będzie się walił w gruzy. Gdy będziesz dla niego piękna, nawet chorując na gripę. Gdy pozwoli ci płakać na swoim ramieniu, nawet jeśli łzy zmoczą jego koszulę. „Łatwo kochać, gdy wszystko dobrze się układa” - powiedziała.

Spódnica nowej sukni wzdymała się wokół Avo, krynolina drapała ją po udach. Obrąbek zaczął o drzazgę krzesła i tkanina się rozerwała. Zapłaciła za suknię dwadzieścia dolarów, ale nie włoży jej już nigdy więcej.

- Zostaję - powiedziała. - Muszę. Spojrzał na nią.

- Spytałem, a ty mi odpowiedziałaś - odparł bezbarwnym głosem.

Ava obróciła się i odeszła, zanim zdążył coś dodać, zanim zdołała dostrzec wyraz jego twarzy. Jak idiotka spodziewała się, że Jake pójdzie za nią, chwyci ją za rękę i powie: „Poczekaj, Avo. Pomogę ci. Musimy być razem. Kocham cię”. Otworzyła drzwi. Poczowała na twarzy powiew chłodnego powietrza wieczoru, niczym pocałunek. To było silniejsze od niej, obejrzała się. Przy stole nikogo nie było. Jake wchodził na scenę, jakby przed chwilą nie zerwał z kobietą, którą powinien był kochać. Z saksofonem w ręce, uśmiechał się, pozdrawiając publiczność, nachylające się ku niemu kobiety z odkrytymi ramionami.

- Jak się dziś masz, Bostonie?! - wykrzyknął. Rozległy się brawa, jak klaskanie kopyt żrebaka.

Ava miała wrażenie, że jej ciało jest jakieś obce. Wsiadła do samochodu i natychmiast się rozplakała. Ale po kilku



minutach wzięła się w garść. Włączyła silnik. Pojedzie do domu, zdejmie te głupią sukienkę i ją wyrzuci. Powie sobie, że Jake tylko jej się przyśnił, a teraz się obudziła i będzie szczęśliwa. Nigdy więcej nie będzie śniła na jawie.

Znowu się rozplakała. Łzy płynęły nieprzerwanie, aż dojechała do Trapelo Road. Skręciła w Abbott Road, ocierając oczy palcami. Dochodziła północ, ale drogą szła jakaś kobieta. Przysłonięta jedwabną chustką twarz była niewidoczna. Kobieta miała na sobie wiatrówkę, chociaż był początek czerwca. Nikt nie powinien być sam w środku nocy, zwłaszcza po tym, co się tutaj stało.

Ava zwolniła, kobieta obróciła twarz w jej stronę. Ava dostrzegła wydatny nos Dot, jej przestraszone niebieskie oczy i płomienne włosy. Ava podjechała do niej i zatrzymała samochód. Dot spojrzała na nią jak na obcą osobę. Kosmyk włosów zakrył jej oczy, ale nie odsunęła go.

- Dot! - zawołała Ava. - Podrzucę cię do domu. - Dot się zawahała. - Chodź. Jest późno - powiedziała Ava. - Nie powinnaś chodzić sama. - Dot zerknęła na Avę. - Nic ci nie jest? - spytała Ava. - Z Rose wszystko w porządku? - Dot otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale tylko pokręciła głową. - Proszę, wsiądź do samochodu.

Dot wsiadła powoli i zamknęła drzwi.

- Rose jest u sąsiadów. Nie zostawiłam jej samej - powiedziała.

- Jasne - odparła Ava. Pomyślała o śpiącym w domu Lewisie, o zamkniętych na dwa zamki drzwiach.

- Miałam ochotę cię odwiedzić - powiedziała Ava. - Wciąż myślę o tym, co się stało. Ale nie chciałam się narzucać.

Dot wyglądała przez okno.

- Dot? - powiedziała Ava. Chciała wziąć ją za rękę, podzielić się wszystkim, co wie o Jimmym, jakby to mogło pomóc, ale Dot zwróciła ku niej twarz i spojrzała kamiennym wzrokiem.

- Proszę - powiedziała wreszcie. - Czy możemy nie

rozmawiać? - Oparła kark na zagłówek i zamknęła oczy. -Jeśli zatelefonuje do mnie jeszcze jeden reporter, zacznę wrzeszczeć. Wciąż to samo pytanie: „Dokąd poszedł tamtego dnia? Czy pani wie, co się stało?”. Wyobrażają sobie, że milczałabym, wiedząc cokolwiek?

- Oczywiście, że nie.

- Wydzwanają do mnie ludzie, których nie widziałam i z którymi nie rozmawiałam od wielu lat. Mówią mi, że to by się nie zdarzyło, gdyby żył Benjamin, gdyby w domu był mężczyzna. Jakby obecność mężczyzny mogła cokolwiek zmienić. - Ava spojrzała na dłonie Dot. Na nabrzmiałe żyły, na poobgryzane paznokcie. - Byłam głupia, że pozwoliłam Jimmy'emu samemu biegać po okolicy.

- Chciałabyś się zatrzymać i wstąpić gdzieś na kawę? -spytała Ava.

Dot pokręciła głową.

- Księża mnie pouczają, że taka była wola Boga, ale ja zaczynam się zastanawiać, cóż to za Bóg, który pozwala na coś takiego. Jeśli chce robić takie rzeczy, to na co jest mi potrzebny?

Ava jechała pomału. Czowała obecność Dot; jej rude loki powiewały na wietrze. Pomyślała o Jimmym, o tym, jak uśmiechał się szeroko, stojąc na jej ganku.

- Dot - powiedziała. - Muszę ci coś powiedzieć. Dot uniosła dłoń.

- Nie - zaprotestowała. - Proszę, nic mi nie mów. W mojej głowie nie ma już miejsca.

Ava się zawahała.

- Chciałam tylko powiedzieć, że ci współczuję.

- Wiem, że Jimmy bywał u ciebie w domu, nawet pod nieobecność Lewisa - powiedziała Dot. - Może byłam zadowolona, że mam czas dla siebie. Może podobało mi się, że ma dokąd pójść. Że jest ktoś dorosły, kto się nim zajmie. Byłyśmy przyjaciółkami. Co to ja chciałam powiedzieć?

- Nadal jesteśmy przyjaciółkami.

- Masz wielu facetów. Czego mogłaś chcieć od chłopca?

- To nie było tak...

- W jego szufladzie znalazłam liścik miłosny który do ciebie napisał. - Dot spoglądała w okno. - Nie wiedziałam, co mam z tym zrobić, co mu powiedzieć, więc zostawiłam kartkę w szufladzie. Nic mu nie powiedziałam, ale następnego dnia, gdy sprzątałam w jego pokoju, listu już nie było.

- Nigdy go nie dostałam - odparła Ava. - To tylko dziecko. Nie miał pojęcia, co to jest miłość.

- A teraz już się nie dowie, prawda? - Dot splotła dłonie. - Zawsze byłam po twojej stronie - powiedziała. - Gdy cię ktoś nazywał Żydówką, mówiłam, żeby przestał.

Ava poczuła prąd wzdłuż kręgosłupa.

- Kto mnie tak nazwał?

- To nie ma znaczenia.

Niech się wygada - pomyślała Ava. Bez względu na to, jakie paskudztwa ma powiedzieć. Gdybym była na jej miejscu, z pewnością też bym się załamała. To, co mówi, nie ma znaczenia, a skoro jest bez znaczenia, nie zdoła mnie zranić. Ava wjechała na Warwick Avenue. Wszędzie było cicho i ciemno. Przypomniała sobie, jak Dot przynosiła jej ciasta, dziękując za to, że Rose i Jimmy mogą przebywać w jej domu i zjadać nieskończoną ilość posiłków. „Jesteś wspaniałą sąsiadką” - napisała na kartce i wysłała pocztą do Avy. „I dobrą przyjaciółką”.

- Wszyscy przepadali za moim mężem, wiedziałas o tym? - nagle powiedziała Dot. - Był najsympatyczniejszym facetem na świecie. Był duży i przystojny, kawał chłopca. Gdy spadł śnieg, wychodził i odśnieżał chodnik. Gdy byłam chora, robił zakupy. Pamiętał o urodzinach i rocznicach, i był zawsze uśmiechnięty. Podobałby ci się. I mogę się założyć, że ty podobałabyś się jemu, nie w taki sposób, jak myślisz, bo miał bzika na moim punkcie i w jego sercu nie było miejsca dla nikogo innego. Nawet nie spojrzał na najpiękniejszą choćby kobietę. I nawet z maseczką na twarzy i w papilotach liczyłam się tylko ja.

Jake także miał bzika na moim punkcie - pomyślała Ava.

Kobiety potrafią się tak oszukiwać. Nigdy nie poznała Benjaminą, nawet go nie widziała, słyszała tylko to, co opowiadała Dot i sąsiadki. Tak się nim zachwycano, że Avie trudno było uwierzyć w te wszystkie pochwały. Może mąż Dot naprawdę tak ją hołubił i nigdy jej nie zdradzał. Może faktycznie wracał z pracy uśmiechnięty i tańczył z nią walca, całując w nosek. Może umierając, pragnął zobaczyć jej twarz.

Zatrzymała się przed domem Dot, nie wyłączając silnika.

- Czy to nie dziwne, że łatwiej jest rozmawiać o Benjaminie niż o Jimmym? Może dlatego, że znam koniec opowieści o Benjaminie. - Spojrzała na Avę. - Człowiek sobie wyobraża, że wie, co go czeka, a raptem obrywa od losu. Nie wiemy, co jest nam pisane, i może tak jest lepiej.

- Może chcesz do mnie wstąpić? - wypaliła Ava. - Nie byłabyś sama.

- Sama? Mogą mnie otaczać setki ludzi, a ja i tak jestem sama - odparła Dot.

- Masz Rose.

Dot odwróciła twarz.

- Tak, mam Rose - powiedziała.

- Zawsze możesz do mnie zatelefonować. Bez względu na porę.

- Nie zadzwonię, ale dziękuję.

- Może bym jutro wpadła? - zaproponowała Ava. - Jeśli zechcesz, ugotuję obiad dla ciebie i dla Rose.

Dot pokręciła głową. Z trudem, jakby we śnie, wysiadła z samochodu. Ruszyła chodnikiem. Zanim weszła do domu, zapaliła zewnętrzne światło, które zajaśniało niczym sygnał nadawany przez latarnię morską.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jake nie zadzwonił. Ilekroć odzywał się telefon, Ava zrywała się, by podnieść słuchawkę, ale zawsze okazywało się, że to pomyłka lub ktoś chce jej coś sprzedać. Kiedy w pracy dobiegał ją odgłos otwarcia szklanych drzwi do recepcji, za każdym razem spoglądała wyczekująco, spodziewając się, że zobaczy jego twarz. Ale zawsze był to ktoś inny. „Nigdy niczego ci nie obiecywałem” - powiedział. Ale czy rzeczywiście? Czy pocałunek to nie obietnica? A to, że chciał poznać Lewisa, to nie rodzaj kontraktu?

Lewis zdawał się nie dostrzegać, że Jake zniknął z życia Avy. Po czerwcu przyszedł lipiec, czasami słyszała, jak Lewis płacze nocami. Lecz gdy tylko otworzyła drzwi do jego pokoju, nakrywał się po samą głowę. Kiedyś słyszała, jak rozmawiał u siebie w pokoju z Rose. Planowali, gdzie będą prowadzić dalsze poszukiwania. Nie przeszkadzała im.

Zaczęła w myślach prowadzić rozmowy z Jakiem i była coraz bardziej wściekła. Dlaczego nie okazał jej wsparcia? Jakże mógł sobie wyobrazić, że Ava wywróci do góry nogami swoje dotychczasowe życie? A teraz nawet nie dzwoni ani się nie pokazuje!

Pewnego dnia, gdy miała mniej pracy, ubrała się w ulubioną czerwoną sukienkę, włożyła pantofle na wysokich obcasach i kolczyki. Wsiadła do samochodu i pojechała do

domu Jake'a w Cambridgeport. Miała zamiar spojrzeć mu w oczy i dać ostatnią szansę. „Nigdy o nich nie zabiegaj” -przestrzegały jedna drugą koleżanki z pracy zgodnie z tym, jak pouczały lśniące czasopisma. Ava powiedziała sobie jednak, że musi się upewnić, a to co innego. A poza tym cóż miała do stracenia?

Złana potem dotarła w okolice jego domu. Sukienka lepiła się do pleców, a włosy zaczęły się skręcać. Przyglądała je wolną ręką i skręciła w przecznicę Jake'a, enklawę apartamentowców i starych domów. Przed domem Jake'a stała ciężarówka z napisem „Przeprowadzki”. Ava wysiadła z samochodu, dygocąc na całym ciele. Wszystkie jej plany runęły. Otworzyły się drzwi domu i wybiegła z niego para młodych ludzi. Śmiali się, trzymając się za ręce. Kobieta miała na sobie przepasaną w talii kraciastą koszulę z bawełny.

- Zabłądziła pani? - zapytał Awę mężczyzna.

- Nie wiem.

Ava popatrzyła na nich, a potem na ciężarówkę.

- Możemy jakoś pomóc? - spytała kobieta, cała w skowronkach.

Ava mogła coś wymyślić. Powiedzieć, że faktycznie się zgubiła i nie wie, jak wrócić do Waltham, ale opuściła ją cała energia. A poza tym była zmęczona kłamstwami.

- Mój przyjaciel tu mieszkał - powiedziała. Mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia. Ava poczuła się jak idiotka. Co też sobie o niej pomyśleli? Zawróciła do samochodu.

- Proszę zaczekać! - powiedziała kobieta. Ava przystanąła i spojrzała na parę. Kobieta wciąż trzymała męża za rękę. - Chciała pani wejść do środka? - zapytała.

- Nigdy tam nie byłam - odparła Ava.

- Pomieszczenia są puste, ale można zajrzeć, jeśli ma pani ochotę. Naprawdę. Nic nie mamy przeciwko temu -zachęcała kobieta, widząc wahanie Avy. - Prawda, Bobby?

- Zapraszamy - powiedział Bobby.

Ava nie wiedziała, czego może się spodziewać. Liczyła

chyba na to, że wyczuje w pokojach obecność Jake'a, że znajdzie jakieś swoje zdjęcie, którego nie zabrał. Ale poczuła wyłącznie pustkę. Sprzedał dom w takim pośpiechu. Równie szybko, jak porzucił ją. Przeszła się po pokojach. Salon z wykuszowym oknem, jakieś mniejsze pomieszczenie, pewnie sypialnia, kuchnia i łazienka. W powietrzu unosiła się nikła woń ajaxu. Podłoga pachniała pastą. Szyby okienne lśniły, na drewnianej podłodze tańczyły plamki słońca. Ava usiadła pośrodku sypialni i powiodła palcami po podłodze. Lewis, który wierzył w magię, powiedział jej kiedyś, że pomieszczenia przejmują osobowość ludzi, którzy w nich mieszkali. Ze jeśli się zamknie oczy, można usłyszeć ich szepty. Roześmiała się wtedy, ale teraz zamknęła oczy i wsłuchiwała się w to, co mógłby jej powiedzieć Jake. Ale usłyszała jedynie przelatujący samolot.

Wstała, wygładziła sukienkę i roztarta kostki u nóg. Problem polegał na tym, że ona została, a Jake wyjechał nie wiadomo dokąd.

Wyszła na zewnątrz. Młodzi małżonkowie byli teraz w głębi ciężarówki. Nie zauważyli jej. Co za ulga, bo Ava nie miała ochoty na pogawędkę. Szybko wsiadła do samochodu i odjechała.

Do pracy spóźniła się zaledwie kilka minut. Jej sukienka była zbyt strojna, a obcasy zbyt wysokie, ale nie zdążyłaby pojechać do domu, żeby się przebrać. Koleżanki pomyślały, że wraca z randki. Będą jej zazdrościć. Miesiąc temu popełniła błąd, wspomniawszy o swoim „przyjacielu”. Czegoś takiego kobiety nie zapominają. Chciały się dowiedzieć, kim on jest, czym się zajmuje, jak poważny jest ich związek. Wszystko, co Ava im powiedziała, było niewłaściwe. „Muzyk jazzowy? Naprawdę?” - zdziwiła się Charmaine. Z jej tonu wynikało, że myśli: „Nie mogłaś sobie znaleźć kogoś lepszego?”.

Ledwie usiadła przy maszynie, odezwała się Betty:

- Rany, a cóż to za smutas?

- Zerwałam z chłopakiem - odparła Ava, nie wiedząc,

czemu to mówi. Było w tym tylko trochę prawdy, ale nie chciała, żeby koleżanki pomyślały, że została porzucona. Betty przyjrzała jej się uważniej, a wtedy Cathy i Charmaine także wykazały żywsze zainteresowanie. - Nie układało nam się, więc dałam mu kosza - powiedziała Ava. - Miałyście rację. Muzyk jazzowy nie nadaje się na chłopaka. Powinnam była was posłuchać.

- A nie mówiłam? - powiedziała Cathy, ale nie z satysfakcją, tylko ze smutkiem.

- Kiedyś spotykałam się z inżynierem - powiedziała Charmaine. - Gdy po raz pierwszy przyszedł do nas do domu, matka mnie przestrzegła: „Nie jest dla ciebie odpowiedni.”, bo nie przyniósł jej żadnego подарunku. Nie posłuchałam jej, ale wkrótce przekonałam się, że jest skąpy, i zaraz potem z nim zerwałam.

Betty położyła dłoń na ramieniu Avy.

- Zapomnij o tym palancie.

Przez cały dzień koleżanki były dla niej bardzo miłe. Betty pożyczyła jej swój fartuch, żeby nie poplamiała kalką eleganckiej sukienki. O jedenastej, wychodząc na lunch, Cathy przystanęła przy biurku Avy.

- Chcesz pójść z nami? - spytała.

Wyraz twarzy Cathy był szczerzy i życzliwy, pomimo to Ava odparła:

- Dziękuję, ale myślę, że powinnam zostać i popracować. Cathy położyła dłoń na ramieniu Avy. Jej dotyk był taki czuły, że Ava miała ochotę wziąć ją za rękę.

- Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz, gdzie nas szukać.

Po powrocie Betty postawiła na biurku Avy małą papierową tackę z ćwiartką kandyzowanej cytryny.

- Wiem, że nie jesteś głodna, ale zjedz. Cukier krzepi.

Ava odgryzła kawałeczek, bo koleżanki jej się przyglądały. Cytryna była wyschnięta, zbyt słodka, a w środku pozbawiona smaku, ale Ava zjadła ją całą.

- Pycha - powiedziała. - Właśnie tego było mi trzeba.

- To dzieło mojej mamy - z dumą oznajmiła Char-



maine. - Wszyscy przepadają za jej słynnymi kandyzowanymi owocami.

Ava jakoś nie mogła się skupić na umywalkach, wannach i toaletach. Nowe wanny na lwich łapach przypominały jej biorącego kąpiel Jake'a. Kratcowane umywalki, których nikt nie chciał kupować, przywodziły jej na myśl szorty w szkocką kratę, które włożyła na piknik z Jakiem, a on powiedział jej, że nie może się doczekać, kiedy je z niej zdejmie. Zaczęła rozmyślać o Jake'u, który jedzie samochodem gdzieś w nieznaną, ciągnąc załadowaną przyczepę. Nawet nie знаła jego nowego adresu.

Za dziesięć piąta, nim odezwał się dzwonek obwieszczający koniec pracy, Betty zaproponowała:

- Jeśli chcesz się wymknąć wcześniej, powiem Richardowi, że masz ciotę. To zawsze na niego działa.

Ava poderwała się szybko, nie nakrywając maszyny pokrowcem. Jeśli napatoczy się na Richarda, uda, że idzie do toalety. Skinęła głową koleżankom i pospieszyła w stronę windy. Odprężyła się dopiero na ulicy.

Gdy weszła do domu, dzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. Jake. To musi być Jake.

- Pani Lark - odezwał się głos. - Czy pani wie, że jeden z mężczyzn, z którym się pani spotykała, jest notowany?

Ava przełknęła ślinę.

- Kto mówi? O co panu chodzi?

- Tu Hank Maroni. Chodzi o jednego z pani chłopaków, Jake'a Rivertona. A właściwie Jake'a Richardsona. Jako nieletni został ukarany za napaść i pobicie. Wiedziała pani o tym? Wiedziała pani, że ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem?

Wzdrygnęła się. Napaść. Paskudne słowo. Nie mogła uwierzyć, ale to wyjaśniało, czemu Jake chciał opuścić miasto w takim pośpiechu. Co ma powiedzieć gliniarzowi?

- To musi być pomyłka. Jake by nigdy nikogo nie skrzywdził.

- Gdzie on teraz jest, pani Lark?

- Nie wiem - odparła. - Ja już nic nie wiem. - W uchu Avy odezwało się jakieś brzęczenie, jakby odgłos owada.

- Jeśli się z panią skontaktuje, proszę nas zawiadomić - powiedział Hank. - Zajmiemy się jego sprawą bardziej szczegółowo.

Brzęczenie stało się głośniejsze. Ava nigdy nie widziała, by Jake się irytował. Czy to możliwe, że jest człowiekiem gwałtownym, a ona nic nie zauważyła? Nie, to nie może być prawda. Nie chciała uwierzyć, bo to by oznaczało, że w ogóle Jake'a nie знаła. Że była okropnie głupia, skoro go kochała. Odłożyła słuchawkę i ułożyła dłonie płasko na stole, usiłując opanować ich drżenie.

Jake zniknął z jej życia. Przez kilka następnych dni starała się o nim zapomnieć. Gdy musiała popłakać, płakała krótko i szybko brała się w garść. Choć bardzo go jej brakowało, wiedziała, że nie jest wart jej uczucia. Nie będzie więc tracić czasu na szukanie Jake'a. Będzie natomiast poszukiwała Jimmy'ego.

Teraz, gdy odzywał się telefon, nie spodziewała się już, że to Jake. Raczej zastanawiała się, czy to może być Jimmy. Bo niby dlaczego nie? Jeśli Jimmy do kogokolwiek zatelefonuje, to tylko do niej. Była jedyną dorosłą osobą, do której miał zaufanie, a nie kimś, kto go ukarze. Nie zawiodła go, kiedy powierzył jej swoją tajemnicę, a ona zachowała ją dla siebie.

Mniej więcej przed rokiem została w domu z powodu przeziębienia. Zadzwoił dzwonek u drzwi. Pomyślała, że to pewnie listonosz z jakąś przesyłką, ale na progu stał Jimmy. Miał na sobie wyprasowaną białą koszulę, ciemne spodnie i porządne skórzane buty.

- Lewisa nie ma - powiedziała, przytykając do nosa chusteczkę.

- Nie szkodzi. Mogę wejść?

Właściwie nie wiedziała, dlaczego wtedy go wpuściła. Może dlatego, że wyglądał tak żałośnie. Wszedł i ostrożnie przysiadł na brzeжку kanapy.

- Nic ci nie jest? - spytała. Starannie unikał jej wzroku.
  - Jimmy - powiedziała. Podniósł oczy tak pełne tęsknoty, że doznała wstrząsu.
  - Lubię panią - powiedział ochryplym głosem. Rzucił okiem na swoje starannie wypucowane buty.
  - Ja także ciebie lubię. Lubię wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa. Siedział z rękami na kolanach, wykręcając sobie palce.
  - Coś się stało? Może napiłbyś się soku lub czekoladowego mleka?
  - Nigdy nie pocałowałem dziewczyny - wyszeptał. Nie roześmiała się.
  - Masz dwanaście lat. Przed tobą jeszcze mnóstwo czasu. Nie ma się czego wstydzić.
  - Udzieliłaby mi pani lekcji całowania?
- Ava stanęła jak wryta. Miała czerwony nos i nieuczesane włosy. Była nieumalowana i wiedziała, że z pewnością wygląda bardzo staro. A ten chłopiec...
- Dlaczego mnie o to prosisz? - spytała cicho.
  - Już powiedziałem. Lubię panią. Uważam, że jest pani piękna.
  - Jimmy... - Usiadła. - Coś ci powiem. Bardzo mi to pochlebia, ale jestem dla ciebie o wiele za stara, a poza tym jestem mamą twojego najlepszego przyjaciela. A przede wszystkim, chciałabym, żebyś zostawił te pocałunki dla kogoś w twoim wieku, kto na nie zasługuje. Jego wargi zadrżały.
  - James - powiedziała. Nigdy nie słyszała, by ktoś się do niego zwracał w ten sposób, ale wiedziała, że brzmi to poważniej. Zwiesił głowę.
  - Wszyscy traktują mnie tak, jakbym był zaraźliwie chory. Nie mam nikogo prócz Lewisa i Rose. Dziewczyny nie chcą siedzieć ze mną w ławce. Zupełnie inaczej niż z Lewisem, który zresztą tego nie zauważa.

Ava wiedziała o tym. Wielokrotnie widywała, że Lewis nie dostrzega wysyłanych przez Rose sygnałów. Westchnęła.

- Poczekaj. Dziewczyny w tym wieku są niemądre, ale z upływem lat mądrzeją. Zrozumieją, że twoją największą zaletą nie są gęste włosy i ładne oczy, lecz dobre serce.

- Więc nie udzieli mi pani lekcji całowania?

- Nie. Ale chcę, żebyś mi coś obiecał. Ze swoim pierwszym pocałunkiem obdarzysz kogoś w twoim wieku, kto cię pokocha, kto dostrzeże, jaki jesteś naprawdę.

Wstał.

- Nikomu pani nie powie, o co prosiłem, dobrze? - Ava wykonała taki gest, jakby zamykała usta na suwak.

- Myślę, że nie powinienes tu przychodzić, gdy nie ma Lewisa - powiedziała cicho.

- Dlaczego? Nie możemy nawet rozmawiać?

- Oczywiście, że możemy. Ale wtedy, gdy w domu jest Lewis.

Przychodził nadal. Przyniósł zabawkę Wooly Willy. Wielką kartonową twarz zabezpieczoną plastikową nakładką, którą wedle własnego uznania zdobi się metalowymi opiłkami, przesuwanymi magnetycznym rysikiem. Pokazał jej, jak z opiłków zrobić brwi lub bokobrody. Przygotowywała dla niego grzanki z serem i podgrzewała gotowe posiłki. A gdy nie chciał jeść groszku, nie miała mu tego za złe. Ale stała się ostrożniejsza. Nie przytulała go tak jak dawniej. Gdy Jimmy przychodził do Lewisa, szli we dwójkę do jego pokoju i zamykali za sobą drzwi. Ava zastanawiała się, czy Jimmy powiedział Lewisowi, że czasami bywa u nich w domu pod nieobecność przyjaciela. Zastanawiała się, co jej syn o tym myśli, ale nie zauważyła, by zaczął traktować ją inaczej lub choćby spoglądać na nią podejrzliwie.

Pewnego wieczoru czytała w swoim pokoju, a dzieci grały w karty w jadalni. Usłyszała, jak Jimmy zapytał:

- Czy twój ojciec żyje?

- Oczywiście, że tak - odparł Lewis zapalczywie.

- To gdzie on jest? Dlaczego cię nie odwiedza?

- Ojciec szaleje za mną - powiedział Lewis, jękając się nieco. - Wciąż pisze do mnie listy. Jest wysoki i silny. Dostawał nagrody dla najlepszego sprzedawcy i takie tam.

- Naprawdę? Mogę zobaczyć te listy? Nastąpiło milczenie.

- To prywatne listy - w końcu odparł Lewis.

- Masz jakieś jego zdjęcia? Jak wygląda? Ava weszła do pokoju.

- Kto chce pojechać na lody do Brighamama? - spytała. Obaj chłopcy aż podskoczyli.

Przez całą drogę do Brighamama była poirytowana. Spojrzała, z jaką tęsknotą Lewis mówi o ojcu. To nie on słuchał przez telefon gniewnego głosu Briana. Nie wiedział, że ojciec mógłby go bez przeszkód odwiedzać, ale po prostu tego nie robił. Dla Lewisa ojciec był bohaterem, a Ava przyczyną jego odejścia.

Zajechała na parking.

- Chodźmy - powiedziała. - Potasujemy trochę.

Po upływie siedmiu miesięcy od zaginięcia Jimmy'ego nikt z sąsiedztwa nie chodził już na patrole, chociaż ludzie nadal mieli otwarte oczy i uszy. Nawet dzieci z podstawówki zaczęły chodzić do szkoły bez opieki. Detektywi w końcu przestali zadawać pytania. Przestali bywać w okolicy. Sprawa nie została wyjaśniona, a śledztwo zostało zamknięte, tak powiedzieli. Zrobili wszystko, co mogli. Nie pojawili się żadni podejrzani. Jake pewnie został uwolniony od podejrzeń - myślała Ava.

Nadszedł październik. Ava słuchała wiadomości, spoglądając przez okno na padający deszcz. Świat był szary. Wojska Armii Radzieckiej najechały na Węgry. Ceny benzyny wzrastały. Ale ani słowem nie wspomniano o sprawie Jimmy'ego Rearsona.

Ava nadal za nim tęskniła. Dot schudła i prawie nie zdejmowała szlafroka. Rose i Lewis uczęszczali teraz do tej samej szkoły. Pośpni i tajemniczy, wciąż bazgrali coś w no-

tesach lub szeptali po kątach. Ava obawiała się, że straci rozum, tak bardzo czuła się samotna.

Czasami po zapadnięciu zmroku spoglądała przez panoramiczne okno na drugą stronę ulicy, gdzie stał dom Dot. Prawie zawsze widziała ją tkwiącą na ganku, wpatrzoną w ciemne niebo. Ava machała do niej, ale Dot nigdy nie reagowała. Gdy Ava przychodziła do niej, Dot nie chciała rozmawiać.

- Nie musimy rozmawiać - mówiła Ava i po prostu siadała obok.

Niekiedy spoglądała stamtąd na swój własny dom. Tania farba, którą pomalowała okiennice, zaczęła się łuszczyć. Wiodące na ganek schody były krzywe. Choć się usilnie starała, jej dom wciąż pozostawał zaniedbany, jakby przez pomyłkę wetknięty pomiędzy wychuchane sąsiednie wille. Była zmęczona i ociężała, ale tłumiała ziewanie do chwili, gdy Dot podnosiła się i mówiła:

- Cóż. Pora spać. - I wchodziła do domu, nie troszcząc się o Avę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pierwszego grudnia Lewis obudził się i zobaczył, że pada śnieg. On i Jimmy natychmiast wybiegliby na dwór. Jimmy zawsze rzucał śnieżkami, a Lewis lubił zbierać śnieżynki i oglądać je pod mikroskopem. Usiłował namówić Jimmy'ego, aby spojrzeć przez binokular na różnorodne kształty, ale on wołał próżnować. Gdy wreszcie przychodził rzucić okiem, śnieżynki zdążyły już stopnieć.

Lewis sięgnął po notes i zapisał: „Jimmy lubił śnieg. Mógł pojechać tam, gdzie jest zimno”. Jednym z zaznaczonych pinezką na ich mapie miejsc była Alaska. Jeśli Jimmy nie dotarł tam sam, może ktoś go zawiózł. Zastanawiał się, jak mógłby zdobyć gazety z Alaski, by się przekonać, czy nie piszą w nich o Jimmym. Wtedy zatelefonowałby na policję i uznano by go za bohatera.

Wziął książkę *Wehikul czasu* i poszedł do kuchni, żeby poczytać. Matka siedziała przy stole, wpatrując się w telefon.

Lewis wiedział, na co czekała. Wszystko, co zaszło, miało tylko jeden dobry skutek. Ten palant Jake już nie przyjeżdżał. Lewis nie wiedział, czy matka z nim zerwała, czy Jake podjął samodzielną decyzję. W każdym razie teraz w domu było inaczej. Lewis nie chciał pytać, co się stało z Jakiem. Kto wie, może odpowiedziałyby: „Ach, tak, to mi

przypomina..." - a potem zatelefonowałyby do Jake'a i wszystko zaczęłoby się od nowa.

- Chcesz coś zjeść, kochanie? - spytała Ava. Wstała i ukroiła kawałek ciasta z supermarketu, które stało na kuchennym blacie. Nalała mleka do szklanki i postawiła przed Lewisem.

- Powinniśmy zatelefonować do taty - powiedział. Ava zdębiała. Otarła ręce o fartuch.

- Niby dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- Jesteśmy sami. Wszyscy inni mają ojców.

- Nie wszyscy. - Lewis wiedział, że matka ma na myśli Rose. - A teraz wypij mleko - powiedziała kategorycznym tonem i podeszła do zlewu, by pozmywać naczynia, hałaśliwie rozpryskując wodę.

Lewis bawił się ciastem, krojąc je widelczykiem. Nie przepadał za nim, bo nie miało polewy i było nieświeże. Dlatego matka kupowała je taniej. Smakowało tak, jakby się nie udało. Siedział, przeżuując wyschnięte ciasto, i słuchał, jak matka krząta się w salonie. „Może zastanawia się, czy nie zatelefonować do ojca” - pomyślał. Nigdy nie wiadomo. Dla kobiety nie ma nic gorszego niż samotność, bo to nienaturalne i niezdrowe, tak twierdziła matka Rose. Powiedziała Rose, że śmierć jej męża to zrządzenie losu i chętnie wyszłaby ponownie za mąż, ale problem polegał na tym, że nikt nie chce kobiety, która owdowiała, a na dodatek ma dzieci. Jeszcze gorzej jest z rozwódką, bo to oznacza, że coś z nią jest nie w porządku, skoro nie umiała przy sobie utrzymać mężczyzny. „Nikt nie lubi resztek” - powiedziała Dot. „To znaczy, że nasze mamy są takimi resztkami” - skwitowała Rose.

Lewis porozgniatał na talerzyku resztki ciasta, żeby wydawało się, że prawie wszystko zjadł. Nie chciał, żeby matka znowu zaczęła zrzędzić na temat marnowania jedzenia. Rozmyślał o ojcu. Matka nie musi być resztką. Przecież jego ojciec, w przeciwieństwie do ojca Rose, nie umarł. Lewis nie widział go od wielu lat, ale ojciec nadal żyje i matka po-



winna pojechać do niego i pokazać mu, co stracił. Wtedy na pewno by wrócił. Ostatni raz rozmawiał z ojcem rok temu, w dniu swoich urodzin. Ojciec obiecał mu wtedy prezent, który z pewnością zaginął, bo nigdy do Lewisa nie dotarł. Czasami w nocy słyszał, że matka z nim rozmawia, ale chociaż mówiła gniewnym tonem, nigdy nie rzuciła słuchawki. Gdyby ojciec wiedział, jak tutaj jest niebezpiecznie, mógłby ich odwiedzić albo przynajmniej zatelefonować.

Matka weszła do kuchni i Lewis czuł na sobie jej wzrok. Zatrzymał widelczyk w połowie drogi, czekając, co matka robi.

- Przecież to ciasto. Nie możesz skończyć nawet ciasta - gderiała.

Przysunęła krzesło i usiadła obok niego.

- Masz przed sobą całe życie - powiedziała spokojnie. - Otacza cię wielu troskliwych ludzi. - Usiłowała przygłodzić jego włosy, ale on uchylił głowę.

Wziął do ręki *Wehikuł czasu*, za którym wcale nie przepadał. Spodziewał się, że znajdzie tam jakieś praktyczne porady na temat podróżowania w czasie. Że dowie się, jak cofnąć czas i zmienić to, co się stało, na przykład z Jimmym i z tatą, ale najwyraźniej cała fabuła była zmyślona. Gdyby Lewis miał szansę powrotu do tamtego dnia, wiedziałby już, co robić, i po wizycie u dentysty nie traciłby czasu w tej głupiej bibliotece. Poszedłby prosto do domu Jimmy'ego. Odnalazłby swego ojca i błagałby go, żeby nie odchodził, a ojciec by go posłuchał.

Utkwił wzrok w książce, żeby matka dała mu spokój. Gdy odeszła, zamknął i odłożył książkę, po czym na nowo pograżył się w myślach.

Matka nie odnosiłaby się do niego tak przyjacielsko, gdyby wiedziała, jak postąpił, gdyby wiedziała, że mógł uratować Jimmy'ego, gdyby się z nim spotkał.

I dlaczego wyobraża sobie, że syna otaczają ludzie, którym na nim zależy? I niby gdzie są ci ludzie, dlaczego Lewis ich nie widzi?

Nauczyciele twierdzą, że troszczą się o niego, ale tylko pod warunkiem, że przestanie przeszkadzać im podczas lekcji, zadając pytania, i postara się upodobnić do pozostałych uczniów. Najbardziej lubiliby go, gdyby siedział w ławce i był niewidoczny, niczym duch.

Właściwie z wyjątkiem Rose nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Lewis był bardzo zadowolony, że teraz chodzą do tej samej szkoły i że razem wsiadają do autobusu. Czasami wystarczał mu sam jej widok na szkolnym korytarzu, by poczuć się lepiej. Świat Lewisa kurczył się, otaczając go ściśle niczym napierające ściany. Jego życie zostało podzielone pomiędzy to, co było przedtem, i to, co działo się potem. Przedtem spędzał wszystkie dni z Jim-mym i Rose, włóczęc się po okolicy, przesiadując w lesie za szkołą Northeast, jedząc kanapki z masłem orzechowym i galaretką. Ale teraz ten las wydawał mu się przerażająco wielki, a Jimmy zaginął. Rozmawiali z Rose wyłącznie o poszukiwaniach Jimmy'ego. Lewis czuł, że całkowicie na niej polega, że potrzebuje jej bardziej niż ona jego. Rose bezustannie bazgrała w swoim notatniku, wypełniając strony, przewracając kartki tak energicznie, że czasami je wyrywała. Notatnik Lewisa miał tylko trzy zapisane stronicie. Wszystkie miejsca, które uważał za warte przeszukania, już zostały wykreślone. Jimmy nie był tamtego dnia w bibliotece. Nie pozostawił żadnych śladów w sali bilardowej ani na torze dla wrotkarzy w Wal-Lex. Nikt z nim nie rozmawiał ani go nie widział. Lewis często wpatrywał się w puste stronicie, starając się wymyślić coś wartego zapisania. Niepokoił się, że Rose zechce zajrzeć do jego notatnika i będzie niezadowolona, że Lewis tak mało w nim zapisał. Miał ochotę zapaść żurawia i zobaczyć, co ona tak zawzięcie notuje, ale Rose zawsze trzymała notatnik blisko siebie, a gdyby ją poprosił, musiałby jej w zamian pokazać swoje zapiski. „Znajdziemy go - upierała się. - Musisz myśleć pozytywnie”. Ale Lewis wcale nie był tego pewny. Jak długo potrwa, nim Rose zmęczą jego wątpliwości i ona także go zostawi?

W nocy nie mógł zasnąć. Czuł się tak, jakby jego skóra drgała niezależnie od jego woli, niczym żywe stworzenie. Dotykał rąk i nóg, żeby pozbyć się tego uczucia.

Wyszedł z sypialni, ale pod drzwiami pokoju matki, po przeciwnej stronie korytarza, nie było smugi światła. Radio, którego słuchała nocami, milczało, a więc matka spała. Wrócił do siebie i oświetlił latarką wszystkie zakamarki w pokoju. Były tam książki, przeważnie pożyczone od Rose, bardzo zniszczone od częstego czytania, a także kilka książek z biblioteki, które należało zwrócić. Obok książek o Houdinim stały pudełka z zestawami do magicznych sztuczek. Pomyślał o żonie Houdiniego, która przez wiele lat czekała, by dał jej znak, że nadal żyje. Przez dziesięć lat brała udział w seansach spirytystycznych, ale w końcu dała za wygraną. Uznała, że życie pozagrobowe nie istnieje, duchów nie ma, a jeśli nawet są, żyjący nie mogą się z nimi skontaktować. Lewis miał jednak wątpliwości, czy nie poddała się zbyt wcześnie. Może Houdini pojawiał się, ale ona go nie widziała. Może przybierał formę owiewającej ją bryzy w gorący dzień albo jej ulubionego kwiatu, który nagle wyrastał na jej drodze? Kto wie, jak zmarli komunikują się z żywymi?

Ze swego miejsca widział okno Rose. Podszedł bliżej i zaświecił latarką, zapalając ją i gasząc. Nadawał alfabetem Morse'a sygnał SOS. Wciąż na nowo. „Rose - myślał, jakby do niej telefonował - odbierz, odbierz, odbierz”. W końcu zgasił latarkę. Już miał ją odłożyć i wrócić do łóżka, gdy dostrzegł pośród ciemności jakieś migotanie.

SOS. SOS. To Rose wysyłała sygnał świetlny.

Następnego ranka nie spotkał Rose w autobusie, ale później, po lekcjach, zobaczył ją czekającą na niego na chodniku pod szkołą.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

- Zdawało mi się, że chcesz się ze mną zobaczyć, więc jestem. - Śnieg pod jej botkami zaskrzypiał. - Nie mam

ochoty jechać do domu autobusem. Chodź, pójdziemy razem pieszo - powiedziała.

- Skąd wiedziałaś, że chcę się z tobą zobaczyć? - zapytał. Dotarli do boiska przy szkole podstawowej Northeast,

strzepnęli śnieg z huśtawek i usiedli. Rose skrzyła łańcuchy i zaczęła obracać się w kółko.

- Ty też to potrafisz - powiedziała. - Dowiedzieć się, gdzie i kiedy mogę się pojawić. - Powiedziała mu, że gdy poczuje się w szkole zagubiony, ma wypatrywać znaków, że ona jest w pobliżu. - To może być niespodziewanie zapalone światło. Albo moja ulubiona piosenka, którą ktoś zanuci. - Odchyliła głowę do tyłu. - Czasami, gdy pomyślę, że Jimmy jest blisko, wszystko jest jakby naładowane elektrycznością. Jakby coś miało się zaraz wydarzyć.

- Nie wiem - powiedział Lewis sceptycznie.

On także skrzyła łańcuch huśtawki, odpychając się nogami od śniegu.

- Teraz zamknij oczy - rozkazała.

Opuścił powieki. Świat stał się biały. Poczł na twarzy mroźne powietrze.

- Zostań tu - powiedziała. -1 skup się. Ja będę szła, a ty mi powiesz, w którym kierunku. Ruszam. Nie otwieraj oczu. Powiedz, jak będziesz wiedział.

Usłyszał stuknięcie jej stóp o ziemię, gdy zeskoczyła z huśtawki, ale potem nie słyszał nic. Na próbę powąchał powietrze. Swędziało go kolano i miał ochotę się podrapać. Poczł bezsilność. Wskazał za siebie.

- Tam jesteś - powiedział, a Rose się roześmiała. Obrócił się, otworzył oczy. I była tam, uśmiechnięta triumfalnie. Zdumiony Lewis zamrugł powiekami.

- No widzisz - powiedziała. - Nie zgadłeś, lecz po prostu wiedziałaś.

Kręciło mu się w głowie. Chciał, żeby Rose poruszała się wolniej, by przystanąła nieruchomo, by mógł się jej przyjrzeć. Ale jej obraz był niewyraźny. Podeszła do niego i przytknęła czoło do jego czoła.

- Czytaj w moich myślach - powiedziała i zamknęła oczy. On także opuścił powieki. Poczłł gorące pulsowanie. - Jaki kolor mam na myśli? - spytała. - Nie zastanawiaj się. Po prostu się odpręż.

- Niebieski - powiedział. Otworzył oczy i zobaczył jej uśmiech.

- A nie mówiłam? Wiedziałeś. Po prostu wiedziałeś.

- Chodźmy stąd - powiedział.

Skręcili w Greer Street, gdzie napotkali pana Corcorana w niebieskiej włóczkowej czapce na głowie. Odgarniał śnieg ze swojej części chodnika. Na ich widok przerwał pracę.

- Dlaczego chodzicie bez opieki?

- Pilnujemy się nawzajem. Nie jesteśmy bez opieki - odparła Rose.

Pan Corcoran otrzepał ręce o spodnie.

- Wasze matki wiedzą, gdzie jesteście?

- Moja matka jest w pracy - powiedział Lewis.

- Cóż, może powinna być z tobą w domu.

Lewis spojrział na niego spode łba. Nie podobało mu się, że matka pracuje, ale jeszcze bardziej nie lubił, gdy ludzie to komentowali.

Pan Corcoran przyjrzał się Rose i Lewisowi. Jego wzrok padł na notes, który Rose przyciskała do piersi. Na okładce była fotografia Jimmy'ego Stewarta.

- Jimmy Stewart, co? - powiedział. - To ktoś więcej niż *przystojniaczek*. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Czyżby? - zapytał Lewis.

- Weźmy ten film *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu*\* - powiedział pan Corcoran. - Myślisz, że prawdziwy Amerykanin przerwałby obrady Senatu w taki sposób jak on? I z uśmiechem na twarzy? - Postukał się w czoło. - Główka pracuje.

- Mnie się podobał ten film - powiedział Lewis. Obej-

\* *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu* - amerykański komediodramat z 1939 r. Nowy senator Jefferson Smith, którego skorumpowani koledzy uważają za prostodusznego i naiwnego, nie zamierza przymykać oczu na nieetyczne praktyki dygnitarzy.

rzał go z matką, zajadając popcorn. A gdy matka zaczęła płakać, udawał, że tego nie widzi.

- To właśnie jest zamierzone. Ma ci się podobać. Ma cię wciągnąć, żebyś myślał, że wiesz, o co chodzi, podczas gdy chodzi o coś innego. Nie można ufać tym komunistom. A chcecie wiedzieć dlaczego?

- Dlaczego? - spytała Rose tak uprzejmie, że Lewis spojrzął na nią uważnie.

- Bo to kłamcy. Nie potrafią powiedzieć prawdy, nawet gdyby chcieli. Mój Stanley dobrze o tym wie. Wy, dzieciaki, także powinniście wiedzieć.

Lewis przygryzł wargę, żeby się nie roześmiać. Pan Corcoran wskazał niebo.

- Wy, dzieciaki, myślicie, że to jest śmieszne. Ale w każdej chwili może na nas spaść bomba. A my nie będziemy się tego spodziewać. W jednej chwili jesteśmy tutaj i rozmawiamy sobie w miłej okolicy, a dwie sekundy później, buuum, i zostanie z nas tylko popiół. Myślicie, że to niemożliwe? - Wzniósł ręce do nieba i gwałtownie je opuścił.

-Rosjanie ukrywają materiały wybuchowe. A w Ameryce jest mnóstwo czerwonych. Mogą być tuż obok nas, a my nawet o tym nie wiemy.

- Kto? - spytała Rose. - Kto jest tuż obok nas?

Pan Corcoran postukał w notatnik Lewisa ze zdjęciem Tony'ego Curtisa na okładce.

- Choćby on.

- To aktor. Grał Houdiniego - powiedział Lewis. -A poza tym on tutaj nie mieszka.

- Żyd. Obaj Żydzi. Houdini był komuchem. Ale nie wiem, czy Curtis także.

- Ja jestem Żydem. - Lewis poczuł piekący ból w brzuchu. Nie spodobało mu się, jak pan Corcoran założył ręce i kołysał się na piętach. Jeśli jego Jezus jest taki wspaniały, to dlaczego nie pomoże im znaleźć Jimmy'ego? Chciał to powiedzieć głośno i zobaczyć, co zrobi pan Corcoran, ale stchórzył.

- Lepiej idźcie już do domu - powiedział pan Corcoran.

Gdy znaleźli się poza polem jego widzenia, Rose pokazała, że facet ma kręcka, zataczając palcem kółeczka przy skroni. Ale wyraźnie straciła humor. Lewisowi odechciało się myszkowania po okolicy. Na niebie pojawił się samolot. Lewis zadarł głowę. Wyobraził sobie bombę, o której mówił pan Corcoran, spadającą z nieba prosto na nich. Czy zauważyłby ją zawczasu, czy nastąpiłoby to za szybko i wszystko zostałoby unicestwione? Czy poznałby komunistę, gdyby go zobaczył?

- Rose, znasz jakichś komunistów? - zapytał zaniepokojony.

- Tak. Jestem wielkim, brudnym czerwonym komuchem i zaraz cię pożrę. A ty jesteś wielki, brudny Żyd i pijesz krew niemowląt. - Obnażyła zęby i łaskotała go tak długo, aż się roześmiał.

Lewisowi burczało w brzuchu, ale Rose nie spieszyła się do domu na obiad.

- Jesteś głodna? - zapytał. Wzruszyła ramionami. - Bo ja jestem - powiedział.

- To idź do domu i coś zjedz.

Przyjrzał jej się. Kopała śnieg czubkiem buta, nie ruszając się z miejsca.

- Chodź ze mną - powiedział.

Lewis wprowadził ją do kuchni, gdzie Ava mieszała coś w garnku. Zawstydzona Rose opuściła głowę.

- Cześć, kochanie - powiedziała Ava. - Zjesz coś z nami? Mama nie będzie się gniewać?

- Moja matka już zjadła - cicho odpowiedziała Rose.

- Zadzwoń do niej i powiedz, że zjesz obiad z nami. Żeby się nie niepokoila.

Rose skuliła się przy telefonie, mówiąc ściszym głosem:

- Tak. Dobrze. - Odłożyła słuchawkę i spoglądała w milczeniu, jakby była zawiedziona. - Powiedziała, że dobrze - odezwała się wreszcie.

- Potrzebujemy twojego towarzystwa - zapewniła Ava,

stawiając przed dziewczynką talerz. Lewis jadał u Dot wystarczająco często, by wiedzieć, że matka nie dorównuje jej jako kucharka, ale spostrzegł, że Rose pożądlivym wzrokiem spogląda na bulgoczące w garnku ziemniaki. - Czuj się jak u siebie, kochanie - powiedziała Ava.

Odtąd Ava codziennie stawiała talerz dla Rose i rozmnażała porcje. Nigdy nie było tego dużo, ale przez całą zimę gotowała spaghetti - więc aby powiększyć porcje, wystarczyło dodać wody do sosu - lub ziemniaki, do których dolewała mleka. Rose przychodziła chętnie i zjadała wszystko do czysta. A potem Ava dawała jej kamionkowe naczynie z porcją dla Dot. „Musi jeść - mówiła. - A jeśli nie zechce, będziesz miała przekąskę na później”. Ava i Lewis zawsze odprowadzali Rose do domu.

- Chciałabym porozmawiać z Dot - powiedziała Ava pewnego wieczoru. Ale okna były ciemne, a na stukanie do drzwi nikt nie odpowiadał. - W takim razie wejdź do domu sama, kochanie - powiedziała Ava łagodnie. Poczekali, aż Rose sama otworzy zamek kluczem i zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy zawrócili do domu.

Pewnego wieczoru Rose się nie pokazała i Lewis po nią poszedł.

- Będę wszystko trzymała na ogniu, żeby było ciepłe -zapewniła matka. Lewis pobiegł do domu Rose i zastał ją na ganku, jakby na niego czekała.

- Nie jesz dziś z nami? - zapytał. A potem dostrzegł, że Rose ma bardzo zaczerwienione oczy i roztrzęsione dłonie. - Coś przede mną ukrywasz - dodał.

- No coś ty, nie bądź głupi, mówię ci wszystko. - Spojrzała w bok, mrużąc oczy przed światłem latarni. Mówiąc, wydychała obłoczki pary.

- Nie możesz mi wmawiać, że nic się nie stało.

- Po prostu nie jestem głodna.

- W porządku. Zobaczymy się jutro - powiedział Lewis i biegiem wrócił do domu.

Ava czekała w salonie. Zwinięta na kanapie, czytała



książkę. Miała na sobie spodnie ogrodniczki i sweter. Włosy związała chustką. Wyglądała jak matka, a nie jak kobieta pracująca, rozwódka, którą obgadują sąsiedzi.

- Jak myślisz, co się z nami stanie, kiedy umrzemy? -zapytał Lewis. Ava zdębiała. Zwróciła ku niemu pełną powagi twarz.

- Czemu o to pytasz?

- Po prostu pytam.

- Jestem na tyle mądra, by wiedzieć, że nie wiem -w końcu odparła Ava. - A ty w coś wierzysz?

Przygryzł spierzchnięte wargi.

- Nie wiem. Może istnieje jakiś świat równoległy.

- Brzmi całkiem dobrze - odparła.

Lewis pomyślał o Jimmym, zagubionym w jakimś równoległym świecie, z całkiem nowymi przyjaciółmi i rodziną, ale wcale nie poczuł się lepiej. Zdawało mu się, że utknął w labiryncie.

- Rose nie przyjdzie dzisiaj na obiad - oznajmił.

- Zobaczymy ją następnym razem - zapewniła go matka. Tej nocy Lewis obudził się w ciemności. Zapalił lampkę

i spojrzął na zegar. Czwarta rano. Matka nazywała ją godziną wilka. Była to pora, gdy śniły się najgorsze koszmary. Przyłożył dłoń do serca i poczuł łomotanie. Pomyślał

o Rose. Po obiedzie matka zaniósła pojemnik z porcjami kurczaka i makaronem dla Rose i Dot. Wróciła po dłuższej chwili.

- Czemu tak długo? - zapytał Lewis. Ava wzruszyła ramionami. - Rozmawialiśmy.

- O czym?

- O tym i o owym.

- A co robiła Rose? - zapytał, ale Ava wyminęła go

i weszła do kuchni.

Lewis podszedł do okna i wysyłał latarką sygnał SOS. Wiele razy. Poczekał na odpowiedź, ale Rose nie odpowiedziała. Lewis poczuł się tak, jakby coś się w nim poluzowało, niczym źle wkręcona żarówka.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rose poszukiwała w kuchni czegoś do zjedzenia na śniadanie: niezepsutego i nie za bardzo przeterminowanego. Znalazła nieotwartą paczkę serowych krakersów oraz jabłko, które zbrązowiło tylko z jednej strony.

Odgryzła kęs krakersa, który na języku rozsypał się na proszek. Dawniej matka budziła się o szóstej i przygotowywała śniadanie: jajka i tost z bekonem lub kielbasą. Na łóżku układała czyste ubrania oraz pudełka z lunchem dla Rose i Jimmy'ego. Nieustannie krzątała się po domu, gotując i sprząając. W wolnych chwilach grywała w karty z sąsiadkami. Teraz jednak zaprzestała wszelkiej aktywności.

Wszystko się zmieniło i Rose była przerażona. Musiała namaczać płatki mydlane, żeby ulepić z nich coś w rodzaju kostki. Po powrocie ze szkoły zastawała matkę, która zdawała się odczuwać ulgę na jej widok, ale nigdy nie zadawała żadnych pytań dotyczących szkoły czy pracy domowej, a gdy Rose przyniosła do domu test z matematyki oceniony na trójkę i była pewna, że matka ją skrzyczy, ta po prostu podpisała kartkę, nie mówiąc ani słowa. Nawet nie zasugerowała, żeby córka starała się poprawić ocenę.

Wiosną Dot zmieniła się nie do poznania. Rose bała się zaprosić nawet Lewisa, bo nie wiedziała, jak matka się za-

chowa, czy będzie ubrana, czy odezwie się choćby monosylabami, czy po prostu będzie leżała na kanapie w złachanym szlafroku.

- Chcę, żebyś siedziała w domu, a nie włóczyła się po okolicy - powiedziała córce.

Ale gdy Rose zostawała w domu, matka jakby jej nie zauważała.

Pewnego popołudnia, gdy w lodówce było tylko żaroodporne naczynie z zapiekanką, które ktoś przyniósł przed tygodniem, Rose podjęła decyzję. Wyjęła z portfela matki dziesięć dolarów i wyszła z domu, choć nie miała na to zgody. Gdyby nie zrobiła zakupów, nie miałyby co jeść.

Zdenerwowana szła Trapelo Road do Star Market.

- Musicie chodzić szybko i zdecydowanie - pouczyła ich nauczycielka. - Energicznie machajcie rękami. Bądźcie przygotowani na ucieczkę.

Rose kupiła produkty, które zapełniły dwie duże torby: artykuły spożywcze, zieloną paprykę, pomidory, jabłka, mydło i środki czyszczące. Wróciwszy do domu, przeczytała sposób użycia na środkach czyszczących i zabrała się do pracy.

Wyszorowała podłogę w kuchni, umyła drewniane podłogi w salonie, jadalni i swojej sypialni. Odkurzyła żaluzje i przygotowała brudne rzeczy do wyprania. Do wysprzątania został już tylko gabinet. Zastała tam stertę gazet. Nie mogła się powstrzymać i zaczęła przerzucać strony w poszukiwaniu zdjęć. Wszak tajemnice kryją się w najrozmaitszych miejscach. Szukała artykułów z zamieszczonymi fotografiami tłumu. Uważnie przyglądała się twarzom ludzi, w nadziei, że któraś okaże się twarzą brata. Przeszukała szuflady i znalazła lupę. Jej uwagę przykuła słabo widoczna głowa chłopca wśród licznie zgromadzonych osób. Obrysowała twarz piórem, by jej nie stracić z oczu.

- Co ty tu robisz?

Rose uniosła głowę. W drzwiach stała matka w nocnej koszuli, z rozczochranymi włosami.

- Czy on nie wygląda jak Jimmy? - Rose pokazała matce zdjęcie i miejsce, w którym zakreśliła twarz. Dot wepchnęła gazetę do kosza na śmieci, po czym wymaszerowała z pokoju.

Rose sięgnęła po gazetę, rozprostowała ją i wygładziła. Zerknęła na zdjęcie. Teraz to widziała. Chłopiec na fotografii miał inne oczy.

Usłyszała, że matka jest w kuchni. Weszła tam i zastała ją wpatrującą się w szafki wypełnione żywnością.

- Skąd to się wzięło? - spytała Dot. - Sąsiedzi przynieśli?

- Zrobiłam zakupy - odparła Rose. Dot spojrzała na córkę ze zdumieniem. - Chcesz się przejść, mamo? - spytała Rose.

- Po co?

- Żeby pobyć ze mną. Żeby coś robić. Przynajmniej się ubierz. Daj, wypiorę ci szlafrok - powiedziała Rose, wyciągając rękę, ale matka się wzdygnęła i ciasniej owinęła szlafrokiem. Rozejrzała się w koło.

- Ktoś tutaj sprzątał? - spytała.

Przez chwilę Rose myślała, że matka zakąszę rękawy i weźmie się do pracy, żeby dokończyć porządki. Ale ona pokręciła głową.

- Muszę się położyć - oznajmiła.

- Mamy zaległe rachunki - wypaliła Rose, spodziewając się, że matka będzie zła i powie jej, żeby pilnowała swojego nosa, ale ona tylko machnęła ręką.

- Zajmę się tym - powiedziała. Rose jednak jej nie uwierzyła i bardzo się bała.

Miała zaledwie czternaście lat. Nie potrafiła sama o wszystko zadbać. Gotowanie, sprzątanie, zamartwianie się o matkę i o pieniądze - to wszystko ją przerastało. Powinna by komuś o tym powiedzieć, ale komu? Lewis i tak by jej nie pomógł. Ktoś dorosły mógłby zatelefonować do pomocy społecznej, która zabrałaby niepełnoletnią Rose. Słyszała, że takie rzeczy się zdarzają. A to by zabiło jej mat-

kę. I Rose prawdopodobnie również, gdyby przyszło jej żyć w obcej rodzinie, gdzie obowiązują inne zasady, wśród ludzi, którzy zapewniają o swojej miłości, a tak naprawdę wcale jej nie czują.

Matka jest teraz w swoim pokoju. Z pewnością śpi. Rose wybiegła z domu. Nabrała powietrza w płuca. „Chodź ze mną” - miała ochotę krzyczeć do matki. Chodź ze mną.

Podczas zajęć z robót ręcznych, gdy Rose usiłowała nawlec igłę maszyny do szycia, rozległo się stukanie do drzwi klasy. Wszystkie dziewczynki uniosły głowy. Wszedł dyżurny i wyszeptał coś nauczycielce, która poważnie spojrzała na Rose i przywołała ją do siebie ruchem ręki.

- Masz pójść do gabinetu dyrektora - powiedziała szeptem.

Idąc do dyrektora, Rose wiedziała, że sprawa dotyczy Jimmy'ego. Zastanie tam Jimmy'ego. Przygryzła wargę, aby się nie rozplakać, i powstrzymała chęć, by przebyć drogę biegiem.

Ale w gabinecie zastała wyłącznie dyrektora, bardzo zatroskanego pana Moranga (dzieci nazywały go panem Cytryną).

- Dzwoniła twoja mama - powiedział. - Chce, żebyś natychmiast wróciła do domu.

- Coś się stało?

Pan Morang wzruszył ramionami.

- Myślę, że po prostu chce cię mieć w domu - odparł łagodnie i zatelefonował po taksówkę. Powiedział, że sekretarka poczeka przed szkołą razem z Rose i dopilnuje, by bezpiecznie wsiadła do samochodu.

Gdy Rose dotarła do domu, znalazła przymocowaną do klamki kopertę z napisem „Taksówka”, a w niej garść drobniaków. Dała pieniądze taksówkarzowi, weszła do środka i zawołała:

- Mamo!

Matka była w kuchni. Leżała na podłodze w szlafroku i brudnej nocnej koszuli. Była bosa i rozczochrana.

- Mamo! - wykrzyknęła Rose. Ukucnęła i z walącym sercem chwyciła matkę za nadgarstek. Wyczuła puls. Dot gwałtownie cofnęła rękę i spojrzała na Rose.

- Nie mogę tak dłużej - powiedziała. Usłyszawszy jej głos, Rose poczuła taką ulgę, że niemal się rozplakała.

Z trudem pomogła matce wstać. Matka była ciężka i spocona. Zaprowadziła ją do łazienki i nalała wody do wanny. Nie chciała oglądać matki nagiej, ale zdjęła z niej brudne ubrania.

- Wejdz do wanny - rozkazała, a matka posłusznie zanurzyła się w gorącej wodzie.

- Och, jak dobrze - westchnęła. Rose bała się ją zostawić, więc usiadła na sedesie. Dot zaciągnęła zasłonę, pozostawiając córkę na zewnątrz. - Wyjdz - powiedziała stłumionym głosem. - Nic mi nie będzie.

Rose czekała za drzwiami, nasłuchując. Usłyszała, że woda spływa z wanny. Usłyszała przeciągłe westchnienie matki, a potem drzwi się otworzyły i Dot, nie spojrzawszy na Rose, poszła do swego pokoju i głośno zamknęła drzwi.

Następnego dnia, gdy Rose wróciła ze szkoły, matka była ubrana i nawet przygotowała przekąskę dla Rose: cztery krakersy z kawałkiem sera. Rose miała zamiar pójść na obiad do Lewisa, ale usłyszała, że coś skwierczy na patelni. Poczła woń tłuszczu i bekonu. Weszła do kuchni i zastała matkę smażącą bekon.

- Tosty z bekonem, pomidorami i sałata, dobrze? - spytała Dot.

- Pycha - odparła Rose i zachwycona usiadła na krześle. Potem już zawsze miały coś na obiad. Nic specjalnego,

ot, jajka na grzance („śniadanie na obiad" - mawiała Dot), spaghetti z masłem, a nawet pieczony kurczak i gotowane ziemniaki. Dot jadła także, a potem zmywała naczynia, mamrocząc coś pod nosem i wyglądając przez okno, jakby

była sama. „Chcesz obejrzeć telewizję?” - pytała matkę Rose, a ona wzruszała ramionami, ale siadała obok na kanapie. Oglądała to, co Rose nastawiła, tematyka nie miała znaczenia. Dot zawsze sprawiała wrażenie nieobecnej.

Zaczął się czerwiec. Do końca roku szkolnego pozostał tydzień. Rose wróciła po lekcjach do domu i zastała w salonie dwie otwarte walizki. Zarumieniona matka pakowała ubrania.

- Podjęłam decyzję - powiedziała. Postanowiła przenieść się do Pittsburgha i zamieszkać u siostry, Hope, kobiety, której Rose prawie nie знаła. Gdy staną na nogach, znajdą sobie własny dom. Może w Pittsburghu albo gdzieś indziej. - Hope zaproponowała mi to niespodziewanie, a ja od razu poczułam, że to dobry pomysł - oznajmiła Dot.

- Wyjeżdżamy? - spytała Rose. - Nawet o tym ze mną nie porozmawiałaś.

- Jesteś dzieckiem. Nie ty podejmujesz decyzje.

- Nie jestem dzieckiem. I nie chcę stąd wyjeżdżać.

- Już zatelefonowałam do agenta nieruchomości. Powiedział, że sytuacja na rynku jest dobra. Dom szybko się sprzeda.

- A co z Jimmym? Jak możemy zostawić Jimmy'ego? Matka przerwała pakowanie i spojrzała na Rose.

- Chcesz, żeby wrócił do cudzego domu? Chcesz, żeby pomyślał, że nam zupełnie na nim nie zależy? Nie możesz wyjechać.

- Rose... - powiedziała Dot ostrzegawczo, ale Rose poczuła dojmujący smutek ściskający jej gardło.

- Uważasz, że wyjedziemy i wszystko będzie w porządku!? - wykrzyknęła.

- Potrzebujemy odmiany. Chcę zamieszkać gdzieś, gdzie nie będę co rano żałować, że się obudziłam. Jeśli policja będzie się chciała z nami skontaktować, to nas znajdzie. - Dot rozejrzała się po domu. - Po raz pierwszy poczułam, że żyję - powiedziała cicho.

Rose wybiegła z domu. Ulice były puste. Miała wraże-

nie, że ciepłe powietrze otula ją niby gruby i ciężki płaszcz. Płakała, gdy Lewis otworzył przed nią drzwi. Chwycił ją za rękę i wprowadził do swojego pokoju. Zamknął drzwi i posadził na krześle. Nie mogła powstrzymać płaczu, więc usiadł obok niej i przytknął czoło do jej czoła. Opowiedziała mu, co się stało.

- Gdy tylko będziemy miały stały adres, od razu ci go podam. Zadzwoń. Pittsburgh nie jest aż tak daleko - zakończyła. Czuła na twarzy oddech Lewisa, jego wargi były tak blisko, że wystarczyło się odrobinę przesunąć, a ich usta by zetknęły się. Oparła dłonie na jego ramionach, a on jej na to pozwolił. Przytuliła go tak mocno, że czuła na sercu bicie jego serca. A potem się odsunęła. - Musimy zawrzeć nowy pakt - powiedziała. Uniosła dłoń i przyłożyła do niej dłoń Lewisa. - Znajdziemy Jimmy'ego. Nigdy nie zaprzestaniemy poszukiwań.

- Nigdy nie zaprzestaniemy - zapewnił ją Lewis. Rozległo się stukanie do drzwi i gwałtownie opuścili ręce.

- Co się stało? - spytała Ava, otwierając drzwi. Rose spojrzała na kamienną twarz Lewisa.

- Rose się wyprowadza - powiedział.

Ava podeszła, uklękła i ujęła twarz Rose w dłonie.

- Och, kochanie - powiedziała.

Rose i Dot miały wyjechać, gdy tylko ktoś kupi ich dom. W ogródku pojawiła się tabliczka z napisem NA SPRZEDAŻ, wyrastająca z ziemniczym kwiat. Rose, gdy tylko mogła, każdą chwilę spędzała z Lewisem.

- Będę do ciebie codziennie pisać - obiecała. - I podam adres. Może wymyślę jakiś sposób, żeby cię odwiedzić. A może ty odwiedzisz nas. - Ledwie wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę z tego, że zabrzmiały głupio. Nawet nie miała pojęcia, jaki jest ten Pittsburgh. Przecież nie dotrze tu, jeśli matka nie przywiezie jej samochodem albo nie wsadzi do pociągu, a teraz Dot za nic by tego nie zrobiła.



I jakże Lewis miałby do niej przyjechać? Wypytywała matkę o adres ciotki Hope, żeby podać go przyjacielowi.

- Będę go miała - obiecała Dot, ale nigdy go nie zdobyła.

Rose słyszała, jak sąsiedzi rozmawiają o ich wyprowadzce. Wprawdzie na jej widok ściszcili głos, ale i tak słyszała ich komentarze. Jakże matka może się wyprowadzać, gdy syn jeszcze się nie odnalazł? A jeśli tu wróci? A jeśli zostanie pusty dom? Cała ta sprawa wygląda bardzo źle, ale czego się można spodziewać po samotnej kobiecie? Dot jednak wciąż powtarzała, że czeka je zupełnie nowe życie i że zadomowią się tam, zanim rozpocznie się nowy rok szkolny.

Pewnego wieczoru Rose leżała na łóżku, nie zwracając uwagi na kartony, które matka wepchnęła do jej pokoju. Pisała do Jimmy'ego w swoim notatniku. „Wyprowadzamy się, ale ja nigdy nie przestanę Cię szukać”. A potem dodała, by poczuć się lepiej: „Może Ty także jesteś w Pittsburghu”. I wreszcie, pod spodem, dopisała jak w postscriptum: „Znajdę Cię, obiecuję”.

Matka chciała, żeby Rose zabrała tylko to, co najważniejsze. Rose jednak wiedziała, że mają na ten temat skrajnie odmienne zdania. Spakowała tylko jeden karton. Zappełniła go przedmiotami mogącymi pomóc w poszukiwaniu Jimmy'ego, i tym, co miało dla niej znaczenie: ulubioną koszulą brata, mapą. Potem wzięła latarkę i nadała przez okno sygnał SOS, ale w domu naprzeciw zaciągnięto zasłony. Było po pierwszej, naprawdę późno, więc Lewis z pewnością już spał. Sięgnęła po swój pamiętnik i przekartkowała go. Były w nim listy do Jimmy'ego i zapiski dotyczące ludzi oraz miejsc, które mogły stanowić wskazówki. Było też kilka opowiadań. Zawsze o dziewczynce, takiej jak ona, która szuka i zawsze odnajduje swego brata. Wzięła pióro i zaczęła pisać. Pisała o dziewczynie, która ma się wyprowadzić i zamieszkać z dala od swego najlepszego przyjaciela. Na końcu dziewczyna mówi chłopcu, że go kocha. Tę część Rose zapisała drżącą ręką. Nie mogła napisać następnego

zdania, bo nie wiedziała, co chłopiec odpowie. Wydawało jej się, że pokój wiruje wkoło niej.

Wstała i podeszła do garderoby. Spojrzała na ścianę. Gdyby Jimmy wrócił, pewnie szukałby jakiejś wiadomości. Jakiegoś znaku. „Znajdź mnie w Pittsburghu” - nabazgrała. I podpisała imieniem.

Pod koniec lipca dom został sprzedany. Gdy Lewis zobaczył nową tabliczkę, miał ochotę wykopać ją z ziemi. Począł na Rose, która wypadła z domu jak burza. Podbiegła do Lewisa.

- Dentysta - powiedziała. - Oto kto kupił nasz dom. Ron i Rhonda Brownowie. Tak pięknie, że aż się chce rzygać. Matka dała im całkowitą swobodę. Dla niej to już jest ich dom.

- To nie jest ich dom. To nigdy nie będzie ich dom.

- Ona myśli, że przeprowadzka wszystko załatwi. Ale tak nie będzie. Według mnie nie wolno nam stąd wyjechać. Musisz go dalej wypatrywać. I pamiętaj, włosy można ufarbować i ostrzyć. Ludzie robią się grubszy. - Spojrzała na okolicę przez zwiniętą dłoń, jak przez lunetę. - Może się tu pojawić w każdej chwili. Choćby jutro.

- Nigdy nie przestanę go szukać - przyrzekł Lewis.

- Ani ja.

Przytknęła czoło do jego czoła i opuściła powieki.

Wyprowadzały się piętnastego sierpnia. Lewis zaznaczył ten dzień w kalendarzu małym czerwonym iksem. Rose powiedziała, że wyjadą wczesnym rankiem, że wypożyczyły samochód i przyczepę. Sąsiadki, nie wyłączając Avy, uradziły, by kupić dla Dot czerwoną walizkę i owiązać ją białą wstążką z kokardą. Gdy ją przyniosły, Dot patrzyła na nią, jakby nie wiedząc, co ma z nią zrobić.

- Dziękuję - powiedziała, ale nawet jej nie otworzyła. Lewis, budząc się co ranka, miał nadzieję, że stanie się coś, co nie pozwoli im wyjechać. Brownowie mogą zdecy-

dować, że nie chcą mieszkać w tak hałaśliwej okolicy. Dot może dojść do wniosku, że musi zostać, dopóki jej syn się nie znajdzie. Na Pittsburgh może spaść bomba komunistów. Czasem wyobrażał sobie, że Rose zachoruje - nie jakoś groźnie, ale wystarczająco ciężko, by musiały zostać. Mógł się też zdarzyć jeszcze jeden zadziwiający cud: oto wszyscy stoją na ulicy, przyglądając się załadunkowi rzeczy do przyczepy, a tu pojawia się Jimmy w postrzępionych dżinsach, z długimi włosami, i spogląda na nich ze zdumieniem. „Gdzieś ty był?” - zapytałby go Lewis, jakby wcale za nim nie tęsknił.

Wieczór poprzedzający odjazd Rose spędzili we dwójkę na boisku szkolnym. Siedzieli na huśtawkach, szurając tenisówkami po ziemi. Żadne z nich nie wspomniało ani słowem, że być może widzą się po raz ostatni.

- Muszę wracać - powiedziała w końcu Rose.

- Zobaczymy się jutro - odparł Lewis. Rose obejrzała się, a on chwycił ją za rękę. - Zobaczymy się jutro - powtórzył.

Rose znieruchomiała na chwilę.

- Taaa. Jutro - powiedziała, nie patrząc na niego.

Rano Lewis spojrział na zegarek. Siódma. „Jak to możliwe?” - myślał w panice. Alarm się nie włączył. Wyskoczył z łóżka i włożył tenisówki. Rose powiedziała, że wyjadą o szóstej, zanim ktokolwiek wstanie. Ale może odjazd się opóźnił. Może jednak zdąży. Wpadł do salonu, chwycił płaszcz i narzuciwszy go na pidżamę, wybiegł z domu. Poczawszy rześkie powietrze, zadygotał. Słyszał stukanie swoich podeszew na bruku. Biegł, ale zanim dotarł na miejsce, po raz pierwszy poczuł łączność, której Rose usiłowała go nauczyć. Ale tym razem było to połączenie z pustką. I wiedział już, że ich nie zastanie.

Przystanął i dyszał, oparłszy dłonie na kolanach. Przyczepy już nie było. Dom opustoszał. Pomyślał o czekającej na niego Rose. Zastanawiał się, czy była na niego zła, czy

może smutna, i czy mu kiedyś wybaczy. Wiedział, że sam sobie nigdy nie wybaczy.

Przez frontowe okna było widać, jak bardzo pusty jest dom. Szarpnął drzwi, ale były zamknięte. Zszedł więc od tyłu i otworzył jedno z okien. On i Jimmy wspinali się stamtąd na dach, gdzie przesiadywali, spoglądając na ulicę. Wszedł do środka i zobaczył, że wszystko jest przygotowane dla Brownów. Podłogi lśniły czystością, wykładziny były odkurzone. Wszedł do pokoju Jimmy'ego i uderzyło go poczucie pustki. Na ścianie widać było wyblakły prostokąt, tam gdzie wisiała ich mapa. Łóżko, zasłony, zniknął wszelki ślad po Jimmym. Teraz był to zwyczajny pokój.

Rozgorączkowany obszedł pozostałe pomieszczenia. Kuchnia była pusta. Tak samo salon. Wszedł do pokoju Rose. Ściany nadal były jasnoróżowe. Wszedł do jej garderoby, ukucnął, a potem usiadł na podłodze. „Rose” - powiedział na głos i usłyszał echo. Spozrzegł coś w rogu i przyjrzał się ścianie z bliska. „Odszukaj mnie w Pittsburghu” było wryte na ścianie. A pod spodem jej imię.

Lewis dotknął liter. To jej charakter pisma. Kiedy to napisała? Kogo miała na myśli? Jego? Jimmy'ego? Czy ich obydwu? Skąd wiedziała, że wejdzie do jej garderoby? Przycisnął dłoń do napisu. Nowi lokatorzy wynajmą kogoś, żeby pomalował ściany, a wtedy napis także zniknie.

Wstał. Światło poranka stawało się coraz jaskrawsze. Wkrótce z domów zaczną wychodzić ojcowie. Niosąc pudełka z lunchem, wsiadą do samochodów. Lewis wyszedł na zewnątrz, przeszedł na przeciwną stronę jezdni i usiadł na swoim ganku. Podparł głowę rękami. Rose nie dostała od Dot adresu ciotki w Pittsburghu. Świat był wielki i przerażający. Nie było w nim miejsca dla samotnego Lewisa.

Lewis spędził cały tydzień w swoim pokoju, wpatrując się w sufit. Za kilka tygodni zaczynała się szkoła. Ósma klasa. Rose odjechała.

Odrzucił książkę o Houdinim. Houdini, z tymi wszystkimi sztuczkami, teraz go irytował. Był zmęczony sztuczkami, uczuciami, tym wszystkim, czego nie mógł dotknąć. Raz zajrzała do niego matka.

- Hej - powiedziała. - Są tu dziś jakieś dzieci? Czyżby nie wiedziała, że Lewis nie ma żadnych przyjaciół? Czekał, aż sobie pójdzie, ale matka nie odchodziła.

- Mam pomysł - powiedziała. - Co powiesz na Penny Pool?

Penny Pool to wielki basen, na który wchodziło się za centa. Był zawsze po brzegi wypełniony ludźmi, a małe dzieci sikały do wody.

- Nie? - spytała Ava. - W takim razie może pójdziemy do kina? W Embassy grają film *Johnny Tremain*\*.

- Nie mam ochoty na kino.

Chciał, żeby sobie poszła, ale ona usiadła na łóżku i przyglądała się synowi.

- Myślisz, że ja się czuję dobrze? Dot była moją przyjaciółką. Ale ta ulica to tylko maleńka część świata. Ludzie stale odchodzą. Takie jest życie - powiedziała cicho.

- Czy wiesz, gdzie zamieszkają w Pittsburghu? - zapytał. - Czy Dot podała ci adres albo nazwisko ciotki.

- Prosiłam ją o to, ale mi nie powiedziała. Myślę, że Dot chce wszystko zostawić za sobą - odparła Ava.

Lewis obrócił się plecami do matki, a twarzą do ściany.

- Jeśli zmienisz zdanie, możemy zdążyć na seans o czwartej - powiedziała, wstając, i wyszła z pokoju.

Można by pomyśleć, że w dniu, w którym wprowadzali się Brownowie, na dwór wylegli wszyscy sąsiedzi. Przyglądali się wielkiej załadowanej furgonetce, komentowali umeblowanie, które było białe i ozdobne.

- Och, uwielbiam francuski styl kolonialny - powie-

**\* *Johnny Tremain* - film Walt Disney Productions z 1957 r. na podstawie powieści Esther Forbes.**

działa Debbie Hill. Pochwaliła też mosiężne lampy i drewniany fotel na biegunach.

- Cóż za gust! - wykrzyknęła Tina Gallagher. Gdy pani Brown spostrzegła Lewisa, pomachała mu ręką, ale on udał, że jej nie widzi, i wkrótce rozmawiała z kim innym. Lewis patrzył, jak państwo Brown wchodzi i wychodzi, i pożałował, że nie zdrapał ze ściany wiadomości od Rose. Nie chciał, by ją znaleźli. Nie była przeznaczona dla nich. Ale gdy usiłował zakraść się do środka, pani Brown go zatrzymała.

- A to co? - powiedziała. - Jeszcze nie przyjmujemy gości.

Co wieczór pisywał listy do Rose. Opowiadał w nich, jak bardzo jest mu przykro, że nie zdążył na jej odjazd. Że zrobiłby wszystko, by to naprawić, jeśli tylko mu pozwoli. Napisał, jak dziwna i opuszczona jest bez niej okolica. Wkładał listy do kopert i zaklejał je, ale nie mając adresu, ukrywał je w szufladzie pod bielizną.

A potem nadeszła jesień i nagle nauczyciele zaczęli im powtarzać, że ani się obejrzą, a już będą w liceum.

- Już nie jesteście dziećmi - powiedziała nauczycielka Lewisa.

Lewis czytał książki o różnych miastach: o San Francisco, o Chicago, o Rzymie. Poszedł na stację benzynową i poprosił o darmową mapę Stanów Zjednoczonych. Przykleił ją do ściany w sypialni i usiłował sobie przypomnieć wszystkie trasy, które planowali z Jimmym.

Oznakował czerwoną pinezką San Francisco. Wybierze się w podróż. Gdy skończy osiemnaście lat, będzie mógł wynieść się z domu i zamieszkać, gdziekolwiek zechce. Będzie mógł zrobić wszystko. Gdy kładł się na łóżku, łąpek pinezki zdawał się do niego mrugać, jak pierwsza gwiazda, która spełnia życzenia. Tak. Wkrótce stąd wyjedzie.

# **CZEŚĆ DRUGA**

**1963**

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lewis podążał korytarzem w szpitalu St. Merciful w Madison. Sprawdzał, czy nad drzwiami którejś z sal nie błyska żółte światelko, którym pacjenci wzywają pomocy. Szedł miarowym i precyzyjnym krokiem, niczym kot, stawiając stopy w białych tenisówkach wzdłuż czerwonej linii, którą umieszczono na podłodze, by odwiedzający wiedzieli, jak trafić do chorych. Ci jednak mimo wszystko błądzili i przystawali pośrodku korytarza. Z kwiatami lub pluszowymi zwierzakami w rękach, bezradnie obracali się w kółko, bezskutecznie poszukując oznakowań. W końcu trafiali na Lewisa, który prowadził ich do celu. Nie miał im za złe, że nie zawsze dziękowali. Rozumiał, że mają na głowie inne, ważniejsze sprawy.

Lewis właśnie skończył dziewiętnaście lat i w tym miesiącu pracował na oddziale chirurgicznym. Zatrudniono go w szpitalu niemal rok temu; bardzo mu odpowiadała praca, jaką wykonywał. Był jedną z dwóch osób pomagających pielęgniarzom. Zajmował się około dziesięciorgiem patentów. To, że był tam najmłodszym pracownikiem oraz jedyną pomocą pielęgniarzką płci męskiej, zależnie od okoliczności ułatwiało mu bądź utrudniało kontakt z pacjentami. Elaine, jego przełożona na oddziale chirurgicznym, na początku przyjęła go niechętnie. Irytowały ją zbyt długie włosy Lewisa, a to, że jest mężczyzną, uznała za afront.



Znalazł tę pracę przypadkowo, w pierwszym tygodniu po przyjeździe do miasta. Miał osiemnaście lat i puste kieszenie. Odpowiadał na wszystkie propozycje pracy niewymagające wyższego wykształcenia. Kiedy trafił w gazecie na to ogłoszenie, wiedział, że tym razem mu się poszczęści. Pomoc pielęgniarska - zajęcie w sam raz dla niego. Zapewniają szkolenie. A on nie potrzebuje wiele snu i spodobała mu się perspektywa opiekowania się ludźmi, sprawiania, by poczuli się lepiej, nawet jeśli jego praca będzie polegała wyłącznie na podawaniu szklanki z wodą. Będzie się czuł potrzebny. I chociaż chodziło o pielęgniarstwo, nie napisali, że to ma być pracownik płci żeńskiej.

Poszedł na rozmowę kwalifikacyjną i otrzymał pracę. Przytakiwał, gdy Elaine mówiła o tym, co będzie należało do jego obowiązków: czyszczenie basenów, smarowanie odleżyn, przywoływanie pielęgniarek i wykonywanie wszelkich poleceń. Potrzebny mu był odpowiedni strój, ale przecież nie mógł nosić niebieskiej sukienki, jak inne pomoce pielęgniarskie.

- Zdobądź sobie jakieś niebieskie koszule - poleciła Elaine. -1 czarne spodnie. I identyfikator.

Przez kilka pierwszych dni tylko chodził za Elaine. Notował sobie wszystko w pamięci, by w razie konieczności móc szybko znaleźć potrzebne rzeczy. Szafa z zaopatrzeniem mieściła się obok windy, pokój pielęgniarek był na końcu korytarza. Pacjentów, których miał karmić, bo nie byli w stanie utrzymać sztućców, nazywano karmnikami. Wkrótce przekonał się, że najgorsi byli „powolni karmnicy”, czyli ci, którzy jedli bardzo powoli. W szpitalnym żargonie „brąz” oznaczał, że ktoś zanieczyścił łóżko kałem. Kto sprzątał? Wiadomo. Miał też zmywać mocz i wymiociny. Wymieniał przepalone żarówki i pomagał pacjentom spacerować po korytarzu, by wzmocnili sobie mięśnie.

Najtrudniejsze zasady zapisywał sobie ołówkiem w małym notesie, który zawsze miał ze sobą. Niektóre pielęgniarki nosiły czarne buty i nie miały czepków, bo jeszcze

nie uzyskały dyplomów, ale on i tak musiał być wobec nich posłuszny. Zawsze spoglądał na identyfikatory, bo Ava wciąż mu powtarzała, że ludzie lubią, by zwracać się do nich po imieniu. Ale z pielęgniarkami było inaczej.

- Dzień dobry, Lauro - powiedział, a ona zmarszczyła brwi.

- Panno Miller - poprawiła go i od razu wysłała po basen do sali dwieście dziewięć.

Nie wszystko rozumiał, ale gdy zadawał pytania w rodzaju: „W jakim celu oklepuje się klatkę piersiową chorego na bronchit? Dlaczego trzeba przepłukiwać rurkę kroplówki dożylną?” - pielęgniarki spoglądały na niego jak na natręta, który im przeszkadza. „Po co ci te wiadomości?” - odpowiadały, jakby i tak nie zrozumiał, gdyby mu wyjaśniły.

Lekarze, ma się rozumieć, całkowicie go lekceważyli. Byli to wyłącznie mężczyźni. Przemykali po oddziale w białych kitlach, a gdy na ich drodze znalazł się Lewis, spoglądali na niego jak na uciążliwą przeszkodę, unikali kontaktu wzrokowego i nie odpowiadali na uprzejme pozdrowienia, aż Lewis miał ochotę się uszczypnąć, by sprawdzić, czy rzeczywiście istnieje.

- Nie odzywaj się do lekarzy - poradziła Elaine. - Są zajęci.

- A my to niby nie? - odparł Lewis, a Elaine się roześmiała. - Prędko się uczysz.

W pierwszym tygodniu przyglądał się, jak Elaine zmienia opatrunek starszemu pacjentowi, panu Walkerowi, którego żona postrzeliła w brzuch. Elaine usiadła na jednym z żółtych plastikowych krzeseł i pochyliła się nad pacjentem. Skinęła na Lewisa, żeby usiadł obok.

- I po wszystkim - powiedziała, spoglądając na Lewisa. Pan Walker stęknął i obrócił się twarzą do ściany.

- Gdzie moja żona? - zapytał.

Lewis już miał coś odpowiedzieć, gdy do sali wszedł lekarz. Był młody, miał opatrunek na szyi. Na widok Elaine

i Lewisa chrząknął znacząco. Elaine zerwała się z krzesła i szturchnęła Lewisa.

- Wstań - wysyczała i Lewis wstał. - Dzień dobry doktorze Ryan - powiedziała. Zerknęła gniewnie na Lewisa.

- Dzień dobry doktorze Ryan - posłusznie powtórzył Lewis.

Lekarz nie odpowiedział. Spojrzał na kartę, a potem na pacjenta.

- Kaszlał - powiedziała Elaine, a lekarz skinął głową, nie odrywając oczu od karty. Nic na niej nie napisał. Pochylił się i popatrzył na opatrunek.

- Zrobimy morfologię - oznajmił lekarz.

- Co? - zapytał pan Walker. - Co zrobicie? Morfo... co? -Lekarz nie odpowiedział i wyszedł. Elaine usiadła. - Co się dzieje? - spytał pan Walker. - Co powiedział doktor?

- Zrobi panu badanie krwi - wyjaśnił Lewis. - Zapiszę panu to słowo, żeby je pan zapamiętał. - Niech pan się nie niepokoi. To rutynowe badanie.

Lewis zapisał w notesie, wyrwał kartkę i podał panu Walkerowi.

Pacjent spojrzał na kartkę i powiedział:

- Teraz wiem.

Lewis za Elaine wyszedł z sali.

- Dobrze zrobiłeś - powiedziała cicho. - Najlepszym lekarstwem na świecie jest ludzkie traktowanie.

Pod koniec dyżuru Lewis zawsze był tak zmęczony, że chodził jak w malignie. Po powrocie do małego wynajętego pokoju, wciąż czuł szpitalną woń: środki odkażające, fekalia, urynę. Dopiero po chwili zdawał sobie sprawę z tego, że to on przesiąkł tym smrodem. Prał swoją niebieską koszulę, jedną z czterech, które kupił w Thrift-T-Mart, wygładzał ręką czarne spodnie na maleńkim stole, bo nie miał żelazka, i wchodził pod prysznic. Odkręcał najgorętszą wodę, jaką mógł znieść. Nastawiał budzik, padał na łóżko i zasypiał. Za każdym razem budził się zdumiony, że to już nowy dzień.

Miał całą godzinę do wyjścia. Spędzał ten czas na ćwiczeniu starannego zaścielania łóżka. Zdejmował bieliznę z pościeli i pośrodku materaca formował z niej wałek przypominający kształtem pacjenta. Udawał, że ścieli łóżko, na którym leży chory. Wprawiał się we wszystkich czynnościach, chcąc je opanować do perfekcji.

Elaine szybko się zorientowała, że jest bardzo odpowiedzialny i szybko się uczy. Wkrótce się usamodzielniał.

- Jesteś gotowy - powiedziała.

Dała mu pager, by móc go przywołać w każdej chwili. Powiedziała, że ma sprawdzać, czy nad drzwiami nie świeci się światelko wzywające pomocy. Dostał listę pacjentów, którymi miał się opiekować: karmić ich, ścielić im łóżka, podawać to, o co poproszą. Oprócz tego do Lewisa należało sprzątanie.

- Sprawdź, jak ci idzie, gdy znajdę wolną chwilę - powiedziała, a on nie posiadał się z radości.

Lewis krążył po szpitalnych salach przez cały dzień. Czasami zdarzały się przykre chwile, promieniujący z łóżek ból, skuleni pacjenci. Kiedyś zastał pacjentkę, która spała z uśmiechem na twarzy. Mimo że starał się być cicho, obudziła się gwałtownie. Usiadła i wybuchnęła płaczem.

- Miałam sen! - krzyczała. - A teraz znów jestem w tym cholernym szpitalu! - Przetarła oczy. - Wyjdź! - wrzasnęła. - Wynoś się stąd!

Pacjenci chcieli wiedzieć, dlaczego został pomocą pielęgniarstwa, skąd pochodzi, bo mówi z takim dziwnym akcentem, oraz ile ma lat. Kobiety matkowały mu i go rozpieszczały. Pytały, czy ma dziewczynę, ale Lewis zauważył, że nie proponowały mu, by zapoznał się z ich córkami czy siostrzenicami. Mężczyźni sztywnieli, gdy ich dotykał, i byli przy nim nierozmowni. Co tam, nie muszą przecież za nim przepadać. Większość pacjentów zostawała najwyżej tydzień, a potem na ich miejsce przychodzili nowi. Miał się o nich troszczyć, gdy przebywali w szpitalu, a to było łatwe.

Lewis tak długo był samotny, że z przyjemnością rozmawiał z pacjentami. Każda choroba łączyła się z jakąś opowieścią. Pacjent po zawale przeżywał się, bo żona go porzuciła i oprócz płyt Beach Boysów tylko objadanie się przynosiło mu pociechę. Młoda dziewczyna z cukrzycą była do szaleństwa zakochana w swoim chłopaku, który wciąż ją odwiedzał i trzymał za rękę. Wyznała Lewisowi, że boi się, by nie poszedł na wojnę.

- Chce walczyć z komunistami - powiedziała z goryczą, a Lewis przypomniał sobie, jak dawny sąsiad, pan Corcoran nawet w trakcie najzwyczajszej pogawędki mówił

o czerwonej zarazie i żółtym zagrożeniu.

Lewis miał wgląd w życie pacjentów. Odczuwał zawód, gdy wchodził do pokoju chorego, który akurat spał lub, co gorsza, leżał z zamkniętymi oczyma, podłączony do rurek

i maszyn. Ale i tak przy nim siadał. Zwracał się do pacjentów po imieniu, trzymał ich za rękę. Niektórzy mieli siniaki i cętki od kroplówek. „Wszystko będzie dobrze” - mawiał, dodając im nadziei, nawet wtedy gdy nie wiedział, czy na pewno będzie lepiej. Lubił, gdy chorzy ożywiali się na jego widok, gdy go rozpoznawali, gdy był im potrzebny. Gdy ktoś czegoś potrzebował - wody, jakiegoś wyjaśnienia dotyczącego zabiegów - a Lewis mógł mu to dać, czuł, że znalazł swoje miejsce na ziemi.

Każde piętro miało właściwą sobie atmosferę i swoje pielęgniarki. Lewis nigdy nie był tylko na jednym oddziale -położnictwa, dokąd nie miał wstępu, bo był mężczyzną.

- To by było niestosowne - powiedziała Elaine.

- Ale tam są mężczyźni - odparł Lewis. - Wciąż ich widuję.

- Ojcowie noworodków i lekarze - wyjaśniła Elaine. -Ojcowie przebywają w poczekalni, gdzie mogą oglądać telewizję. I tam jest ich miejsce. Nikt ich nie chce na porodówce. Możesz być pewny.

Czasami, a zależało to od dyżurnej pielęgniarki, nie

wolno mu było wykonywać niektórych czynności przy pacjentkach, bez względu na oddział. Zdarzało się, że nie pozwalano mu obmyć gąbką starszej kobiety, będącej pod działaniem tak silnych środków uspokajających, że nawet by nie wiedziała, kto ją myje. Nie wolno mu było pomagać nastolatce z pokoju numer czterysta cztery, gdy zmieniała ubranie lub szła do toalety, nawet wtedy gdy musiała ponad godzinę czekać na pielęgniarkę.

Zapytał, czemu to nie dotyczy lekarzy płci męskiej, ale siostra przełożona rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Czyżbyś studiował medycynę? Więc nie porównuj się z nimi - powiedziała.

Znały go wszystkie pielęgniarki, bo był jedyną pomocą pielęgniarską płci męskiej. Czasami napotykał grupę siostrzyczek, które mu się przyglądały. Elaine powiedziała mu, że trzy lata temu mieli tu męzczyznę pracującego jako pielęgniarz.

- Ale on był inny. Przyszedł tu z piechoty morskiej. Był bardzo silny i delikatny. Zawsze pomagał, gdy musiałyśmy przenieść pacjenta. Nie zagrzał tu długo miejsca. Zobaczył kilku umierających i miał dość. Wrócił na studia, by zostać inżynierem. - Spojrzała znacząco na dłonie Lewisa, na jego obgryzione paznokcie. -1 był żonaty - dodała.

- Mam dopiero osiemnaście lat - powiedział Lewis, wzruszając ramionami.

- Ja w wieku osiemnastu lat byłam mężatką - oznajmiła Elaine. Uniosła rękę, żeby mógł zobaczyć na jej palcu obrączkę; szeroką i lśniącą.

Wszystko to działo się prawie rok temu, a teraz praca w szpitalu stała się dla niego rutyną. Lewis lubił swoje zajęcie, ale gdy dzień pracy dobiegał końca, nie mógł się doczekać powrotu do domu, gdzie przebywał sam w maleńkim pokoju. Jednak samotność mu doskwierała. Wszędzie dokoła widywał młode pary z uniwersytetu. Chłopcy i dziew-

częta spacerowali, trzymając się za ręce, całując się i flirtując. Dlaczego on nie miał nikogo? Próbował. Poszedł na dwa seanse do kina Bijoux. Oparł stopy na krzesło poniżej. Podczas drugiego filmu pod tytułem *Hud, syn farmera* między rzędy wsunęła się młoda kobieta i usiadła obok Lewisa. Miała długie, ciemne włosy i drobną poważną twarz. Lewis nie mógł się skupić na Paulu Newmanie, bo chciał ją zagadnąć. Wyobrażał sobie, co by jej mógł powiedzieć po filmie. Może poszliby na kawę. Gdy po seansie zapaliły się światła, powiedział z uśmiechem, nachylając się ku niej: „Zachwycający film, prawda?”. A ona zamrugła powiekami, jakby dopiero teraz zauważyła, że siedział obok niej. Obróciła się i wyszła spomiędzy rzędów, nie odzywając się ani słowem. Lewis wstał i przewrócił jej kubek z popcornem. Chodził na kursy wieczorowe, ale gdy podczas zajęć próbował zagadać do którejś z dziewczyn, kładła sobie palec na ustach i wpatrywała się w wykładowcę. Miał nadzieję, że zobaczy któregoś ze słuchaczy w mieście i będzie mógł się przywitać, nie narażając się na to, że uznają go za wariata, ale nigdy się na nikogo nie natknął.

W pracy pielęgniarki i ich pomocnice nie chciały się z nim bliżej zaznajomić, ale wśród personelu były też inne osoby. Co ranka, mijając się, wymieniali „Sie masz?” z sanitariuszem Mickiem. „Nie narzekam” - odpowiadał Mick, a potem w milczeniu wracał do mycia podłogi. Lewis doszedł do wniosku, że bez jego inicjatywy znajomość się nie rozwinie. Pewnego dnia, wychodząc z pracy, zobaczył Micka z Johnem, który pracował w bufecie, wydając porq'e. Obydwaj nieśli torby z kulami do kręgli. \ - Dokąd chodzicie na kręgle? - zapytał, a Mick obrócił się i powiedział:

- Do Pins Palace. Znasz to miejsce?

Lewis nie miał pojęcia, gdzie to jest, ale skinął głową i odparł z entuzjazmem.

- Świetna kręgielnia - powiedział. Mick spojrzał na niego.

- Co piątek chodzimy tam w kilka osób. Trochę sobie pogramy wypijemy piwko, pożartujemy. Chciałbyś się przyłączyć?

Ostatni raz Lewis grał w kręgle w Wal-Lex z Jimmym i Rose, gdy byli dziećmi. Tak kiepsko, że nawet nie dbali o wyniki.

- Chętnie - powiedział.

Żaden z mężczyzn nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat, ale Lewisowi zdawali się już sterani życiem. Mick dorobił się brzuszka, który skrywał pod żółtą koszulką kręglarza, John łyślał, a Tom, którego Lewis wcześniej nie widział, miał wyblakłe tatuaże na obu przedramionach. Wszyscy byli żonaci i mieli rodziny. Gdy tylko wybrali sobie tor, John wyjął portfel i pokazał zdjęcie swojego dziecka.

- Spójrz na tę małą - powiedział, wręczając Lewisowi fotografię dziewczynki, ukazującej w uśmiechu szczerbę po siekaczu. - To moja Gracie.

Mick miał ośmioletnią córeczkę, która uwielbiała jazdę konną, a Tom dwójkę piegowatych bliźniaków w wieku przedszkolnym.

- Mamy istny dom wariatów - rzekł Tom z uśmiechem. Mężczyźni rozmawiali także o żonach. Tom podwinął

rękaw, żeby pokazać Lewisowi duży opatrunek z gazy.

- Nabawiłem się tego przy pieczeniu kurczaka. A byłem tylko niewinnym gapiem, przyglądającym się, jak kucharzy moja żoneczka - powiedział i wszyscy się roześmiali.

Mick opowiedział, że jego żona ciuła drobniaki. Do jednego słoja życzeń składa na wycieczkę nad wodospad Niagara, a do drugiego na nową pralkę, jak gdyby dzięki tym kilku monetom mogły się spełnić marzenia.

- A ty masz kogoś? - zapytał John, zwracając się do Lewisa.

- Jeszcze nie - odparł Lewis. - Ale jestem otwarty na sugestie.

Mick się roześmiał.



- Nie spodobałyby ci się kandydatki zaproponowane przez moją żonę.  
- Mógłbym spróbować - powiedział Lewis z nadzieją, ale Mick machnął ręką. - Możesz mi wierzyć.

- Co ma być, to i będzie - zakończył rozmowę John. Wszyscy trzej byli niezłymi graczami, a Lewisowi szło

nie najlepiej. Zaliczył zaledwie dziewięćdziesiąt punktów i miał kilka nietrafionych kolejek. Żaden z nich się tym nie przejął.

- Wyprostuj rękę - poradził mu Tom. - I ustaw nogi w rozkroku.

Cieszyli się, gdy Lewisowi dobrze poszło, i bili mu brawo, gdy przewrócił wszystkie kręgle. Stawiali mu piwo i poklepywali po plecach. Pod koniec spotkania Lewis miał obolałą rękę, był pijany i nie mógł się doczekać następnego piątku.

Pewnego piątku Tom nie przyszedł.

- Gdzie jest Tom? - zapytał Lewis, a Mick i John wymienili spojrzenia. - O co chodzi? - dopytywał się Lewis. John wziął go na stronę. - Odeszła od niego żona - powiedział cicho. - A on przeniósł się do Detroit.

- Jak to? - zdumiał się Lewis, pamiętając, jak Tom opowiadał o swojej pięknej żonie i o tym, że jest z nią bardzo szczęśliwy. Do kręgielni zawsze przychodził w świetnym nastroju. - Kiedy? Dlaczego?

- To już trwało od pewnego czasu - powiedział John.

- Nie rozumiem. Dlaczego o niczym nie wiedziałem? -dziwił się Lewis.

John podniósł kulę bilardową i podał Lewisowi.

- Chodź. Jesteśmy tu, żeby sobie pograć, a nie trajkotać jak damulki.

Lewis przez całutki weekend rozmyślał o Tomie. Był przekonany, że go zna, a co najmniej poznaje go coraz lepiej. A tu masz, jak bardzo można się pomylić. Zaczął się zastanawiać, czy naprawdę dobrze zna Johna albo Micka i jak dobrze oni go znają. Kiedy z nimi rozmawiał, nawijał

o szpitalu lub o mieście Madison. Były to niezobowiązujące gadki szmatki, które nigdy do niczego nie prowadziły.

Nie chciało mu się tkwić w mieszkaniu, więc zabrał plan miasta i wyruszył na wędrowkę w poszukiwaniu nowych zakamarków.

Pewnej sobotniej nocy, podczas dyżuru w szpitalu, zawrócił na korytarzu i nieomal zderzył się z jakąś starszą kobietą. Miała na sobie różowy kwiecisty szlafrok i ciągnęła za sobą wózek z kroplówką. Na widok Lewisa przystanęła gwałtownie. Przyglądała mu się uważnie. Wokół jej twarzy powiewały siwe kosmyki.

- Pomóc pani? - zaproponował Lewis.

Zawsze najpierw pytał, bo niektórzy ludzie wstydzili się swojej bezradności, a jeśli się ich pytało, mieli wrażenie, że choć trochę panują nad sytuacją. Jej ręce zaczęły dygotać, podeszła bliżej, ciągnąc kroplówkę. Opuszkami palców dotknęła jego piersi. Miała zimne ręce. Lewis natychmiast pozbierał w myśli wszystkie informacje, jakie wyczytał w podręcznikach dla pielęgniarek. Zaburzenie krążenia. Tarczyca.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał.

- Jesteś prawdziwy - powiedziała zdumiona. Przesunęła palcami po czole Lewisa. Poczuł się tak, jakby musnęły go mysie łapki. Potem pogładziła jego włosy. - To ty - wyszeptała.

- Kto?

- Jesteś Jezusem - powiedziała staruszka. - Całe życie czekałam, żeby cię zobaczyć. I oto jesteś. Przychodzisz po mnie? Czy nadszedł na mnie czas? - Lewis pozwolił, żeby wzięła go za ręce. Splótł palce z jej palcami. Kobieta wpatrywała się w jego twarz.

- Nie jestem Jezusem - oznajmił. - Pracuję tu jako pomoc pielęgniarska. I jestem Żydem - dodał z uśmiechem.

- Jezus na początku był Żydem - odparła. Jej wargi zadrżały. Lewis zastanawiał się, czy ma jej dać czas, by sobie

uświadomiła, czego potrzebuje. Zakaszłała, a potem nagle się roześmiała. - Myślisz, że nie wiem, jak nieodgadnione są ścieżki Pana?  
- Wracajmy do łóżka.

Wziął ją pod rękę, jak partnerkę na balu maturalnym, i poprowadził w stronę pokoju. Przez całą drogę spoglądała na innych pacjentów, unosząc głowę niczym koń paradny.

- Idę z Jezusem! - zaskrzeczała.

- Jak pani na imię? - zapytał.

- Nie wiesz? Przecież ty wiesz wszystko. - Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Zaprowadził ją za róg, do jej pokoju. Pościel była odrzucona, jakby wstała z łóżka w wielkim pośpiechu. Na prześcieradle leżało otwarte kolorowe pismo.

- Doris - zaryzykował Lewis. - Marisa. - Spojrzał na okładkę czasopisma. „Dziesięć porad, jak utrzymać przy sobie mężczyznę”. Zacisnął wargi, żeby się nie roześmiać. - Adele.

- Nie, nie, nie. - Pokręciła głową.

- Lisa - powiedział. - Mary. Ellen. Betsy.

- Sheila - oznajmiła triumfalnie.

Lewis podtrzymywał ją, jakby mogła się rozpaść w każdej chwili na kawałki.

- Teraz ostrożnie - powiedział, sadzając ją na łóżku. Opadła na poduszkę i wzięła go za rękę.

- Porozmawiaj ze mną - poprosiła. - Nikt tu ze mną nie rozmawia.

Przysiadł na jej łóżku.

- Dorastałam tutaj, w Madison - oznajmiła, ziewając. - A ty?

Opowiedział jej o Waltham, o Rose i Jimmym, o matce. Ale pominął to, co się stało z Jimmym. Chciał dopuścić do głosu Sheilę, ale za każdym razem, gdy milkł lub mówił wolniej, machała rękami.

- Opowiedz mi więcej - prosiła.

Była tak bardzo zainteresowana, taka na nim skupiona, że wciąż coś dodawał. Im więcej mówił, tym bardziej czuł się odblokowany. Poczł odprężenie. Oddychał głębiej.

Sheila opuściła powieki. Westchnęła i zagrzebała się w pościeli.

- Tak miło posłuchać ludzkiego głosu - powiedziała i znowu ziewnęła. Lewis położył dłoń na jej czole, jakby ją błogosławił, a ona westchnęła.

- Spij - rozkazał łagodnie.

- Wrócisz? Żeby do mnie mówić?

- Oczywiście, że wrócę.

- Obiecuj.

Obiecał, a oddech Sheili stał się powolny i miarowy. Lewis wyszedł na korytarz i oparł się o ścianę, aby nie upaść.

Wróciło. Uczucie, którego tak mu brakowało.

Od lat pragnął zobaczyć się z Rose. Porozmawiać z nią. Chciał, żeby mu wyjaśniła, dlaczego zniknęła z jego życia. Czy nadal poszukuje Jimmy'ego, bo on dał za wygraną, wiedząc, że matka powiadomiłaby go, gdyby wypłynęło coś nowego. Usiłował sobie wyobrazić, jak teraz wygląda Rose. Większość kobiet wychodzi za mąż, rodzi dzieci, ale jakoś nie widział Rose w roli gospodyni domowej, bo podobnie jak jego matka zupełnie do niej nie pasowała.

Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Jak wielu znał ludzi, którzy wciąż przyjaźnili się z kumplami z czasów dzieciństwa? Niedawno jedna z pielęgniarek opowiedziała, że wkrótce po wyborze Kennedy'ego na prezydenta skontaktował się z nią chłopak, z którym chodziła w szóstej klasie. „Myślę o tobie” - powiedział.

Poszła się z nim spotkać. Wystroiła się w lśniącą suknię o barwie nagietków, uczesała się a la Jackie Kennedy. Weszła do restauracji. Jedyłą siedzącą w pojedynkę przy stoliku osobą, którą tam zastała, był otyły jegomość o ziemistej cerze i z okropnym brązowym tupecikiem.

- Tyle, jeśli chodzi o wspomnienia z dzieciństwa - skwitowała swoją opowieść.

Lewis przeszedł obok okien, słysząc wyjący na zewnątrz wicher. Spodziewano się zamieci śnieżnej. Temperatury miały być tak niskie, że osoby starsze oraz mające trudności z oddychaniem powinny pozostać w domu. Takie właśnie było Madison - upalne i duszne latem, wyjątkowo mroźne zimą. Gdy po raz pierwszy wyszedł w zimie na zewnątrz, jeszcze wilgotny po prysznicu, zamarzły mu włosy. Gdy je pomacał, pasmo skruszyło mu się w palcach. Nie wiedział, co z nim zrobić, więc w końcu wyrzucił je na śnieg, dla ptaków, którym mogło się przydać do budowy gniazda, gdy śniegi stopnieją.

Nie spodziewał się, że wyląduje w Madison, ale po odejście Rose chciał się koniecznie wynieść z Waltham. Błagał matkę, ale ona uparcie odmawiała, zwłaszcza odkąd zatrudniono ją na cały etat.

- Mamy szczęście, że wynajmujemy tutaj dom. Bo gdzie bym pracowała? Tutaj mam stałą posadę. Rozwódce z dzieckiem trudno jest zacząć od nowa - powiedziała.

- Jest mnóstwo rozmaitych zajęć.

- Ach, tak? - Wzięła gazetę i wyszukała dział „Dam pracę”. - No, dział dla kobiet. Jedna czwarta tego, co dla mężczyzn. To pierwszy problem. Sam popatrz. „Młoda, wesola kobieta o miłym usposobieniu”. „Ładna młoda kobieta o przyjemnym głosie”. - Odłożyła gazetę. „Młoda, ładna, wesola, przyjemna” - powiedziała dobitnie, akcentując każde słowo uderzeniem gazety o blat stołu. - Czy to coś dla mnie?

- Jesteś młoda - bąknął, chociaż właściwie nie wiedział, czy wciąż jeszcze jest młoda. I od razu poczuł się winny, że nie nazwał matki ładną, wesolą i miłą.

- Musimy sobie tutaj ułożyć życie - powiedziała. Dom nie był ich własnością, ale Ava w każdej wolnej chwili coś naprawiała. Własnoręcznie odmalowała pokoje i zreperowała dach. Skrupulatnie kontrolowała zakupy, zapisując każdy wydany cent. Co miesiąc mawiała: „Już prawie mamy na zaliczkę”. Lewis nie mógł zrozumieć, dlacze-

go ktokolwiek, a zwłaszcza jego matka, może chcieć kupić ten dom po tym, co się tutaj wydarzyło. Dlaczego tak bardzo pragnie stać się właścicielką zniszczonej kuchni i porysowanej podłogi?

- Ważne jest, by mieć coś na własność - powiedziała. Z obwiązanymi chustką włosami zabrała się do układania płytek wokół zlewu. - Gdy kupię ten dom, będę go mogła zastawić, a wtedy zapłacę za twoje studia.

- Studia nie są mi potrzebne.

- Nie opowiadaj głupot. Oczywiście, że pójdziesz na studia. - Usiadła ze szpachlą w dłoni. - A kiedyś przekażę dom tobie.

- Ale ja nie chcę w nim mieszkać.

- Gdy pojedziesz w świat i zorientujesz się, jak bardzo wszystko jest drogie, zmienisz zdanie. Dom to kapitał. Spokojna głowa. A jeśli naprawdę go nie zechcesz, będziesz mógł go sprzedać. Daję ci moje błogosławieństwo. Będziesz miał dosyć pieniędzy, by zamieszkać tam, gdzie zechcesz.

- Dlaczego chcesz, żebyśmy tutaj zostali? Rozsmarowała fugę wzdłuż zielonej płytki.

- A dlaczego ty chcesz, żebyśmy stąd wyjechali?

Już od dawna chciał stamtąd wyjechać. Każda chwila spędzona bez Jimmy'ego i bez Rose wydawała mu się stracona. Prawdziwe życie toczyło się gdzieś indziej, a on po prostu musiał odnaleźć do niego drogę.

Najgorszym dniem w roku była rocznica zaginięcia Jimmy'ego. W miejscowych gazetach zawsze coś o tym pisano, choć z czasem poświęcano tej sprawie coraz mniej miejsca. „Chłopiec się nie odnalazł. Żadnych nowych poszlak w sprawie zniknięcia”. Publikowano ziarniste reprodukcje jego fotografii z szóstej klasy. Jak ktokolwiek mógłby go rozpoznać? Patsy Baker, słynna ze swoich piegów prezenterka wiadomości, zawsze poświęcała tematowi nieco czasu, mówiła o braku jakichkolwiek poszlak, niezmiennie bardzo smutnym tonem, jakby sprawa dotyczyła jej osobiście.

Zazwyczaj przed kamerą stawał jakiś sąsiad, najczęściej ktoś, kto najmniej wiedział o Jimmym, albo jakiś zwolennik dziwacznych teorii, na przykład pan Corcoran oskarżający komunistów o infiltrację na War wick Avenue albo sugerujący, że sprawa może mieć coś wspólnego z murzyńską rodziną, która wprowadziła się do domu sześć przecznic dalej. Na szczęście Patsy Baker szybko przerwała jego wywody.

Lewis wciąż czekał na list od Rose, ale się nie doczekał. Wybrał się nawet do sklepu i kupił papeterię, żeby do niej pisać, oraz nowy ciemnoniebieski mazak. Na początku sąsiedzi pytali: „Masz jakieś wieści od swojej przyjaciółki?”. Telefonował do informacji w Pittsburghu, ale nie znajdowano tam żadnych Rearsonów, a Lewis nie miał pojęcia, jakie nazwisko nosi ciotka Rose. Spróbował też napisać do Rose na jej dawny adres w Waltham, mając nadzieję, że list zostanie preadresowany. Lecz list powrócił do niego, i Lewis podarł go na kawałki. Pewnej nocy zamknął oczy i usiłował przesłać jej wiadomość telepatycznie, tak jak go uczyła. „Napisz do mnie. Znajdź mnie, Rose”. Ale jedynym skutkiem tych wysiłków było głośniejsze niż zazwyczaj szczekanie psa w sąsiedztwie.

Prześladowały go nie tylko myśli o Jimmym i Rose. Od lat nie otrzymywali żadnych wiadomości od ojca. Nie tracił jednak nadziei, która wstępowała w niego za każdym razem, gdy zadzwonił telefon lub przyszedł list. Bez względu na to, co mówiła matka, wiedział, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie milczenia ojca.

Z upływem czasu Lewis się przeobrażał. Jego głos stał się niższy. Przeglądając się w lustrze, spostrzegł na twarzy jakieś nowe zagłębienia, a nad górną wargą i na ciele wy-kielkował ciemny meszek. Pomacał palcem nos, który wydał mu się dłuższy i bardziej spiczasty. Nawet oczy się zmieniły, jak gdyby wyrosło więcej rzęs. Był sobą, a jednocześnie kimś innym. Gdy włożył ogrodniczki, okazało się, że sięgają mu do pół łydki. Rękawy koszuli odsłaniały

przedramiona. Dziwne, był teraz wyższy niż Jimmy, jakiego pamiętał. Jakże Jimmy mógłby go teraz rozpoznać, skoro tak bardzo się zmienił, i jak on miałby rozpoznać Jimmy'ego? Obrócił się. Pod tym kątem wyglądał trochę jak ojciec na starych fotografiach.

Niedługo potem jadł obiad z matką.

- Dlaczego już ze mną nie rozmawiasz? - spytała. -Dawniej miałeś mi tyle do powiedzenia.

- Rozmawiam - upierał się, chociaż ich ostatnia rozmowa dotyczyła lunchu. Matka spytała, czy miałby ochotę na kanapkę z kiełbasą bolońską, ale on wolał ser.

- Masz jakichś przyjaciół? Niedobrze jest być odludkiem. Potrzebujesz towarzystwa rówieśników, rozmów z nimi. Niepokoję się o ciebie.

- Słucham? Pytasz *mnie* o przyjaciół? - Pokręcił głową, a ona machnęła ręką.

- Nie rozmawiamy o mnie - powiedziała. - A poza tym w pracy cały czas przebywam z ludźmi.

Lewis nie był jednak aż takim odludkiem. Miał kolegów, z którymi spędzał czas. Grywał w warcaby z Gregiem z grupy przyrodniczej. Jeździł na rowerze ze Scottem, z którym razem chodzili na wf. Czuł się z nimi dobrze, ale czegoś mu brakowało. Czasami widział, że przyglądają mu się dziewczyny, jakby czekały, że się do nich odezwie, ale on nie wiedział, co miałby im powiedzieć. Słyszał też, co mówiły. „Mój ojciec nigdy nie pozwoliłby mi spotykać się z Żydem” - powiedziała jedna z nich i Lewis się oddalił. Nie miał nikogo, z kim mógłby naprawdę porozmawiać, a nawet gdyby kogoś znalazł, nie miałby pewności, czy ten także nie odejdzie.

Kiedy skończył siedemnaście lat, dostał pracę w Star Market na Lexington Street, gdzie pakował przy kasie zakupy i ustawiał towary na półkach. Połowę zarobionych pieniędzy oddawał matce, połowę zachowywał dla siebie. Co tydzień przeliczał dochody, oddzielając banknoty od drobnych. Doznawał uczucia, że dzieje się coś nowego, że



czeka go lepsza przyszłość. Dotychczasowe życie zostanie wymazane, jak rysunek na tablicy znikopisu. Musi tylko znaleźć sposób.

Pewnego popołudnia, gdy ustawiał na wystawie kukurydzą w puszkach, podszedł zastępca kierownika, facet o imieniu Robert, zaledwie o pięć lat starszy od Lewisa, z pryszczami na brodzie.

- Staraj się - warknął.

Lewis wiedział, że nie należy odpowiadać, ale patrząc na oddalającego się Roberta, pomyślał, że nie chciałby być na jego miejscu. Okropność - zastępca kierownika w dziale konserw w Star Market w Waltham.

Nie wiedział, co chciałby robić, ale wiedział, że coś robić chciałby. Nie marzył o nalewaniu benzyny do baków na stacji ani o wstąpieniu do wojska, zwłaszcza teraz, gdy żołnierzom zagrażał wyjazd do Wietnamu. Nie chciał zestarzeć się tutaj, tkwiąc całe życie w tym samym miejscu. Na tę myśl paniczny strach ścisnął go za gardło.

- Pracujesz czy nie? - dodał Robert, obejrzawszy się za siebie. - Powinieneś czerpać przyjemność z tego, co robisz.

Lewis sięgnął po następną puszkę i ustawił ją na wystawie.

Matka wciąż mówiła o przyszłości, nękała go z powodu ocen. Rozkładała po domu broszury informujące, jak się starać o stypendia oraz jak się dostać na miejscowe uczelnie, gdzie mógłby zaoszczędzić na dojazdach. On jednak wyrzucał broszury, bo wszystkie uczelnie mieściły się niedaleko, a cóż to za odmiana - studiować, mieszkając we własnym domu? Ale uczelnia sama w sobie nie była takim złym pomysłem. Im dłużej pracował w Star Market, tym bardziej się dusił. Na studiach będzie miał profesorów, a nie głupich nauczycieli. Za studia się płaci, więc studenci będą poważniejsi i mądrzejsi. Będzie inaczej niż w zwykłej szkole. Poczował iskierkę nadziei.

Postanowił, że porozmawia z panią Geary która zajmowała się doradztwem zawodowym. Przysadzista osoba

o tlenionych blond włosach przepasanych wstążką spojrzała na niego beznamiętnie.

- Co byś chciał robić? - spytała.

- Chciałbym pójść na uczelnię. Co zrobić, żeby otrzymać stypendium?

Pani Geary westchnęła. Wstała i podeszła do dużej szarej szafy, skąd wyjęła jego teczkę. Usiadła i przerzucała kartki, aż znalazła świadectwa szkolne Lewisa.

- Ach, tak? Spójrzmy na to. Co my tu mamy? Trójka, czwórka, jedynka, trójka, czwórka. Z takimi stopniami nie idzie się na studia. A twój test dla uczniów szkół średnich, którzy chcą się dostać na uczelnię wyższą, wypadł beznadziejnie.

Lewis nie podszedł do tego testu zbyt poważnie. Pobieźnie przejrzał pytania i odpowiedział na nie byle jak.

- Mógłbym do niego podejść jeszcze raz.

- Chyba trochę za późno, nie uważasz? - powiedziała. - Już prawie styczeń.

- Wiem, że zawałem sprawę. Poprawiła okulary i przyjrzała mu się.

- Jak sądzisz, czy ktoś zechciałby dać ci rekomendacje? Poczł pulsowanie tętna w szyi. Wyteżył umysł. Pani

Kolędo, nauczycielka angielskiego, która przez większość lekcji opowiadała o swoim chłopaku, który jest narciarzem, na pewno nie. Pan Rowan, nauczyciel przyrody, wciąż się złościł na Lewisa, bo ten utrzymywał, że człowiek kiedyś wylądował na Księżycu.

- To nie moja wina - powiedział. - Mieszkam tylko z matką.

Pani Geary przerzuciła papiery na biurku i podała mu broszurę Mass Bay Community College, czyli zupełnie niepoważnej uczelni, która była ostatnią deską ratunku.

- Każdy się tam dostanie - powiedziała. - Nawet ty. Wrócił do domu przestraszony, nie wiedząc, co robić.

Może pani Geary nie ma racji. Jeszcze można składać aplikacje. Niektórzy uczniowie składają podania o pomoc finan-

sową dopiero w marcu. Niepotrzebna mu ta głupia pani Geary.

Zaczął uważać na lekcjach, oddawać zadane prace domowe, ale nauczyciele nie wierzyli, że sam je odrobił, a nauczycielka francuskiego oskarżyła go o ściąganie. Zgłosił się do ponownego testu dla kandydatów na wyższe uczelnie. Przygotowywał się do niego podczas weekendów i nocami, wypełniając książkę z ćwiczeniami. I uzyskał prawie najwyższą punktację. Gdy pochwalił się matce, powiedziała ze łzami:

- Wiedziałam, że możesz. - I uściskała go. - Stać cię na to.

Lewis był bardzo przejęty. Wyobrażał sobie nowe życie. Podstawówka i szkoła średnia to strata czasu, ale uczelnia to coś całkiem innego. On także się zmieni. Będzie jednym z tych chłopców na okładce broszury, którzy wylegują się na trawie albo wykonują doświadczenia w laboratorium. Niektóre uczelnie miały nawet indywidualny tok studiów, gdzie będzie się mógł uczyć, czego zechce, a profesorowie będą mu w tym pomagać.

Pewnego wieczoru wypełniał aplikację o pomoc finansową. Wszedł do pokoju matki i myszkował w szufladach, poszukując dobrego pióra. Wysunął szufladę biurka, gdzie przechowywała gumki aptekarskie, pinezki, monety i wszelkie dziwne przedmioty, które mogą się przydać. Natrafił na tekturowy segregator, a w nim niewielką teczkę. Zdjął z niej gumkę i wyjął ze środka list. Nie sądził, by matka miała wielu przyjaciół, a z pewnością nie korespondowała z kimś, kogo znał. Rozprostował kartkę z nagłówkiem . ***T. Smith, doradca prawny***. Pismo nosiło datę sprzed trzech lat. Przebiegł je wzrokiem i jego uwagę zwróciły słowa „przyznanie opieki”. Drżącymi rękami, odwrócił kartkę.

***Wszystko wskazuje na to, że pan Lark zrezygnował ze starań o przyznanie opieki nad Lewisem.***

Lewis kilkakrotnie odczytał pismo.

Litery stały się niewyraźne, tańczyły mu przed oczami.

Miał ochotę kopnąć krzesło, potłuc naczynia w kuchni. Co to znaczy? Matka twierdziła, że ojciec oszedł, że nie chce mieć rodziny i że to nie jest niczyja wina. „Jeśli ktoś na tym stracił, to tylko twój ojciec” - powiedziała, ale Lewis jej nie uwierzył. Myślał, że może tata dostał amnezji i o nich zapomniał. A czasami obwinił matkę o to, że trzyma ojca z daleka od syna. Ale z tego pisma wynikało, że ojciec o niego walczył.

Gdy godzinę później Ava wróciła z pracy w założonym na bakier kapeluszu z woalką i torbą zakupów spożywczych, Lewis wciąż był taki zły, że nie mógł pozbierać myśli. Podszedł do niej, trzymając pismo w ręce.

- Co to za pismo? - spytała Ava. - Ze szkoły? Mam to podpisać? O co chodzi, kochanie?

Podał jej pismo. Na jego widok zeszywniała.

- Och - powiedziała powoli.

- Miałaś mi zamiar o tym powiedzieć? - Był teraz od niej wyższy, więc musiała podnieść głowę, by spojrzeć mu w oczy. - Co jeszcze przede mną ukrywasz?

- Gdzie to znalazłeś?

- Dlaczego nie wiedziałem o tym, że walczyliście o przyznanie opieki nade mną?

Pokręciła głową.

- Nie walczyliśmy.

- Tutaj jest napisane...

- Mówię ci, że nie toczyliśmy żadnej batalii. Groził mi, więc wzięłam adwokata.

- Groźby oznaczają walkę. Ava pokręciła głową.

- Nie, dziecińco, nie oznaczają.

- Dlaczego, gdy chodzi o ojca, zawsze mnie okłamujesz? Nie jestem już dzieckiem. Dlaczego nie mówisz mi prawdy? - pytał chrapliwym głosem.

- Bo prawda jest skomplikowana - odparła Ava. - Groził mi, ale to wszystko. Groźby. Nikt nawet nie wie, gdzie on teraz jest.

- Ale chciał, żeby mu przyznano opiekę. Tu jest napisane, że chciał. Nie dam się spławić! Okłamujesz mnie - upierał się Lewis.

Ava straciła cierpliwość.

- Ile razy do ciebie telefonował? - warknęła. - Czy kiedykolwiek pamiętał o twoich urodzinach? Czy cię kiedyś odwiedził? Gdzie się podziewa przez tyle lat? Czy tak trudno nas znaleźć, Lewisie?

- Może nie mógł do nas przyjechać. A może ty mu nie pozwoliłaś.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Wynajął adwokata!

- Ludzie wynajmują adwokatów z różnych powodów, czasami tylko po to, by uprzykrzyć życie innym.

- Nie wierzę ci! Był tutaj? Widziałaś się z nim? Gdzie teraz jest? Wiedziałaś, gdzie mieszka, ale mi nie powiedziałaś!

- Co by nam przyszło z wiedzy o tym, gdzie mieszka, skoro nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby się z nami zobaczyć. Nie wiem, gdzie teraz jest. Kilkakrotnie zmieniał miejsce zamieszkania i od lat nie telefonuje.

- Dlaczego nic mi nie mówiłaś? To dotyczy mnie i mam prawo wiedzieć. Kto wie, co zrobiłaś, żeby dał za wygraną? Może sobie pomyślał, że to ja nie chcę z nim być. Co mu powiedziałaś?

Wyjęła mu dokument z ręki i wepchnęła sobie do kieszeni.

- Cokolwiek bym ci powiedziała, i tak byś nie uwierzył - rzekła cicho.

- Ale powinieneś się dowiedzieć, co myślałam. Wydawało mi się, że cię chronię.

A potem zabrała zakupy i weszła do kuchni. Usłyszał, jak hałaśliwie wkłada produkty do szafek, i wiedział, że należy ją zostawić w spokoju. Włożył wiatrówkę i wyszedł z domu. Wrócił, gdy dawno było po obiedzie, a jego porcja na talerzu całkiem wystygła.

Następnego dnia, zaraz po powrocie ze szkoły, na długo przed przyjściem matki, zasiadł przy telefonie. Minęło wiele czasu, odkąd próbował odszukać ojca, ale teraz sytuacja się zmieniła. Wiedział o walce o przyznanie opieki. Telefonistka w Houston nie miała w spisie żadnego Briana Lar-ka. Tak samo było w Phoenix i w San Francisco oraz we wszystkich miastach, o których wspomniał ojciec. Lewis wiedział, że to na nic. Ojciec mógł być wszędzie. Mógł pracować jako kierowca ciężarówki w Kanadzie albo nauczyciel w Santa Fe. Mógł się ożenić i mieć nową rodzinę, zupełnie nowe życie, albo, nie daj Boże, mógł już nie żyć. Lewis wiedział, że jego wysiłki są daremne, ale nie mógł się powstrzymać od podnoszenia słuchawki i wybierania coraz to nowych numerów. Z każdą próbą czuł się coraz bardziej zdruzgotany. Umieścił ogłoszenie w „Boston Globe” i zapłacił za nie ze swego kieszonkowego, wyobrażając sobie, że ojciec przeczyta: BRIAN LARK PROSZONY O SKONTAKTOWANIE SIĘ Z LEWISEM. Na dłuższy tekst nie mógł sobie pozwolić.

Na ogłoszenie nikt nie odpowiedział.

Po tym zdarzeniu Lewis przestał sobie wyobrażać, jak by to było, gdyby odnalazł ojca, gdyby - obydwaj już teraz dorośli - usiedli i rozmawiali o życiu. Przejrzał szufladę i wyjął z niej wszystko, co mu zostało po ojcu. Peso, które ojciec przywiózł z podróży do Meksyku i powiedział, że można za nie kupić stos pysznych tortillas. Małą złotą gwiazdę z wygrawerowanym napisem „Brian”, którą ojciec otrzymał za sprzedaż największej liczby samochodów w roku. Nie było tego wiele. Lewis pomyślał o tym wszystkim, czego ojciec o nim nie wie. Że jest teraz o trzydzieści centymetrów wyższy, że nadal nie umie trafić piłką do kosza, ale za to biega naprawdę bardzo szybko. Że ma po ojcu wydatny prosty nos. Że ojciec mógłby się w synu dopatrzeć podobieństwa do siebie.

Nigdy więcej nie rozmawiał z matką o ojcu, ale widział, że Ava stara mu się zrekompensować jego brak.

- Pograłbyś w kręgle? - spytała pewnego wieczoru.

Pomyślał, że będzie zmuszony do wysłuchiwania jej opowieści o pracy i opowiadania o swoim życiu, jakby wciąż do niej należało.

- Muszę się uczyć - odparł, co było doskonałą wymówką na wszelkie okazje. - Chcę złożyć więcej aplikacji. -Chciał, żeby mu dała spokój.

Ava milczała przez chwilę.

- Właśnie to chciałam usłyszeć - odparła po namyśle.

Był w ostatniej klasie i w marcu zaczęły nadchodzić odpowiedzi z uczelni. To on je znajdował, bo Ava była w pracy. Stanford i UCLA odpowiedziały odmownie. University of Michigan także mu podziękował. Podarł te listy. Niepowodzenie rozpoznawał, nie otwarty koperty. Cienka oznaczała odmowę. Jedyna odpowiedź pozytywna nadeszła z Mass Bay. Uczelni na niby. Pomyślał, że będzie tam dojeżdżał z domu i chodził na zajęcia z dziećmi, które nie czytały książek i płaciły mu za pisanie wypracowań, bo same były na to za głupie. Zmiał papier.

Gdy w końcu oznajmił to matce, nie od razu odpowiedziała.

- Możesz tam uczęszczać na wybrane zajęcia - poradziła wreszcie. - Nie musisz chodzić na wszystkie. A w przyszłym roku znów możesz się ubiegać o przyjęcie na studia. Ludzie tak robią.

Wiedział, że próbuje go pocieszyć, ale poczuł się jeszcze gorzej.

- Może tak zrobię - odparł i wyszedł z pokoju.

Pewnego popołudnia pod koniec maja zastał matkę, jak stroiła się przed lustrem.

- Idę na randkę - oznajmiła. - Chcę, żebyś go poznał. Ma na imię Frank. Sprzedaje wanny, ale sprawia wrażenie bardzo miłego.

Odezwał się dzwonek u drzwi i matka podeszła, by je otworzyć.

- Och, Frank - zaszczębiotała. - Wejdz. Poznasz mojego Lewisa.

Włosy Franka tak lśniły od brylantyny, że Lewis gotów był przysiąc, że mógłby się w nich przejrzeć. Miał na sobie czarny garnitur, niczym przedsiębiorca pogrzebowy. Spojrzał na Lewisa, jakby poczuł się znieważony.

- Jaki duży! - wykrzyknął, zwracając się do Avy. - Ile ma lat, szesnaście?

- Osiemnaście - poinformował Lewis.

- Co robisz w domu w sobotę wieczorem? - zapytał Frank. - Powinieneś się rozerwać. - Ava poprawiła woalkę na kapeluszu, tak że jej oczy stały się niewidoczne. - Nie ma na co czekać - ciągnął Frank, puszczając oko do Lewisa.

- Do zobaczenia, kochanie - powiedziała matka. Lewis zauważył, jak spojrzała na Franka, a potem na spódnicę, którą wygładziła. Podszedł i uściskał matkę. - Och, jak miło - powiedziała. Wtedy Frank przygarnął ją do siebie, odrywając od Lewisa.

Lewis patrzył, jak Frank prowadzi matkę do samochodu, obejmując ją w talii, jakby była jego własnością. Widział, jak matka ostrożnie stąpa na wysokich obcasach, jakby się bała, że upadnie. Wsiadając do samochodu, pomachała mu ręką, a on się jej odwzajemnił.

Miał cały wieczór dla siebie. Obejrzał stary film w telewizji. Potem ugotował sobie kolację i położył się, żeby poczytać w łóżku. Nie chciał czekać na matkę i słuchać, jak będzie opowiadała o miłej restauracji, do której zabrał ją Frank, lub o tym, że Frank chciałby go lepiej poznać. Na dodatek wciąż go wypytywała, czy zdecydował już, jakie wybierze zajęcia na uczelni, a on kłamał, zapewniając, że jeszcze nie. Wiedział, że matka uważa Mass Bay za jego szansę, tak samo jak Franka za swoją.

O północy usłyszał klucz w zamku. Czy to dobry znak? Drzwi jego sypialni były zamknięte. Zgasił światło. Nasłuchiwał, mając nadzieję, że nie przyprowadziła Franka do



domu. Nie miał ochoty czuć się więźniem we własnym pokoju.

Nie usłyszał głosu Franka, ale rozległ się hałas, jakby wpadła na stół lub upuściła na podłogę coś ciężkiego. Usłyszał, że westchnęła. Leżał nieruchomo. Usłyszał, że nastawiła radio, a potem doszedł go jej płacz, cichy i stłumiony. „Przestań” - miał ochotę powiedzieć. Nie rób tego. Zmień się. To samo mógłby powiedzieć sobie. On opłakiwał ojca, Rose i Jimmy'ego, i co mu z tego przyszło? Myślał, że ojciec go kocha. Myślał, że Rose także go kocha. Czasami, by przetrwać, trzeba się bronić przed innymi ludźmi.

Słyszał, jak matka wchodzi do swego pokoju i zamyka za sobą drzwi. Usłyszał jej cichnący płacz, który następnie ustał. Rano będzie się zachowywała tak, jakby nic złego się nie stało. Nie powie ani słowa na temat Franka, a gdyby Lewis ją zagadnął, przechyliłaby głowę, jakby coś sobie przypominając. „Nie jest dla mnie odpowiedni” - powiedziała, jakby to była tylko jej decyzja.

Lewis nie chciał nigdy więcej słuchać płaczu matki. Nie chciał oglądać pełnego nadziei uśmiechu na jej twarzy. Nie chciał poznawać jej facetów, spoglądających na niego, jakby był zawalidrogą, którą trzeba jak najprędzej usunąć. Nie chciał chodzić do Star Market i ustawiać na półkach puszkowanych buraków, które gospodynie domowe i tak zaraz poprzestawiają. Nie mógł dłużej wytrzymać w domu. Na zewnątrz jest wielki świat, który go przyzywa.

Wstał z łóżka. Zostały jeszcze dwa tygodnie nauki, ale ukończy szkołę, nawet jeżeli je opuści. Wziął zarobione pieniądze, które odkładał na studia - trzysta dolarów - i włożył je do plecaka. Na kartce papieru starannie napisał wiadomość dla matki. Wiedział, że gdyby jej powiedział o swojej decyzji, starałaby się go od niej odwieść. Byłaby tak zdenerwowana, że zmiękłby i został. A jeśli nie wyjedzie z Waltham teraz, utknie tu na zawsze.

Po tym, co się stało z Jimmym i Rose, nie mógł po prostu zniknąć. „Obiecuję, że napiszę, gdzie wylądowałem. Ca-

łuję, Lewis". Napisał. Po chwili namysłu dodał: „To nie Twoja wina”. Matkę o siódmej rano obudzi budzik. Będzie się spieszyła do pracy. Zastuka do drzwi Lewisa. Potem będzie smażyła jajka, zrobi sobie kawę. Być może zajrzy do jego pokoju i zobaczy, że go nie ma. Pomyśli, że wyszedł na spacer. Może przed wyjściem do pracy nie zauważy liściku. Nie chciał, żeby tak się stało.

Wyszedł z pogrążonego w ciszy i ciemności domu, zostawiwszy notkę w kopercie na kuchennym stole, gdzie matka na pewno ją zauważy. Pomyślał o tym, jak się obudzi i z osoby, której nie udało się randka, zmieni się w kobietę pracującą. Wkrótce przekona się, że jest matką, której syn opuścił dom. I może tak będzie lepiej dla wszystkich.

Na zewnątrz nie było nikogo. Przez całą drogę do autobusu rozmyślał o matce. Zobaczy jego liścik. Znał ją. Wsiądzie do samochodu i będzie go szukała. W kręgielni. W kinie. W szkole. Tak samo jak wtedy, gdy zaginął Jimmy. Być może zatelefonuje na policję, a tam jej powiedzą, że nie mogą nic zrobić, bo Lewis ma osiemnaście lat. Być może przypomną ją sobie. Ach, tak, to pani знаła tego chłopca, który zaginął.

***Ach, tak, to pani.***

Albo może usiądzie na kanapie, trzymając jego liścik.

Stanął w kolejce do kasy biletowej, przypominając sobie wszystkie miejsca na mapie, które planowali odwiedzić z Jimmym. San Francisco, bo leży nad oceanem. Kansas City z powodu piosenki. Madison, bo Jimmy myślał, że mają tam dobre sery i rodea. Doszedłszy do okienka, powziął decyzję. Pojedzie tam, dokąd pojechałby Jimmy. Pożyje tak, jak wspólnie planowali. Kupił bilet do Madison i wsiadł do autobusu. Tylko połowa miejsc była zajęta. Pasażerowie wyglądali przez okno albo szeleścili papierowymi torebkami z prowiantem, więc nikt nie zwrócił uwagi na Lewisa. W tyle autobusu było wolne miejsce, na którym usiadł.

Wyjechawszy z Massachusetts, zaczął układać opowieść

o sobie. Urodził się na Florydzie. Jego rodzice byli szczęśliwym małżeństwem. Ojciec pracował jako księgowy, a matka zajmowała się domem. Mieszkali tuż przy plaży. Byli sobie wyjątkowo bliscy. Więc bardzo tęskni za rodzicami, a zwłaszcza za ojcem. Uczęszczał do prywatnej szkoły, gdzie miał mnóstwo przyjaciół. Tak, wciąż są ze sobą w kontakcie. Na kilka lat odpuścił sobie studia, żeby odnaleźć siebie.

Nie będzie się oglądał wstecz. A z czasem może uwierzy w tę opowieść.

Minął następny rok i Lewis skończył dwadzieścia lat. W Madison czuł się jak w domu. Jimmy nie miał racji co do serów (mają tu głównie zwykły cheddar) i nie ma tu rodeo, ale i tak polubił to miasto. Gdy tylko osiadł na stałe, zatelefonował do matki. Powiedział jej, że nie chciał ucęszczać do Mass Bay, że czuł potrzebę zmiany miejsca. Matka płakała, ale nie usiłowała namówić go do powrotu.

- Rozumiem - powiedziała, chociaż jej ton świadczył o tym, że wcale tak nie jest. Lewis czuł, że matka nie mówi tego, co myśli. Zapytała, kiedy będzie mogła go odwiedzić albo kiedy on przyjedzie do niej. - I zawsze możemy się spotkać w połowie drogi - powiedziała.

Nie roześmiała się, gdy oznajmił jej, że pomaga pielęgniarce.

- Wdałeś się we mnie - powiedziała. - Jestem z ciebie dumna. - A on nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy wstydzić, że jest do niej podobny. - Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy - dodała.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Była sobota, Lewis kończył pranie w pralni publicznej pod nazwą Mydliny przy State Street. Wcześniej zatelefonował do Micka, by spytać, czy nie poszliby razem na pizzę, ale Mike wybierał się z córką do sklepu po kostium na Halloween. Spróbował umówić się z Johnem. Ten jednak obiecał żonie, że poszukają dywanu do gabinetu. „Zobaczymy się w piątek w Pina Paláce” - powiedział John. Lewis udał, że jest tym zachwycony, chociaż właściwie wcale nie przepadał za kręglami. Chodził tam po prostu dlatego, że nie miał nic innego do roboty i łaknął towarzystwa.

W pralni panował tłok. Większość klienteli stanowiły gospodynie domowe z plastikowymi koszami i dziećmi trzymającymi się nogawek ich spodni. Byli też studenci, którzy zazwyczaj ładowali do pralki kolory i białe za jednym razem, dzięki czemu wszystko odbywało się szybciej. Rozbrzmiewały utwory Beatlesów, ale zagłuszał je hałas maszyn. Wzdłuż ścian stały plastikowe krzesła, na których siedziało się, czekając na wolną pralkę. Lewis wiedział z doświadczenia, że może to trochę potrwać. W rogu czekała starsza kobieta. Paliła papierosa, strząsając popiół na podłogę. Lewis zajął miejsce jako drugi w kolejce do pralki w kącie, ale nie wiedział, że kobieta, która z niej korzysta, ma do wyprania dwie porcje brudów. Gdy się zorientował, westchnął donośnie, a ona gniewnie mu się przyjrzała.

- Przecież byłam przed tobą - powiedziała.

Gdy Lewis uporał się z praniem, sytuacja z suszarkami była równie krytyczna. Właśnie trwała kłótnia, bo jakaś dziewczyna wyjęła cudze wysuszone rzeczy i wyłożyła je na stół do składania, aby w suszarce umieścić swoje pranie. Daleko w głębi inna suszarka zakończyła swój cykl i pospieszyła ku niej kobieta w niebieskim kapeluszu. Lewis usiadł zrezygnowany, gdy do pralni wbiegła młoda kobieta o lśniących jasnych włosach i ciemnych oczach. Była zadyszana. Lewis nie mógł oderwać od niej wzroku. Wszystkie jego znajome nosiły teraz długie i proste włosy, jak Joan Baez, albo wysokie wytapirowane fryzury, a ta miała loczki. Otworzyła drzwiczki suszarki, w której, jak się okazało, były niewysuszone rzeczy.

- Muszę włączyć jeszcze jeden cykl - powiedziała, zwracając się do kobiety oczekującej w kolejce. Przeszukała kieszenie džinsów. - Wiem, że mam drobne - dodała.

- Jeśli nie ma pani drobnych, proszę opróżnić suszarkę. Nieważne, czy pranie już wyschło - odparła ta druga.

- Jeszcze chwileczkę - powiedziała blondynka. - Pomacała tylne kieszenie. - Nie wiem, gdzie się podział mój portfel. Może został w samochodzie.

- Stoję tutaj godzinę. Nie mam zamiaru czekać, aż pójdzie pani do samochodu - odparła ta druga i położyła dłoń na suszarce, jakby przejmowała ją w posiadanie.

Lewis wstał i podszedł do suszarki. Wydobył z kieszeni monetę, którą miał wykorzystać. W milczeniu włożył ją do szczeliny w automacie. Suszarka zaturkotała i zawirowała.

- Ejże, tak nie wolno! - wykrzyknęła kobieta w niebieskim kapeluszu, ale blondynka spojrziała na Lewisa z uśmiechem.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - powiedziała. Usiedli obok siebie na plastikowych krzesłach. Jej rzeczy

wirowały. Lewis wybiegł na chwilę, żeby rozmiąć więcej banknotów, a gdy wrócił, blondynka spytała, wskazując na plan miasta, który wystawał z jego kieszeni.

- Jesteś tu nowy?

- Niezupełnie. Spojrzała ze zdziwieniem.

- Nie mam orientacji w terenie - wyjaśnił. Kupili sobie kawę w automacie przy drzwiach.

- Szkoda, że nie sprzedają tu mrożonej herbaty - powiedziała blondynka, dmuchając na swoją kawę.

Trudno było przekrzyczeć hałasujące maszyny, więc blondynka pochyliła się, by porozmawiać z Lewisem. Miała na imię Rita. Dorastała na Manhattanie i przyjechała tutaj na studia, a potem, w przeciwieństwie do wszystkich przybyszów ze Wschodniego Wybrzeża, którzy wracali do domu zaraz po studiach, została w Madison i otworzyła sklepik z odzieżą Fine Frocks.

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale potrafię doradzić, co ludzie powinni nosić, jakie kolory wybierać, aby zyskać pewność siebie. Mam klientki, które proszą mnie, żebym dla nich wybrała ubranie. Tak bardzo polegają na moim guście. - Zerknęła na Lewisa. - Powinieneś nosić więcej zielonego - doradziła, a on nagle zapragnął wyjść i kupić sobie zieloną koszulę, żeby jej się przypodobać. Powiedziała, że ma wielu przyjaciół, ale rzadko się z nimi widuje. - Wszyscy mają dzieci, rodziny, pracę. Sam wiesz, jak to jest.

Lewis pomyślał o facetach, z którymi grywa w kręgle.

- Rozumiem, co masz na myśli - odparł. Opowiedziała mu o swoich rodzicach. O matce, która była

śpiewaczką operową, ale rzuciła pracę, wyszedłszy za męża, bo musiałyby wiele podróżować, a chciała być przy mężu.

- Dzień w dzień o czwartej zabierała mnie ze szkoły, bo była to dla niej okazja, żeby się wystroić i uperfumować - mówiła Rita. - A za każdym razem, gdy ojciec wracał do domu, jej twarz się zmieniała. Jakby była rozświetlona od wewnątrz, nawet po wielu latach małżeństwa. A to naprawdę coś, nie uważasz?

Lewis pomyślał o matce, która z niegasnącą nadzieją chodziła na randki, a potem często płakała nocami.

- Tak, to naprawdę coś - odparł.

Opowiedziała, że razem z bratem biegli ojcu naprzeciw, a on zawsze coś dla nich miał. Czerwoną piłeczkę z kauczuku, torbę z brązowego papieru lub landrynkę.

- A potem rodzice rozmawiali przez dziesięć minut, a nam nie wolno było przerywać. Lubiliśmy ich słuchać.

Lewis pomyślał o tym, jak wysiadywał na ganku, czekając na ojca, odczuwając ból na widok każdego przejeżdżającego samochodu.

Rita mówiła, pijąc kawę, a gdy wypić ją do końca, spojrzała na Lewisa, jakby teraz nadeszła jego kolej. Poczuł, że nie może z nią rywalizować. Cóż mógłby jej opowiedzieć?

- A więc? - zagadnęła. - Przyznasz się, że jesteś poszukiwany przez FBI?

Jej uśmiech sprawił, że zapragnął wyznać prawdę o tym, jak to się stało, że trafił do Madison, ale zląkł się, że zaczęłyby się nad nim litować, a tego nie chciał. Powiedział jej więc tyle co Elaine. Starał się zapamiętać, co mówi, aby potem nie przeczyć samemu sobie.

Powiedział, że pracuje w szpitalu jako pomoc pielęgniarska, że czasami rozmawia ze staruszką o imieniu Sheila, co polega na tym, że zwykle siedzi i słucha jej opowieści.

- To miłe - powiedziała Rita.

Opowiedział jej, jakie filmy obejrzał i do jakich chodzi księgarni. Usłyszawszy, że w piątki grywa w kręgle, roześmiała się i pokazując swoje dłonie, spytała:

- Wyobrażasz sobie, jak grałabym w kręgle z takimi długimi paznokciami?

Owszem, mógł sobie wyobrazić. Mógł sobie też wyobrazić, że je z nią kolację, że z nią spaceruje i że całuje ją w usta. Ale może ona tylko zabija czas w pralni, a jest dla niego miła tylko dlatego, że jej pomógł? Może zawsze opowiada o sobie nieznanym ludziom?

Siedzieli w pralni, aż na zewnątrz zapadł zmrok, a jesienne powietrze stało się rześkie. Pralnia prawie całkiem

opustoszała. Lewis kupował coraz to nowe kubki z kawą. Wypił jej tyle, że drżały mu dłonie, ale nie chciał wyjść, bo bał się, że już więcej nie zobaczy Rity. Zauważył, że zerknęła na zegarek, ale podobnie jak on niespiesznie składała wyprane rzeczy. Gdy zwinęła w kulkę ostatnią parę skarpetek, obróciła się do Lewisa.

- Cóż, miło było cię poznać, Lewisie - powiedziała. - Mam nadzieję, że spotkam cię tu następnym razem, gdy twoje ubrania się zabrudzą.

Włożyła wiatrówkę i zawiązała chustkę na głowie. Schyliła się po kosz z wypranymi rzeczami, a Lewis wiedział, że powinien teraz coś zrobić.

- Może dasz mi swój numer telefonu? Miałabyś ochotę pójść ze mną na kolację?

Spojrzała na niego taksującym wzrokiem. Przez chwilę myślał, że odmówi.

- Tak - odpowiedziała w końcu. - Z przyjemnością.

Zarezerwował stolik w Prunella's, bo Mick mu kiedyś powiedział, że to ulubiona restauracja jego żony, gdzie kelnerzy dodają pieczywa do koszyczków, nawet gdy się ich o to nie prosi. Było to jedno z tych ostatnio powstających miejsc, gdzie podawano fondue. I chociaż Lewis nie był pewien, czy zachwyca go maczanie chleba w roztopionym serze, pomyślał, że zaimponuje Ricie. Mieli się spotkać na miejscu i Lewis przyszedł pierwszy, z bijącym sercem. W restauracji panował mrok, każdy stolik oświetlały świece, a wzdłuż ścian stały donice z zielonymi paprociami.

Ujrzawszy Ritę w strojnej sukni, ze spiętrzonymi na czubku głowy loczkami, zapragnął jej dotknąć, pocałować, pogłaskać po włosach, ale tylko pomachał na powitanie. Zaprowadzono ich do stolika. Lewis odsunął dla niej krzesło, wyprzedzając kierownika sali.

- Dżentelmen - powiedziała Rita z zachwytem. Zależało mu na tym, by spotkanie się udało. Spostrzegł, że Rita także jest zdenerwowana, bo wciąż obracała w pal-



cach jeden z kolczyków. Nie bardzo wiedział, co zrobić, żeby się uspokoić. Za to dzięki pracy w szpitalu wiedział, jak mógłby zrelaksować Ritę. Najważniejszy jest sposób, w jaki rozmawia się z ludźmi. Należało ściszyć głos i nachylić głowę, by im pokazać, że się uważnie słucha, i patrzeć na nich z zainteresowaniem. To ostatnie przychodziło mu bez najmniejszego trudu, bo Rita była taka ładna, że mógłby na nią patrzeć bez końca.

Byli w połowie fondue i Lewisa zemdlilo od sera, gdy Rita opowiedziała, że po obejrzeniu filmu *Biały żar*\* nie chciała pójść do szkoły, bo nauczyciel przyrody wyglądał zupełnie jak Jimmy Cagney.

- *Biały żar* - powiedział rozbawiony. - To stary film.

- Obejrzałam go tydzień po premierze.

- Musiałaś mieć z pięć lat - powiedział, a jej widelec zawisł w powietrzu.

- Siedemnaście - sprostowała.

Patrzył na nią z niedowierzaniem, obliczając w myślach.

- Mam trzydzieści dwa lata - oznajmiła cicho.

- Dwadzieścia - powiedział, a ona odłożyła widelec.

- Naprawdę? - spytała, przekrzywiając głowę.

Lewis sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Poczł gorący prąd.

- Nieważne, ile mamy lat - powiedział. - Liczy się to, że miło spędzamy czas.

Zobaczył, że się odprężyła. Jej rysy złagodniały.

- Może masz rację - rzekła.

Podczas kolacji ani przez chwilę nie zaprzętał sobie głowy dzielącą ich różnicą wieku. Dostrzegał tylko światło połyskujące na jej lokach i delikatność jej dłoni. No i lubił jej słuchać. Była bystra i potrafiła go rozśmieszyć. Ale odprowadziwszy ją do domu, zaczął się niepokoić. Rita jest po trzydziestce. Z pewnością ma innych znajomych, a jakże on

**\* *Biały żar* (ang. *White Heat*) - amerykański film kryminalny z 1949 r. Bohaterem jest bezwzględny przestępca.**

może się porównywać z kimś, kto prawdopodobnie wie, jaki napiwek dać kierownikowi sali, albo z kimś, kto na przykład ma paszport? Całował się już z dziewczynami, ale nigdy z żadną nie sypiał. Zawsze sobie wyobrażał, że jakoś przez to przebrnie z dziewczyną, która, podobnie jak on, nie ma doświadczenia. Nie brał pod uwagę kogoś w rodzaju Rity. Ile czasu upłynie, zanim Rita się zorientuje, że jest zupełnie zielony? Musi jej udowodnić - wmawiał sobie - że różnica wieku nie ma znaczenia.

Odechciało mu się grywać co piątek w kręgle, bo wolał spędzać czas z Ritą, ale nie wiedział, jak to powiedzieć starszym kolegom. W końcu po prostu wyznał im prawdę. Mick uśmiechnął się, machając ręką:

- Idź, idź - powiedział. - Gdy wrócisz na ziemię, możesz na nas liczyć.

Gdy kochali się po raz pierwszy, bardzo się starał, żeby Rita nie poznała, że jest jego pierwszą dziewczyną. Znał teorię, ale nie miał stuprocentowej pewności, że poradzi sobie z praktyką. Rita otworzyła wszystkie okna w mieszkaniu, więc wiosenne powietrze podziało na niego jak narkotyk. Jaśniała w księżycowej poświacie, a gdy ją pocałował, nie miało znaczenia, że nie wie, co robić, bo zupełnie przestał myśleć.

Potem leżeli rozciągnięci na jej łóżku, przykryci prześcieradłem. Zachwyciły go jej ramiona i szyja. Ilekroć spojrzał na jej uszy, odczuwał pożądanie. Chciał je całować.

- Opowiedz mi wszystko - powiedziała.

I Lewis mówił o tym, jak Sheila opowiedziała mu, że jej mąż stracił życie na moment przed odbyciem pierwszej podróży nowojorskim metrem. Zakreśliło mu się w głowie i spadł z peronu prosto na tory. Mówił o Johnie, który zaczął grywać w golfa, o Micku, który chodzi do wieczorówki, żeby zdobyć dyplom ukończenia szkoły średniej, bo nie chce do końca życia być sanitariuszem. Rita usiadła.

- A teraz coś o tobie - poprosiła. Przywarł do jej ciała.

- Oto co chcę ci powiedzieć. - Ucałował jej szyję, zagłębienie między obojczykami. Całował jej usta, aż odpowiedziała pocałunkiem.

W poniedziałek, gdy Lewis wszedł do pokoju socjalnego po cukier do kawy, jedna z pomocnic pielęgniarek uśmiechnęła się do niego.

- Widziałam cię któregoś wieczoru z twoją dziewczyną. Pomachałam ci, ale mnie nie zauważyłeś.

Odsunęła krzesło od stołu, aby Lewis usiadł. Czajnik z kawą bulgotał jak zawsze, na tacy piętrzyły się pączki, chociaż wszystkie pracownice uskarżały się na to, że są za grube i nie powinny jadać słodczy.

Odtąd jego sytuacja się zmieniła. Pielęgniarki zaczęły mu się zwierzać. Mówiły, że w przeciwieństwie do ich chłopaków on naprawdę słucha tego, co mówią. Pytały, jak sprawić, by zaczęły słuchać. Zaczęły bardziej na nim polegać, doceniały, że potrafi uspokoić pacjentów, chociaż jest tylko pomocnikiem. „Pan Środek Uspokajający” - nazwała go jedna z nich. Lewis dawał im rady, pokazywał, jak wyciągać prześcieradło spod chorego, zamiast go unosić, trzymając pod pachy. („Po dwóch latach wysiądą ci plecy” -postraszyła jedna z pielęgniarek).

Lewis garnął się do nich i lubił przesiadywać w pokoju socjalnym.

- Mów mi Angie - zaproponowała jedna z nich, do której zwracał się per „panno Roget”.

Pewnego razu, przechodząc korytarzem, zobaczył, że Sheila znów wróciła do szpitala. Siedziała na łóżku, obłożona czasopismami.

- Witaj, nieznajoma - przywitał ją, wchodząc do pokoju. Sheila uśmiechnęła się, pomachała ręką, a potem poklepała się po mostku.

- Znów kłopoty z sercem - poskarżyła się. - Porozmawiajmy. - Lewis przysunął sobie krzesło, słuchając skarg, jak to traktują ją lekarze oraz dlaczego najbardziej lubi li-

monkową galaretkę. Nagle nie wytrzymał i opowiedział jej o Ricie, jak gdyby aprobatą staruszki mogła scementować ich związek.

- Jest piękna - dodał, poprawiając jej prześcieradła. Sheila skinęła głową.

- Mój Bill także był piękny - rzekła. - Ta jego uroda pomogła nam w wielu trudnych sytuacjach.

Chodzili ze sobą rok, gdy Rita zapadła na gripę. Zachorowała po raz pierwszy, odkąd się poznali. Zatelefonowała do Lewisa.

- Zobaczmy się, gdy tylko lepiej się poczuję - powiedziała zachrypniętym głosem.

Ale Lewis zastukał do jej drzwi, przynosząc zupę i sok pomarańczowy. Usłyszał, że otwiera zamek. Stała przed nim w szlafroku, z wilgotnymi od potu loczkami, lśniącymi od gorączki oczyma.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedziała. Usiłowała poprawić sobie fryzurę, ale opadły jej ręce.

- Podobają mi się takie w nieładzie - zapewnił, a ona uśmiechnęła się niepewnie.

- Chodź, zaprowadzę cię do łóżka - powiedział. - Zmienił jej przepoconą pościel, podgrzał zupę, nakarmił, podstawiając dłoń pod łyżkę. Gdy zjadła, położył jej na czole chłodny ręcznik.

- Jesteś taki dobry - powiedziała.

Opiekował się Ritą przez cały tydzień, przychodził rano i po pracy. Zabrał nawet rzeczy do pralni automatycznej i wszystko uprał. A potem, gdy wyzdrowiała, on zachorował.

- Teraz moja kolej - oznajmiła, zjawiwszy się przed jego drzwiami z zupą i krakersami.

Lewis jednak jej nie wpuścił.

- Nie chcę, żebyś znów zachorowała. Spojrzała na niego zmieszana.

- Ja już byłam chora - odparła. - Uodporniłam się. Pracujesz w szpitalu, więc powinieneś wiedzieć takie rzeczy. -

Pokazała mu torbę. - Mam tu rosół z kurczaka i twoje ulubione krakersy. - Zerknęła do środka mieszkania. - A poza tym masz tu okropny bałagan. Posprzątam.

- Rito, proszę. Po prostu muszę się wyspać - zaprotestował.

Podziękował jej, ale nie wpuścił. Odesłał ją z kwitkiem tego dnia i następnego, a gdy zatelefonowała i powiedziała, że chce do niego wpaść, odparł:

- Zadzwoń, gdy poczuję się lepiej. - Pod koniec tygodnia wrócił do siebie. Nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, ale gdy przyszła, wydała mu się jakaś mniejsza, a jej twarz była wynędzniała. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Przepraszam, nie powinienem był wtedy cię odsyłać - powiedział. - Ale naprawdę nie robiłem nic innego, tylko spałem.

- Tęskniłam za tobą - wyznała. Usiadła obok Lewisa na kanapie, opierając głowę na jego ramieniu. - Gdy byłam chora, jedna z moich dawnych klientek przyniosła mi pudełko talku dla miesięczkujących kobiet. A dozorczyńni przyszła z lekarstwem na kaszel. Powiedziała, że nie może spać, kiedy głośno kaszlę. I ty troszczyłeś się o mnie. Dobrze mi to zrobiło. Szkoda, że nie pozwoliłeś mi zająć się tobą.

- Powiedziałem już, że mi przykro z tego powodu. Rita nagle zamilkła, niczym wyłączony silnik. Uniosła głowę i spojrzała na Lewisa.

- Cały ciężar rozmowy spoczywa wyłącznie na mnie - powiedziała.

- Chętnie słucham tego, co masz do powiedzenia.

- Ale co ty masz do powiedzenia? Nie odczuwasz potrzeby podzielenia się ze mną swoimi sprawami?

- Chyba właśnie to robimy. Rita wstała.

- Dlaczego nie pozwoliłeś sobie pomóc, gdy miałeś grypę?<sup>7</sup>

- Daj spokój, to ja mam pomagać chorym, nie ty. Pokręciła głową.

- Ale ja chciałam zaopiekować się tobą. Poczuć się potrzebna. Zbliżyć się do ciebie.

- Robisz wielkie halo z czegoś, co nie jest tego warte.

- Wiesz co? Czuję się przy tobie samotna. Nigdy nie rozmawiasz ze mną o poważnych sprawach. Nigdy nie wiem, co myślisz. Niewiele wiem o twojej przeszłości. Myślałam, że może się zmienisz, gdy poznasz mnie lepiej. Ale tak się nie stało.

Poczuł się, jakby był nagi.

- Powiem ci, co myślę - powiedział. - Myślę, że miałem szczęście, że cię poznałem. Myślę, że dzięki tobie czuję się w tym mieście trochę jak w domu.

- A jak się czułeś w domu? - spytała. - Opowiedz mi o rodzicach, o dzieciństwie. O wszystkim.

Poczuł się tak skrępowany, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Nie potrafił nawet na nią spojrzeć. Odstąpiła o krok do tyłu.

- Myślę, że nie powinniśmy się więcej spotykać - powiedziała ze smutkiem. Sięgnęła po wiatrówkę i ruszyła do drzwi. - Po prostu się nam nie układa.

- I dlatego odchodzisz?

- Nie tego potrzebuję. Chcę mieć kogoś, kto mnie dopuści do swego wnętrza. - Patrzyła na niego wyczekująco, jakby to był egzamin, a ona z góry wiedziała, że Lewis go nie zda.

- Może ja potrzebuję kogoś, kto nie odejdzie za pierwszym razem, gdy coś się nie powiedzie - odparował.

- Za pierwszym razem? - powiedziała ze zdumieniem. - Czy aby jesteśmy w tym samym związku? - Zdjęła dłoń z klamki i przyjrzała mu się. - No, dobrze. Spróbujmy - dodała cicho. - Masz mi coś do powiedzenia?

Gorączkowo szukał w myślach.

- Moja mama pracowała w firmie produkującej umywalki w kratkę oraz sedesy. Prawie cały czas była poza domem. - Jego słowa zawisły w powietrzu.

Myślał, że będzie zadowolona, ale Rita spochmurniała.

- Mówiłeś mi, że nie pracowała. Że zajmowała się domem - powiedziała ostro.

Oparła jedną rękę na biodrze i pokręciła głową, a on poczuł gniew, że ma do niego pretensje, chociaż tym razem naprawdę się starał.

- Czy to ważne, Rito? Kogo to obchodzi, co robiła moja matka albo w jakim domu dorastałem? Co to ma wspólnego z naszym dniem dzisiejszym?

- Ja myślę o jutrze - odparła. - O nas. Myślę o tym, że chcę nie tylko brać, a ty nigdy nie pozwoliłeś mi zostać na cały weekend.

Oparła się o ścianę, czekając, a Lewis wiedział, że powinien ją zaprosić, powiedzieć, że bardzo chce z nią być. Ale pomyślał, że przez cały weekend będzie mu zadawała pytania. A poza tym Rita wciąż go zapewnia, że chce z nim być, a tak łatwo się zniechęciła i chce odejść. Co będzie, gdy on przywyknie do tego, że są razem, a wtedy ona odejdzie? Pomyślał o tym, jak wyczekiwał na ojca, o jego niedotrzymanych obietnicach i milczeniu. Własna matka okłamywała go na temat ojca. Jimmy zaginał, a Rose nigdy nie napisała listu.

- Pracuję fizycznie - powiedział cicho. - Wstaję wcześnie. Wracam późno. A teraz właśnie wyszedłem z grypy.

Zobaczył, że Rita zamyka się w sobie. Chciał ją chwycić za rękę, ale stał jak wrośnięty w podłogę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- A ja się naprawdę w tobie zakochałam - powiedziała, a potem odeszła, zanim Lewis zdążył otworzyć usta, żeby ją zatrzymać.

Owej nocy błąkał się po mieście, sam się sobie dziwiąc, że tak bardzo tęskni za Ritą. Poszedł pod jej dom i dzwonił domofonem, ale nie było jej albo nie chciała otworzyć. Zatrzymał się przy automacie i wykręcił jej numer. Czekając na połączenie, zaczął rozmyślać o tym, czego od niej chciała, o tym, że musiałby się zmierzyć z przeszłością i ofiarować ją Ricie, niczym zatrutą potrawę. Wymyślił tu siebie na

nowo, aby zacząć nowe życie, a ona chciała zabrać go z powrotem tam, skąd uciekł.

Zbolały odwiesił słuchawkę.

O zerwaniu powiedział dopiero wtedy, gdy zupełnie stracił nadzieję, że Rita do niego zatelefonuje. Tęsknota za nią doskwierała mu jak ból, na który nie ma lekarstwa. Wciąż wydawało mu się, że ją widzi. Nawet zapach zupy w bufecie, wodnistej lury z puszki, przypominał mu, że karmił Ritę, gdy chorowała, i że była mu za to bardzo wdzięczna.

Gdy minęły dwa tygodnie, przyznał się pielęgniarkom i trójce starszych kolegów, że już nie jest z Ritą.

- Masz jeszcze czas na stały związek - skwitował sprawę Mick. - Za młodu powinienes używać życia. - Ale to nie pocieszyło Lewisa.

Pielęgniarki zaopiekowały się nim. Zapraszały na kolacje, podnosiły na duchu, mówiąc, że w morzu pływa niejedna ryba. Zupełnie jakby chodzenie z Ritą dodało mu uroku, który przyciągał inne kobiety. Spotykał się z nimi, nie dłużej niż dwa tygodnie z jedną. Przez ponad dziesięć miesięcy chodził z najlepszą przyjaciółką jednej z pomocnic. To, co powiedziała Rita, wciąż w nim pobrzmiwało, więc usilnie starał się zachowywać inaczej, więcej mówić o sobie, być bardziej otwartym, ale pomimo starań każdy związek się rozpadał. Ostatnia przyjaciółka Lewisa, pielęgniarka o imieniu Dolly, spotykała się z nim przez niecały miesiąc w sierpniu.

- Masz tyle zalet - powiedziała mu na pożegnanie. - Tak pięknie na mnie patrzysz, jakbyś otwierał drzwi wiodące do mego wnętrza. Nigdy nie zapominasz powiedzieć „na zdrowie”, kiedy kichnę. Ale czuję się tak, jakbym w tym związku była tylko ja.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał, a ona wzruszyła ramionami. - Czuję się tak, jakbym cię nie znała.

- Przecież mnie znasz.

- Dobrze. Zróbmy próbę. Powiedz mi o sobie coś osobistego, czego nie mówiłeś nikomu innemu.



Lewis poczuł się tak, jakby jego obecny świat się zamknął. Mógł powiedzieć o Jimmym, Rose, o swojej matce, która miała wielu facetów, ale tamten dawny świat był zbyt wielki, mógłby go pochłonąć i Lewis nigdy już by się z niego nie wydostał.

- Nie mam orientacji w terenie - powiedział, a Doiły westchnęła.

- Poddaję się, już o tym wiedziałam.

Po tej rozmowie nie chciała się z nim spotykać nigdy więcej.

Nadal spotykał się z dziewczynami, ale nauczył się rozpoznawać sygnały świadczące o tym, że związek się kończy. Wyraz twarzy, gdy się przybliżał, aby pocałować dziewczynę, nachylenie jej ciała. Któraś z nich mówiła mu, że potrzebuje czasu, a po tygodniu Lewis widział ją z innym, którego trzymała za rękę. Wszystkie powtarzały to samo. „Nie pozwalasz, bym cię naprawdę poznała”.

Minął jeszcze jeden rok, znów była zima, sylwester. Lewis pracował. Chodził korytarzami, zaglądając do pacjentów, lekceważąc rozlepione na drzwiach napisy SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 1966. Zajrzał już do pacjenta ze złamaną nogą, który poślizgnął się na lodzie. Dwaj siedemnastolatkiw leczeni byli chlorpromazyną z powodu nadużycia na prywatce LSD. Ich rodzice chwycili Lewisa za ramię, myśląc, że jest lekarzem.

- Nie widzieliśmy nawet, że palił marihuanę - płakała jedna z matek. - Od tego się zaczyna, prawda? - Lewis tylko skinął głową, bo i tak by mu nie uwierzyli, gdyby zaprzeczył.

Jedna z pomocnic przyniosła do pokoju socjalnego ciasteczka z marihuaną. Lewis się nie poczęstował, bo był na dyżurze. Ale po pracy, kto wie, jeśli jeszcze zostaną, może zje jedno, popijając szampanem.

Zajrzał do któregoś z pokojów i zobaczył, że Sheila znów wróciła do szpitala. Nigdy nie opuszczała go na zbyt długo.

Wciąż powracała na badania, a to z bólem serca, a to żołądka. Właśnie spała, ale Lewis wszedł i przysiadł obok na chwilę. Gdy ją poznał, obejrzał jej kartę i wypytał o nią pielęgniarki. Sheila nie miała żadnej rodziny. Teraz znalazła się w szpitalu, bo ktoś z sąsiadów zwrócił uwagę na woń dobywającą się z jej mieszkania. Wielokrotnie stukali do drzwi, ale nie otwierała. Wtedy ktoś powiedział, że nie widział Sheili od wielu dni, chociaż zazwyczaj codziennie chodziła do kościoła, ubrana w kapelusz z woalką i ściskając w rękach Biblię, oprawioną w białą skórę. Wiedzieli, że mieszka sama i nie ma nawet zwierzątka, które dotrzymywałyby jej towarzystwa. Cisza ich przeraziła. Dozorca wyważył drzwi i znalazł ją leżącą na podłodze w kałuży moczu.

Pielęgniarki utyskiwały, że Sheila jest kłopotliwą pacjentką. Wstaje z łóżka i błąka się po korytarzach. Wypytuje o każdy lek i o każdy zabieg. Słucha wiadomości przez małe radio tranzystorowe, a potem chce o nich rozmawiać z pielęgniarkami. W listopadzie, gdy w Washingtonie odbywał się marsz przeciwko wojnie, Sheila uparła się, że tam pojedzie. Gdy w Los Angeles odbywały się rozruchy na tle rasowym, cmokała, a gdy wystąpił jej ulubieniec, Bob Dylan, wciąż śpiewała piosenkę *Blowin' in the Wind*. „Po prostu jest samotna” - odpowiadał Lewis, na co pielęgniarki tylko prychały. Nikt nie odwiedzał Sheili w szpitalu i nie dostawała żadnych kartek.

Lewis spoglądał na śpiącą Sheilę. Nauczył się, że czasami sen jest rodzajem hipnozy. Że nawet pacjenci w stanie śpiączki wyczuwają obecność drugiej osoby.

- Jestem tutaj - powiedział i wziął ją za rękę.

St. Merciful to dobry szpital. Lewis o tym wiedział. Ale wiedział również, że dobry szpital i dobrzy lekarze to nie wszystko. Przekonał się o tym. Wszystkie pielęgniarki zdawały sobie sprawę, że pacjenci, którzy mieli rodziny, kochających i potrzebujących ich ludzi, po prostu szybciej dochodzili do zdrowia.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zakutana w zimowy paltot Ava wróciła do domu, rozmyślając o nowym - nie do wiary! - tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku oraz, jak zawsze, o Lewisie. Odwiedzał ją regularnie co pół roku. A miesiąc temu ona wsiadła do pociągu i odwiedziła syna. Lewis oprowadził ją po Madison. Był już dwudziestodwuletnim mężczyzną. Nie mogła oderwać od niego wzroku, taki był duży i rostry. Ich wzajemne odwiedziny zawsze zdawały jej się zbyt krótkie, a gdy podeszła, by go przytulić na pożegnanie, poczuła, że się od niej odsunął, co sprawiło, że miała ochotę uściskać go jeszcze mocniej.

Większość miejscowych chłopców w wieku Lewisa wstąpiła do wojska, co przerażało Avę, ale na szczęście coraz więcej ludzi protestowało przeciwko wojnie w Wietnamie. Ava także pojechała do Bostonu, by wziąć udział w marszu w parku Boston Common. Wróciła do domu uradowana, z małą flagą, którą wymachiwała, oraz ze znaczkiem w klapie, na którym widniał napis: „Koniec wojny”. Ted Corcoran, którego syn Stanley właśnie wstąpił do piechoty morskiej, podszedł do Avy, aby ją zbesztać.

- Robisz wielki błąd, Avo - powiedział.

Ale ona była przeciwnego zdania. Lewis także był przeciwny wojnie, co napawało ją dumą i szczęściem. Pod-

śluchała kiedyś rozmowę o tym, że syn Boba Gallaghery, Eddy, mieszkający w Kanadzie, zapuścił sobie włosy do ramion i spalił kartę powołania do wojska. Bob nie mógł się z tym pogodzić. Miała również wrażenie, że nawet wygłaszane z nosowym teksańskim akcentem przemówienia Lyndona Johnsona ostatnio stały się mniej wojownicze, a na jego porwanej zmarszczkami twarzy malowało się zmęczenie. Kilku kolegów Lewisa ze szkolnej ławy widziała na miejscowej stacji benzynowej, gdzie pracowali, nalewając paliwo do samochodów. Na jej widok jedni rumienili się z zakłopotania, a inni paradowali dumnie, jakby teraz, gdy pracują, należało traktować ich poważnie.

Dziewczęta także się zmieniły. Młodsze wyglądały jak piękne angielskie psy pasterskie, z długimi prostymi włosami i grzywką, spod której nie było widać oczu. Nosiły minispódniczki albo długie powiewne suknie. Oczywiście nie wszystkie tak się prezentowały. Ava widywała wiele dziewczyn z utapirowanymi lub karbowanymi włosami, prowadzające się z chłopakami ostrzyżonymi na jeża. Widywała też dziewczyny w sukniach ślubnych oraz w ciąży.

W sąsiedztwie również zachodziły zmiany. Hula-hoop, trzykołowe rowerki, czasami guma do żucia z fotografiami Beatlesów - oto czym zajmowały się nowe maluchy, których Ava prawie nie знаła. Brownowie, którzy kupili dom Dot, mieli dwójkę krępych bliźniaków. Niewiarygodnie szybko.

Wiadomości o Lewisie szybko się rozprzestrzeniały. Gdy opuścił dom, Ava miała wrażenie, że wszyscy sąsiedzi oczekują, że ona także wyjedzie. Mieszkająca dwie przecznice dalej rodzina państwa Bokma wyprowadziła się, bo Cindy chciała zamieszkać w Kalifornii. Przed wyjazdem zapowiedziała, że poleci Avie swojego agenta handlu nieruchomościami.

- Niby po co? - zdziwiła się Ava.

- Nigdy nie wiadomo - odparła Cindy. - Dla jednej osoby nawet taki niewielki dom jest za duży, prawda?

- Dla mnie nie - odparła Ava.

- Może zechcesz sobie wynająć coś mniejszego - nie dawała za wygraną Cindy. - Mój agent zna wszystkie dobre mieszkania. A może będziesz chciała przenieść się, żeby być bliżej syna.

Ava odwróciła się, żeby Cindy nie zauważyła jej zmieszania.

- Dziękuję, ale zostanę tutaj - odrzekła.

Wciąż rozmyślała o dniu, w którym wyjechał Lewis. Znalazła wtedy białą kopertę na kuchennym stole i wiedziała, co z niej wyjmie, jeszcze nim ją otworzyła. Przeczytała list trzykrotnie, stojąc na środku salonu, ale nie płakała. Zawsze wiedziała, że Lewis w końcu odejdzie. Nie po to się wychowuje dzieci, by je zatrzymywać przy sobie; chcemy, żeby były niezależne i silne. A już na pewno nie chciałyby, żeby jej syn był z nią tak związany jak Charmaine ze swoją matką, bo zachowywały się raczej jak rówieśnice, a nie matka i córka. Ava spodziewała się, że po wyjeździe Lewisa poczuje się samotna, ale jednocześnie zadowolona. Będzie miała świadomość, że wychowała go dobrze, że wysłała go w świat szczęśliwego. Miała również nadzieję, że dorosły Lewis pozostanie obecny w jej życiu.

Trzymając list w dłoni, poszła do jego pokoju, rozmyślając o tym, jak Lewis wymknął się z domu. Musiał to zrobić wczesnym rankiem, zanim wstała z łóżka. Planował to sobie od dawna czy może działał pod wpływem nagłego impulsu? Rozejrzała się w koło, szukając odpowiedzi. Przeciągnęła dłonie po jego biurku, po toaletce. Odczuła ulgę, widząc, że prawie nic nie ubyło, że tak wiele rzeczy pozostawił. Łóżko było zaścielone. Otworzyła szafę, wysunęła szuflady w komodzie. Książki oraz część ubrań pozostały na miejscu.

Usiadła na łóżku Lewisa. Miał prawo odejść. Był pełnoletni. Skończył osiemnaście lat. Nie można zatrzymać kogoś, kto chce się usamodzielnic. Był na nią zły. Jego wściekłość pulsowała niczym małe gorące serce, a ona

nie mogła postąpić inaczej, musiała wsłuchać się w jego bicie.

Odkąd została sama, zaczęła skreślać w kalendarzu minione dni i dłużej przesiadywać w biurze, chociaż wcale nie miała dużo pracy. Richard zakupił nowiuteńkie, wprowadzone przez IBM w 1960 roku elektryczne maszyny do pisania marki Selectric. Kosz z czcionkami zastąpiony był wirującą kulą, na której powierzchni znajdowały się czcionki. Pisanie stało się łatwiejsze i szybsze, ale Ava miała teraz więcej czasu, chociaż starała się udawać, że jest bardzo zajęta. Nawet nie podnosiła głowy, gdy jej koleżanki wychodziły z biura, trzymając się pod rękę i plotkując. Richard uśmiechał się na jej widok, myśląc, że została po godzinach, aby pracować, podczas gdy ona zabijała czas, wystukując wciąż od nowa: *Ava. Ava Lark.*

Lubiła atmosferę pustego biura. Nie musiała nikomu parzyć kawy ani kopiować tekstów. Nie wzywano jej, by zaniosiła dokumenty do innego biura, gdzie mężczyźni spoglądali na nią pożądlwym wzrokiem i częstowali niewybrednymi żartami w rodzaju: „Hej, Avo, mogłabyś być jeźdźcem, bo potrafisz utrzymać mnie w cuglach!”. Telefony milczały, więc nie musiała rozmawiać z niezadowolonymi klientami, którzy dzwonili z pretensjami do Richarda, bo różowy kuferek na kosmetyki źle się prezentuje w ich łazience, a kurki w staromodnym stylu nie pasują do nowej umywalki. Gdyby zawsze mogła pracować w samotności, do południa byłaby wolna.

Przechadzała się po pustych pomieszczeniach, przyglądając się ozdobom na biurkach współpracowników. U Charmaine stała smętna fotografia przedstawiająca ją z matką. Dwie dorosłe kobiety przebrane na Halloween za czarownice i przyozdobione znaczkami z napisem: WOJNA JEST NIEZDROWA DLA DZIECI I INNYCH ISTOT ŻYWYCH. Betty, która była zwolenniczką wojny, pytała:

- Czyżbyście chcieli, żeby zapanował u nas komunizm? Bo ja nie.

Cathy odeszła z pracy przed dwoma miesiącami. Zmęczona nadaremny uwodzeniem Richarda, zapuściła i wyprostowała włosy, i zaczęła przychodzić do biura w kabaretkach, błyskając udami spod minispódniczki. W pół roku złapała męża z księgowości. Gdy odchodziła, Richard wydał dla niej przyjęcie i natychmiast zatrudnił na jej miejsce starszą kobietę po pięćdziesiątce; wdowę, która najprawdopodobniej nie rzuci pracy, wychodząc za mąż po raz drugi.

Gabinet Richarda ozdobiły najrozmaitsze bibeloty, które uważał za zabawne. Posążek z metalu imitującego brąz, przedstawiający uśmiechniętego mężczyznę w garniturze i z pucharem dla NAJLEPSZEGO SZEFA NA ŚWIECIE. Dwie nakręcane zabawki: krocząca wanna i klaskający klapą sedes. Na ścianie wisiał dyplom ukończenia University of Massachusetts w przykuwającej wzrok ramce, a na biurku stała fotografia jego żony, drobnej blondynki z odsłoniętymi w uśmiechu wystającymi zębami i w okrągłych okularach słonecznych. Obejmując Richarda, pochylała się nad małą córeczką, która, dzięki Bogu, nie odziedziczyła po matce zgryzu.

Hala maszyn wyposażona była w drewniane krzesła o wysokich oparciach. Maszynistki poprzynosiły z domu poduszki, aby chronić plecy, ale i tak co kilka godzin trzeba było wstawać, żeby rozprostować kości. Richard urzędował w głębokim fotelu krytym brązową skórą, który wyglądał tak zachęcająco, że miało się ochotę weń zapaść i już nigdy nie wstać. Ava usiadła i przymknęła oczy. Pod plecami, we właściwym miejscu, znajdował się wałek. Oparcie było wystarczająco wysokie, by wesprzeć na nim głowę. A więc to tak czuje się władca. Gdyby miała taki fotel, mogłaby pisać godzinami. Z tego miejsca widoczny był gabinet, rząd biur w sąsiednim pomieszczeniu i winda, więc Richard widział, kto się spóźnia i kto wymyka się przed czasem. Widoczna była także hala maszyn, a po prawej stronie jej biurko.

Zdarzało się, że czuła na sobie wzrok Richarda, ale tylko przez chwilę, bo zawsze miała jakieś pilne zajęcie. A to dziesięć faktur do przepisania na dwunastą w południe, a to telefony do odbierania. Zresztą nie zawracała sobie nim głowy. Teraz jednakże, siedząc w jego fotelu, zrozumiała, jak bardzo wystawiona była na jego spojrzenia. Mógł na nią rzucać okiem, kiedy tylko zechciał. Biurko Avy było niezabudowane od frontu, więc mógł spoglądać na jej nogi. A gdy się pochyliła, zapuszczał żurawia w jej dekolt.

Poczerwieniała z gniewu. Od jutra zacznie przesłaniać szyję apaszkami. Zadba o to, żeby zawsze nosić ciemne nylony. A gdy przyłapie go na gapieniu się na nią, odpowie mu tym samym.

Odchyliła się na oparcie fotela. Boże, ależ ten fotel jest wygodny. Mogłaby w nim zasnąć, choćby teraz. Nie miała pojęcia, co Richard robi całymi dniami, nie wiedziała, jak układa mu się życie rodzinne. Na zdjęciu wygląda na szczęśliwego, ale wiadomo, że fotografie kłamią. Żona Richarda mogła być sekutnicą, a córka złośnicą. Ava usłyszała kiedyś, jak Richard chwalił się znajomemu: „Mam wszystko, czego potrzeba do szczęścia”. Ale czy mówił prawdę? Ostatnie wspólne zdjęcie Avy i Briana zostało zrobione na plaży. Pozowali na piasku. Ona w marszczonym białym czepku kąpielowym z paskiem pod brodą. Wszyscy byli przekonani, że są idealną parą. Właściwie Ava też tak myślała.

Nagle w drzwiach ukazała się sprzątaczką. Była to kobieta w średnim wieku z ufarbowanymi na czarno włosami, ubrana w niebieski fartuch. Na głowie miała chustkę. Na piersi identyfikator z imieniem Jane. Koleżanki Avy wciąż utyskiwały na Jane. Zdarzało jej się potłuc bibeloty, a ich kawałki po prostu wyrzucała do śmietnika. Zjadała wszelkie pozostawione na biurkach słodycze. Maszynistki omijały ją wzrokiem. Raz Charmaine zostawiła w swojej maszynie do pisania kartkę z ostrzeżeniem: **DO OSOBY SPRZĄTAJĄCEJ. NIE RUSZAĆ PRZEDMIOTÓW NA BIURKU!**



Ava nigdy się nie skarżyła, nawet wtedy gdy nie opróżniono popielniczek i musiała umyć je własnoręcznie. Wiedziała, że gdyby nie jej umiejętność błyskawicznego pisania na maszynie, wykonywałaby taką pracę jak Jane.

Jane chrząknęła na widok Avy.

- Jane - powiedziała Ava, bo w przeciwieństwie do szefa uważała, że wszystkich należy traktować uprzejmie, że należy ich cenić, bez względu na to, czym się zajmują.

- Nie przejmuj się - powiedziała Jane. - Ja też tu siadam. Czasami nawet ucinam sobie drzemkę w tym fotelu. - Mrugnęła do Avy. - Pośpij sobie. Sprzątnę dookoła ciebie. I nikomu nie powiem. Jeśli chcesz, obudzę cię, wychodząc.

Ava uśmiechnęła się do Jane. Nie została w fotelu na długo. Wstała, weszła do pokoju socjalnego, gdzie przygotowała kawę dla siebie i dla Jane. Napełniła swój kubek i fikuśną filiżankę Richarda. Zaniósła kawę do gabinetu głównego księgowego, gdzie Jane pucowała biurko. Jane nie wierzyła własnym oczom, gdy Ava podała jej filiżankę.

- Śmiało - zachęciła ją Ava.

- O, jak miło - powiedziała Jane, odbierając od Avy filiżankę Richarda. Westchnęła i podmuchnęła na kawę. - Na tym paliwie wysprzątam całe piętro - oznajmiła. - Gdybyś widziała, jaki chlew zostawiają ci z księgowości. Prezerwatywy w koszach na śmieci. Kiedyś rzygowiny na biurku. Myślę, że robią to celowo.

- Wiem, czego nam potrzeba - powiedziała Ava. - Chodź. Zaprowadziła Jane z powrotem do gabinetu Richarda.

Na jednej z półek stał rząd butelek z napojami alkoholowymi i specjalne szklaneczki z pozłacanym brzegiem. Ava widywała, jak nalewał alkohol klientom, facetom handlującym wannami i sedesami, którzy przychodzili w eleganckich garniturach, by namówić Richarda do kupna jakichś nowinek, na przykład sedesów z podróbki złota. Gdy głos Richarda stawał się bardziej donośny, a jego goście śmiali się rubaszenie, Richard zamykał drzwi do gabinetu. Ava oglądała etykiety, szukając butelki z najdroższym trun-

kiem. Jest. Szkocka whisky Chivas Regal Royal Salute. Brian zamówił to podczas ich podróży poślubnej. Ava skrzywiła się, bo whisky była bardzo mocna, a on się roześmiał. „To kosztuje majątek” - pouczył.

- Lubisz szkocką? - spytała. Jane się zawahała.

- Napijmy się. To kosztuje majątek - namawiała.

- Nie pakujemy się w kłopoty?

- Biorę to na siebie - zapewniła ją Ava. - Jeśli nas ktoś przyłapie, zwał wszystko na mnie. - Dolała odrobinę whisky, złotej i rozgrzewającej, do kawy. - Naprawdę pierwszorzędna - powiedziała. - Richard nic nie zauważy. Widzi tylko czubek własnego nosa. - Uniosła kubek. - Nasze zdrowie. - Stuknęły się. Wypiła do dna i poczuła zawroty głowy. Nie wiedziała, czy to od alkoholu, czy może dlatego, że odważyły się go wypić.

Ava zabrała naczynia, umyła je i odstawiła na miejsce. Miała nadzieję, że Richard nie spostrzeże obniżonego poziomu whisky w butelce.

Ava została, dopóki Jane nie ruszyła na następne piętro.

- Może jutro znów się zobaczymy - powiedziała Jane, a Ava jej pomachała.

Zastanawiała się, jak by to było, gdyby tu zostawała każdego wieczoru, by spędzać czas w towarzystwie sprzątaczk. Wspomniała chwile, gdy czuła się samotna i zagubiona, a wtedy w drzwiach pojawiał się Jimmy, chłopiec z sąsiedztwa, dzięki któremu czuła się lepiej. Jakże mu była wdzięczna za to, że dotrzymywał jej towarzystwa!

Włożyła płaszcz i zamiast zjechać windą, zeszła po schodach pięć kondygnacji. Podobało jej się, że jest tu późnym wieczorem zupełnie sama. Podobno zeszłej jesieni winda się zablokowała i jedna ze sprzątarek spędziła w niej sześć godzin, dopóki ktoś jej nie wyswobodził.

Gdy Ava wróciła do domu, ulice były ciemne, ale w domach paliły się światła. Było widać, że toczy się w nich życie, ale to nie podniosło jej na duchu. Po miłym oszołomie-

niu odczuwała lekki ból głowy. Weszła do domu i zapaliła światło w salonie. Włączyła radio. Nadawano piosenkę *Strangers in the Night*. Pełen słodczy głos Sinatry poruszył ją do głębi. Kiedy ostatni raz dostała róże? To cholerne słowo „słodczy”. „Moja słodka” mawiali mężczyźni, robiąc z kobiety dziecko. Równie dobrze mogliby powiedzieć „moja potulna”. Jak owieczka. Pomyślała o tym, że Jake zwracał się do niej „kiciu”, czego nie miała mu za złe. A potem nagle nazwał ją tygrysią. A gdy zdziwiona uniosła brwi, powiedział: „Nie jesteś domowym kotkiem. Jesteś dzikim zwierzęciem. Nie podoba ci się to?”. „Uwielbiam to” - odparła. I tak było. Wyobraziła sobie gibkie, mocarne, nieudomowione stworzenie. Miała ochotę ucałować Jake'a w szyję. „Tygryśca”.

Raptem poczuła senność. Zgasiła światło i poszła do swojego pokoju. Gdy Lewis był mały, wierzył w duchy. Koniecznie chciał spać przy zapalonym świetle, a czasami był taki wystraszony, że prosił Avę, żeby posiedziała w fotelu na biegunach, aż uśnie. Nakrywał się po samą głowę. Dygotał. „Bądźże mężczyzną” - napominał go Brian. „Nie jest mężczyzną, jest małym chłopcem” - powiedziała kiedyś Ava. Brian poświecił latarką pod łóżkiem. Otworzył szafę, rozsunał wieszaki z ubraniami. „Żadnych zombie, żadnych diabłów” - powiedział.

„Zombie?” - drżącym głosem powtórzył Lewis, a Brian westchnął. „Nie zaczynaj od nowa” - burknął. „Zostawcie otwarte drzwi” - błagał Lewis. „Dobrze, ale nie narzekaj, że przeszkadza ci telewizor” - odparł Brian. Ava pochyliła się i ucałowała synka na dobranoc, wdychając jego zapach. „Jestem tuż obok” - wyszeptała.

Gdy zajrzała do niego później, spał zawinięty w koc, jak spowity całunem. Spod przykrycia wystawał tylko maleńki nosek. Wzruszyła się tym widokiem. Ostrożnie odkryła synka, żeby miał. więcej powietrza.

Weszła do pokoju Lewisa. Otworzyła szufladę ze starą koszulką do gry w rugby. Wyjęła ją i przytuliła do twarzy wdychając jej zapach. Rozpłakała się i zganiała się w duchu, że jest głupia. Skłamała wtedy, zapewniając synka, że nie ma duchów. Z całą pewnością są, w tym pokoju; i właśnie ją nawiedziły.

Rano zadzwonił telefon. Zanim podniosła słuchawkę, wiedziała, że to Lewis. Nadal była jego matką, niezależnie od tego, co się między nimi wydarzyło. Głos Lewisa brzmiał metalicznie, jak brzęczenie monet w puszcze. Ugięły się pod nią kolana, więc osunęła się na stołek.

- Lewis - powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy, a poza tym bała się, żeby nie odłożył słuchawki, jeśli powie mu coś niewłaściwego. Opowiedział jej o swojej pracy, ale prawie nic o życiu, jakie tam wie. Złożył jej życzenia szczęśliwego nowego roku.

Chciała zapytać, czy ma dziewczynę, czy ma jakichś przyjaciół, czy się nie czuje samotny, ale tylko przycisnęła słuchawkę do skroni. Czasami miała wrażenie, że rozmawia z kimś obcym.

- Wróciłem z pracy i jestem zmęczony. - Opowiedział jej, że całą noc siedział przy łóżku pacjentki chorej na raka, trzymając ją za rękę, słuchając opowieści o jej wnukach, dopóki nie poczuła się lepiej. Mówił, że cieszy się, bo jest sobota i gdy tylko skończy rozmowę, położy się i będzie spał do końca dnia. - Nocami czytam książki medyczne - oznajmił.

- Jesteś bardzo mądry - powiedziała. W przewodach nadal coś brzęczało.

- To będę kończył. Chciałem ci tylko złożyć życzenia. Pragnęła mu powiedzieć, że za nim tęskni, ale usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Siedziała ze słuchawką w dłoni jak sparaliżowana.

Miała mnóstwo czasu. Może przygotuje sobie coś do jedzenia. Zawsze była złą kucharką. Gdy dorastała, matka

śmiała się z niej, że nawet nie potrafi zagotować wody. Namawiała ją, żeby przygotowała jakiś posiłek, zapewniając, że jest to umiejętność, którą należy pielęgnować, jeśli zamierza kiedykolwiek wyjść za mąż.

- Mężczyźni uwielbiają moje klopsy - chwaliła się. - W środku klopsa jest niespodzianka. Całe jajko, ugotowane na twardo.

Wspierana i zachęcana przez matkę, Ava zabierała się do pracy, ale nie miała do niej serca. Mięso było twarde, ziemniaki rozgotowane.

- Trzymałam się przepisu - mówiła, a matka załamywała ręce.

- Korzystaj z gotowych mieszanek. Posługuj się konserwami - doradzała. - Wszystko jest teraz takie łatwe.

Gdy wyszła za mąż, Brian pocieszał ją, że przecież nie zakochał się w niej, bo dobrze gotuje. Przygotowała mu tylko jeden posiłek: spaghetti z sosem ze słoika. Chciał jej zaimponować, więc prawie co wieczór chodzili do restauracji. „Czyż nie jest piękna?” - pytał wszystkich, a Ava jaśniała jak gwiazda...

Po ślubie jednak wszystko się zmieniło. Brian zaczął na nią patrzeć inaczej, jakby taksował ją wzrokiem. Nazywał ją panią Lark, co brzmiało o wiele mniej seksownie niż „kochanie” czy „lalunia”. Zaczął zauważać kurz na podłodze, marszczył brwi, gdy koszula nie była wyprasowana.

- Nie wiedziałaś, że będę jej potrzebował? - pytał. - Co robisz całymi dniami?

- Nie powiedziałeś mi...

- Ależ, kochanie, to teraz jest twoja praca.

- Nie umiem czytać w myślach.

- Jesteś moją żoną - powiedział oskarżycielskim tonem. Chcąc mu się przypodobać, poszła do księgarni i kupiła

książkę kucharską pod tytułem *Ulubione posiłki mężczyzn*. Na lśniącej okładce umieszczono fotografię uśmiechniętego mężczyzny. Opierał łokcie na stole. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej widelec. Podchodziła do niego żona w far-

tuszku z falbanką, niosąc ogromny półmisek z pieczenią i ziemniakami. Ava przerzucała kartki. Salaterka z galaretką oraz spis składników, jakie należy i jakich nie należy dodawać do galaretki (komu przyjdzie do głowy, by dodać ogórek do limonkowej galaretki?). Słodko-kwaśny szpinak na spodzie z czipsów ziemniaczanych przyprawiał ją o ból głowy. Plasterki marchewki powinny być ondulowane, a seler naciowy ma przybrać formę gałązki. Powinno się przyrządzać sałatki i desery, a nawet polinezyjską potrawę *luau* z tradycyjnym wieńcem przy każdym nakryciu. W książce był tylko jeden przepis dla mężów. A co to za sztuka podrzeć sałatę na strzępki, polać dressingiem z butelki i zamieszać? Dlaczego facet na okładce radował się, jakby właśnie odkrył sposób na wysłanie rakiety na Księżyc? To wszystko irytowało Avę. Miała ochotę potrząsnąć jego żoną i zapytać, czy ma dobrze w głowie. Czy nie wołałaby pójść zjeść w restauracji, gdzie jej podadzą gotowy posiłek? Czy naprawdę chce jej się przyrządzać kolejkę z klopsów, na kółkach z plasterków marchewki, i tracić czas, przekrawając ziarnka grochu, by z nich zrobić główki pasażerów? Odłożyła książkę i zatelefonowała do Briana.

- Nienawidzę gotować - oznajmiła, a on się roześmiał, więc od razu poczuła się lepiej.

Tamtego wieczoru usiłowała upitrasić kurczaka w piwie. Posmarowała kurczaka masłem i zaczęła go smażyć, ale gdy Brian wrócił do domu, mięso było spalone na wierzchu, a różowe i surowe w środku. Groszek się rozgotował i stracił zieloną barwę, a cebula, zamiast się zeszklić, wyschła i stwardniała.

Brian przez telefon śmiał się i żartował, ale na widok talerza, który przed nim postawiła, dostał nerwowego tik. Zgrzytał widelcem o talerz, przesuwał surowe mięso.

Upłynęło trochę czasu i zaczął się stołować poza domem. Poczowała wielką ulgę. Jadała sama, przed jego powrotem, a potem z Lewisem, zadowolając się kanapką z masłem orzechowym i galaretką.

Jake'owi nie gotowała. Gdy się poznali, wystarczały im podgrzane gotowe dania.

Teraz została sama i mogła jeść, co tylko chciała. Posiłek nie musi zawierać mięsa lub warzyw. Jeśli przyjdzie jej na to ochota, może zjeść na obiad placek z owocami. Na przykład placek z jagodami; już sama nazwa brzmi smakowicie. W zamrażarce są lody. Kto jej zabroni udekorować ciasto lodami?

Nastawiła radio. Ray Charles śpiewał, że nie może przestać cię kochać. „Dużo ci z tego przyjdzie” - powiedziała Ava. Podeszła do półki z książkami i wzięła starą książkę kucharską matki. Przekartkowała ją i znalazła przepis na placek z jagodami. Przygotowała masło, tłuszcz do pieczenia, mąkę kukurydzianą, trochę mrożonych jagód. „Przestań zachowywać się jak idiotka - zganiła siebie. - Przecież potrafisz to zrobić. A jeśli się nie uda, po prostu wyrzucisz ciasto i nikt się nie dowie”. Wzięła miskę, przewiązała się fartuchem i złapała głęboki oddech.

Minęło półtorej godziny. Ava ze zdumieniem wpatrywała się w upieczone ciasto. Wierzch był złocisty, a gdy go postukała widelcem, oklapł.

Spróbowała kawałeczek. Ciasto rozpływało się w ustach. Jagody były cierpkie. Placek nie był idealny, ale zupełnie dobry. Usiadła przy kuchennym stole i powoli, systematycznie konsumowała swój wypiek.

Począwszy od owej chwili, gdy tylko mogła, wypiekała rozmaite ciasta. Spostrzegła, że z utęsknieniem wyczekuje długich wieczorów, które inni ludzie spędzają z rodziną. Eksperymentowała, kupując a to jabłka, a to gruszki. Czasami zupełnie jej nie szło. Wierzch wychodził za twardy albo miał smak tektury. Nadzienie kilkakrotnie zrobiło się galaretowate albo wodniste. Ale Ava się nie poddawała. Co z tego, że kilka placków się nie udało? To nie katastrofa. Nie było nikogo, kto by ją oceniał, kto by jej mówił, że marnuje mąkę i masło. Miała przed sobą cały wieczór. Mogła

wyrzucić nieudany wypiek, sprzątnąć i zacząć od nowa. Nućąc z zadowoleniem, wypiekała ciasta jedno po drugim, aż zaczęły lepiej się prezentować i ładniej pachnieć. Zjadała je, przymykając oczy, z uczuciem błogości.

Spostrzegła, że nie musi kurczowo trzymać się przepisów, że może zastąpić cukier syropem klonowym, że może dodać mniej mąki kukurydzianej, a więcej owoców, a wtedy smak będzie wyrazistszy. Pracowała nad ładniejszym karbowaniem brzegów, badała fotografie w książkach kucharskich, bez pośpiechu przyszczypywała ciasto, nadając krawędzi pożądany kształt. Matka pouczała ją, że efekt zależy od nastroju. Można mieć najlepsze na świecie składniki, ale gdy człowiek jest rozdrażniony, nic się nie uda.

Martwiło ją jednak, że nie ma nikogo, kto by podzielał jej radość, gdy ciasto się udało. „Cóż za aromat!” - mówiła sama do siebie, gdy w kuchni roznosił się zapach cynamonu, a jabłka zaczynały bulgotać. „Jakie ładne ciasto!” - zachwycała się, ale odpowiadało jej tylko radio. Żałowała, że nie ma aparatu, żeby sfotografować swoje dzieło i wysłać zdjęcie Lewisowi z podpisem: „Spójrz, co potrafię!”.

Zaniosła ciasto z jagodami do pracy. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale była przejęta. Co rusz ktoś przynosił coś do jedzenia. A to słynne kandyzowane cytryny matki Charmaine, a to ciasto czekoladowe żony Richarda, które dla Avy zawsze było za słodkie. Czasami ktoś zaszalał i przyniósł coś z Bell's Cafe. Ciasto z jagodami było najprostszym z wypieków Avy. Nadzienie składało się z jagód, syropu klonowego, wanilii i cynamonu, ale wyglądało ładnie; było tak idealne, że nadawało się na wystawę. Wszedłszy do hali maszyn, odczuła zdenerwowanie. Charmaine popijała z puszki wiśniowy metrecal\*, krzywiąc się za każdym łykiem i wygładzając wolną ręką spódnice na biodrach. Betty spojrzała na ciasto.

**\* Metrecal - napój proteinowy, coś w rodzaju slim fast. Po śmieci 59 osób został wycofany z rynku.**



- Skąd to masz? Kupiłaś w Teacup Cafe?  
- Sama upiekłam - odparła Ava.  
- Ty? - zdumiała się Betty. - Zawsze mówiłaś, że jesteś słabą kucharką.

- Bo jestem. Ale umiem wypiekać ciasta. Charmaine przyjrzała się dokładnie.

- Wygląda dobrze - powiedziała pewnym tonem i odsunęła puszkę. - Zacznę się odchudzać od jutra.

Ava zostawiła placek w pokoju socjalnym. W południe, gdy tam zajrzała, po cieście nie było śladu. Richard wyskrobywał okruchy widelczykiem z talerzyka.

- Masz tego więcej? - zapytał. - Jest wyśmienite.

- Upiekłam je - powiedziała Ava.

Richard uniósł brwi, a Ava poczuła dumę. Nigdy dotąd jej nie pochwalił. Co kilka miesięcy oceniał pracę personelu. Gdy przychodziła kolej Avy, mówił: „Staraj się lepiej”. -I wciąż odmawiał jej podwyżki. Ostatnim razem spytała go, czy według niego robi coś dobrze. „Rób, co do ciebie należy” - odpowiedział wymijająco.

Odstawił talerzyk.

- Naprawdę? To najlepsze ciasto z owocami, jakie jadłem. - I mrugnął do Avy, czego nie lubiła. - Dobra robota -dodał. Po raz pierwszy spojrzał jej w oczy, a nie na dekolt.

Tego dnia, przepisując faktury na wanny, rozmyślała o ciastach. O nowych smakach, jakie wypróbuje. Czekoladowe z alkoholem. Gruszkowe z korzeniami. Jabłkowe z orzechami pękano wy mi. Z czasem, gdy zrobi się cieplej, na rynku pojawi się więcej sezonowych owoców. Będzie mogła jeździć wprost na farmę DeVincent i tam je kupować.

Podczas przerwy na lunch nie zostawała w biurze, ale zaczęła chodzić do rozmaitych kawiarni, żeby skosztować ich ciasta. Poszła do Juniper Tree i zamówiła ciasto z jabłkami. Nie rozpoznawszy przyprawy spytała, co to.

- Goździki - odparła kelnerka i Ava postanowiła, że je

kupi. W Bell's Cafe dla porównania zamówiła to samo, ale gdy zapytała o składniki, kelnerka się roześmiała:

- Bell nigdy nie zdradza swoich sekretów. Lepiej jej nie pytać, bo albo poda nieprawdziwy przepis, albo zmieni temat rozmowy.

Kelnerka wskazała głową starszą kobietę z długim siwym warkoczem, która gniewnie wygładzała obrus w niebiesko-białą kratkę.

- Zawsze jest taka nerwowa? - zapytała Ava, a kelnerka odparła ze śmiechem:

- Taka właśnie jest Bell.

- Powiedz jej, że ciasto jest przepyszne.

Patrzyła, jak kelnerka podchodzi do Bell i coś jej mówi po cichu. Bell stała z rękami splecionymi na brzuchu, kiwając głową. Spojrzała na Avę, mrużąc oczy, jakby ją szacowała. Ava poczuła się tak zakłopotana, że szybko pochłonęła porcję ciasta i wyszła, zostawiając duży napiwek.

Odkąd zajęła się wypiekami, nie mogła się doczekać powrotu do domu. Nie przeszkadzało jej, że dom jest pusty. Krzątała się po kuchni, piekąc, wypróbując nowe przepisy, eksperymentując. Tego wieczoru przygotowała dla siebie trzy małe ciasta. Każde inne. Pokroiła na małe kawałki i zjadła.

Próbowała gotować inne potrawy. Zrobiła gulasz wołowy, który nie miał smaku. Upiekła kurczaka, który był suchy. Uznała, że to nie ma znaczenia. Po prostu nie była do tego stworzona. Miała talent do wypieków.

Zaczęła przynosić ciasta do biura. Koleżanki nie tylko stały się miłsze, ale wręcz na nią czekały.

- Wiem, że jest dopiero dziewiąta, ale to ciasto z limonkami uśmiecha się do mnie - powiedziała Betty.

- Uszczknę odrobinę - powiedziała Charmaine, odkrawając solidną porcję.

Mężczyźni z księgowości przysyłali po ciasto swoje sekretarki. O dziesiątej nie było po nim ani śladu.

- No tak - powiedział Richard. - Teraz nie będę mógł cię zwolnić.  
- Może dasz mi podwyżkę - zaproponowała Ava. -Będę mogła wypiekać więcej ciasta.

- Zabawna jesteś - roześmiał się Richard.

Tego wieczoru Ava postanowiła upiec trzy nowe ciasta: z pomarańczami, z cytrynami i z mrożonymi malinami. Nigdy dotąd nie wypiekała placków z kremowym nadzieniem, więc była bardzo przejęta. Otworzywszy drzwi, omal nie poślizgnęła się na leżących na podłodze listach. Szybko podniosła koperty: rachunki, więcej rachunków, kartka pocztowa od Lewisa. Pisał o śnieżycy, a na odwrocie dodał: „U mnie wszystko w porządku, Kocham Cię, Lewis”. Powiodła palcem po słowie „kocham”. Na jego widok za każdym razem odczuwała wzruszenie.

Ostatnio wydawała więcej pieniędzy na zakupy spożywcze. Trochę ją to niepokoiło. Zawsze na czas płaciła rachunki i nader skrupulatnie obchodziła się z pieniędzmi. Bardzo chciałaby mieć rezerwę w banku, ale choć wielokrotnie prosiła Richarda o podwyżkę, zawsze jej odmawiał. Miała wprawdzie szczęście, bo zatrudnił ją na pełnym etacie, ale ilekroć wspomniała o wysokości wypłaty, oblicze Richarda stawało się kamienne.

Weszła do kuchni, wiedząc, że tu poczuje się lepiej, zwłaszcza gdy zagłębi dłonie w ciście. Szykując mąkę, wysypała trochę na podłogę. Potem naląła za dużo wody i ciasto niemal natychmiast zrobiło się kleiste. Matka miała rację, emocje wpływały na produkty. Rozejrzała się po zabałaganionej kuchni. Jeśli nie zrezygnuje, wierzch ciasta będzie twardy, a nadzienie przesłodzone.

Usiadła przy stole. Spojrzała na rzędy słoiczków z przyprawami i zapragnęła posprzątać i ustawić je w porządku alfabetycznym. Poczowała potrzebę wyszorowania ścian i podłogi. Wiedziała jednak, że jeśli teraz zabierze się do sprzątnięcia, nabałagani jeszcze bardziej. A jeśli zechce się wykąpać, gotowa się poparzyć.

Musi wyjść z domu. Musi coś zrobić. Włożyła płaszcz i wróciła do kuchni. Wzięła ciasto, którego nie zaniósła do pracy. Czekoladowo-miętowe. Położyła je na talerzu i zapakowała w papier. Richard powiedział jej, że powinna sprzedawać swoje wyroby. Może nadszedł czas, by spróbować. Najgorsze, co ją może spotkać, to dobre rady.

Pojechała do Bell's, bo to najbliżej. Weszła do środka i poczuła przyływ odwagi. Kawiarnia była pełna. W głębi siedziały pary, jakaś rodzina kłóciła się nad porcjami spaghetti. Na dworze panował mróz, ale tutaj było ciepło i przytulnie. Pracowały tylko dwie kelnerki, obydwie w białych fartuszkach. Przemykały pośród paproci i wzdłuż drewnianych ścian. Bell siedziała za kontuarem. Zmierzyła Avę wzrokiem, a potem podejrzliwie spojrzała na talerz. Ava podeszła do niej.

- Cóż to? - powiedziała Bell. - Przynosi pani ciasto do mojej kawiarni?

- No właśnie - odparła Ava i zdjęła papier. Cukier na wierzchu zaśnieł w świetle.

Bell przypatrywała się Avie.

- I?

- Pomyślałam sobie, że może zechciałaby pani kupować ode mnie ciasta.

- Robimy tu własne wypieki.

- Proszę spróbować - powiedziała Ava błagalnym tonem.

- Niech no zobaczę pani ręce - zażądała Bell.

- Ręce?

- Tak, ręce. - Wzięła od Avey talerz. Poczekała, aż Ava uniesie dłonie.

- Są zimne - stwierdziła, dotknąwszy ich.

- Mam kłopoty z krążeniem - wyznała Ava. Roztarła dłonie.

- Niech pani tego nie robi - powiedziała Bell. - Niech pani nie zaciera rąk. - Zmieszana Ava znieruchomiała.

- Nie trzeba ich rozgrzewać - wyjaśniła Bell. - Ilekroć przyjmuję cukiernika, sprawdzam, jakie ma dłonie. Jeśli są

ciepłe, ciasto lepi się do palców. Gdy są zimne, wierzch udaje się doskonale. Ot, i cała sztuka. - Spojrzała na ciasto. - Niech pani sobie nie robi nadziei. To jeszcze nie znaczy, że pani wypiek jest smaczny.

Ava krytycznie oceniła wierzch. Niemal godzinę spędziła, zlepiając brzegi.

- Starannie zlepione. To dobry znak. - Bell dotknęła wierzchu. - Każdy robi to na swój sposób. Wystarczy spojrzeć na wierzch ciasta, a już wiadomo, kto je piekł.

Dotknęła krawędzi, a potem sięgnęła po widelczyk. Spróbowała kawałeczek i odłożyła widelczyk. Ava czekała niecierpliwie.

- Jeśli nie jest wystarczająco dobre, proszę mi powiedzieć dlaczego - poprosiła.

- Nie mówię, że jest niedobre. Kupię to ciasto. Proszę je pokroić. Jeśli dobrze się sprzedaje, zamówię więcej.

Uradowana Ava omal nie rzuciła się jej na szyję.

- Nie prowadzę instytucji dobroczynnej - powiedziała Bell. - Ale możliwe, że posiada pani talent do wypieków.

Ava nie mogła powstrzymać uśmiešku. Do tej pory, gdy ktoś ją chwalił, to wyłącznie za to, że jest dobra w łóżku.

- Co w tym śmiesznego? - spytała Bell.

- Mój były mąż twierdził, że jestem beznadziejną kucharką. - Wypowiedziawszy te słowa, złękła się, że wspominając o byłym mężu, popełniła taktyczny błąd, ale Bell w zamyśleniu skinęła głową.

- Mało o pani wiedział. Najprawdopodobniej dlatego jest byłym mężem. - Przechyliła się ponad ladą. - Mężczyźni spodziewają się, że dokonasz cudów w kuchni, ale jeśli zechcesz w kuchni pracować zawodowo i są z tym związane pieniądze, nie pozwolą ci na to. Myśli pani, że to jakaś wada genetyczna?

Roześmiały się obie.

- Mój mąż był inny - powiedziała Bell. - Ale już nie żyje. Tak czy siak zobaczymy, co z tego wyniknie.

Następnego dnia po powrocie z pracy Ava była zbyt

zdenerwowana, by zabrać się do wypieków. Oglądała w telewizji Jimmy'ego Cagneya w filmie *Wróg publiczny*, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, parząc, jak Cagney rozgniata grejpfruta na twarzy swojej dziewczyny.

- Ciasto sprzedane - oznajmiła Bell. - Klienci domagają się nowego. Ja także.

Ava zmieniła rozkład dnia. Wstawała o dwie godziny wcześniej, aby przed wyjściem do pracy zająć się wypiekami. Chciała, aby ciasto było świeże, gdy zawiezie je do Bell. Przekonała się, że zgodnie z opinią Bell zupełnie inaczej pracuje się za pieniądze. Wypiekanie stało się czynnością ekscytującą. Ava nie zarabiała wiele, zaledwie trzy dolary na sztuce, ale było to dwa razy więcej, niż wydawała na wypiek. Założyła w miejscowym banku konto oszczędnościowe i zauważyła, że w lutym znacznie wzrosła na nim ilość środków. Zaczęła marzyć o świeżych owocach, które będzie mogła kupować, gdy nadejdzie sezon, choćby nawet tak drogich jak maliny. Wpłacając pieniądze na konto, uśmiechała się z zadowoleniem. Stawała się coraz odważniejsza. Wiedząc, że ciasta czekoladowe dobrze się sprzedają, postanowiła zaryzykować, dodając do nich szczyptę imbiru. A potem skórkę pomarańczową. A co będzie, jeśli pozwoli, żeby rozczyn rósł dłużej?

Wstając wcześniej, zauważała i słyszała więcej niż przedtem. Zobaczyła ubranego w biały fartuch i czapkę dostawcę mleka. Przywołała go, bo teraz, mając więcej pieniędzy, mogła sobie pozwolić na zamówienie dostawy mleka do domu. Pewnego ranka, wyjmując butelki i kartonowe pudełka z metalowej skrzynki, usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi w domu po przeciwnej stronie ulicy. Podniosła głowę i zobaczyła wychodzącego z domu Dicka Hila z gniewnym wyrazem twarzy. Niósł walizkę. Za nim wybiegła Debbie w szlafroku i papuciach. Włosy miała nawinięte na różowe wałki. Płakała. Schwyciła go za ramiona, ale Dick strzepnął jej dłonie. Wsiadł do samochodu i odje-

chał. Debbie spostrzegła Awę, błyskawicznie się odwróciła i weszła do domu. Szkoda, bo Ava mogłaby jej doradzić, jak leczyć złamane serce.

Ava musiała być w pracy o dziewiątej, ale wychodziła z domu o siódmej, ostrożnie niosąc zapakowane w pudełka ciasta, które starannie ustawiała w samochodzie na przednim siedzeniu.

- Klienci mówią, że zapach cytryny przynosi im wspomnienia z dzieciństwa - oznajmiła Bell. - Zakochane pary zamawiają ciasta czekoladowo-miętowe, a ludzie samotni szczególnie lubią twoje bostońskie ciasto z kremem. Jak ty to robisz? Jak sprawiasz, że twoje wypieki tak bardzo przemawiają do klientów?

- Nie wiem - odparła Ava.

- Czy mogłabyś przywieźć jutro dodatkowe cztery? To czekoladowe przypomina mi Henry'ego.

Ava przestała zanosić ciasta do biura. Nie miała czasu, by je wypiekać, a poza tym nikt jej za nie nie płacił. Widywała koleżanki z hali maszyn, które spoglądały na nią wyczekująco, gdy wchodziła do pokoju socjalnego, i odwracały się z zawiedzioną miną na widok jej pustych rąk.

- Cóż to? - zdziwił się Richard. - Nie ma pyszności?

- Byłam zajęta.

- Czym?

- Robię wypieki na sprzedaż - odparła Ava.

Richard przechylił głowę, mrugając powiekami, jakby jej nie zrozumiał. - Sprzedajesz je?

- Do Bell's Cafe. Richard zmarszczył brwi.

- Za pieniądze? Ava skinęła głową.

- Na tym polega sprzedaż - odparła.

- Hmm. Nie zapominaj o prawdziwej pracy - powiedział cierpko. - I nie zapominaj o nas.

Jeśli chcecie jeść ciasta, musicie za nie zapłacić - pomyślała Ava, ale była za mądra, by powiedzieć to na głos.

Uśmiechnęła się tylko i wróciła do pisania listów na temat kranów. Charmaine klepnęła ją w ramię.

- Ja bym chyba nie sprzedawała ciasta.

- Dlaczego?

- Kiedyś byłam świetną pływaczką - powiedziała Charmaine. - Pewnego razu jeden chłopak chciał się ze mną ścigać. Dobrze się przygotowałam. Nabrałam powietrza w płuca i wskoczyłam. Kiedy wypłynęłam na powierzchnię, chłopak stał daleko za mną po kolana w wodzie. Od tamtej pory nawet na mnie nie spojrzał. Nie odzywał się do mnie. Wyszłam na brzeg, a moja matka pokręciła głową. „Nigdy więcej tego nie rób - powiedziała. - Nie możesz mężczyznom okazywać swojej przewagi. Oni tego nie lubią”.

- To głupie - odparła Ava, a Charmaine wzruszyła ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz.

Ava kupiła dwa białe wykrochmalone fartuchy i kilka siatek na włosy. Bardzo dbała, by jej kuchnia była nieskazitelnie czysta. Często na czworakach szorowała podłogę. Nabyła obrotowy wałek i sześć nowych okrągłych forem do ciasta. Czuła, że w kuchni panuje nad sytuacją.

Pewnego piątkowego wieczoru, upiekłszy nowe ciasto (tartę z kremem markizowym, jabłkami i rodzynkami), poczuła zdenerwowanie. Wzięła prysznic, ubrała się elegancko i chociaż padał śnieg, pojechała posłuchać muzyki do Club 47 w Cambridge. Nie wiedziała, kto będzie występował. Okazało się, że to młoda kobieta z długimi kędzierzawymi włosami, śpiewająca przy akompaniamencie gitary. Głosem jak dzwon wyśpiewywała o tym, że kochanek zasztyletował ją nad rwącą rzeką. W klubie było niebiesko od dymu papierosów, więc Ava domyśliła się tylko, że przygląda jej się jakiś mężczyzna. Poczuli, że się do niej przysiadł. Zerknęła i zobaczyła, że jest od niej młodszy, z dłuższymi od jej włosami. Zanim skończyła się pierwsza wiązanka piosenek, dowiedziała się, że ma na imię Damien i że pojedzie z nią do jej domu.



Usiadł na miejscu kierowcy i położył ręce na kierownicy.

- Nie, ja prowadzę - zaproponowała Ava. Wzruszył ramionami i ustąpił jej miejsca. Gdy tylko weszli do domu, pocałował ją w szyję i przyciągnął tak blisko, że poczuła żar jego ciała. Odsunęła go łagodnie.

- Ostro zagrywasz, co? - zapytał rozbawiony.

- Chodź - powiedziała i wprowadziła go do kuchni. Posadziła przy czerwonym, krytym laminatem stole. Podeszła do lodówki i wyjęła ciasto z markizowym kremem, jabłkami i rodzynkami. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Naprawdę chcesz, żebym teraz to jadł? - zapytał. Ukroiła niewielki kawałek, położyła na talerzyku, podała mu widelczyk i serwetkę.

- Tak-odparła.

Spróbował kęsek i spojrzał na Avę, taksując ją wzrokiem. Spostrzegła na jego twarzy wyraz miłego zaskoczenia.

- Goździki - wyszeptała mu do ucha. - Gałka muszkatołowa.

Zjadł następny kęs, a potem jeszcze jeden i jeszcze, aż spałaszował cały kawałek.

- Można jeszcze? - zapytał, a ona się roześmiała.

- O, tak - odparła. Pocałowała go i poczuła smak cynamonu. Wzięła go za rękę. Stał naprzeciw niej. Położyła sobie jego dłoń na piersi.

- Może zostanę na noc - wyszeptał.

Powiedział Avie, że wygląda jak Joan Baez. Roześmiała się, bo była równie podobna do Joan Baez, jak do Marilyn Monroe. Ava oparła mu głowę na piersi, by poczuć, jak podnosi się i opada z oddechem. Chciała zapamiętać tę chwilę, bo wiedziała, że już go więcej nie zobaczy.

Nie był złym kochankiem, ale doszedł szybciej niż ona, co się jej nie spodobało, więc gdy zasnął z głową na jej piersi, Ava go obudziła.

- Coś nie tak? - zapytał Damien. Wziął ją w ramiona, ale ona mu się wywinęła.

- Musisz wyjść - powiedziała. - Wstała, ubrała się i spojrzała na zegar.  
- Chcesz, żebym sobie poszedł?  
- Tak, proszę. - Ucałowała go w nos, podała mu ubranie i patrzyła, jak się ubierał.

Wezwał taksówkę. Czekali na nią przy frontowym oknie. Gdy przyjechała, Damien obrócił się ku Avie.

- Poczekaj - powiedział. Zapisał swój numer telefonu i podał Avie. - Do zobaczenia wkrótce - dodał i wyszedł.

Ava poczuła się cudownie wolna. Wrzuciła karteczkę z numerem do kosza na śmieci i wróciła do kuchni.

Była noc, ale ona zabrała się do pracy. Z samego rana w sobotę miała zanieść sześć gotowych ciast dla Bell's Café. Zazwyczaj po prostu wchodziła do tamtejszej kuchni i zostawiała swoje ciasta z ich opisem i zestawieniem wydatków, jakie poniosła. Należność odbierała później. Kawiarnia przeważnie była pełna i Bell nawet nie miała czasu, by się z nią przywitać, co nie przeszkadzało Avie. Lubiła przechadzać się po kawiarni, jak podglądacz. Patrzyła, kto je jej ciasta. Zaglądała do okrągłej gabloty, którą Bell ustawiła od frontu, żeby sprawdzić, które ciasta idą najlepiej. Z przyjemnością stwierdzała, że szybko ich ubywa. Zostawiwszy ciasta w kuchni, z pustymi rękami zmierzała ku wyjściu, gdy zatrzymała ją Bell.

- Żeby sprzedawać tu swoje ciasta, musisz poznać moje menu - powiedziała.

- Jadałam już tutaj - powiedziała Ava, chociaż była to tylko muffinka i kawa.

- Naprawdę? Kiedy? Powiedz, co jadłaś ostatnio, nie spoglądając na tablicę z zestawem dań. Poznam, jeśli skłamiesz.

Ava wzruszyła ramionami z zakłopotaniem.

- Nie tylko ty jesteś dumna ze swoich osiągnięć kulinarnych - powiedziała Bell. - Usiądź - dodała, wskazując jej stolik.

Ava posłusznie usiadła, ale gdy sięgnęła po kartę, Bell pokręciła głową.

- Pozwól, że cię zaskoczę. Dzisiaj mamy wieczór soul food\*. Bell przyniosła jej potrawkę z szerokimi płaskimi kluskami, kawałkami kurczaka i kapustą polną. Usiadła naprzeciw Avy. - Jadłaś kiedy kapustę polną? - spytała. Poczekała, aż Ava spróbuje. - Smaczna, prawda?

- Nie ugotowałamby czegoś takiego - powiedziała, a Bell prychnęła.

- Bzdury. Po prostu ci się nie chce. Przecież to nic złego. - Bell podparła głowę rękami.

- Może masz raqę.

- Tę kawiarnię założył mój mąż Henry - oznajmiła Bell. - Pracował tu zupełnie sam. Gotował, sprzątał, robił zakupy, aż zachorował na raka i wtedy ja przejęłam interes. Wszyscy uważali, że zwariowałam, że kieruje mną rozpacz. Spodziewali się, że gdy za sterami stanie kobieta, biznes wkrótce zbankrutuje. Miałam mnóstwo chętnych do kupna kawiarni, ale okazało się, że lubię prowadzić lokal. Mam jakieś zajęcie, a poza tym czuję się tu bliżej Henry'ego.

- Brak ci go? - spytała Ava i od razu poczuła się głupio, ale Bell westchnęła.

- Każdy za kimś tęskni - powiedziała, a Ava pomyślała o Lewisie.

- Tak - przyznała. - Każdy za kimś tęskni.

Ava skończyła potrawkę i wtedy usłyszała znajomy głos. Obejrzała się i zobaczyła Debbie Hill ubraną w pomarszczony płaszcz przeciwdeszczowy, narzucony na coś, co wyglądało jak flanelowa pidżama. Włosy miała obwiązane szyfonową chustką. Dygocząc, spojrzała na Avę, ale udała, że jej nie zna, i szybko się odwróciła. Wsunęła się za stół w głębi i ukryła twarz za kartą dań.

Bell pochyliła się do przodu.

- Widzisz tę kobietę? - spytała, ścisząc głos. - Przychodzi tu co wieczór, zamawia twoje ciasto cytrynowe i płacze.

**\* Soul food - tradycyjna kuchnia czarnoskórej ludności z południa Stanów Zjednoczonych.**

Ava jeszcze raz przyjrzała się Debbie. Przypomniało jej się, jak mąż sąsiadki wyszedł z domu z walizką, zostawiając pobladłą żonę na ganku w szlafroku i papuciach. Od tamtej pory nie widziała Dicka ani Debbie. Nie widywała także ich małej córeczki Barbary. Debbie zebrała poły płaszcza przeciwdeszczowego i omijała wzrokiem obie kobiety.

- Proszę cię - powiedziała Ava. - Nie mów jej, że to ja piekę te ciasta, ale następnym razem daj jej naprawdę duży kawałek. Ja płacę. I powiedz jej, że to na koszt firmy.

Minęły dwa tygodnie. Ava odgarniała śnieg z chodnika przed domem. Zobaczyła, że przed domem naprzeciwko zatrzymuje się samochód Dicka. Dick wysiadł, a z domu wyszła Debbie. Zawahała się chwilę, a potem podeszła do męża z podniesioną ręką, jakby miała go zamiar uderzyć. Ale oparła mu głowę na ramieniu. Dick pogłaskał ją po włosach, mówiąc coś cicho. Wtedy z domu wybiegła Barbara i rzuciła się ojcu na szyję.

Ava poczuła ulgę, chociaż ten Dick to nic dobrego. Zastanawiała się, czy Debbie kiedykolwiek wróci do kawiarni.

Zimne powietrze szczypało ją w policzki, dodając energii. Skończywszy odgarnianie śniegu, postanowiła przejść się po okolicy. Mieszkańcy sąsiedniego domu stawiali dobudówkę. Ich niewielki wiejski dom nabierał dzięki temu wyglądu kolonialnego domostwa. Inni sąsiedzi pomalowali ściany na jaskraworóżowy kolor, a okiennice na ciemnofioletowy. Ava obeszła kwartał. Miała oblepione śniegiem buty. Nagle wpadła na Boba Gallaghera, który ustawiał na trawniku przed domem dużą tablicę z napisem: NA SPRZEDAŻ.

Zdumiona wykrzyknęła:

- Wyprowadzacie się?! - Ostatnio była bardzo zajęta i nie spotykała nikogo z jego rodziny. Bob podszedł bliżej.

- Moja spółka przenosi mnie na Florydę - powiedział. - Tam są lepsze możliwości. Ale nie lubię być blisko Kuby i Fidela Castro. - Opowiedział, że opłacono jego przepro-

wadzkę. Że otrzymał nowiuteńki dwupoziomowy dom tuż przy plaży o jakim Tina zawsze marzyła. Sprzedają dotychczasowego domu zajmie się agent. - Będę tęsknił za tym miejscem - powiedział. -1 za tobą.

- Za mną?

- Tak, za tobą - odparł z krzywym uśmiechem, a potem pochylił się, by ją uściskać.

Bob i Tina wyjechali w marcu. Dom kupił lekarz i jego żona. Do rozbiórki. Gdy tylko stopniały śniegi, pojawiły się buldożery. Ava widziała nowych właścicieli, jak kręcą się po działce. Mężczyzna był wysoki i chudy, niczym pałeczka do mieszania koktajli, ubrany w elegancki czarny garnitur. Jego żona była ubrana w różową suknię dla kobiet w ciąży z ogromną aksamitną kokardą na podwyższonym stanie, trzymała dłonie splecione na brzuchu.

- Halo! - zawołała Ava i podeszła bliżej. Kobieta zerknęła na Avę, a jej mąż wyciągnął rękę.

- Stan Morton - przedstawił się.

- Doris - powiedziała żona. - To taka miła okolica. I szkoła tak blisko.

- Wszystko budujemy od nowa - oznajmił Stan.

Wyjaśnił, że chcą mieć dwupoziomowy dom, coś imponującego i odmiennego od pozostałych. Chcą wybudować dużą ogrodzoną sadzawkę na tyłach.

- Gdy się wybudujemy, urządzimy parapetówkę dla wszystkich sąsiadów - zapewniła Doris.

Budowa trwała wiele tygodni. Robotnicy musieli ustawić ogrodzenie, bo jakichś dwoje dzieci wypisało swoje imiona na wilgotnym cemencie. Avę codziennie budził hałas nadjeżdżających budowlańców. Sześciu mężczyzn w starych ogrodniczkach i znoszonych koszulkach. Po raz pierwszy od wielu dni Debbie Hill wyszła z domu. Tym razem jej oczy miały pogodny wyraz.

- Ten dom zakasuje wszystkie inne - powiedziała. Wykopano drzewa, łącznie z piękną starą wierzbą. Uło-

żono gotową darń. A potem, pewnego słonecznego dnia w kwietniu, gdy Ava wróciła z pracy, zastała przed dawnym domem Boba Galaghera policyjny samochód z zapalonymi światłami. Drogę na podwórko znaczyła rozwieszona na kozłach żółta lina. Dookoła stali policjanci. Najbardziej niepokojący był widok fotografów, którzy chodzili przed domem, fotografując wszystko, co zobaczyli, łącznie z ludźmi. Ava zamrugała, oślepiona fleszem. Debbie, z dłonią przy ustach, spojrzała na Avę wylęknionym wzrokiem. Wtedy Ava naprawdę się przestraszyła. Chwyciła Debbie za ramię.

- Co się stało? - spytała. - Co się dzieje? Debbie spojrzała na Avę.

- Znaleźli dawny schron przeciwiatomowy. A w nim kości.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ava stała jak wryta. Wpatrywała się w opustoszały plac. Wszystkie piękne drzewa i kwiaty zniknęły, jakby ktoś usunął dawny krajobraz i zastąpił go brudnym niebem.

Zobaczyła nowych właścicieli, którzy stali bezradnie, przyglądając się swojej własności - parcela należała do nich, bez względu na to, co na niej znaleziono.

Ostrożnie podeszła bliżej. Nie rozpoznała żadnego z policjantów. Wszystkie twarze były nowe, ale Ava poczuła to samo przerażenie co dawniej. Jeden z oficerów zatrzymał ją.

- Proszę odejść od miejsca zbrodni - powiedział.

- Czyje to kości? - spytała Ava, z trudem dobywając głos.

Jeden z gapiów powiedział jej, że to szczątki chłopca, na co wskazuje wielkość kości udowej. Ktoś inny dodał, że znaleziono rozsypujące się szorty z tkaniny w kratkę oraz parę zabazgranych tenisówek. Debbie nakryła sobie usta dłonią, a potem ją opuściła.

- Dzwonili do wszystkich miejscowych dentystów. Już wiadomo. To Jimmy.

- Skąd wiadomo? Jak mogą mieć pewność!?! - wykrzyknęła Ava.

- Nie będę pani prosił jeszcze raz - powiedział policjant. - Niech się pani odsunie.

Ava pomyślała o dniu, w którym zaginął Jimmy Sąsiedzi, policja, wszyscy szukali, gdzie tylko możliwe. Zatrzymywano samochody. Wypytywano nieznajomych. Starła się z wszystkimi szczegółami przypomnieć sobie, co się wtedy działo. Sąsiedzi poszukiwali kogoś obcego, kogoś w samochodzie, śladów wiodących poza najbliższą okolicę. Ava nawet nie wiedziała o schronie. Kiedy Bob go zbudował? I dlaczego policjanci nie znaleźli go, prowadząc śledztwo? Sprawdzali każdy dom w kwartale, każde podwórko, każdą piwnicę. Tak słyszała. Jak to możliwe, że nic nie znaleziono?

- Schron przeciwatomowy! Kto wiedział, że coś takiego jest w okolicy? Cóż on sobie wyobrażał? - dopytywał się Dick. - Dlaczego nikomu o tym nie powiedział? - Dick pokręcił głową. - Nigdy nie miałem zaufania do tego faceta. -Ava pamiętała, jak Dick i Bob grywali w badmintona na podwórku Boba, gdzie w poprzek trawnika ustawiono siatkę. Obaj mężczyźni, spoceni i zadyszani, grali bez przerwy, dopóki Tina nie przyniosła im napojów chłodzących.

- Coś takiego? Bob mordercą? - Debbie pokręciła głową.

- Nie mów tak - zgań ją Ava. Nie przepadała za Bobem, ale widywała, jak czule całował żonę i przytulał syna.

- Czy to pewne? Czy to na pewno Jimmy? - spytała Ava, a Debbie spojrzała na nią z politowaniem.

- A myślisz, że kto, Avo?

Tamtego ranka, gdy Ava była w pracy, przyjechała ciężarówką ekipa telewizyjna z ubranym w garnitur reporterem. Jedna z sąsiadek powiedziała Avie, że Bob Gallagher został wezwany z Florydy na przesłuchanie.

Kilkoro dzieci z sąsiedztwa - których Ava dobrze nie znała - ubranych w ogrodniczki i trampki, krążyło na rowerach, co chwila podjeżdżając do dawnej działki Boba Gallaghera.

Ava poszła do domu. Usiadła w salonie i wpatrywała się w ścianę. Myślała o czasach, gdy Lewis ganiał swobodnie



po okolicy, gdzie nikt prócz niej nie zamykał drzwi na klucz. Wspominała, jak kiedyś Bob reperował jej lampę. Nachylił się wtedy, jakby chciał ją pocałować. Zawsze był chętny do pomocy. Ilekroć go poprosiła, czyścił rynny, przetykał ścieki, a skończywszy pracę, nie odchodził, aż zapytała: „Napijesz się kawy?”. Na co oczywiście chętnie przystawał.

Przez cały czas Jimmy był tuż-tuż i nikt o tym nie wiedział. A gdyby Bob nie dostał tej nowej pracy? Gdyby się nie wyprowadził? Czy kiedykolwiek poznano by prawdę? A może przybyłoby kości?

Sięgnęła po telefon i wykrciła numer Lewisa. Zapragnęła usłyszeć jego głos, jakby dzięki przewodom telefonicznym mogła dotknąć syna. Powinien się dowiedzieć. Sprawa Jimmy'ego dotyczyła ich obojga. Telefon dzwonił i dzwonił, ale Lewis nie podniósł słuchawki.

Następnego ranka do Avy podszedł Stan Morton. W ręce trzymał kapelusz.

- Zatrzymaliśmy się u mojej matki - powiedział. - Nie wiem, czy tu wrócimy. Doris jest wystraszona.

Ava skinęła głową.

- Pani знаła tego chłopca - powiedział.

- Tak. - Ava pomyślała o tym, jak Jimmy pomachał jej na pożegnanie. Pomyślała o ochotniczych patrolach przeszukujących okolicę, o policjantach, którzy tak długo zajmowali się sprawą. A tu, jak na ironię, poszukiwany był tuż obok. A gdy znaleziono kości, już następnego dnia je zidentyfikowano.

- Słyszałem, że nie ma żadnych śladów wskazujących na przemoc - powiedział Stan. - Żadnych dowodów na to, że w schronie oprócz chłopca był ktoś jeszcze. Słyszałem, jak policjanci mówili, że chłopiec musiał wiedzieć o tym schronie. - Spojrzał na Avę. - Ach, te dzieciaki. Wyobrażają sobie, że są niezniszczalne. - Stan miętosił kapelusz. Dzień był chłodny, ale twarz mężczyzny zrosiły kropelki potu. -Kto teraz zechce kupić ten dom? - dodał.

Ava przez wiele dni bezskutecznie usiłowała dodzwonić się do Lewisa. Oglądała wiadomości miejscowej telewizji, zastanawiając się, czy któryś z kanałów ogólnokrajowych podejmie temat. Kanały lokalne pokazywały zdjęcia Dot, Rose i Jimmy'ego. Na ich widok Ava za każdym razem się wzdrygała, ale w wiadomościach nie podawano nic, o czym by nie wiedziała. Po zaginięciu Jimmy'ego wszyscy go poszukiwali. Zachodzili w głowę, co się mogło stać, bali się, wymyślali niestworzone historie, ale żadna z nich nie okazała się prawdziwa. Jimmy nie został wciągnięty do samochodu. Nie został porwany i usynowiony.

Zmieniła kanał. Patsy Baker, piegowata prezenterka wiadomości, którą Ava darzyła sympatią, właśnie mówiła o Jimmym. Ava nie widziała jej na miejscu, ale dziennikarka orientowała się w sytuacji. Rozmawiała z policjantem, którego Ava nie знаła. Mężczyzna sprawiał wrażenie zaniepokojonego i niechętnie odpowiadał na pytania. Gdy dziennikarka spytała go o to, dlaczego nikt nie zajrzał do schronu zaraz po zaginięciu Jimmy'ego, odparł z westchnieniem:

- Nikt nam o nim nie powiedział. Myśli pani, że nie sprawdzilibyśmy, gdybyśmy wiedzieli o jego istnieniu? -Podkreślił, że w przypadku zaginięcia dzieci najważniejsze są pierwsze dwadzieścia cztery godziny. - Należy działać bardzo szybko.

Patsy poważnie skinęła głową. Policjant dodał, że niektórzy ludzie uważają, że detektyw Hank Maroni sfuszerował sprawę, idąc na skróty, bo wolał pracować w bogatszej okolicy. Kilka lat temu zwolniono go za fałszowanie dowodów w innej sprawie. Wkrótce potem zmarł na atak serca, przekonany, że zrobiono z niego kozła ofiarnego.

Ava westchnęła, a Patsy zaczęła opowiadać, że przesłuchano kilku dawnych podejrzanych. Ava ucieszyła się, że ją to ominęło. Zastanawiała się, czy skontaktowano się z Jakiem albo z innymi mężczyznami, z którymi dawniej się spotykała. I czy znów zaczną do niej wydzwaniać. Następ-

nie Patsy poinformowała, że wezwano Boba Gallaghery, aby go przesłuchać. Domagał się zastosowania wykrywacza kłamstw. Policjanci wypożyczyli urządzenie z Bostonu.

- Mamy taśmę z nagraną rozmową - oznajmiła Patsy.

Na ekranie pojawił się Bob ze ściągniętą twarzą i zmarszczonym czołem. Upierał się, że zapomniał o schronie, że zaczął go budować, gdy jego syn był niemowlęciem, i że nigdy nie zakończył budowy. Zarzucił ją i pozwolił, by wszystko niszczało. Był przekonany, że o schronie nie wie nikt prócz niego.

Ava przyglądała mu się bacznie, nie chcąc uronić prawdy, która mogła się kryć w jego słowach. Bob mówił i mówił, ujawniając więcej niż to, o co go pytano.

- Bałem się komunistów - powiedział.

Przeczytał broszurę pod tytułem *Czy to już jutro: Ameryka owdzięta komunizmem!* Ilekroć spojrział na okładkę, przedstawiającą ludzi uciekających przed atakiem nuklearnym, odczuwał skrajne przerażenie. Największą grozę budził w nim widok traktujących się wzajemnie sąsiadów.

Zakupił plany, aby wybudować schron przeciwoatomowy ale nikomu o tym nie powiedział, bo bał się, że w razie ataku nuklearnego sąsiedzi zbiegną się tam, zagrażając bezpieczeństwu jego rodziny. Schron był za mały. Nie powiedział nawet własnej żonie, bo zdawał sobie sprawę, że ma miękkie serce i nikomu nie odmówi. Nie powiedział także synowi, bo zechciałby się tam bawić, a poza tym wygadałby innym dzieciom. W tajemnicy wymykał się o trzeciej rano, gdy żona i syn spali. Jego podwórko było osłonięte wysokimi drzewami i ogrodzeniem. Nikt nie zauważył, co się dzieje i nikogo nie obudziły hałasy. Pracował przy latarce, ukryty w zaroślach i pod osłoną nocy. Za dnia wrzeszczał, ilekroć ktoś chciał przejść przez jego trawnik, i z czasem ludzie nauczyli się, by tego nie robić. Czasami, spacerując po podwórku, odczuwał pociechę na myśl, że dzięki schronowi uratuje życie żonie i synowi.

A potem, pewnego dnia, podczas wizyty u dentysty,

przeczytał w czasopiśmie artykuł naukowca, który zapewniał, że taki schron to za mało, by uchronić przed atakiem nuklearnym. Ludzie, którzy wierzą w jego skuteczność, stali się pośmiewiskiem. Bob bardzo się zawstydził. Im więcej czytał, tym bardziej zgadzał się z autorem i tym większe odczuwał zakłopotanie. Zrozumiał, że został oszukany i nie pozostaje mu nic innego, jak zabezpieczyć schron i o nim zapomnieć. Nikt nie może się dowiedzieć, że zrobił z siebie głupka. Ani żona, ani syn, ani sąsiedzi. Znajdzie jakiś inny sposób, by chronić rodzinę.

Patsy Baker poważnie spojrzała na widzów.

- Pewnego słonecznego dnia, gdy większość sąsiadów brała udział w kościelnym festynie dobroczynnym, miejscowy chłopiec został pogrzebany w ukrytym pod zaroślami schronie. Jego matka umarła, nie zaznawszy spokoju, nie dowiedziawszy się, co spotkało jej jedyne syna.

Ava wstała. Nie wiedziała, że Dot nie żyje. Miała ochotę potrząsnąć Patsy, powiedzieć jej, żeby zamilkła. Po policzkach Avy płynęły łzy, ale musiała patrzeć i słuchać. Chętnie porozmawiałaby z Bobem, gdyby pojawił się w sąsiedztwie.

- Wejźmy do środka - powiedziała dziennikarka.

Na ekranie pojawił się film. Ava zastanawiała się, kiedy ekipa telewizji go nakręciła. Dlaczego policjanci się na to zgodzili? Otworzono metalowy okrągły wjazd. Ukazało się wnętrze schronu. Na ziemi leżała zardzewiała drabina, która odpadła od ściany.

- Chłopiec musiał spaść, bo noga w kostce jest złamana - rzekła Patsy.

Kamera pokazała dwie puste szklane butelki po wodzie, a potem latarkę z zużytymi bateriami, dwie puszki po tuńczyku i zardzewiały otwieracz do konserw. Przy ścianie stało oparte o nią zardzewiałe łóżko polowe, po którym Jimmy prawdopodobnie chciał się wspiąć jak po drabinie.

- Ocenia się, że przeżył tydzień - dalej informowała Patsy.

W schronie nie było książek, telefonu ani okna. Tylko grube ściany, przez które nie mogło się wydostać wołanie Jimmy'ego. Chłopiec udusił się, bo zapieczętowany przewód wentylacyjny nie dopuszczał powietrza.

- Gdyby o istnieniu schronu wiedziało więcej osób, gdyby śledztwo prowadzone było bardziej wnikliwie, być może zapobieżono by tragedii - zakończyła swoją relację dziennikarka.

Ava otarła łzy i wyłączyła odbiornik. Pomyślała o tym, jak Jimmy stawał na jej progu, jakby wiedząc, że jest tam mile widziany. Uzmysłowała sobie, że wciąż miała nadzieję, że go zobaczy. Czekwała, że ni stąd, ni zowąd się pojawi. Oczyma wyobraźni widziała go jako dwudziestolatka, takiego jak Lewis. Wyobrażała sobie, że będzie wysoki i przystojny, i bardzo dorosły. „Pamiętam cię” - powiedziałby jej, a ona odparłaby: „Ja ciebie także”. Zabrałaby go na kawę, szczyjąc się nim, dużym, mocnym, przystojnym chłopakiem. Wypytałaby go o dziewczyny, z którymi się spotyka, które są w nim zakochane. Tak sobie wyobrażała.

„Nieszczęsna Dot” - pomyślała. „I, dobry Boże, ta mała słodka Rose”. Już osiem lat nie miała od nich żadnej wiadomości. Nikt nie miał. Policja pewnie skontaktowała się z Rose. Może to lepiej, że Dot już nie żyje? Bo czyż matka zniosłaby taką wiadomość? Dobrze przynajmniej, że Lewis żyje, że ma pracę i że sprawia wrażenie szczęśliwego, albo tak tylko udaje, gdy z nią rozmawia przez telefon.

Przecież równie dobrze to on mógł znaleźć się w tym schronie.

Ava jeszcze raz spróbowała skontaktować się z synem. Sygnał rozbrzmiał trzy razy i Lewis wreszcie podniósł słuchawkę.

- Lewis? Muszę ci coś powiedzieć. - Przez cały czas, gdy mówiła, nie odezwał się ani słowem. Nie słyszała nawet jego oddechu, co ją zdenerwowało. - Jesteś tam? - spytała.

- Nie rozumiem - powiedział. - To nie może być prawda.

- Ale jest. Policja twierdzi, że stan uzębienia zgadza się z kartą leczenia stomatologicznego. No i tenisówki.

- Jimmy nie zbliżyłby się do schronu przeciwoatomowego.

Ava zamarła.

- Wiedziałeś, że tam był schron? Skąd wiedziałeś?

- Znaleźliśmy go kiedyś i weszliśmy do środka. Ale nikt z nas nie wszedłby tam po raz drugi. To było zbyt przerażające.

- Co? Byliście w środku? Dlaczego nic o tym nie wiedziałam?

- Nie wiem, mam... Byłem dzieckiem, nie mówiłem ci wszystkiego.

- Ale dlaczego nie powiedzieliście o schronie policji?

- Nigdy, przenigdy, nie przyszło nam do głowy, że Jimmy może tam być.

Ava się zawahała.

- Chcesz przyjechać do domu? - Usłyszała szmery na drugim końcu linii. - Mam pracę, mam. Nie mogę ot tak wyjechać - powiedział głosem pełnym smutku. Odłożył słuchawkę.

Ava przez chwilę słuchała sygnału.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na dwa tygodnie przedtem, nim Rose usłyszała o bracie, stała pośrodku placu zabaw, pilnując uczniów trzeciej klasy, którzy uganiali się za czwartoklasistami. Chociaż zaczął się kwiecień, nadal było zimno, i z każdym oddechem Rose z jej ust ulatywały obłoczki pary. Schowała dłonie w rękawach płaszcza i postawiła kołnierz. Starła się skupić na dzieciach, pilnować, by nie okładały się pięściami i nie drażniły nawzajem, ale wiatr zwiewał jej włosy na twarz, a oczy łzawiły. Rose miała teraz dwadzieścia trzy lata, uczyła niecały rok i nie znosiła opiekowania się dwoma klasami naraz. Na domiar złego tego dnia dzieci w ogóle jej nie słuchały. Rose dygotała, ciaśniej otulała się płaszczem, żałując, że nie włożyła swetra. Dzieciaki biegały jak oszalałe, upiornie wrzeszcząc. Gdy któreś z nich zniknęło z jej pola widzenia lub pojawiało się tam, gdzie się go nie spodziewała, Rose ścisnęło się serce.

Zazwyczaj dzieci były pilnowane przez dwie nauczycielki. Było im różnie i mogły porozmawiać. Rose lubiła swoje koleżanki, a w każdym razie większość ich. Gdy zaczęła pracować w szkole, inna nauczycielka trzeciej klasy, Emily, objęła ją ramieniem i powiedziała: „Biorę cię pod swoje skrzydła”. I tak się stało. Emily nie tylko pomagała Rose zestawiać plany lekcji, ale zabierała ją na piątkowe wieczorki przy pizzy.

Rose żałowała, że Emily nie jest z nią teraz na placu zabaw. Czasami zabierały ze sobą termos z gorącą kawą z mlekiem, która rozgrzewała je od środka. Ale teraz nastał okres grypowy i połowa nauczycielek, łącznie z Emily, przebywała na zwolnieniu. Trzeba je było zastępować. Dlatego dzieci, które wyszły na przerwę, pilnowała tylko jedna osoba. Dziś jednak Rose nie powinna być sama.

Odgarnęła niesforne włosy z twarzy i nieudolnie usiłowała zapleść je w warkocz. Spojrzała na dzieci biegające na skraju placu zabaw. Coś tam było nie w porządku. Chłopiec w za dużej kurtce z wielbłądziej wełny podbiegł do rozłożystego klonu, na który dzieci lubiły się wspinać.

- Bobby! - zawołała, ale powiew wiatru zagłuszył jej słowa. Zamachała rękami i chłopiec to zauważył. Powłócząc nogami, wrócił do reszty dzieci.

Rose nie lubiła drzew i zarośli. Nie rozumiała, dlaczego szkołę usytuowano tak blisko lasu i nawet go nie odgrodzono. Tutejszy las był rozległy, gęsty, pełen drzew i zarośli, które mogły skrywać rozmaite niebezpieczeństwa. Dyrektor szkoły nie zgodził się z nią, gdy poradziła, by postawić płot.

- Nie mamy na to pieniędzy - powiedział. - Czego się obawiasz? - dodał.

Powtarzała sobie, że teraz jest w Ann Arbor, daleko od Waltham. Że na szkolnym boisku nic dzieciom nie zagraża. Nikt prócz niej nie odczuwał niepokoju. Rose mieszkała przy East William Street, w małym mieszkaniu w dużym białym domu, w otoczeniu studentów i rodzin. Jeśli zdarzały się jakieś przestępstwa, to najczęściej drobne włamania. Czasem dochodziło do stłuczek, gdy ktoś prowadził auto po pijanemu. Miesiąc temu zatrzymano grupę młodzieży, która włamywała się do domów, ale nigdy niczego nie ukradła. Młodzi ludzie dla kawału przestawiali meble, przenosili fotel do kuchni, stół kuchenny przewracali do góry nogami. Robili sobie kanapki, pozostawiając okruchy, zużywając luksusową musztardę. Gdy ich zatrzyma-



no, jeden z nich powiedział: „Bo tak się nam podoba”. Rose bardzo się tym zirytowała. Odtąd spodziewała się najgorszego.

Spojrzała na las. Czaiło się tam *to* uczucie. Jakby znów miała trzynaście lat. Jakby połknęła lód. Jakby wiedziała, że coś się stanie. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a powracała woń lasu owego dnia, gdy zaginął Jimmy. Pamiętała szelest liści pod stopami, słyszała oddech Lewisa. Czuła na sobie wzrok sąsiadów, którzy patrzyli tak, jakby ją obwiniali lub podejrzewali, że coś przed nimi ukrywa.

Zebrała poły płaszcza. Pod spodem miała cienką sukienkę ze sztucznego jedwabiu; jeszcze jeden elegancki ciuch ze sklepu z używaną odzieżą. Dzieci były zdania, że Rose ubiera się dziwacznie.

- Dlaczego ubiera się pani tak niemodnie? - spytała ją jedna z uczennic, mała dziewczynka w szalowych białych botkach. Rose tylko się roześmiała. Wiedziała, że dla uczniów jest tajemniczą osobą, która ukrywa jakiś posępny sekret. Gdy mówiła im o aktualnych wydarzeniach, zadawali jej osobiste i dziwne pytania. Jeden chłopiec zapytał, czy w jej żyłach płynie murzyńska krew. Mała nieśmiała dziewczynka chciała się dowiedzieć, czy Rose jest Wietnamką. Osłupiała Rose szybko przeprowadziła z nimi lekcję na temat tolerancji. Wiedziała jednak, że ludzie i tak będą wierzyć w to, w co zechcą.

Spojrzała na zegarek. Do końca przerwy zostało jeszcze pięć minut, ale ona już miała dość. Zadeła w zawieszony na szyi gwizdek. Wszystkie dzieci rzuciły się pędem w jej kierunku. Rose wciąż nie mogła uwierzyć, że jest za nie odpowiedzialna, że one mają do niej zaufanie i że zazwyczaj są posłuszne. Dziwiła się, gdy rodzice prosili ją o radę, a potem słuchali, jakby posiadała klucz do serc ich dzieci. Wiedziała, co komu doradzić: dziecku należy poświęcić w domu więcej uwagi, dziecko zasypia na lekcjach, więc należy sprawdzić, czemu nie wysypia się nocami. Rodzice kiwali głowami, słuchając skwapliwie, by nie uronić ani słowa, za-

pisywali sobie jej rady a potem wychwalali Rose przed dyrektorem, który dał jej podwyżkę i poklepując po ramieniu, powiedział:

- Pracuje pani sumiennie niż wszystkie inne nauczycielki.

A ona nie mogła mu przecież wyjaśnić, że jest taka oddana pracy, bo nie ma nic poza nią.

Rose ustawiła dzieci w coś, co przypominało kolumnę, i pilnowała, gdy wracały do budynku. Poszturchiwały się wzajemnie, gadały i wrzeszczały, ale wszystkie weszły do środka. Zanim ruszyła za nimi, obeszła plac zabaw, aby się upewnić, że nikt się nie zgubił.

Gdy przeniosły się z matką do Pittsburgha, Rose nie spodobało się to miejsce. Miasto było brudne i szare. Powietrze miało metaliczną woń. Poprosiła matkę, żeby kupiła jej duże wiklinowe pudło. Skłamała, że jest jej potrzebne na dokumenty szkolne, a przechowywała w nim wszystko, co zostało po Jimmym: starą koszulkę, portfel i notatniki, w których o nim pisała. Uważała się za kronikarza rodzinnego, który wszystko uwiecznia. Co wieczór, gdy matka i ciotka Hope zasnęły, wyciągała pudło spod łóżka i dotykała wszystkich przedmiotów, jakby to były talizmany.

Życie u ciotki Hope okazało się uciążliwsze, niż się spodziewała. Ciotka miała końską twarz i nosiła ortopedyczne obuwie, które dudniło o podłogę. Nieustannie czegoś chciała od Rose: żeby nakryła do stołu, pomogła składać wyprane ubrania, żeby przestała być taka bezczelna, nawet wtedy, gdy Rose się nie odzywała. Rose miała własny pokój, ale był bardzo mały, z oknem, którego nie można było otworzyć. Dziewczynka tęskniła za dawnym domem, za pokojem, z którego widać okno Lewisa, za miękkim dywanem zamiast twardej drewnianej podłogi.

Matka zdjęła z palca obrączkę i włożyła ją do szuflady. Przestała wspominać męża i nigdy nie mówiła o Jimmym. Gdy sąsiedzi pytali ją, ile ma dzieci, odpowiadała:

- Jedno.

Kilka dni po przyjeździe Dot ubrała się w nowiutką czerwoną sukienkę i pojechała autobusem do centrum. Wróciła zarumieniona z przewiązanym czerwoną wstążką pudełkiem ciastek.

- Zgadnijcie, kto jest nową kasjerką w supermarkecie -powiedziała.

Nie zarabiała wiele, ale stać je było na wynajem własnego mieszkania przy Howe Street. Było małe i z jedną sypialnią. Przy drzwiach wejściowych do budynku stał pozłacany lew. Dom nazywano Lwia Głowa, chociaż był to tylko blok z lichymi mieszkaniami. Podłogę klatki schodowej pokrywała szara wykładzina, a w poprzek sufitu umieszczono belki imitujące drewno.

Gdy tylko się tam wprowadziły, Rose nie mogła się doczekać, kiedy napisze do Lewisa. Otworzyła notatnik z Jim-mym Stewartem na okładce, który był już do połowy wypełniony listami do Lewisa. Usiadła przy biurku w swoim pokoju i otworzyła na czystej stronie.

***Drogi Lewisie.***

I nie wiedziała, co napisać dalej. Tam, w Waltham, było inaczej. A teraz tutaj, w obcym miejscu, nie widząc jego twarzy, nie miała pojęcia, co Lewis myśli. ***Tęsknię za Tobą*** -napisała, ale to za mało. Odsunęła notatnik, postanowiwszy, że dokończy list później. Leżąc w łóżku, zaczęła rozmyślać. Może znajdzie tu nowe koleżanki? Może nawet będzie miała przyjaciółkę? Czy Lewis nadal poszukuje Jimmy'ego? Lewis był najlepszym przyjacielem Jimmy'ego, ale nie był jego bratem. Czy Lewis wciąż o nim pamięta?

Co z oczu, to z serca - tak zawsze mawiała matka. Ilekroć spojrzała w lustro, widziała w swojej twarzy Jimmy'ego. Ilekroć matka spoglądała w przestrzeń, Rose wiedziała, o czym myśli. Wiedziała również, że w pewnym sensie jest odpowiedzialna za smutek matki. Ale Lewis został sam. Czy z tego powodu bardziej brak mu Jimmy'ego?

***Drogi Lewisie*** - zaczęła od nowa.

Kochała jego ciemne włosy, zielone niczym szkło butelki płamki na tęczówce jednego oka. Inne dziewczyny z pewnością widzą, jak bardzo jest przystojny. Potrzebne mu są dziewczyny, które nie ucierpiały tak jak Rose, dziewczyny, które nie utraciły części siebie. Patrząc na nie, nie będzie myślał o strasznym nieszczęściu, które go spotkało.

Nagle poczuła, że nie ma o czym pisać. Przecież nie o tym, jak nieszczęśliwa jest jej matka. Jak ma mu opowiedzieć, jakie jest jej obecne życie? Ma teraz czternaście lat, chodzi do dziewiątej klasy w nowej szkole. Wszystkie dziewczyny są zżyte i nie zwracają na nią uwagi. Gdy po raz pierwszy weszła do klasy z obciętymi na krótko włosami, dziewczęta z puszystymi fryzurami parsknęły śmiechem. „Ładna fryzurka” - naigrywały się z Rose. Gdy na korytarzu spytała jednego z uczniów, co jest zadane z matematyki, dwoje młodszych dzieci celowo ją potrąciło, przez co upuściła zeszyt i pióro. Schyliła się, by je pozbierać. A gdy się wyprostowała, chłopca już nie było.

„Niedojda. Dziwaczka” - mówiono o niej. Ze też matka uparła się, by się tu przeprowadzić! Gdy koleżanki z klasy po raz pierwszy zaprosiły ją, by w bufecie usiadła z nimi przy jednym stole, była tak uszczęśliwiona i wdzięczna, że omal się nie rozpląkała. Usiadła, słuchając, jak dziewczyny rozprawiają o makijażu i chłopakach, z którymi chciałyby chodzić.

- Zawsze jesteś smutna - powiedziała jedna z nich. Wszystkie dziewczyny spojrzały na Rose.

- Mój brat zaginął - wyjaśniła Rose.

Nastąpiło milczenie. Rose słyszała, jak jej sąsiadka żuje gumę. Wtedy jedna z dziewczyn wyszukała w kosmetyczce złocistą tubkę z pomadką do ust, otworzyła ją i wykręciła sztyft.

- Będzie ci ładnie z białymi ustami - powiedziała, podając ją Rose. - Ściągnij wargi, jakbyś chciała kogoś pocałować, i pomaluj je. - Rose się umalowała.

Wielokrotnie usiłowała napisać do Lewisa, ale wciąż

dręczyły ją wątpliwości. Wstydziła się. Powoli zapomniała, jak brzmiał jego głos. Jaki właściwie jest kolor jego włosów. Może to znak. Może wcale nie mają być razem. Wyobraziła sobie Lewisa z dziewczyną, pochylającego się, by po raz pierwszy ją pocałować. Na myśl, że to nie ona, Rose zgmiotła zaczęty list. Jednak chciała, żeby ją odnalazł. Wygładziła kartkę. Napisała o tym dniu, gdy byli razem w lesie, i że teraz boi się lasu. Że bardzo chce, by do niej napisał. Włożyła list do koperty i zalepiła ją.

- Czy możesz go wrzucić do skrzynki? - spytała matkę. Matka zerknęła na adres i zmarszczyła brwi.

- Dziewczynom nie uchodzi uganiać się za chłopakami. Gdyby Lewis chciał do ciebie napisać, już by to zrobił.

- To mój przyjaciel - odparła Rose drżącymi wargami.

- Był. To **był** twój przyjaciel.

- Poprosił, żebym do niego napisała - powiedziała Rose ze ściśniętym gardłem.

- Jesteś samowolna. Nie słuchasz mnie. Nigdy mnie nie słuchałaś - ofuknęła ją Dot, patrząc, jak Rose kładzie list na stosie korespondencji.

Od tamtej pory Rose co tydzień pisywała listy do Lewisa. Opowiedziała mu o szarości pokrytego sadzą Pittsburgha, gdzie jedynym miejscem, jakie lubi, jest Schenley Park. Poinformowała, że nadal przechowuje mapę Jimmy'ego, dzięki czemu czuje się raźniej, bo to jedyna rzecz, na której zależało bratu. Pytała, czy w okolicy dzieje się coś ciekawego. Czy sąsiedzi nadal poszukują Jimmy'ego? Czy poszukuje go Lewis? „Odpisz mi” - prosiła i wskazywała strzałką na swój adres wyraźnie wypisany drukowanymi literami. Pisała niestrudzenie. A Lewis nie odpowiadał.

Rose ukończyła szkołę średnią. Przestała pisywać do Lewisa, tłumacząc sobie, że był częścią dzieciństwa, z którego wyrosła. Zmusiła się, by nie szukać jego listów w korespon-

dencji, którą wrzucano przez szczelinę w drzwiach, by nie ekscytować się na dźwięk dzwonka u drzwi lub sygnału telefonu. W ostatniej klasie, gdy należało składać podania na uczelnie, nie wiedziała, czym chciałaby się zajmować. Zastanawiała się, jaki kierunek wybrałby Jimmy. Interesowało go tak wiele rzeczy: mapy, skały, owady. Gdy byli mali, często bawili się w szkołę. Jimmy stawał przed przenośną tablicą. To on odgrywał rolę nauczyciela, chociaż Rose była od niego starsza. W końcu postanowiła, że zostanie nauczycielką, nie tylko dlatego, że ten zawód mógł wybrać Jimmy. Po prostu lubiła zajmować się dziećmi, patrzeć, jak rosną. Otrzymała stypendium od University of Pittsburgh na specjalny czteroletni program, gdzie w jednym roku miała otrzymać świadectwo ukończenia studiów i dyplom nauczycielski. Mieszkała w domu. Powiedziała matce, że z oszczędności, ale w istocie bała się o nią. Dot miała opuchniętą twarz i obwisłą szczękę. Poruszała się powoli i ostrożnie. Straciła apetyt i często zamiast jeść, tylko rozgrzebywała jedzenie widelcem.

- Coś ci dolega? - spytała ją Rose pewnego wieczoru. Matka tylko machnęła ręką.

- Po prostu muszę się położyć - odparła.

Dot rozciągnęła się na kanapie i zasnęła tak głęboko, że Rose się zaniepokoiła. Przespałaby tak całą noc, ale Rose potrząsnęła nią, chcąc sprawdzić, czy matka żyje. Dot usiadła, mrużąc oczy. Ujęła twarz Rose w dłoń.

- Nic mi nie jest, kochanie - powiedziała. - Tylko jestem zmęczona.

Po studiach Rose nie mogła znaleźć pracy na miejscu.

- Mogę robić coś innego - powiedziała, ale matka była niewzruszona.

- Absolutnie nie. Poradzę sobie sama, a ty dasz sobie radę z dala od domu.

Rose podjęła więc pracę w Ann Arbor, w stanie Michigan, gdzie uczyła trzecią klasę w Whittemore School.

Gdy tylko mogła, przyjeżdżała do Pittsburgha w odwiedziny do matki. Najczęściej podczas ferii i letnich wakacji. Kiedyś, podczas świąt Bożego Narodzenia, przywiozła matce wycinki z gazet. Pewien detektyw odnalazł zaginione dziecko po sześciu latach!

- Nie można tracić nadziei - powiedziała, ale matka odsunęła wycinki i zmieniła temat rozmowy.

- Spotykasz się z kimś miłym? - spytała, a gdy Rose westchnęła, Dot oznajmiła, że boli ją głowa. Zwilżyła ręcznik, poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Rose została w salonie, podparła głowę rękami i czekała, aż matka zaśnie. Wyjeżdżając z domu dwa dni później, wymogła na matce obietnicę, że pójdzie do lekarza.

Ale zamiast pójść do lekarza, Dot zaczęła robić wszystko to, do czego zawsze namawiała Rose. Zapisła się na zajęcia z jogi i na kurs malarstwa. Wysłała córce swoje zdjęcie, na którym widać było, jak siedzi w pozycji lotosu. „Zrzuciłam pięć kilogramów!” - nabazgrała pod zdjęciem. Posyłała Rose oprawione akwarele, przedstawiające drzewo na podwórku. Wstąpiła do klubu książki i posyłała Rose wszystko, co przeczytała. Mocno zniszczone książki z makulatury, z wypadającymi kartkami. Rose ich nie czytała. Nie dlatego, że nie lubiła czytać. Po prostu niemiła jej była myśl, że miałyby czytać to samo, co matka. Dot dostała trzy podwyżki w ciągu trzech miesięcy. Wciąż przysyłała Rose fotografie, pokazujące, że zaczęła nowe życie. „Żyję pełnią życia! Szkoda, że Cię tu nie ma” - napisała kiedyś.

Ale zdarzało się, że Dot wpadała ze skrajności w skrajność. W rocznicę zaginięcia Jimmy'go zatelefonowała do Rose o drugiej w nocy.

- Muszę stąd wyjechać - oznajmiła ochryplym ze smutku głosem.
- Więc przyjedź do mnie - zaproponowała Rose.
- Ty pójdiesz do pracy, a co ja będę robić? - spytała Dot.
- Możesz czytać. Możesz siedzieć w moim mieszkaniu

albo przyjść do szkoły i poczytać dzieciom. Będiesz naszym specjalnym gościem. Poza tym ja nie pracuję cały dzień. Kończę o trzeciej po południu. Proszę, chciałabym cię zobaczyć.

- Po prostu chciałam usłyszeć twój głos - odparła Dot ze znużeniem.

Rose usiłowała rozweselić matkę, opowiadając o trzecioklasiście, który przez dwa dni trzymał pod ławką żywą mysz. Inny uczeń przyniósł z kolei prezent dla niej. Jak się później okazało, były to perły jego matki.

- Już mi lepiej, możesz iść do pracy - powiedziała Dot, wzdychając.

Matka Rose umarła w wieku czterdziestu siedmiu lat. Tego dnia rano zatelefonowała do córki. Była bardzo przejęta, bo wybierała się na randkę, co zdumiało Rose, ponieważ matka od dłuższego czasu w ogóle nie zwracała uwagi na mężczyzn.

- Dlaczego dopiero teraz? - spytała.

- Kto wie? - odparła Dot. - Może to właśnie najodpowiedniejsza chwila. On jest mądry, dużo czyta i jest samotny.

Opowiedziała Rose, że poszła na degustację win, chociaż zazwyczaj nie pija wina ani innych alkoholi. Wyznała, że chociaż bardzo się starała, wszystkie roczniki miały dla niej ten sam smak. Że nie potrafiła odróżnić wiśni od pomarańczy czy czegokolwiek innego, co się tam czai. W końcu się wstawiła, więc kiedy wychodziła, zaczęła się zataczać. Wtedy on chwycił ją za rękę.

- Ma na imię Tim - powiedziała. - Jest ślusarzem. Odprowadził ją do taksówki. Poprosił o numer telefonu.

Gdy zadzwonił wieczorem, powiedziała, że nie czuje się dobrze, a on tak się zaniepokoił, że przyszedł do niej. Gdy mu nie otwierała, wyważył drzwi i znalazł ją zemdloną na podłodze.

- Zemdląłeś? - przerwała jej Rose. - Jak się czujesz?

- Nie chodzi o to, że zemdląłam - łagodnie sprostowała



Dot. - Istotne jest to, że przyszedł sprawdzić, jak się czuję. Że wyważył drzwi, żeby się upewnić.

- Jak się czujesz? Powinnaś pójść do lekarza. - Rose z trudem przełknęła ślinę. - Powinnaś przyjechać do mnie.

- Rose - powiedziała Dot. - Idziemy dziś na kolołąę. Zabiera mnie do Nino. Zaraz wychodzę do Kaufmanna, żeby kupić sobie sukienkę.

- No a co z tym omdleniem?

- A co z sukienką? - odpowiedziała matka pytaniem. -Pamiętasz, jak lubiłam kupować u Kaufmanna.

Dot przymierzała suknie i osunęła się na podłogę w przymierzami. Sprzedawczyni znalazła ją dopiero po półgodzinie. Dot wyglądała jak pogrążona we śnie. Miała na sobie bardzo kosztowną jedwabną suknię w zielony wzór kwiatowy. Minęło drugie pół godziny, nim przybył lekarz, który stwierdził zgon z powodu ataku serca. Do Rose zatelefonował poliç'ant. Głosem pełnym współczucia podał wszystkie szczegóły. Rose przycisnęła słuchawkę do czoła i rozplakała się na myśl o tym, że teraz została na świecie zupełnie sama. Nie mogła powiadomić przyjaciela matki, bo nie znała jego nazwiska.

Tęsknota za matką nawiedzała ją o najrozmaitszych porach. Gdy tłumaczyła przy tablicy, co to są ułamki, przypominała sobie, jak matka pomagała jej i Jimmy'emu odrabiać lekcje. Kiedyś, aby wyjaśnić, na czym polega dzielenie, rozerwała naszyjnik z plastikowych koralików, które były ze sobą połączone za pomocą wciskanych w otworki wypustek. Innym razem, przechodząc przez Diag\*, zobaczyła oczyma wyobraźni, jak szły razem i matka przystawała, żeby poprawić jej włosy, żeby ją przytulić. Poruszona weszła do Angell Hall\*\*, aby popłakać w spokoju w jednej z toalet. Gdy zamknęła za sobą drzwi, zobaczyła, że ściany

**\* Diag - rozległa odkryta przestrzeń w centrum uniwersyteckiego kampusu w Ann Arbor.**

**\*\* Angell Hall - budynek na terenie University of Michigan.**

pokryte są napisami wykonanymi czerwonym i zielonym atramentem. Zupełnie jak listy do Dear Abby\*. ***Jak poznać, że mam orgazm? Dlaczego mój chłopak już mnie nie kocha? Ratunku! Ściągałam na egzaminie i muszę się dowiedzieć, czy profesor się zorientował!*** Odpowiedzi widniały nad drzwiami i na bocznych ścianach. Rose poszukała wolnego miejsca. Wyjęła pióro i napisała: ***Moja matka umarła, mój brat zaginął, chłopiec, którego kochałam, odszedł. Czuję się zagubiona.*** Po czym wyszła.

Wróciła tam po tygodniu. Weszła do kabiny i zamknęła drzwi. Znalazła na nich kilka odpowiedzi. ***Wiem, co czujesz. Czas leczy rany.*** Ktoś zostawił numer telefonu detektywa, z notatką: ***Zadzwoń! Jest świetny. Odnalazł mego psa.*** Ktoś inny napisał: ***Daj mi znać, jak się czujesz. Wszyscy przeżywamy ciężkie chwile.*** Rose oparła głowę o ścianę, jakby słuchała szeptów przyjaciółek.

Tęskniła za matką, za Jimmym i za Lewisem, zwykle w najdziwniejszych okolicznościach, gdy wspomnienia kąsały niczym moskity. Czasami chodziła do toalety pytań i odpowiedzi, o której, jak to odkryła, wiedzieli chyba wszyscy.

- Ach, ta wyrocznia - powiedziała ze śmiechem znajoma, z którą Rose czasami pijała kawę. - Wszystkie z niej czasem korzystamy. Nie zapytam, o co pytałaś, jeśli ty mnie o to nie zapytasz - dodała konspiracyjnie.

Rose wciąż tam wracała, żeby przeczytać odpowiedzi i zadać nowe pytania. Czuli się lepiej, wiedząc, że nie tylko jej jednej grunt osuwa się pod nogami, że istnieją odpowiedzi na jej pytania oraz nadzieja. Co kilka tygodni wszystkie napisy zmywała sprzątaczką, co niezmiennie napawało Rose poczuciem straty. Ale zawsze pojawiały się nowe.

**\* Pauline Esther Phillips (1918-2013) - dziennikarka. Począwszy od 1956 r. prowadziła popularną rubrykę w gazecie oraz program radiowy, w których odpowiadała na listy zaczynające się od słów „Dear Abby”.**

Starła się zbliżyć do ludzi. Oczywiście miała koleżanki. Co czwartek chodziły razem na kolację, a potem do kina. Spotykała się z facetem o imieniu Ted, ale popełniła błąd, opowiadając mu o Jimmym. Ted wysłuchał jej i powiedział:

- Cóż, to było dawno temu.

Zabawne, każdego mężczyznę, z którym się spotykała, porównywała do Lewisa, chociaż nie miała pojęcia, jakim stał się mężczyzną i jakim byłby kochankiem. Tamtego dnia w lesie pragnęła go pocałować, wyobrażając sobie jego miękkie usta na jej wargach. Nie odważyła się jednak. Była wtedy taka młoda! Wydawało jej się, że Lewis jest jej całym światem.

Dzień pracy dobiegał końca. Ostatnio Rose prowadziła lekcje na temat wyścigu o podbój przestrzeni kosmicznej. Dzieci były bardzo poruszone. Umieściła na tablicach korkowych zdjęcia z czasopism „Life” i „Look”. Przyniosła napój w proszku tang, który astronauta zabrali z sobą w kosmos. Okazało się, że nikomu z uczniów ani Rose, nie zasmakował. Tego dnia dzieci pisały listy do Neila Armstronga. Rose obiecała, że je wyśle. Zdawało jej się, że odniosła sukces. Jeden z uczniów oznajmił jej jednak, że jego tata uważa to wszystko za lipę, bo w kosmos nie da się polecieć.

- To nie jest lipa - powiedziała Rose spokojnie. Josephine, najmądrzejsza i najbardziej wrażliwa dziewczynka w klasie, wybuchnęła płaczem.

- A jeśli Rosjanie pierwsi wylądują na Księżycu? - pytała, zanosząc się łkaniem. - Czy nadal będzie go widać w nocy?

- Nikt nie może ściągnąć Księżyca z nieba - zapewniła ją Rose. - Nawet Rosjanie.

Klasnęła w dłonie, by dzieci odłożyły rzeczy, przeliczyła je i odprawiła do domu.

- Zobaczymy się jutro! - zawołała.

Wróciła do swojego małego mieszkania i szykowała się na spotkanie z najnowszym chłopakiem, Bradym. Umówili

się w ich ulubionej lodziarni o nazwie We Ali Scream. Spotykali się od pół roku. Brady uczył szóstą klasę. Od razu jej się spodobał. Miał czarne, gęste i grube jak sierść bobra włosy, figlarny uśmiech i hopla na punkcie botaniki. Zabierał dzieci na wycieczki. Pomagał im szukać kwiatów orchidei o nazwie „obuwik” i rozróżniać gatunki klonów na podstawie kształtu ich liści. Przyjaciółka Rose, Emily, przyprowadziła go kiedyś do jej klasy, by go jej przedstawić. Gdy wyszedł, Emily dała jej kuksańca.

- Założę się, że przypadliście sobie do gustu - powiedziała.

Nauczyciele nie powinni się spotykać, a gdy się już spotykali, trzymali to w tajemnicy, czasami nawet nie pozdrawiając się na korytarzu.

Brady był w wieku Rose. Wszyscy uczniowie go lubili. Nauczycielki skupiały się wokół niego w pokoju nauczycielskim. Rose patrzyła, jak swobodnie z nim flirtowały, jak znajdowały pretekst, by wejść do jego klasy i podarować mu zszywacz do papieru lub poczęstować go domowym ciastem. Rose obserwowała Brady'ego kątem oka, gdy przyjmował poczęstunki i śmiał się, przerzuciwszy rękę przez oparcie krzesła. Zanim zaczął się z nią spotykać, zawsze wiedziała, czy Brady chodzi na randki z którąś z nauczycielek. Łatwo to było poznać po sposobie, w jaki odrywał dla swej pani winogrono z kiści. Wiedziała również, kiedy związek kulał, bo dotychczasowa wybranka jadała lunch w klasie, a nie w pokoju nauczycielskim. Nancy Lovell cierpiała tak bardzo z powodu zerwania, że przestała zakrywać swoje krótkie czarne postrzępione włosy chusteczką. Flora płakała, a potem zaczęła opowiadać kawały, jeden po drugim, ale sama nigdy się z nich nie śmiała. Symptomy złamanego serca.

Mimo wszystko Rose nie mogła oderwać oczu od Brady'ego. Lubiała, gdy razem wyprowadzali dzieci na przerwę, bo podobało jej się, jak uczył je odbijania piłki nożnej głową. Dzieciaki nie wiedziały, na czym polega gra w piłkę

nożną, ale chętnie próbowały. „Tak się główkuje!” - wołał, demonstrując podbijanie piłki czołem, podczas gdy uczniowie przyglądali się z otwartymi buziami. Uradowany Brady podskakiwał, dwoił się i troił. Gdy odrzucał głowę do tyłu i wybuchał śmiechem, Rose czuła, że się uśmiecha. Taki był z niego dzieciak.

Owego dnia, gdy po raz pierwszy zaprosił ją na randkę, rozwijała ogromną ryzę grubego papieru, by odrysować na nim sylwetki dzieci. Wycinali potem figury, malowali je, dobierając odpowiednie kolory oczu i włosów oraz ubrań, które mieli na sobie. Następnie przyklejali te postacie do swoich krzeseł. Wieczorem w klasie miała się odbyć wywiadówka.

- W ten sposób po raz pierwszy weźmiecie udział w wywiadówce - zażartowała.

Odrysowując ich sylwetki, odjęła kilka kilogramów otyłemu chłopcu, dziewczynce o słabych włosach dodała wspaniałą grzywę.

- Zupełnie jak żywa! - powiedziała z zadowoleniem. Dzieci niespiesznie wycinały figury. Wtem jedna z uczennic, Janey Adams, pociągnęła Rose za rękaw.

- Pani także powinna to zrobić, panno Rearson - powiedziała.

- Ja przyjdę na to zebranie we własnej osobie - odparła Rose, ale Janey pokręciła głową.

- To co innego - nie dawała za wygraną uczennica. Rose więc ułożyła się na papierze i pozwoliła dzieciom,

by okonturowały jej sylwetkę. Dziwnie się czuła otoczona przez przykucnięte dzieci, leżąc na podłodze, wdychając zapach papieru, słuchając poskrzypywania ołówka na papierze. Z tej perspektywy dojrzała czerwoną kredkę w rogu klasy, rurkę do picia pod swoim biurkiem. Pod jednym z okien wspinał się maleńki pajaczek. Któreś z dzieci przesunęło ołówek wzdłuż jej ramienia. Zaśmiała się.

- To łaskocze! - wykrzyknęła i spojrzała w górę.

W drzwiach, opierając się o framugę, stał uśmiechnięty

Brady. Rose wstała zakłopotana, wygładziła sukienkę i poprawiła włosy

- Przykleimy nasze postacie do krzeseł - wyjaśniła. - Będzie wyglądało, jakby dzieci brały udział w wywiadówce.

- Świetny pomysł - powiedział Brady. Spojrzał na Rose. -Będę mógł patrzeć na ciebie, gdy cię tu nie będzie. - Rose spiekła raka.

Na zebranie ubrała się w ulubioną trykotową sukienkę w paski i sznurowane na łydkach sandały. Wyszczotkowała włosy i spięła je z tyłu skórzaną klamrą, którą dostała od Avy, gdy była mała. Nie była ani trochę podobna do swojej papierowej repliki w zapiętej na guziki sukience, czarnych pantoflach na płaskim obcasie i uczesanej w koński ogon. Przyszła do szkoły przed czasem. Wszedłszy do klasy, doznała wstrząsu na widok samej siebie, spoglądającej na papierowych uczniów, którzy siedzieli prościej i słuchali jej uważniej niż ci prawdziwi. Widok był trochę niesamowity, ale miły.

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć minut rodzice zaczną się schodzić. Chciała dać im odczuć, że dzieci są dla niej najważniejsze na świecie. Pierwszy rok jej pracy w szkole dobiegał końca. Trochę ją to smuciło, bo po wakacjach jej uczniowie przejdą do wyższej klasy, a ona dostanie pod opiekę nową trzecią klasę.

Usłyszała odgłos kroków. Obróciła się i zobaczyła Brady'ego w marynarce i koszuli z krawatem.

- Przyszedłeś zobaczyć się ze mną papierową czy tą z krwi i kości? - zdobyła się na dowcip.

- Chciałem zobaczyć was obie - odparł. - Otwarto nowy sklep o nazwie Wind Me Up. Dwa piętra. Wyłącznie nakręcane zabawki - powiedział. „Pewnie chce, żebym poinformowała o tym rodziców” - pomyślała. Ale on dodał z szerokim uśmiechem: - Chciałabyś tam kiedyś zajrzeć?

Rose się zawahała. Nie miała ochoty zostać jego kolejną dziewczyną. Ale sklep z zabawkami interesował ją i chciała się przekonać, jaki naprawdę jest ten Brady. Nie spodzie-

wała się niczego więcej niż wspólnego wypadu do sklepu. Ale Brady ją zaskoczył. Umówili się już kilka dni później. Miał na sobie marynarkę, krawat i porządne spodnie, a nie jak zazwyczaj drelichowe portki i sportową koszulkę. A nawet przyniósł bukiet irysów. W drodze do sklepu rozmawiali o szkole. Patrzył na nią z taką uwagą, jakby mówiła niezwykle mądre rzeczy.

Przed otwartym drzwiami do Wind Me Up spacerowało kilkanaście klekoczących szcęk.

- Proszę - powiedział Brady, nadstawiając ramię, by przeprowadzić ją pomiędzy nimi. Wewnątrz stały półki, na których piętrzyły się najrozmaitsze nakręcane zabawki. Rose obejrzała spacerujący nos, czajnik, który otwierał i zamykał pokrywkę oraz zamiatającego podłogę kociaka. -Wybieraj, co chcesz - zachęcał ją Brady. Sam wybrał małego niebieskiego robota i nakręcił go sterującym z brzucha kluczem. Robot zaczął iskrzyć i poruszać nogami.

- Weźmy tego - powiedziała. - Z całą pewnością tego. Zdziwiło ją, że tak dobrze się bawi. Brady odprowadził

ją do domu. Zwolnił przed jej drzwiami. Nie chciała, by sobie za wiele wyobrażał, ale nie miała ochoty kończyć miłego spotkania.

- Wstąp na herbatę - powiedziała. Wprowadziwszy go do środka, pogratulowała sobie, że

sprzątnęła mieszkanie przed wyjściem do szkoły. Brady spostrzegł na ścianie zdjęcie Jimmy'ego, który stał na podwórku, wspierając ręce na biodrach i mrużąc oczy przed słońcem.

- Kim jest ten miły chłopiec? - zapytał Brady.

- To Jimmy - odpowiedziała cicho. - Mój brat. - Podeszła do fotografii. Patrzyła na nią dzień w dzień, ale za każdym razem zauważała coś nowego, a to zmarszczkę na koszuli, to znów niezwiązane sznurowadło.

- Mam nadzieję, że go poznam - powiedział Brady. Oczy Rose napełniły się łzami. Brady spojrzał na nią z troską.

- Ejże. Co się dzieje? - zapytał.

- Zaginął w wieku dwunastu lat - odparła. - Nie wiem, gdzie jest. Nikt nie wie. - Otarła oczy palcami.

- Przepraszam - powiedział, ale Rose pokręciła głową.

- Za co? - Brady poprowadził ją w stronę kanapy i uściskał. - Już dobrze - powiedział. Pogrzebał w kieszeni i wyjął czystą białą chusteczkę. Był taki miły i pełen współczucia, że Rose przywarła do niego całym ciałem.

- Wciąż mam uczucie, że on jest gdzieś tam, na świecie - powiedziała. Przytulił ją mocniej.

- Kto wie - powiedział. - Może jest.

Im dłużej się z nim spotykała, tym bardziej go lubiła. Chodzili ze sobą miesiąc, dwa, trzy. Kilka razy dziennie wpadał do jej klasy, żeby opowiadać żarciki. Śpiewał jej do ucha piosenki Beatlesów.

- Jesteś dużym, zwariowanym dzieciakiem - powiedziała i oboje się roześmiali.

Był delikatnym i czułym kochankiem, który przytulał się do niej, gdy już było po, i który wstawał z łóżka, by przygotować śniadanie. Rose musiała przyznać, że polubiła również jego rodzinę, chociaż wszyscy mieszkali w Kalifornii. Któregoś wieczoru, gdy była u niego w domu, zatelefonowała jego matka i koniecznie chciała przywitać się z Rose. Głos miała łagodny i zawieszony niczym pudding.

- Nie mogę się doczekać, by do rodziny weszła kobieta - powiedziała.

- Przyjedź mnie odwiedzić, a zakochasz się w Kalifornii i może namówisz mego syna do powrotu.

Rose usłyszała grzmiący głos ojca Brady'ego:

- Daj mi pomówić z tą dziewczyną! - Przejąwszy słuchawkę, chciał się dowiedzieć: „Czy mój syn dobrze cię traktuje?”.

Rozłączywszy się, Rose wciąż zaśmiewała się z jego dowcipów o słońcach („Skąd wiadomo, że w twojej lodówce był słoń? Bo zostawił ślady stóp na serze!”).

- Twoi rodzice są kławi - powiedziała.



Rose nie miała już nikogo, a rodzina Brady'ego była chętna wziąć ją pod swoje skrzydła. Wystarczyło poprosić. Jeden z jego braci zaproponował, że nauczy ją grać w golfa.

„I opowiem ci masę dowcipów o słoniach, żebyś się mogła popisać przed moim ojcem” - obiecał.

Czuła się z Bradym świetnie. Wiedziała, że inne nauczycielki zachodzą w głowę, co Rose ma takiego, czego one nie mają. Ale ona wiedziała, że po prostu pasują do siebie.

Pewnego sobotniego ranka snuła się po domu w szlafroku, bo opadły ją wspomnienia o Jimmym, ale gdy przyszedł Brady, poczuła się lepiej. Objął ją i kołysał.

- Wiem, że ci ciężko, dziecino - powiedział.

Nie miała na temat Jimmy'ego żadnych wiadomości. Nie mogła zatelefonować na policję, bo sprawę uznano za zamkniętą z powodu braku informacji. Ale co jakiś czas ktoś ją odnajdywał, by zakomunikować, że widziano kogoś, kto mógłby być Jimmym. Brady nigdy jej nie powiedział, że rozmawianie z tymi ludźmi to głupota. Nie powiedział: „A nie mówiłem?”, gdy trop okazał się fałszywy i ustalono, że zaginiony chłopiec urodził się i wychował w Teksasie, a jego żyjący rodzice nie życzą sobie telefonicznych rozmów z Rose. Pewnego razu ślad prowadził do Ann Arbor. Zatelefonowała kobieta, która pracowała z kimś odpowiadającym rysopisowi Jimmy'ego i kto odmawiał wszelkich rozmów na temat swojej przeszłości. Przyznał się tylko do tego, że dorastał w Waltham.

- Myślę, że to on - powiedziała.

Umówiła się z Rose w jadłodajni Troubles, żeby pokazać fotografię mężczyzny. Brady nalegał, żeby osobiście zawieźć ją na miejsce. W restauracji była tylko jakaś rodzina z dzieckiem oraz czekająca na Rose kobieta o przeredzonych ciemnych włosach. Przy jej płaszczu brakowało jednego guzika.

- Czy mogę zobaczyć zdjęcie? - spytała Rose.

- Daj mi pięćdziesiąt dolarów, to ci je pokażę - odparła

kobieta z uśmiechem. - Siadaj - dodała, poklepując krzesło obok. - Bo inaczej nic ci nie powiem.

Rose popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Pani nie ma żadnego zdjęcia. I nie zna nikogo takiego. Kobieta nadstawiła rękę.

- Nie dowiesz się, dopóki mi nie zapłacisz. Rose obróciła się, by odejść.

- Zaczekaj! - zawołała kobieta, ale Rose nie przystanęła. Za sobą słyszała kroki Brady'ego. Wsiadła do jego samochodu, patrząc na kobietę w oknie jadłodajni.

- Zawieź mnie do domu - poprosiła, ale on jej nie posłuchał.

Jechał przed siebie, a Rose oparła głowę na zagłówek i patrzyła na znikające pod samochodem linie na autostradzie. Wreszcie usnęła, znużona. Obudziła się gwałtownie i zobaczyła, że samochód stoi. Rozejrzała się w koło, mrugając powiekami.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

Brady z uśmiechem pomógł jej wysiąść. Okazało się, że zaparkował gdzieś w szczerym polu.

- Spójrz - powiedział, wskazując na niebo.

Rose zadarła głowę i zobaczyła tysiące migoczących gwiazd. Otoczył ją ramieniem.

- Czy wiesz, że każda cząsteczka tych gwiazd istnieje, odkąd powstał świat? Wszyscy jesteśmy zbudowani z pyłu gwiazdznego. Czy nie czujesz się wspaniale na myśl, że jesteśmy cząstką czegoś o wiele od nas większego?

- Może on patrzy teraz na te same gwiazdy co my. Brady westchnął. Pochylił się nad nią i pocałunkiem zamknął jej usta.

Rose otworzyła drzwi lodziarni We Ali Scream. Pomachała Brady'emu, który już tam na nią czekał. Spotykali się już tak długo, ale spostrzegłszy, jak Rose się niepokoi, gdy nie ma go na czas, już nigdy nie pozwolił, by na niego cze-

kała. W lodziarni było pełno ludzi. Przeważali rodzice z dziećmi. Rose precyzyjnie się do Brady'ego i ucałowała go, z przyjemnością dotykając policzkiem jego policzka. W końcu udało jej się go namówić, by zapuścił włosy, i chociaż upierał się, że nie jest w typie Beatlesów, widywała, jak czasem paraduje przed lustrem. Była pewna, że przy odrobinie wysiłku przekonałby się nawet do kwiecistych koszul i szerokich krawatów.

- Mieliśmy dziś lekcję na temat wyścigu o podbój przestrzeni kosmicznej - oznajmiła, a on skinął głową, zaglądając do gablotki, aby wybrać smak lodów.

- Czekoladowo-miętowe, prawda? - powiedział, podchodząc do sprzedawczyni za ladą.

Rose rozglądała się w koło i spostrzegła kobietę z dwójką dzieci: chłopcem i dziewczynką. Oceniała, że dzieci mają sześć lub siedem lat. Matka, nie zwracając na nie uwagi, podeszła do gablotki. Tymczasem dzieci wybiegły z lodziarni.

- Te dzieci nie pilnują się matki - powiedziała Rose Brady'emu, a on wzruszył ramionami.

- To jej sprawa - odparł.

Ale Rose nie mogła się uspokoić. Bała się, że podjedzie samochód i ktoś uprowadzi dzieci. Odchrząknęła.

- Co ona wyprawia? Nie wie, że jej dzieci wybiegły na ulicę?

- Nic im nie będzie. Matka widzi je przez okno. - Rose po raz pierwszy usłyszała zniecierpliwienie w jego głosie. - Nie bądź taka przesadnie opiekuńcza, zwłaszcza gdy chodzi o cudze dzieci.

Rose wyjrzała na ulicę. Dziewczynka kręciła się po chodniku, spoglądając na przechodniów. Zagadnęła jakąś parę. Rose podeszła do matki.

- Czy pani wie, że dzieci wyszły z lodziarni? - zapytała. - A pani córka zagaduje obcych?

Kobieta wyjrzała przez okno. Dzieci siedziały na ławce, leniwie machając nogami i prowadząc ożywioną rozmowę.

- Niech się pani zajmie swoimi sprawami - odburknęła.

- Dlaczego nie pilnuje pani dzieci? - spytała Rose napastliwie.

Poczuła dłoń Brady'ego na ramieniu. Dygotała. Spojrzała gniewnie na kobietę, ale pozwoliła, by Brady odciągnął ją na bok. Słyszała mamrotanie kobiety:

- Bezczelna. Prawdopodobnie nie ma własnych dzieci, a jeśli ma, daje im się we znaki.

Rose zawróciła, żeby jej odpowiedzieć, ale Brady energicznie wyprowadził ją z łodziarni. Gdy przechodzili obok dzieci, Rose przykucnęła przy ławce i powiedziała ostro:

- Wasza matka chce, żebyście natychmiast wrócili do łodziarni. - Dzieci gapiły się na nią. - Natychmiast! - krzyknęła, i dzieci szybko wbiegły do środka.

Poznała po wyrazie twarzy Brady'ego, że coś jest nie w porządku, ale się nie powstrzymała.

- Powinna pilnować dzieci - powiedziała, by przerwać pełne napięcia milczenie.

Wtedy Brady przystanął. Był rozgniewany.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał drgającymi wargami.

- Bo ona nie pilnowała dzieci! To jest miasto, a nie Sun-nybrook Farm\*!

- Przesadzasz, Rose.

- Co? Denerwuję się, bo matka jest nieodpowiedzialna, a ty uważasz, że nie mam racji?

- Tu nie chodzi o tę kobietę.

- Jak to nie? Co ty wygadujesz?

- Chodzi o Jimmy'ego. Jak zawsze. - Wyraz twarzy Brada był tak poważny, że Rose poczuła się nieswojo. Zupełnie jakby był naukowcem, zastanawiającym się, jak ją naprawić.

- Jimmy to mój brat - powiedziała, a Brady spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

**\* *Rebecca of Sunnybrook Farm* - powieść dla dzieci z 1903 r., napisana przez Kate Douglas. Stanowiła materiał adaptacji teatralnej i była kilkakrotnie filmowana.**

- On odszedł, Rose - powiedział.

- Nie mów tak - odparła ostro.

Przez resztę drogi do jej domu milczeli, a gdy stanęli przed drzwiami, Brady oznajmił zdawkowo:

- Jestem zmęczony. Zobaczymy się jutro.

- Miałam rację w lodziarni - powiedziała Rose, ale on już oddalał się chodnikiem.

Nie zatelefonował do niej następnego dnia, ale Rose wciąż była na niego zła, więc się nie przejęła. W niedzielę poczuła, że chyba się przeziębila. Usiłowała spać, ale nie mogła. Już miała zadzwonić do Brady'ego, żeby spytać, jak się ma, gdy odezwał się dzwonek u drzwi. Podbiegła otworzyć, w szlafroku i zadyszana. Na progu stał Brady. Nim zdążyła ucieszyć się na jego widok, powiedział szczerze z troskany:

- Już prawie szósta, a ty nie jesteś ubrana. Co się dzieje?

- Nie spałam w nocy - odparła. Potarła nos. - Chyba się przeziębiam.

Weszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. On za nią. W zlewie piętrzyły się niepozmywane naczynia, przy drzwiach stał kosz z wypranymi ubraniami, których nie odłożyła na miejsce.

- O co chodzi? - spytała, widząc jego spojrzenie. - Jestem zajęta i nie stać mnie na służącą.

- Co się z tobą dzieje?

Przełożyła czasopisma ze stołu na krzesło.

- Bo nie zmyłam kilku filiżanek?

W czajniku zabulgotało. Rose nalala wody do dwóch szklanek i zanurzyła w nich po torebce miętowej herbaty. Usiedli.

- Wciąż jesteś na mnie zły za ten incydent w lodziarni, prawda?

- Nie byłem zachwycony, ale nie to mnie zdenerwowało - odparł. - Naprawdę martwię się, że nie potrafisz się z tym uporać, że to stale ciąży nad całym twoim życiem.

Wzięła szklankę i poczuła jej ciepło.

- Wciąż mówisz tylko o tym - ciągnął Brady
- Może nie potrafię się z tym pogodzić - odparła.

Nie podobało jej się, że Brady chce ją zmienić. Pomyślała o szaleństwie, w jakie wciągała ją matka, o tym, jak spoglądali na nią sąsiedzi. Zupełnie jakby chcieli gumką wymazać z niej skazę. Była zmęczona, Brady patrzył na nią jak na nawiedzoną; miała zapchany nos, jedyne, czego chciała, to znaleźć się w łóżku i oglądać telewizję, aż uda jej się zasnąć. Upiła łyk herbaty parząc się w język. Wzdrygnęła się. Do jej oczu napłynęły łzy.

- Może zrobiłoby ci dobrze, gdybyś porozmawiała z kimś bezstronnym. Poszedłbym z tobą.

- I został w poczekalni?

Wyobraziła sobie, że Brady czeka na nią, spodziewając się, że wyjdzie uwolniona, jakby zrzuciła wylinkę. Nie miała siły dłużej z nim rozmawiać. Odczuwała zmęczenie na samą myśl o rozmowie.

- Zaczynam czuć się w naszym związku, jakby nas było troje - powiedział Brady. - Ty, ja i Jimmy.

- To mój brat.

- On nie żyje.

- Zamilcz.

- Rose, on nie żyje. Musisz się z tym pogodzić i żyć dalej.

- Nie mów mi, co mam zrobić - odparła. - Myślałam, że rozumiesz...

- Rozumiem, że sobie nie radzisz. Ze potrzebujesz pomocy.

Oddychała z trudem. Wstała i oparła dłonie na blacie.

Nagle pomyślała o tym, jak kończyły się poprzednie związki Brady'ego, a ona nie rozumiała dlaczego. Wspomniała jedną z nauczycielek, Florę, która wyplakiwała łzy nad kanapką. Może okazało się, że nie spełnia oczekiwań Brady'ego, więc i ją usiłował naprawić.

- Czy zechciałbyś teraz wyjść, proszę? - zażądała. Patrząc na niego, nie mogła zrozumieć, co w nim przedtem widziała.

Podniósł się z krzesła powoli, starannie wykonując ruch za ruchem.

- Cóż, skoro sobie tego życzysz - powiedział. W jego tonie pojawiła się jakaś nowa nuta, jakby mówił do kogoś obcego. Zmieniał się na jej oczach. Nawet rysy jego twarzy uległy przemianie. Oczy straciły swoją zieloną barwę. Włosy nie były aż takie gęste. Rose także się podniosła. Nogi jej drżały. Czuła się tak, jakby brnęła przez gęsty muł, z każdym krokiem zapadając się głębiej.

- Daj mi znać, gdy poczujesz, że jesteś gotowa zmierzyć się z tym problemem - rzekł. - Ale nie chciałbym, by coś takiego znowu się zdarzyło.

- Nie trzaskaj drzwiami, gdy wyjdiesz - powiedziała ostrym tonem. Westchnął.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, że usiłuję ci pomóc - powiedział i już był przy drzwiach. Otworzył je zamasyście i pozwolił, by zamknęły się z hukiem.

Gdy tylko wyszedł, zabrała się do sprzątanía, jakby w ten sposób usuwała Brady'ego ze swego życia. Za kogo on się uważa, pouczając ją, co ma robić? Gdy po upływie pół godziny zadzwonił telefon, była pewna, że to on. Wciąż odczuwała gniew i zamierzała powiedzieć mu, by więcej nie telefonował.

- Brady? - spytała, podniósłszy słuchawkę.

- Panna Rearson?

- Rose - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Mówi detektyw Roy Shuler. Z policji w Waltham. -Zawahał się chwilę. - Znaleźliśmy szczątki pani brata.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lewis siedział na kanapie, w dłoniach trzymał kubek z kawą. Wciąż nie mógł dojść do siebie po rozmowie z matką. Nie wierzył w to, co usłyszał. Uwierzyłyby, gdyby Ava mu powiedziała, że ciało Jimmy'ego znaleziono na poboczu drogi, w jakimś kanale lub na plaży. Byłby skłonny uwierzyć, gdyby powiedziała, że mieszka przy jakiejś rodzinie. Ale schron przeciwatomowy? Matka zasypywała go pytaniami w rodzaju: „Dlaczego nie powiedziałeś, że wiesz o istnieniu schronu?”. W końcu powiedział, że nie może dłużej rozmawiać.

Schron przeciwatomowy. Wiele lat temu poprzysiągł sobie, że o nim zapomni. Że wymaże z pamięci wszystko, co zdarzyło się owego dnia. Teraz nękały go resztki wspomnień.

Było bardzo gorąco. Lśniący żółtawo letni upał. Musieli mrużyć oczy przed słońcem. Był wtedy w czwartej klasie. On, Jimmy i Rose kręcili się po okolicy, mając nadzieję, że rozlegnie się sygnał zwiastujący zbliżanie się furgonetki z lodami. W kieszeni Jimmy'ego pobrzękiwały monety. Wystarczająco dużo, by kupić lody dla całej trójki.

- Jest! Słyszę ją! - wykrzyknęła Rose.

Lewis mógłby przysiąc, że również usłyszał urywaną melodyjkę. Miał tak wielką ochotę na niebieskiego bananowego lizaka lodowego, że nie nadązał z przetykaniem śliny.



Pobiegli na ukos przez trawnik pana Gallaghera, czego zazwyczaj nie robili, bo przed domem mogliby trafić na Eddy'ego, który przyczepiłby się do nich, a kto chce, żeby naprzykrzał mu się jakiś maluch. Albo pan Gallagher na-wrzeszczałby na nich, że depczą jego bezcenną trawę. „To nie pańska trawa! To trawa Boga!” - zawsze odkrzykiwał Jimmy ale pierwszy umykał przed panem Gallagherem, jakby się go bał. „Szybko! Pospieszcie się! Zmykajmy stąd!” -pokrzykiwał, pędząc za Lewisem. Tamtego dnia Lewis potknął się o coś i wpadł w zarośla. Zobaczył tam zdartą darcinę i zardzewiałą rurę przewodu wentylacyjnego z zamykającą go pokrywą.

- A co to takiego? - zapytał.

Usunął więcej darni. Jego oczom ukazało się okrągłe metalowe wieko z czymś w rodzaju klamki. Przykucnął, otworzył drzwiczki i zajrzał do ciemnego wnętrza.

- Tam w dole jest pomieszczenie! I drabina! - oznajmił. Byli wścibscy i nie przepadali za panem Gallagherem,

więc zeszli po chybotliwej drabinie. Dwanaście szczebli w dół. Na dnie panowała niemal zupełna ciemność i było o wiele chłodniej niż na dworze. Pomieszczenie było małe i gdy tam weszli, zrobiło się tak ciasno, że Lewis natychmiast zapragnął wydostać się na zewnątrz. Wpadł na Rose. Potem zderzyli się łokciami z Jimmym, a gdy Jimmy go podtrzymał, Lewis wrzasnął:

- Puszczaj!

- Okropnie tu ciemno - powiedział Jimmy. - Czuję się nieswojo, aż ciarki chodzą mi po plecach.

- Trochę światła wpada przez otwór wejściowy - odparł Lewis. Pomacał ścianę, która była wilgotna i lepka.

- Znalazłam latarkę! - oznajmiła Rose i poświeciła wokół, wydobywając z mroku wąską półkę z konserwami kukurydzy, fasolki szparagowej i tuńczykiem, wędzoną szynkę i kurczaka oraz dwie butelki z wodą.

- Paskudztwo! Kto by to jadł? - powiedział Jimmy. -Nie wiedzą o czipsach ziemniaczanych?

- Po co w ogóle budować coś takiego? - dziwiła się Rose. - Kto wie?

- Okropne miejsce - orzekł Lewis.

- Tak - zgodziła się Rose.

Lewis kichnął z powodu kurzu. Rose przywarła do niego.

- Co to takiego? Jakaś kryjówka? Schron przed tornado? Jimmy podszedł do drabiny i oparł rękę na szczeblu.

- Nie mogę tu oddychać - powiedział zadyszany. - Wyjdźmy stąd, proszę.

Szybko wspiął się po drabinie, za nim Rose i Lewis. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Jimmy rzucił się biegiem.

- Jimmy, zaczekaj! - krzyknęła Rose. - Dokąd tak pędzisz? - Lewis poczuł zawroty głowy; światło, kolory i upał zupełnie go oszołomiły.

- Chodź! - zawołała Rose i także ruszyła biegiem.

Nie pozostawało nic innego, jak pobiec za nimi przez trawnik, na podwórko Lewisa, gdzie Jimmy przystanął. Zgiął się wpół, oparł dłonie o kolana i zwiesił głowę. Rose spojrzała na Lewisa, który zrozumiał, o co jej chodzi, dopiero na widok ciemnej plamy moczu rozprzestrzeniającej się na szortach Jimmy'ego.

- Jimmy - powiedziała Rose, a on opadł na ziemię, żeby nie było widać jego siedzenia.

- Nie wróciłbym tam nawet za milion dolarów - oznajmił. Jego wargi drżały. Ukrył twarz w dłoniach.

***Nie wróciłbym tam nawet za milion dolarów.***

- Już dobrze - powiedziała Rose. Ukucnęła obok brata, objęła go ramieniem, ale on nie unióśł głowy.

Lewis usiadł tak blisko Jimmy'ego, że czuł woń siuszków. Szturchnął Jimmy'ego.

- Hej - powiedział, ale Jimmy pokręcił głową i nie chciał spojrzeć na przyjaciela.

- Wiesz co? - zaproponował Lewis cicho. - Złożymy przysięgę krwi. - Jimmy podniósł głowę. - Przysięgniemy, że nigdy tam nie wrócimy. Żeby nie wiem co.

- Nigdy Nigdy. Przenigdy - powiedziała Rose.

Jimmy podwinął dół szortów.

- I o tym też nigdy nie będziemy rozmawiać - poprosił drżącym i słabym głosem. - O niczym, co się dzisiaj stało.

- Jasne - powiedział Lewis.

- Obiecujecie? Nikt się nie może dowiedzieć - nalegał Jimmy.

- Nigdy o tym nie wspomnimy - zapewniła go Rose. - Ani między nami, ani nikomu innemu. Nie będziemy o tym nawet myśleć.

- Zgadzą się? - zapytał Lewis.

- Zgadzą - powiedziała Rose.

- I ja też - dodał Jimmy.

Rose wyjęła błyszczącą szpilkę, którą miała wpiętą w kołnierzyk. Ukłuła się w palec, aż pojawiła się kropelka krwi. Podała szpilkę Lewisowi, a ten Jimmy'emu.

- Ja pierwszy - powiedział Jimmy, przyciskając palec wskazujący do palca Lewisa, a potem do palca Rose.

- To się nigdy nie stało - powiedział Lewis.

- To się nigdy nie stało - powtórzyła Rose.

- To się nigdy nie stało - powtórzył Jimmy.

Otarli palce o trawę, wstali i Lewis zaprowadził ich do siebie.

- Mamy nie ma w domu - powiedział.

Dał Jimmy'emu czystą parę szortów. Jimmy przebrał się w łazience i Lewis wyrzucił mokre szorty do śmieci, przykrywając je odpadkami, żeby mama ich nie zauważyła.

Po tym zdarzeniu przestali chodzić na ukos przez trawnik pana Gallaghera. Nigdy nie wspomnieli o niczym, co się stało tamtego dnia. Nawet o tym nie myśleli.

Aż do teraz. Aż do chwili, gdy matka powiedziała mu, gdzie znaleziono Jimmy'ego.

Gdyby Rose pamiętała tamten dzień, mogliby znaleźć Jimmy'ego. Mógłby jeszcze żyć. Wyciągnęliby go stamtąd, pani Rearson płakałaby i ich obejmowała, a Lewis i Rose staliby się bohaterami. A Jimmy byłby żywy.

Lewis oparł głowę na dłoniach. Jimmy nienawidził tamtego schronu. Dlaczego miałoby mu przyjść na myśl, by tam zejść? W tym nie było krzty sensu.

Wstał i wyszedł do pracy. Nie mógł się pozbyć uczucia, że zawinił. Jimmy powinien być wtedy z nimi. Lewis nie powinien był guzdrać się w bibliotece. A co gorsza, powinien był się domyślić, gdzie jest Jimmy.

W pracy starał się skupić na swoim zajęciu, opiekować się pacjentami i robić coś, co pozwoliłoby mu nabrać o sobie lepszego mniemania. Ale gdy do pokoju trzysta cztery przyniósł czasopisma pacjentce z kamieniami żółciowymi, ta go ofuknęła:

- Kto cię o to prosił? Na dodatek mnie obudziłeś.

Gdy obmywał gąbką pacjenta chorego na astmę, obrócił się zbyt gwałtownie i rozlał wodę na łóżko.

- Na litość boską, uważaj - powiedział zirytowany mężczyzna.

Lewis zaczął mieć problemy ze snem. Stracił apetyt, a gdy zmuszał się do jedzenia, miał wrażenie, że żywność jest nieświeża. Rozpaczliwie potrzebował rozmówcy, by pozbyć się uczucia ściśniętego gardła, ale nie mógł liczyć na matkę, bo była jego matką. Poznał po jej głosie, że chce go chronić i nie byłaby z nim całkiem szczerą, bojąc się, że może go zranić i tylko pogorszy sytuację. Nie mógł porozmawiać z kolegami, z którymi grywał w kręgle, bo nigdy nie poruszali tematów poważniejszych niż kupno czipsów, frytek i coca-coli. A z Ritą się rozstali. Widział ją kiedyś wieczorem w mieście. Szła za rękę z wysokim blondynem. Chociaż ucieszył się ze względu na nią, jednocześnie poczuł się opuszczony.

To on zawinił i dlatego odeszła.

Przejrzał harmonogram dyżuru nocnego. Zobaczywszy, że Sheila znowu wróciła, zajrzał do niej. Od razu poczuł się lepiej.

- Zażęskniła pani za nami? - zażartował. Puściła do niego oko.

- Witaj, przystojniaku - powiedziała, poklepując się po klatce piersiowej. - Maszynka znowu nawala. - Wskazała mu miejsce na krześle przy łóżku. - Pogadajmy - dodała.

Lewis usiadł i zaczął opowieść o tym, jak bardzo byli zżyci w dzieciństwie on, Jimmy i Rose. Jak bardzo ich kochał. Byli niemal jak rodzina. Sheila milczała, nie zadawała pytań, nie osądzała go, ale słuchała uważnie, nie spuszczać z niego wzroku i od czasu do czasu kiwając głową ze zrozumieniem. Miał właśnie przejść do swoich uczuć w stosunku do Jake'a. Sheila wzięła go za rękę i uścisnęła ją, a Lewis nagle spostrzegł, jak bardzo jest krucha i zmęczona.

- Niech pani lepiej pośpi - powiedział, wstając.

- Ale wrócisz? - spytała. - Obiecujesz?

- Obiecuje.

Wrócił nazajutrz i następnego dnia, i następnego. Sprawdzał, czy Sheila ma świeżą wodę do picia, wystarczająco wiele koców. I czy ma towarzystwo.

- Siadaj i opowiadaj - nakazywała. Za każdym razem mówił jej więcej o swojej przeszłości.

Po powrocie do domu nie mógł spać. Rozmawiając z Sheilą o Jimmym, uruchomił wspomnienia. Usiłował czytać książkę, którą pożyczył z biblioteki. Była to opowieść o naukowcu, który odbywa podróż na biegun północny saniami ciągnionymi przez psi zaprząg. Nie mógł się jednak skupić i ciągle rozmyślał o Jimmym.

Jimmy tak wiele stracił. Świat tak bardzo poszedł naprzód. Jimmy nie słyszał Beatlesów. Nie nauczył się tańczyć twista, nigdy nie oglądał serialu *Star Trek*. Nie słyszał o wojnie w Wietnamie, nie pocałował dziewczyny i nie przespał się z kobietą. Nie miał więcej niż dwanaście lat.

Lewis odłożył książkę. By się czymś zająć, posprzątał kuchnię. W końcu o piątej rano był tak zmęczony, że udało mu się zasnąć. Ale następnego dnia był w pracy całkiem rozbity. Zapomniał przynieść pacjentce basen, a ona zmoczyła łóżko. Chociaż ją przeproszał, zmienił bieliznę pościelową i przyniósł świeżą koszulę, nie chciała na niego spoj-

rzec. Dowiedział się później, że zażądała, by więcej nie pokazywał się w jej pokoju.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała Elaine. - Weź się w garść i nie dodawaj nam pracy.

Czuł narastającą w nim potrzebę rozmowy. Chciał opowiedzieć Sheili ostatnią część historii, o tym, jak trafili na schron przeciwatomowy. Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej był zdenerwowany. Czy Sheila naprawdę go słuchała, czy tylko lubiła słyszeć potok słów? Nigdy go o nic nie pytała, więc czy można to nazwać rozmową? Może tylko sam siebie oszukuje? Ale i tak nie mógł się doczekać chwili, gdy wejdzie do jej pokoju i zacznie mówić, by pozbyć się ciężaru. Nie ma znaczenia, czy ona go słucha. Ważne jest to, że obydwójce czują się lepiej.

Gdy wszedł do pokoju Sheili, minęła północ i skończył się jego dyżur. Zastał puste łóżko. Zniknęły wszystkie osobiste rzeczy. Korytarzem przeszła pielęgniarka.

- Sheila wróciła do domu? - zapytał. Pielęgniarka, nie zatrzymując się, pokręciła głową.

- Umarła! - odchrząknęła za siebie. - Spokojnie. We śnie. Lewis stanął jak wryty. Po chwili osunął się na krzesło

przy pustym łóżku Sheili. Tłumaczył sobie, że była stara, chora i krucha, że pacjenci wciąż umierają w szpitalu, że powinien być do tego przywyknąć, ale nie mógł się z tym pogodzić. Żałował, że Sheila nie ma rodziny, bo mógłby komuś powiedzieć, jak bardzo ją lubił, jak bardzo mu pomogła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Miał nadzieję, że on również jej pomógł. Siedział bez ruchu, aż usłyszał kroki. Obejrzał się i zobaczył pomocnicę niosącą naręczę świeżej bielizny.

- Muszę pościelić łóżko - powiedziała. Lewis wstał i wyszedł z pokoju.

Tamtej nocy spacerował po mieście. Mijał sklepy i jeziora. Odczuwał potrzebę ruchu. W końcu trafił do biblioteki. Przejrzał bostońskie gazety i natrafił na artykuł o Jimmym. Wszyscy mówili to samo. O kościach, o schronie, o tym, ja-

kie to dziwne, że szukano wszędzie, a on cały czas był tuż obok, pod ich nosem, czekając, aż go znajdą. Nie było żadnych śladów walki. Lewis miał już wyjść z biblioteki, gdy dostrzegł linijkę u dołu jednego z artykułów. Zaschło mu w ustach.

***Siostra Jamesa Rearsona, Rose, jest nauczycielką w Ann Arbor.***  
Rose. Będzie mógł porozmawiać z Rose.

Szybko ją odnalazł. Wystarczyło sięgnąć po książkę telefoniczną Ann Arbor i przesunąć palcem po abonentach, których nazwisko zaczyna się na literę „R”. Zniknęła z jego życia, gdy byli dziećmi. Teraz są dorośli i mają wspólną przeszłość. Nie wiedział, czego ma się spodziewać, jak Rose teraz wygląda. Wiedział tylko tyle, że musi spróbować. Zapisał jej numer telefonu, schował kartkę do kieszeni i poszedł do domu, żeby do niej zadzwonić.

Gdy odebrała telefon, jej głos zabrzmiał tak blisko, jakby stała tuż obok. Usłyszał w tle szelest papierów. Z trudem przełknął ślinę. Nie mógł wydobyć głosu. Jej głos brzmiał tak jak dawniej, a jednocześnie jakoś inaczej. Stał się nieco niższy.

- Halo? Jest tam ktoś? - spytała. Jakoś się pozbierał.
- Rose - wydusił z siebie. - Mówi Lewis. Wciągnęła powietrze.
- Lewis - powiedziała. - Mój Boże. Lewis.
- Słyszałem o Jimmym - powiedział.
- Ja właśnie... - zaczęła i zamilkła.
- Jak się czujesz? - zapytał. - Chryste, ale głupie pytanie.
- Sama nie wiem. A ty?
- Nie mogę uwierzyć.
- Byłam pewna, że żyje.
- Wiem.
- Nie traciłam nadziei. Nigdy. Opowiadałam o nim. Trafiałam na fałszywe tropy...

Oparł głowę o słuchawkę.

- Nigdy o nim nie zapominałem.

- Ludzie wciąż mi powtarzają, że teraz mogę się otrząsnąć, że już po wszystkim. Ale ja wiem, że nie jest po wszystkim. Ze pojawiło się jeszcze więcej zagadek do rozwiązania. Czytam wszystkie gazety, nawet najstarsze. Wydzwaniam na policję, ale nie chcą już ze mną rozmawiać.

Nastąpiło niezręczne milczenie.

- On by tam nie wszedł z własnej woli - w końcu powiedział Lewis.

- Też tak myślę - odparła. - Pomyślałam dokładnie to samo.

- To nie był wypadek.

- Z pewnością nie. On nigdy by się nie zbliżył do tego miejsca. Coś w tym musi być. Ludzie myślą, że niepotrzebnie się w tym pogrążam, że mam źle w głowie, że potrzebuję pomocy, ale ja wiem, że coś tu jest nie w porządku. Czuję to. I muszę się dowiedzieć, co się stało.

Szelest papierów ucichł. Gdy byli dziećmi, Rose powtarzała, by patrzył na jej twarz, że to, co chce wiedzieć, odczyta z wyrazu jej oczu. Teraz jednak widział tylko ściany swego nędznego mieszkania i słuchawkę, którą trzymał w dłoni. Żałował, że Rose nie siedzi naprzeciw niego.

- Czy mógłbym do ciebie przyjechać? - zapytał. Milczała. Przez chwilę obawiał się, że mu odmówi.

- Chcesz tu przyjechać? - spytała w końcu.

- Proszę, Rose.

- No, nie wiem. Ostatnio nie jestem dobrą towarzyszką. Źle sypiam. Wczoraj zalałam się łzami w supermarkecie na widok półki zapełnionej opakowaniami ze sno balls\*.

- Któż wie lepiej ode mnie, że Jimmy lubił tylko te białe? I nie dbam o to, że słaba z ciebie towarzyszka. Po prostu chcę cię zobaczyć, Rose. Ja też jestem w rozsypce. Może pogadalibyśmy o tym i coś razem wymyślili.

**\* Sno balls - czekoladowe ciasteczka z kremowym nadzieniem, powleczone ślazowym lukrem i posypane wiórkami kokosowymi.**



Znowu milczała.

- Rose, proszę. Chyba warto spróbować? - Zastanawiał się, co zrobi, jeśli Rose się nie zgodzi. Czym zapełni czekające go niekończące się dni? - Tylko na kilka dni.

- Jestem nauczycielką - powiedziała wreszcie. - Za tydzień zaczynają się ferie wiosenne. Będę miała prawie dziesięć dni wolnego.

Lewis usłyszał brzęczenie przewodów.

- A ja będę miał dwa tygodnie urlopu.

- Myślę, że jeśli chcesz, możesz tutaj przyjechać - powiedziała z namysłem. - Mógłbyś nawet przyjechać przed feriami i zobaczyć moich uczniów. Będziesz mógł spać u mnie na kanapie.

Odkąd zaczął pracować w szpitalu w Madison, wziął tylko kilka krótkich urlopów, żeby odwiedzić matkę. Za każdym razem zostawał w Waltham zaledwie trzy dni, bo dziwnie się tam czuł. Lubił pracować i być zajęty. Lubił gwar szpitala, lubił czuć się częścią zespołu.

- Zasłużyłeś sobie na dłuższą przerwę - powiedziała Elaine. - Wyjedź gdzieś i zapomnij, że my się tu zaharowujemy.

Zanim się obejrzał, już był w Ann Arbor. W piątek wieczorem na trzy dni wcześniej przed umówionym terminem. Po prostu nie mógł się doczekać i obawiał się, że Rose może zmienić zdanie. Siedział w małej kafejce. Nie myślał, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy Rose, i właściwie nie wiedział, co jej powie.

- Lewis?

Na jej widok przeżył wstrząs, podobny do tego, jaki odczuł, zobaczywszy swoją fotografię z dzieciństwa, o której powstaniu nie miał pojęcia. Rose wyglądała znajomo, a jednocześnie obco. Nadal miała długie i lśniące włosy. Jej oczy jak dawniej kryły się pod grzywką. Miała na sobie kowbojskie buty i sukienkę z minispódniczką. Lewis natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że nic o niej nie wie. Czy jest za-

mężna? Czy ma dzieci? Zadzwońszy nawet jej o to nie spytał. Zerknął na jej dłonie. Żadnych pierścionków.

Usiadła. Do stolika powoli podeszła kelnerka. Położyła przed nimi dwie karty w czerwonych plastikowych okładkach.

- Nie mogę uwierzyć, że cię widzę - powiedziała Rose. - Jesteś taki jak dawniej, a jednocześnie jakiś inny.

- Ty także - odparł Lewis.

Spodziewał się chyba, że tak jak na filmach upływ czasu niczego nie zmieni. Że natychmiast staną się sobie bliscy, a tymczasem czuł się tak, jakby unosiła go woda.

Rose przyglądała mu się, a potem wyciągnęła rękę i musnęła palcami jego włosy.

- Chciałam sprawdzić, czy naprawdę istniejesz - powiedziała.

- Czasami sam w to wątpię - odparł.

Rose miała podkrążone oczy i chciał dotknąć jej powiek. Na początku nie rozmawiali o Jimmym. Rose opowiedziała o swoich uczniach, o mieszkaniu.

- Nie spodziewałem się, że zostaniesz nauczycielką - powiedział. - Miałaś żyłkę awanturniczą. Myślałem, że będziesz podróżować dookoła świata albo zamieszkaż na Kostaryce.

Roześmiała się i wtedy spostrzegł, jaka jest piękna. Poczul się dziwnie i nieswojo.

- A co u ciebie? - spytała. - Niech no zgadnę. Naukowiec. Albo psycholog. Trafiłam?

- Nie poszedłem na studia.

- Nie? Przecież byłeś taki mądry. Pożyczałeś ode mnie książki. Pamiętasz?

Nie chciał rozmawiać o tym, dlaczego nie studiował. Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że mogę samodzielnie zdobyć wykształcenie. Pomagam pielęgniarkom w szpitalu. Lubię swoją pracę.

Skinęła głową.

- To dobrze.

- Masz męża, dzieci? - zapytał. Rose uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Właśnie z kimś zerwałam - powiedziała.

- Ja też nie mam nikogo.

Opowiedział jej o swojej pracy. Że pacjenci zwracają się do niego po imieniu, że mówią o nim „ten miły młody człowiek, który nigdy nie ma za złe”. Rose znowu się roześmiała. Wróciła kelnerka i obydwójce zamówili spaghetti.

- Zaraz podam - powiedziała kelnerka.

Rose oparła łokcie na stole i pochyliła się do przodu. Opowiedziała o śmierci matki. O tym, że Dot przestała mówić o Jimmym, że wszystkie jego zdjęcia włożyła do pudeł, które umieściła tak wysoko, że trzeba się było po nie wspinać na stołek.

- Może to i lepiej, że umarła, zanim znaleziono ten schron - powiedziała.

Kelnerka postawiła przed nimi talerze. Spaghetti pływało w sosie. Lewis spróbował odrobinę i odłożył widelec. Zupełnie jak szpitalne jedzenie. Ten sam smak, ta sama konsystencja. Jak gotowane skarpetki.

- Nie napisałaś do mnie - powiedział. Rose nawinęła makaron na widelec.

- Co też ty mówisz? Pisałam do ciebie. Co tydzień. Nigdy mi nie odpisałeś. Nie mogłam pojąć dlaczego.

- Nie dostałem od ciebie żadnego listu - powiedział Lewis. - Odpisałbym, miałem ci tyle do powiedzenia.

Rose odłożyła widelec.

- Żadnego listu? - spytała z niedowierzaniem. Lewis pokręcił głową.

- Napisałam ich całe mnóstwo. Matka powtarzała, że gdybyś chciał mi odpisać, dawno byś to zrobił. Że niepotrzebnie tracę czas.

- Nie rozumiem. Podawałaś swój adres? Naklejałaś znaczki? Na pewno je wysyłałaś?

- Dawałam je matce.

Lewis sposepniał. Pomyślał o tym, jak Dot oddawała ludziom naczynia z zapiekankami, które jej przynosili. Jak jego matka chodziła, by z nią porozmawiać, a Dot jej nie wpuszczała.

- Zgadzała się, żebyś do mnie pisała?

- Na Boga, nie. Mówiła, że dziewczyny nie powinny uganiać się za chłopakami.

Rose odłożyła widelec i zmarszczyła brwi.

- Och, nie - powiedziała nagle. - Nie przyszło mi do głowy, że...

- Ani mnie - powiedział Lewis.

Patrzył na Rose i myślał o tym, jak inne mogłoby być jego życie, gdyby dostał te listy. Gdyby jej przyjaźń podtrzymywała go na duchu, gdy chodził do szkoły średniej. Gdyby Rose nie była duchem przeszłości istniejącym wyłącznie w jego wspomnieniach. Może by nawet poszedł na tę samą co ona uczelnię albo studiował gdzieś w pobliżu. Ale teraz nie chciał z nią o tym rozmawiać.

- Przykro mi - powiedziała Rose. - Ze względu na nas oboje.

- Mnie także. - Lewis odsunął talerz. Stracił apetyt.

- A twoja mama? Jak sobie radzi?

- Nie widuję jej zbyt często.

- Żartujesz. Dlaczego?

- Sama wiesz. Mieszkam w Madison. A ona w Bostonie.

- Wiesz co? Zawsze chciałam, żeby była moją matką. Mówiła do mnie tak, jakbym była mądra i ważna dla niej. I niezwykła. Słuchała, co mam do powiedzenia, nawet jeśli mówiłam o ciuchach. I patrzyła na mnie tak, jakby właśnie dowiedziała się czegoś bardzo istotnego. Pamiętasz, jak co wieczór jadałam u was obiady? Dawała mi swoje szminki. -Rose zamilkła. - Nadzwyczajna kobieta. Słyszałam, jak rano wybierała ze śmietników butelki po mleku. Żeby je sprzedać. Domyślałam się, że nie chce, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Naprawdę to robiła? - zapytał zawstydzony.

- Kiedyś zobaczyłam, że pan Hill wyszedł z domu i patrzył, jak zbierała te butelki. Nie pomógł jej ani nic. Poczułam się nieswojo. Spojrzała na niego, a on powiedział: „Nie musisz tego robić”. Zbliżył się i położył jej dłoń na ramieniu. Nachylił się nad nią, a ona jakby skamieniała. Wtedy powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Sama nie wiem dlaczego, rzuciłam się biegiem, na bosaka i w koszuli nocnej. Jak tylko mnie zobaczył, cofnął rękę. I raptem rozmowa zeszała na temat tego, że jestem bosa. - Rose zwiesiła głowę. -Chciałam zostać na dworze i jej pomóc, ale mi nie pozwoliła. Poprosiłam, żeby odprowadziła mnie do domu, chociaż mogłam wrócić sama. Pan Hill spojrzał na mnie ze złością, ale w końcu odwrócił się i poszedł do swojego domu.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Lewis.

- Nie podobałoby ci się, gdybyś się dowiedział. Dlatego nigdy ci nie powiedziałam. Ale ja noc w noc leżałam w łóżku i wiedziałam, że ona tam jest, tuż obok mnie, i zbiera butelki. I podobało mi się to. Uważałam, że to świadczy o jej sile. Ludzie gadali o waszym domu, ale to było jedyne miejsce, gdzie czułam się bezpieczna.

Poklepała jego rękę.

- Powinieneś częściej ją odwiedzać - powiedziała. - Nie odkładaj tego na później, bo ludzie odchodzą. - Skinęła na kelnerkę.

Poszli do Rose, do niewielkiego kwadratowego mieszkania w przysadzistym budynku przy East William Street. Wspiąwszy się na piątą kondygnację, Lewis poczuł się jak starzec, ale Rose wcale się nie zmęczyła. Wlókł się za nią, spoglądając na jej nogi. Nagle zapragnął wziąć ją za rękę, ale tylko głębiej wsunął dłoń do kieszeni.

Mieszkanie było zastawione zielonymi roślinami w doniczkach. Pośrodku leżał zniszczony dywan orientalny we wzory roślinne. Odnosiło się wrażenie, że Rose, nawet przebywając w mieszkaniu, chce czuć się jak na dworze. Lewis przystanął przed wiszącą na ścianie fotografią Jimmy'ego.

- Usiądź - powiedziała Rose, dotykając jego ramienia.

Wskazała mu czerwoną aksamitną kanapę. Lewis usiadł i przeciągnąwszy dłoń po pokrywającej ją tkaninie, wspomniał kratkowaną czerwono-brązową kanapę matki w Waltham. Rose usiadła obok i zwróciła się twarzą do niego.

- Myślisz, że gdybyśmy ze sobą korespondowali, pozostalibyśmy przyjaciółmi? - spytała.

- Chciałem, żeby tak było.

Odgarnęła włosy na bok, odsłaniając szyję. Zakłopotany tym widokiem Lewis odwrócił wzrok, a potem znów na nią spojrział. Przyszedł tu, by porozmawiać o Jimmym, a dotąd żadne z nich nie powiedziało o nim ani słowa.

- O co chodzi? - spytała. - Wyglądasz na zaniepokojonego.

- Miałem nadzieję, że się dobrze maskuję.

- Znam cię na wylot. Tak jak dawniej - odparła z uśmiechem.

- Tylko spróbowałem - powiedział zmieszany.

I zaraz tego pożałował, bo Rose wstała, podeszła do szafy i zaczęła z niej wyjmować pościel, kończąc rozmowę.

Pościeliwszy mu na kanapie, poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Słyszał, że się tam krząta, ale nie miał pojęcia, co robi, w jakim jest nastroju i czy uda jej się zasnąć. Zamknął oczy i od razu ujrzał Jimmy'ego, przykucniętego w schronie przeciwatomowym, obejmującego rękami kolana, tak jak wtedy, gdy zsiusiał się w spodnie. Obrócił się na bok, twarzą do okna. Pomyślał, że w schronie nie było okien. Brakowało powietrza. Usiadł gwałtownie. Rose otworzyła drzwi. Pojawiła się w niebieskim szlafroku.

- Ty też? - spytała i usiadła naprzeciw Lewisa.

- Wciąż myślę o Jimmym - powiedział.

- Ja też. - Przetarła oczy i pochyliła się w jego stronę. - Dlaczego tam wszedł?

- Nie przyszło nam do głowy, żeby go tam szukać. Nigdy. Rozmawiali o tym, jak policjanci przeszukiwali wszystkie domy, szafy, piwnice. Działali pośpiesznie i chaotycznie.

- Pamiętasz tego o nazwisku Maroni? - spytała Rose. - Pokręciła głową. - Moron-i. Oto czym był. Wielkim Mo-ron-im\*.

Lewis pamiętał tego policjanta, dużego, tęgiego, o czarnych lśniących włosach. Klaskał w dłonie, aby odgonić dzieciaki. Napominał gapiów, żeby mu nie przeszkadzali. „Pozwólcie mi robić, co do mnie należy” - warczał.

- To nie ma sensu - powiedział Lewis. - Wszyscy szukali. Wszędzie.

- A my tam nie zajrzeliśmy. Nie przyszło nam do głowy.

- Ani panu Gallagherowi.

Lewis pomyślał o tym, jak sąsiedzi sporządzili listę wszystkich miejsc, które sprawdzili, aby nie tracić czasu, przeszukując je znowu. Pamiętał taką listę. Wisiała u jednego z sąsiadów w pomieszczeniu rekreacyjnym.

Rose przekładała poduszki na fotelu. Nastąpiło pełne napięcia milczenie. Podeszła do biblioteczki.

- Jestem kronikarzem rodziny - powiedziała, kucając przy najniższej półce. - Wciąż to przeglądam. - Zawahała się. - Chcesz obejrzeć? Niektórzy nie...

- Oczywiście, że chcę.

Rose wyjęła wielkie wiklinowe pudło, przyciągnęła je do kanapy. Uniosła wieko.

Wydobyła z pudła stary album z fotografiami. Na czarnych kartkach widniały niezdarnie przyklejone zdjęcia. Jimmy w wieku dziesięciu lat. Uśmiechnięty od ucha do ucha, mierzący ze srebrzystych pistoletów. Jimmy i Rose wystrojeni do kościoła. Rose w wyszukanym, zapiętym pod szyję płaszczu w kratkę, Jimmy w ciemnym garniturze, z krawatem. Rose powiodła palcem po fotografii.

- Boże, ależ ja nie znosiłam tego płaszcza!

Wskazała inne zdjęcie. Rose, Lewis i Jimmy stojący na podwórku za domem Lewisa; wszyscy w szortach i obejmujący się ramionami.

**\* Moron (ang.) - dureń, kretyn.**

Lewis poczuł, że drżą mu dłonie.

- Chyba nigdy nie widziałem tych fotografii.

- Na pewno widziałeś.

Pogrzebała głębiej i wyjęła złożony i wyświechtany arkusz papieru. Z nabożeństwem wręczyła go Lewisowi.

Lewis rozłożył go z powagą. Rose zachowała ich mapę. Delikatnie pogłaskał papier, jakby to był starożytny pergamin. Mapa był podziurawiona pinezkami i Lewis podążał po otworkach palcami, jakby czytał brajla. Zamknąwszy oczy, ujrzał kolorowe łebki pinezek, które razem z Jimmym powbijali w mapę, znacząc na niebiesko miejsca, które należało odwiedzić, a na czerwono dodatkowe wycieczki. Każde miejsce na mapie i każda pinezka miały dla nich szczególne znaczenie. Były przepowiedniami, które zamierzali spełnić.

- Moja matka wyrzuciła niemal wszystkie pamiątki po Jimmym, ale to udało mi się zachować.

Mrużąc oczy z trudem odczytywał wyblakłe notatki, które umieścili pod każdym ze stanów. *Nasz pierwszy przystanek. Tu mieszkał wujek Bob.* Lewis bezradnie spojrział na Rose.

- Pokażę ci inne rzeczy - powiedziała.

Z ociąganiem oddał jej mapę i patrzył, jak ją składa.

Wyjęła kartki z życzeniami urodzinowymi od Jimmy'ego. Jedna przedstawiała psa w szpiczastej czapeczce, druga nasadzoną na tort kaczuszkę. Była też kartka od matki Rose, cała ozdobiona girlandami, oraz kartka wyglądająca na bardzo kosztowną. Była purpurowa z białym napisem *Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin* wykonanym z koronki. Lewis otworzył kartkę i ze zdziwieniem zobaczył słowa: *Z wyrazami miłości, Ava.*

- Moja mama przysyłała Ci kartki? - zapytał, a Rose skinęła głową.

- Była dla mnie bardzo dobra - powiedziała.

Lewis przyglądał się kartce. Że też tajemnice matki zawsze go zaskakiwały. Poczul ukłucie zazdrości, że Rose знаła tę łagodną, kochającą stronę Avy. Zajrzał do pudła,



trochę w nim pogrzebał i już miał wyjąć plastikową przesuwaną układankę, gdy jego wzrok padł na stary notatnik Rose z Jimmym Stewartem na okładce, w którym zbierała poszlaki dotyczące zniknięcia Jimmy'ego. Ręka Lewisa zawisła w powietrzu.

Rose zerknęła na notatnik.

- Zachowałam wszystko, co w nim było - powiedziała. - Myślałam, że dam go Jimmy'emu, gdy go znajdę.

Lewis już dawno stracił swój notatnik. Tydzień po wyjeździe Rose wepchnął go do szuflady, a gdy wyjeżdżał do Madison, nawet nie pomyślał, by go z sobą zabrać.

Nigdy przedtem nie widział, co jest w notatniku Rose. Zawsze planowali, że porównają notatki, ale do tego nie doszło. Przewracał kartki. Jego notatnik zawierał fakty: godziny wyjść i powrotów sąsiadów, numery rejestracyjne nieznanymi samochodów, spis miejsc, w które mógł pójść Jimmy, jak Star Market, Harvard Square, zoo. Ale w notatniku Rose były wiersze, rysunki, listy do Jimmy'ego, a nawet coś w rodzaju opowiadań.

- Myślałem, że zapisujemy poszlaki - powiedział, a zakłopotana Rose wzruszyła ramionami.

- Dla mnie to były poszlaki - powiedziała.

Na jednej ze stron zobaczył swoje imię. ***Nikt nie wie, jak bardzo kocham Lewisa.***

Wstrząśnięty przeczytał kilka dalszych linii.

***Nawet Jimmy nigdy się nie dowiedział, chociaż czasami się dziwił, dlaczego tyle czasu spędzam z kimś od siebie młodszym. Nie wiem, co robić, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Nie mogę rozmawiać z przyjaciółkami, bo a) nie mam ich, b) dziewczynki są zbyt zajęte zakochiwaniem się w starszych chłopakach ze szkoły, c) myślą, że jestem niedojrzała i nie czuję tyle co one, ale ja wiem, że czuję więcej. Nie mogę rozmawiać z matką, bo jest zajęta obwinianiem mnie. Nie ma mowy o Avie, bo to matka Lewisa. A najgorsze jest to, że nie mogę porozmawiać z Lewisem, bo on nie wie, że go kocham.***

- O, nie - powiedziała Rose cicho. - Nie, nie, nie. Zakryła stronę dłonią i pociągnęła notatnik do siebie, ale

Lewis zdążył przeczytać jeszcze jedną linijkę: ***Jak to możliwe, że tak bardzo kocham Lewisa, gdy zaginął mój brat?*** Rose szybko wrzuciła rzeczy do wiklinowego pudła, opuściła wieko i zamknęła zasuwkę.

- Rose - powiedział.

- Byłam taka dziecinna. Taka egzaltowana.

Rose pogładziła wieko pudła, a Lewis spostrzegł, że spłoszyła. Poczul się zupełnie zagubiony. Okazało się, że wszystko, co wiedział na temat własnej przeszłości, nie było prawdą.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał cicho. Przez chwilę wachlowała się dłonią.

- Bałam się - odpowiedziała po chwili wahania.

- Cały czas byliśmy razem, a ty mi nigdy nie powiedziałaś. A gdy wyjechałaś i nie miałem od ciebie żadnej wiadomości, doszedłem do wniosku, że nic dla ciebie nie znaczę.

- Znaczyłeś dla mnie bardzo wiele - powiedziała. Usłyszał, że z trudem przełknęła ślinę. - Pamiętasz, jak stykaliśmy się czołami? Myślałam o kolorze niebieskim i ty od razu wiedziałeś, jaki kolor mam na myśli?

- Nie zawsze wiedziałem.

Pamiętał, że po prostu zgadywał, starając jej się przypodobać. A ona uśmiechała się i klepała go po plecach, niezależnie od tego, co powiedział.

- Ilekroć to robiliśmy, wiedziałam, co do ciebie czuję - powiedziała.

- Tak mi przykro, Rose... - Chciał coś dodać, ale ona uśmiechnęła się, obracając wszystko w żart.

Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Rose wstała i zamknęła pudło w biblioteczce.

- To już przeszłość - ucięła, unikając jego wzroku.

- Już późno. Prześpijmy się trochę - dodała i uciekła do sypialni.

Następnego dnia była sobota. Rankiem obydwójce czuli się niezręcznie. Lewis nie wiedział, jak ma się zachowywać i co mówić.

- Czuć się jak u siebie - powiedziała Rose, otwierając kredens, by pokazać mu pudełka z najrozmaitszymi płatkami śniadaniowymi.

Lewis wybrał sugar frosted flakes i wsypał trochę do dwóch misek. Obydwójce nie byli rozmowni, a dzwonienie łyżek doprowadzało Lewisa do szaleństwa.

- Mam pomysł - powiedziała Rose. - Chodźmy popływać. Znam wspaniałe miejsce, Pickerel Lake. Stąd tylko dwadzieścia minut jazdy samochodem.

- Popływać?

Pamiętał, że gdy byli dziećmi, Rose zabierała ich na basen w Green Acres Day Camp, gdy było tam zupełnie pusto. Lewis nie umiał pływać, ale nie chciał, by ktoś się o tym dowiedział. Był pewien, że Jimmy by go wyśmiał, więc stał w płytkiej wodzie, udając, że woli leniwie sobie brodzić, tylko czasami zanurzając się głębiej. Ale pewnego dnia, gdy Jimmy był u lekarza, Rose zabrała tylko Lewisa. Wskoczyła do wody i podpłynęła do niego na płyciznę. „Hej - powiedziała - nauczyłam się fajnego nowego stylu”. Przebierała rękami w wodzie, wpatrując się w Lewisa, a on zaczął ją naśladować. „Chodź, pościgamy się piaskiem” - zaproponowała, a on położył się na wodzie i zaczął ją zagarniać rękami. O dziwo, przesunął się nad dnem. Gdy wreszcie się zatrzymał po drugiej stronie basenu, obejrzał się i zobaczył, że Rose płynie za nim. Jej oczy lśniły. „Wygrałeś” - powiedziała od niechcienia.

Od tamtej pory uwielbiał pływać, ale mieszkając w Madison, ani razu nie poszedł na basen.

- Zatrzymamy się po drodze na State Street i kupimy ci kąpielówki - powiedziała Rose.

Gdy zajechali nad jezioro, Rose nie była pewna, czy dobrze zrobiła. Pamiętała, że gdy Lewis był mały, a ona chcia-

ła, by się odprężył, wystarczyło zaproponować wyścigi, przejażdżkę na rowerze albo inną aktywność fizyczną. Wymyślała wtedy najdziwniejsze zabawy. Rano, gdy był taki milczący przy śniadaniu, nie wiedziała, o czym ma z nim rozmawiać. Wpadła na pomysł, żeby popływać. Ale teraz, mając na sobie skąpy czarny kostium kąpielowy, czuła się jak naga. Brady mawiał, że gdy widzi ją w tym kostiumie, ma ochotę zanieść ją do sypialni.

Jezioro było niewielkie, z piękną piaszczystą plażą. Nie wolno tu było używać żadnych silników, więc panowała cisza i spokój. W jeziorze żyły samogłowy a kiedyś Rose zauważyła nawet suma. Spojrzała w niebo i zobaczyła leniwie krążącego jastrzębia. A oto i Lewis w nowych kąpielówkach. Rose spojrzała na jego mocną klatkę piersiową, muskuły na rękach i nogach, na ciepły odcień jego skóry. Poczwała, że robi jej się gorąco. Wbiegła do wody i zaczęła płynąć. Zimna woda przyprawiła ją o dreszcz. Słyszała za sobą Lewisa. Obejrzała się. Był już w wodzie. Spodziewała się, że jak dawniej będzie niezdarnie płynął pieskiem. Ale nie. Jego ruchy były pełne gracji. Wyglądał, jakby urodził się w wodzie.

Rose obróciła się na wznak, płynęła, patrząc w niebo.

Wszystko na nic. Sytuacja wcale się nie poprawiła. Lewis pływał daleko od niej. Równie dobrze mogliby tu przyjechać każde z osobna. Zamknęła oczy. Raptem, niespodziewanie, poczuła go tuż obok siebie. Lewis sprawiał wrażenie zrelaksowanego, a nawet szczęśliwego. Przyciągnął ją do siebie i przytknął czoło do jej czoła.

- Miałaś świetny pomysł - powiedział. Owionął ją jego oddech. - Zawsze umiałaś utrzymać mnie na powierzchni - dodał.

Przez chwilę czuła ciepło jego skóry, a potem puścił ją i płynął dalej.

W niedzielę Rose oprowadzała go po Ann Arbor. Lewis obrócił The Cube, wielki metalowy sześcian znajdujący się pośrodku Diag. Nie jest to trudne, bo opiera się on o pod-

łóże tylko jednym rogiem. Zabrała go na tańce do miejscowego klubu. Zaproponowała, by wrócili do domu dopiero wtedy, gdy byli złani potem. Tego wieczoru przejrzeni fotografie i papiery z innego pudła. Nie było tam jednak nic, co pomogłoby im w wyjaśnieniu nękającej ich tajemnicy. Rose wyjęła starą fajkę ojca i powiedziała:

- Matka zachowała ją na pamiątkę. A teraz jest u mnie.

- Ja miałem blaszaną przynętę na ryby. Nigdy nie lubiłem wędkować, ale podobało mi się, gdy ojciec zabierał mnie ze sobą.

- Naprawdę? I nadal ją masz?

Wyjął fajkę z rąk Rose. Poglądził palcem cybuch i delikatnie odłożył ją do pudła.

- Nie. Zabrał ją ze sobą.

- Myślisz o nim czasami?

Lewis wstał. Przeciągnął się, mówiąc:

- Jestem zmęczony.

Rose zorientowała się, że nie należy go naciskać.

Nazajutrz miała go zabrać do szkoły i przedstawić w klasie. Nie wiedziała, co się może zdarzyć później. Powiedział, że przyjedzie tylko na kilka dni, a potem wróci do siebie. Wiedziała tylko tyle, że cieszy ją jego obecność.

W poniedziałek rano Lewis stanął na progu klasy. Dzieciaki hałasowały, ganiały się pomiędzy ławkami, ale na widok Rose w towarzystwie Lewisa przystanęły i zamilkły.

- Kto to? - pytały, wytrzeszczając oczy.

- To mój przyjaciel Lewis. Opowie nam o pomocy pielęgniarskiej w szpitalu.

Szmer ucichł. Dzieci usiadły. Lewis wyszedł na środek. Dzieci przyglądały mu się, marszcząc brwi, jakby to nie było odpowiednie dla niego miejsce. Nabral powietrza w płuca. Wiedział, że dzieci należy zaskakiwać. Wielokrotnie zdarzało mu się wyciągać ćwierćdolarówki z uszu małych pacjentów. Zdumione sztuczką, dawały się przenosić z pokoju do pokoju. Zerknął na Rose. Miała na sobie su-

kienkę. Włosy spięła skórzaną klamrą. Patrzyła na niego wyczekująco, jakby to była próba teatralna, a ona nie była pewna, czy nauczył się tekstu.

- Bekanie - powiedział Lewis i dzieciaki natychmiast się ożywiły. Siedząca na końcu dziewczynka otworzyła usta. Chłopiec w pierwszej ławce uśmiechnął się z zachwytem. - Przyczyną bekania jest połknięte powietrze. Wydobywa się na zewnątrz przez rurkę zwaną przełykiem. - Narysował przełyk na tablicy. Biały jak mąka pył kredowy uniósł się w powietrzu. - To nic groźnego. Możecie bekać, napiwszy się płynu gazowanego lub celowo nałykawszy się powietrza. - Łyknął haust powietrza i z nadzieją, że mu się uda, beknął. Nastąpiło pełne zdumienia milczenie. Jedna z dziewczynek zachichotała.

- W porządku. Możecie spróbować - powiedział. Dzieci zaczęły bekać.

- Ja potrafię wybekać cały alfabet! - pochwalił się jeden chłopiec i beknął donośnie. Można się było dosłuchać głosek „A” i „B”.

Nastąpił istny koncert. Dzieciaki bekały i pękały ze śmiechu.

- Posłuchajcie! - wykrzyknęła jedna z dziewczynek. Weszła na krzesło, odchyliła głowę do tyłu i zakasowała

wszystkich. Rose stała nieruchomo. Milczała. Lewis zmartwiał. Przez niego dzieci tak się rozbrykały, że Rose ich nie opanuje. Ale nie. Rose uniosła rękę, jakby podnosiła kurtynę.

- Dzieci - powiedziała władcym tonem, a one spojrzały na nią.

Przez chwilę panowała pełna wstydu cisza. Lewis już miał zamiar przeprosić, ale wtedy Rose nabrała powietrza i beknęła tak głośno, że dzieci wpadły w zachwyt. Zaczęły bić brawo, a Rose lekko się skłoniła.

Lewis do końca tygodnia przychodził z nią do szkoły.

- Pan Lewis będzie naszym pomocnikiem - powiedziała Rose dzieciom.

Lewis namawiał dzieci do głośnego czytania, rozdawał przybory, zbierał kartkówki. Wieczorami pomagał Rose oceniać prace domowe. Podobało mu się w szkole, ale nie posiadał się ze szczęścia, gdy nadszedł piątek i zaczęły się ferie wiosenne. Miał ją teraz tylko dla siebie.

- Udanych ferii! - zawołała Rose na pożegnanie.

Na dworze padało. Dzieciaki, nie otwierając parasoli, wrzeszczały, wbiegały do kałuż.

- Do zobaczenia, panie Lewisie! - zawołało jedno z dzieci.

- Och, moje pantofle - rzekła Rose. Zerknęła na Lewisa i je zdjęła.

- To zaledwie kilka przecznic. Poradzimy sobie bez parasola - zapewniła go Rose, wystawiając dłonie na deszcz.

Jej włosy i sukienka wnet nasiąkły wodą. Mokra koszula i spodnie oblepiły ciało Lewisa.

- Oj, chyba nie miałam racji - powiedziała.

Wpadła na Lewisa, a on chwycił ją za rękę, by ją podtrzymać. Właśnie skręcali w boczną ulicę, gdy Rose nagle się wzdrygnęła i wydała cichy okrzyk. Spojrzeli pod nogi, a tam wokół bosej stopy Rose rozlewała się kałuża krwi. Obok, niczym diamenty, połyskiwały okruchy potłuczonego szkła. Rose schyliła się, by wyjąć ze stopy co większe odłamki. Lewis pokręcił głową.

- W ranie mogą tkwić małe odpryski - powiedział.

- Oprzyj się na mnie - dodał. Doprowadził ją do domu i pomógł wejść na piąte piętro. Szła, zostawiając ślady krwi. - Posprzątam później - obiecał, gdy oglądała się zaniepokojona. Posadził ją na kanapie.

- Zajmę się raną - powiedziała.

Ale Lewis już wszedł do łazienki. Otworzywszy apteczkę, westchnął. Była tam buteleczka perfum Arpège, szminka do ust Tangee i jakieś toniki. Nie było żadnych opatrunków, bandaży ani plastrów. Odsunął słoiczek z kremem do twarzy Pond's, chwycił myjkę i duży ręcznik. Znalazł pincetę i odkaził ją, przemywając alkoholem do nacierania.

Gdy wrócił, Rose była bez pończochy Jego oczom uka-

zała się długa blada noga. Lewis zobaczył, że Rose polakierowała każdy paznokieć na inny kolor. Zapragnął dotknąć ich wszystkich po kolei.

- Upaprzesz się krwią - ostrzegła Lewisa.

- Wypadek przy pracy - odparł Lewis. Podał jej duży ręcznik, by się nim okryła. Ujął jej stopę, rozgrzał ją i delikatnie przechylił. Poczł pulsowanie tętna przy kostce. Sięgnął po pincetę i ostrożnie wyjął kawałek szkła. Spojrzał na Rose. Nawet się nie skrzywiła. Patrzyła na niego z powagą. Lewis niespiesznie układał odłamki na myjce.

- Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości - powiedział. - Tyle krwi, ale to nic groźnego.

Skończywszy, powiódł palcami po podeszwie stopy, by wyczuć pozostawione odłamki.

- Twoi pacjenci muszą cię kochać - powiedziała. Lewis podniósł na nią wzrok. Nadal mu się przypatrywała.

- Boli? - zapytał.

Oczy miała głębokie jak jeziora. Lewis nie mógł się napatrzyć.

- Wszystko mnie boli - odparła. Poczł suchość w ustach.

- Oczy także? Potrzebne jest badanie lekarskie? Pochylił się i je ucałował. Rose się nie odsunęła.

- A nos? - zapytał.

- Boli nie do zniesienia. - Lewis ucałował czubek jej nosa. Widział cienie rzęs na jej policzkach.

- I okropnie bolą mnie wargi - powiedziała cicho.

A wtedy on ujął w dłonie jej podbródek. Patrząc Rose w oczy, przytknął czoło do jej czoła, a ona przysunęła się bliżej. Pocałował ją w usta. A ona oddała mu pocałunek. Zaczęła rozpinać guziki jego koszuli. Ułożył Rose na podłodze.

Rano wstał pierwszy, ubrał się i wszedł do kuchni. Otworzył lodówkę. Pustki jak u niego. Pół bochenka chleba, trochę sera, kilka kawałków owoców i zapleśniały brokuł.



- Cześć - usłyszał.

Obrócił się. Za nim stała Rose. Zaspana i piękna, z włosami w nieładzie. Przetarła oczy.

- Niewyspana? - zapytał, a ona pokręciła głową i usiadła. Pożerał ją wzrokiem. Znał Rose w dzieciństwie, ale teraz wszystko w niej było inne, wygięcie szyi, wdzięk, z jakim się poruszała. Napiła się soku.

- W porządku? - zapytała w końcu.

Nie wiedział, co ma na myśli i co ma jej odpowiedzieć. Przywykł do tego, że po wspólnej nocy kobiety nagle się zmieniają. Chcą mu szykować śniadanie. A potem lunch i kolację. Że chcą od niego czegoś, czego w nim chyba nie ma. Ale Rose była inna. Nie zamieniłby jej kuchni na żadne inne miejsce w świecie.

- W porządku - odparł. Narysowała kółko na wilgotnym stole.

- Co teraz zrobimy?

Na śniadanie poszli do małej kafejki, a potem spacerowali po kampusie, aż znaleźli osłonecznione miejsce. Usiedli na trawie.

- Tyle czasu rozmyślałam o przeszłości. I oto jesteś. Ważna jej część - powiedziała Rose. Zerwała dmuchawiec i zdmuchnęła nasionka, które leniwie poszybowały w powietrzu. Pogłaskała dłonią miękką trawę. - Może spróbowałbyś odnaleźć ojca - dodała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Co? Dlaczego miałbym go szukać? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wciąż dręczy mnie myśl, że nie mam już nikogo z rodziny. Ale ty masz, może nie powinieneś tego lekceważyć. Nie chciałbyś się dowiedzieć, co się stało z ojcem? Wiem, że gdy byłeś mały, nie bardzo się tobą zajmował. Ale może teraz się zmienił. Może zasługuje na to, by dać mu szansę. Nie myślałeś o tym?

Owszem, myślał o ojcu. Czasami, gdy rozpadały się jego związki, zastanawiał się, czy to może dlatego, że w domu

nie było mężczyzny który stałby się dla niego wzorem. Zajmując się dziećmi w szpitalu, kierował się instynktem. Traktował je tak, jak by chciał, by jego traktowano podczas choroby. To znów zastanawiał się, czy ojciec kiedykolwiek o nim myśli, czy żałuje, że odszedł.

- Myślę, że powinieneś go odszukać - stwierdziła Rose.

- I co wtedy?

- Co ma być, to będzie. Ale przynajmniej go poznasz.

- Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł.

- To twój ojciec. A ojciec to ojciec. Nie możesz go ot tak odrzucić. Jakby nic dla ciebie nie znaczył. - Wzięła go za rękę. - Poza tym chcę wiedzieć o tobie wszystko. Chcę wiedzieć, czy masz jego oczy i czy macie podobne poczucie humoru.

- Mogę cię zapewnić, że nie.

- Nie wiesz tego - powiedziała Rose. - Kiedy odszedł, byłeś bardzo mały. Teraz jesteś dorosłym mężczyzną. Jest zupełnie inaczej. Powinieneś go odnaleźć.

- Gdyby chciał, znalazłby mnie.

- Nie możesz wszystkiego zostawiać innym. Czasami trzeba coś zrobić samemu. - Pociągnęła go za rękaw.

- Pojadę z tobą.

- Naprawdę?

Jej oczy jaśniały. Nie bardzo wiedział, czy ma ochotę poszukiwać ojca. Żywił w stosunku do niego skomplikowane uczucia. Ale wiedział, że chce podróżować z Rose. Może poświęcą na to resztę ferii. Rose przysunęła się do niego.

- Ale jak byśmy go szukali? - zapytał.

- Trzeba zapytać Avę.

- Mamę? Ona nie wie, gdzie jest ojciec. A jeśli nawet wie, to mi nie powie.

- Może coś wiedzieć. Zatelefonuj do niej i zapytaj.

Zatelefonował do niej z mieszkania Rose. Matka podniosła słuchawkę po drugim sygnale, a usłyszawszy, że to Lewis, odezwała się głosem pełnym ciepła.

- Jak się masz, kochanie? - spytała.

- Jestem u Rose. Wziąłem sobie urlop, żeby ją odwiedzić.

- Rose. - Matka westchnęła. - To wspaniale. Bardzo się cieszę. Co u niej?

Opowiedział jej co nieco, a ona koniecznie chciała porozmawiać z Rose. Rose wzięła słuchawkę i od razu poweselała.

- Ja też - odparła, a potem oddała słuchawkę Lewisowi. - Powiedziała, że za mną tęskni - wyjaśniła. - Ze cieszy się, że jesteśmy razem.

- Wiesz co, mam - powiedział Lewis i zawahał się. - Chyba chciałbym odnaleźć tatę.

Nastąpiło milczenie. Lewis nie wiedział, czy matka gra na zwłokę, czy zastanawia się, dlaczego nie miałby szukać ojca.

- Wiesz, gdzie on jest? - zapytał. Matka westchnęła.

- Nie wiem - odparła.

- Mamo, proszę.

- Będę musiała odszukać adwokata, może on ma stary adres ojca. Nie wiem nawet, czy mi go kiedyś podał.

- Ale spróbujesz?

- Czemu ci na tym zależy, Lewisie? Co będzie, jeśli go nie znajdziesz albo jeśli ci się uda i okaże się, że on się nie zmienił?

Chciał odpowiedzieć, że nie ma dwunastu lat. Że nie musi go już chronić i okłamywać.

- Rose pojedzie ze mną. Poszukamy go razem.

- Ty i Rose? - Usłyszał zmianę w jej głosie. Była jego matką, więc na pewno rozważa, co dla niego lepsze. Lepiej, by miał miłą przyjaciółkę, którą ona aprobuje, czy lepiej, by nie odnalazł ojca?

- Jestem dorosły, mam. Wszystko zniosę. Po prostu chcę się z nim spotkać.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Podaj mi numer, a do ciebie zadzwonię. Ale niczego nie obiecuję.

Lewis odłożył słuchawkę. Nie bardzo wiedział, czy na

pewno chce szukać ojca, ale gdy spojrział na Rose, poczuł się tak, jakby rozbłysło w nim jakieś światło. Pochyliła się ku niemu.

- I co? - spytała. Lewis przełknął ślinę.

- Pomoże nam.

Dwa dni później, dzięki uprzejmości dawnego adwokata Avy który ją pamiętał, mieli adres w Cleveland. Lewis był zaskoczony, że matka nie udziela mu rad, jak ma zachować się wobec ojca. Spodziewał się, że go pouczy, żeby nie rozmawiał o niej, żeby uważał, co mówi, ale ona tylko podała adres i poprosiła, żeby dzwonił w razie potrzeby.

- Dziękuję, mam - powiedział z wdzięcznością. Wzięli samochód Lewisa i starą mapę z dzieciństwa, bo

miała dla nich symboliczne znaczenie, ale zatrzymali się na stacji benzynowej i kupili nową mapę stanu Ohio. Rozłożyli ją w samochodzie.

- Więc którądy pojedziemy? - spytała Rose.

Lewis prowadził, a Rose trzymała mapę, ale ilekroć szukał drogi, nie mógł jej znaleźć. Kiedy skręcił w zły zjazd, Rose zaproponowała, że będzie pilotem. Oparła stopy na desce rozdzielczej i wyśpiewywała do wtóru z radiem. Nachylił się i ją ucałował.

Poczuwszy głód, zatrzymali się, by zjeść coś w barze. Zamówili hamburgery i frytki, nim kelnerka podała kartę.

- Przypomina mi twoją mamę - powiedziała Rose, gdy kelnerka pospiesznie odeszła. Lewis nie bardzo wiedział, czy to ma być komplement. Miał nadzieję, że matka nie nosi czarnych obcisłych spodni torreadora i lśniącej obcisłej bluzki, gdy sprzedaje swoje ciasta w kawiarni.

Postanowili dla oszczędności przenocować w samochodzie. Rose podwinęła nogi i położyła się z tyłu. Lewis słyszał, jak się wierciła i kręciła. Wreszcie usiadła.

- Ile kosztuje motel? - spytała, wzdychając i rozcierając obolałe ramię.

Dojechali do najbliższego motelu, a tam na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: ZOSTAWCIE BRONŃ W DOMU!

- Jesteś pewny, że chcesz się tu zatrzymać? - spytała Rose, a Lewis rozejrzył się w koło.

Miejsce było ustronne. Nie zobaczył żadnych samochodów ani ludzi. Może to oznacza, że nie ma również broni -pomyślał z nadzieją. Nie wiedział, czy w pobliżu znajdują się inne motele, a jeśli są, to jak daleko.

- Chodźmy, nic się nam nie stanie - powiedział.

Podeszli do kontuaru i zadzwonili. Pojawił się znudzony recepcjonista. Lewis wpisał w księdze gości: *Państwo Lark* i podpisał się zamasyście, a Rose schowała ręce w kieszeniach, by urzędnik nie zobaczył, że nie ma obrączki. Tłumiąc ziewanie, dotarli do windy. Pośrodku windy leżał dywanik. Rose stanęła na nim i upadła. Poderwała się zaskoczona i uniosła brzeg dywanika. Okazało się, że linoleum jest wgniecione, a w podłodze pod nim znajduje się wyrwa. Lewis pociągnął Rose pod ścianę.

- Może pokój okaże się lepszy - powiedział z nadzieją. W pokoju stały dwa maleńkie pojedyncze łóżka. Na

ścianie wisiało ogromne malowidło przedstawiające klucz gęsi. Jeden z ptaków miał domalowane wąsy w kształcie kierownicy roweru. W łazience ścianę obok prysznic porastał grzyb, a sufit pokrywała siateczka pęknięć. Rose w milczeniu zastawiła drzwi krzesłem. Padła na łóżko i poklepała miejsce obok siebie.

- Chyba możemy powiedzieć, że mamy podróż z przygodami - powiedziała słabym głosem.

- Dziękuję, że jesteś przy mnie.

- Po to są przyjaciele. - Spojrzała na niego z powagą. - Nawet nie masz pojęcia, jak Jimmy cię bronił.

- Tamtego dnia nie stanął w mojej obronie. Dlatego byłem na niego taki wściekły.

Rose pokręciła głową.

- Pamiętam, jak dzieciaki mówiły, że za trochę pieniędzy-

dzy albo za lody jesteś gotów zrobić wszystko. A on wtedy stanął w twojej obronie.

Lewis się zawstydził. Będąc dzieckiem, łaknął ciastek, prezentów, przywilejów, których nie miał. Nie potrafił opanować tych pragnień. Kiedyś, gdy miał pięć lat, zdjął szorty za ciasteczko Oreo. Stał wtedy na ganku Danny'ego Zaroniego. Twarz płonęła mu ze strachu, ale myślał wyłącznie o ciastku, o rozpuszczającym się na języku cukrze, o smaku czekolady. Nagle pojawiła się matka Danny'ego i spojrzała na Lewisa z opuszczonymi do kostek szortami, po czym oskarżyła go o siusianie na ganku. „Poczekaj tutaj” - powiedziała groźnie, a on przerażony szybko podciągnął szorty. Wróciła z wiadrem mydlin i butelką lysolu. Kazała mu wyszorować ganek. Stała nad nim, nie przejmując się tym, że szorstki beton podrapał mu kolana. „Masz zmyć te wszystkie zarazki!” - krzychała.

- Teraz pamiętam - przyznał. - Jimmy kiedyś popchnął jednego z chłopaków i powiedział, żeby się zamknęli. Wtedy oni zaczęli się z niego wyśmiewać, wytykając mu, że nie ma ojca. Ale on nie dał za wygraną. Stanął w mojej obronie.

Lewis pogłaskał Rose po twarzy. Miała chłodną skórę.

- Kochał cię - powiedziała. - Zrobiłby dla ciebie wszystko. - Wstała i przeciągając się, dodała: - Jutro zobaczymy twojego ojca.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sobotni poranek Ava spędzała w domu, czytając powieść o owdowiałej kobiecie, która w pionierskich czasach desperacko walczyła z wilkami, by utrzymać gospodarstwo rolne w Kansas. Jednocześnie zastanawiała się, jak przebiega podróż Lewisa i Rose. Nie miała ochoty pomagać synowi w poszukiwaniu Briana, ale może nadszedł na to czas. Brian nie mógł jej teraz zaszkodzić i nie mógł skrzywdzić Lewisa, który jest dorosły i potrafi samodzielnie podejmować decyzje. Poza tym nie chciała przeszkadzać we wspólnych poczynaniach Lewisa i Rose. Zawsze kochała tę dziewczynę. Kto wie, może Lewis także ją pokocha.

Niespodziewanie rozległ się dzwonek u drzwi. Zdumiona Ava zrzuciła koc, zastanawiając się, kto to może być. Ściągnęła poły szlafroka i zerkając na swoje odbicia w lustrach, szła przez przedpokój w stronę drzwi. Poprzedniego wieczoru nie ułożyła włosów, ale zaskoczona stwierdziła, że podobają jej się takie naturalnie poskręcane i rozwichrzone.

Otworzyła drzwi. Na progu stał Jake. Miał na sobie garnitur i krawat. Długie włosy sięgały ramion.

- Ava - powiedział.

Przez chwilę miała wrażenie, że się zapada.

- Co tutaj robisz? - spytała ostro.

- Wpuść mnie i porozmawiajmy. Proszę.

- Nie.

Usiłowała zamknąć drzwi. Nie miała ochoty na niego patrzeć. Zostawił ją w chwili, gdy jej świat runął w gruzach. Przez wiele lat nie zatelefonował ani nie napisał. Na próżno starała się o nim zapomnieć, wspomnienia wciąż powracały. Ilekroć całowała się z mężczyzną, myślała o ustach Jake'a. Gdy rozbierał ją i kładł na łóżku, zdawało jej się, że obejmują ją ramiona Jake'a. Jake był jak tatuaż na jej skórze, jak niedająca się zmyć plama.

- Nie masz pojęcia, ile wycierpiałam - powiedziała. Charmaine zwykła mawiać: „Nie ustrzelisz kogoś, kto

nie chce być upolowany. Traktuj go tak, jakby to była guma do żucia, która przykleiła się do twojej podeszwy. Zdrap ją i zapomnij o niej. Idź naprzód”.

- Czego chcesz?

- Ciebie.

- Mogłeś mnie mieć.

- Avo, wpuść mnie. Co pomyślą sąsiedzi?

- Chrzanić sąsiadów - odparła Ava.

Ulitowała się jednak nad Jakiem. Otworzyła drzwi szerzej i pozwoliła mu wejść. Przechodząc, musnął ramieniem jej bark.

Jake nie był w jej domu od wielu lat. Ava przemeblowała salon i pomalowała ściany, ale on zachowywał się tak, jakby nic nie zauważył. Miała wrażenie, że wniósł w jej ściany jakieś ciepło oraz woń płynu po goleniu i dymu papierosów. Stał, przestępując z nogi na nogę. Wskazała mu fotel, a sama usiadła na kanapie.

- Usiądź - powiedziała.

Opadł na fotel i pochylił się ku niej.

- Dobrze wyglądasz, Avo. Zmieniłaś się.

- A ty wyglądasz jak dawniej.

- Nie. Jestem inny.

- Po co tu przyjechałeś?

- Tęskniłem za tobą - odparł po chwili milczenia.



- Ot tak, po prostu? Zażęskniłeś za mną? - prychnęła Ava.  
- Myślisz, że chciałem odejść?  
- Odszedłeś - odparła z goryczą.  
- Błagałem, żebyś ze mną pojechała, Avo. Ale ty nie chciałaś.  
- Byłeś karany - wypaliła. - Zmieniłeś nazwisko. Milczał. Poczuli się nieswojo.

- To chyba prawda, na Boga - powiedziała. - Nie byłem pewna, czy nie powiedzieli mi tego, by mnie zachęcić do jakichś obciążających cię zeznań.

- Miałem wtedy szesnaście lat - odparł cicho. - Wiesz, jak to jest w tym wieku.

Pomyślała o Lewisie. O tym, jaki milczący stał się w wieku szesnastu lat, ile miał przed nią tajemnic.

- Wiem - powiedziała.

Spojrzała na zaciśnięte wargi Jake'a, na jego pociemniałą twarz. Nie wiedziała jednak, czy to ze wstydu, czy z gniewu.

- Chcesz, żebym ci o tym opowiedział? Dobrze. Ten chłopak wciąż mnie okradał. Dzień w dzień. Gdy powiedziałem o tym dyrektorowi szkoły, nie uwierzył mi, bo to był dzieciak z bogatej rodziny, więc niby czemu miałby kraść? Ale on kradł i kradł. Pewnego dnia padał śnieg. Ten chłopak ze swoimi neandertalczykami czekali na mnie przed szkołą. Zażądali mojej kurtki. A on śmiał się ze mnie. Jakbym był niczym. Wtedy nie wytrzymałem i rzuciłem się na niego z pięściami.

Ava wpatrywała się w Jake'a.

- Pobiłem go do krwi, ale przestałem go okładać dopiero wtedy, gdy zamknął oczy i sflaczał pode mną jak galareta. Złamałem mu nos i żuchwę. Prałem go, chociaż jego kumple usiłowali mnie z niego ściągnąć. Bali się mnie. Trafiłem do poprawczaka. Nie przepadałem za szkołą, ale tam było tysiąc razy gorzej. Zasłużyłem sobie na to. Oto jaki byłem.

- Byłeś dzieckiem - powiedziała ze ściśniętym gardłem.
- Byłem wystarczająco dorosły by wiedzieć, że nie należy okładać kogoś, kto stracił przytomność. Byłem wściekły, przerażony i zawstydzony. Zapłaciłem za swój czyn.
- Ava patrzyła, jak gniew go opuszcza. Usiadł obok niej na kanapie.
- Zmieniłem się. Nie jestem już taki.
- Współczuję ci - powiedziała. Wzruszył ramionami.
- Nie musisz. W poprawczaku musiałem bić się codziennie i o wszystko. Po wyjściu miałem dość bijatyk. Wróciłem do domu i tylko grałem na saksofonie. Jakby od tego zależało moje życie. Grając, czułem się tak, jakbym mówił do instrumentu, a on mi odpowiadał. Im lepiej grałem, tym lepiej się czułem. Pozbywałem się gniewu. A gdy się go całkiem pozbyłem, zmieniłem nazwisko i pojechałem stopem do Bostonu.
- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?
- Chciałem rozpocząć od nowa. Pogrzebać przeszłość.
- Mogłeś to wyjaśnić na policji. Sprawy nie były z sobą powiązane.
- Nie? Ktoś, kto zawinił, jest już zawsze winny. Myślałem, że akta zostały unieważnione, bo byłem wtedy taki młody. Ale sąd mógłby nakazać ich udostępnienie.
- Sprawa Jimmy'ego została umorzona, już nie jesteś podejrzany, tak samo jak wszyscy inni.
- Gdybym był na miejscu, mogliby mnie wciąż nękać. Policja wyłaziła ze skóry, by coś wyszperać. Gdy znaleziono te kości, znów do mnie zatelefonowali, ale po kilku pytaniach dali spokój.
- A ty mnie zostawiłeś zupełnie samą - powiedziała cicho.
- Podczas przesłuchań w tym ciasnym pomieszczeniu cały czas myślałem o tym, jak wsadzają do pierdła niewinnych ludzi. Jak nie masz dobrego adwokata, jesteś stracony. A mnie na pewno na to nie stać. Połowa muzyków, z który-

mi pracuję, jest notowana. Wsadzają ich za wszystko, od narkotyków po napady, tylko dlatego, że nie mają stałej pracy. A ja już byłem karany. Ugrzązłbym w areszcie na wiele miesięcy i wypuściliby mnie dopiero po wyjaśnieniu sprawy, jeśli w ogóle zostałaby wyjaśniona. Nic dobrego by z tego nie wyszło, gdyby mnie zamknęli. Uwięziony nie mógłbym nic zrobić ani dla ciebie, ani dla Lewisa. Masz pojęcie, jak traktowaliby cię sąsiedzi?

- Nie wmawiaj mi, proszę, że zrobiłeś to dla mnie. Postawiłeś mi warunek: jadę z tobą albo zostaję tu sama. Jakby to był jakiś wybór. Nie miałam wrażenia, że wyjechałeś, by mnie chronić.

- Chciałem przy tobie zostać. Ale byłem idealnym kozłem ofiarnym. Samotny, muzyk, facet, który jeździ na motocyklu i był karany. I jest coś takiego jak wina z powodu zbiegu okoliczności.

- Nie napisałeś do mnie. Nie zatelefonowałeś. Nie pomogłeś w poszukiwaniach.

- Nie mogłem.

- Nie wciskaj mi kitu. Po prostu nigdy nie myślałeś, że możemy być razem.

- Myślę o tobie bezustannie.

- Nawet do mnie nie napisałeś.

- Nie było dnia ani nocy, żebym o tobie nie myślał. Zastanawiałem się, co robisz, jak się czujesz. Powiedziałem sobie, że to skończone, że muszę wyjechać. A potem wyrzucałem sobie tchórzostwo. Wiedziałem, że jestem tchórzem. Z upływem czasu czułem się coraz gorzej. Wiedziałem, że mnie nie przyjmiesz z powrotem, więc nawet nie próbowałem wracać. A potem przeczytałem o znalezieniu Jimmy'ego, o tym, że wszyscy wiedzą, że to był wypadek. I wszystko się zmieniło.

- Przestań - powiedziała Ava. Ale gdy usiadł obok niej, nie odsunęła się, chociaż ta bliskość ją niepokoiła. - Gdzie się podziewałeś? - spytała. - Co robiłeś?

Spodziewała się, że nagrywał płyty w Kalifornii, że gry-

wał w klubach przy plaży ale on znowu spojrzał na nią zbolalym wzrokiem.

- Uczyłem muzyki w Des Moines.

- W Iowa? - Spojrzała na niego niedowierzająco. Usiłowała go sobie wyobrazić na płaskich preriach. Pomyślała o grach, w które lubił grywać Lewis, gdy był dzieckiem. - Co w tym złego? - spytała. - Przez wszystkie te lata byłeś w Iowa?

- Pracę załatwił mi przyjaciel. Stały dochód. No i miałem pieniądze ze sprzedaży domu w Cambridgeport, więc koncertowałem tylko od czasu do czasu. - Wzruszył ramionami. - Nie było tak źle. Podoba mi się tam. Przywykłem.

- „Przywykłem” znaczy tyle, co „jestem szczęśliwy”? Że też trafiłeś do Iowa.

- Ale teraz jestem tutaj. Spójrz na mnie, Avo.

- Dlaczego? Nie ma tam wolnych kobiet? Czy może poczułeś, że się starzejesz, i pomyślałeś, że ja na ciebie czekam?

- Kocham cię, Avo - powiedział. Wstała i spojrzała na drzwi.

- Nie jestem na to gotowa - powiedziała, zastanawiając się, czy nie robi głupstwa. - Wyjdź, proszę.

- Czy mogę zatelefonować? Czy mogę tu wrócić?

- Nie wiem. - Gdy wstał i wyszedł, poczuła ulgę. Patrzyła przez okno, jak odjeżdża samochodem. Pomachał jej tęsknie, jakby ją przyzywał, ale ona trzymała ręce przy sobie.

Do końca dnia nic jej się nie udawało. Sięgnęła po książkę, ale odczytywała po kilkakroć tę samą stronę. Postanowiła ufarbować włosy na nowy odcień o nazwie Ognisty Rudzielec. Poszła do łazienki i pobrudziła farbą fugę, której nie mogła domyć. Zadzwoił telefon, ale nie podniosła słuchawki. Gdy zadzwonił następnego ranka, odebrała.

- Czy możemy się dziś zobaczyć? - zapytał Jake.

- Nie wiem.

- Wynająłem mieszkanie - powiedział. - Małą kawalerkę przy Moody Street. Nawet dałem koncert w Cambridge.

- Dlaczego?

- Żeby ci pokazać, że potrafię być poważny.

- A co z pracą w Iowa?

- Wziąłem urlop.

- Nie zrezygnowałeś?

- Jestem romantykiem, Avo, ale jednocześnie realistą. Zjedźmy razem kolację. Proszę.

- Dobrze. Kolacja. Ale to wszystko.

Ava poprosiła, żeby zabrał ją do Bell, bo Bell powiedziała jej kiedyś, że jest doskonałą znawczynią mężczyzn, a także dlatego, że chciała zaimponować Jake'owi.

- Upiekłam te wszystkie ciasta - pochwaliła się, pokazując wystawy.

Usiadła naprzeciw Jake'a. Podeszła Bell i przyglądała mu się.

- Jesteś dla niej dobry? - spytała.

- Oczywiście - odparł Jake.

- To twoje szczęście. Bo miałbyś ze mną do czynienia. - Puściła do niego oko, a on się roześmiał. - Lubię mężczyzn z poczuciem humoru - oznajmiła. Na odchodnym poklepała Avę po ramieniu.

Jake upierał się, by zamówić najdroższe potrawy z karty. Ava przez cały czas była roztargniona. Nie mogła przełknąć steku, tak miała ściśnięte gardło.

- Zjem to, jeśli ci nie smakuje - zaproponował Jake, nabijając mięso na swój widelec. Gdy podeszła kelnerka, zapytał, wskazując głową Avę:

- Czyż ona nie jest zachwycająca?

Wreszcie przyszła kolej na deser. Tego wieczoru było to ciasto kokosowe, jeden z najlepszych wypieków Avy. Jake wziął kawałek do ust i zamknął oczy. Westchnął z zachwytem. Ava poczuła ogarniającą ją falę ciepła.

Po kolacji odwiózł ją do domu. Po winie, które zamówił

Jake, i z głodu, bo prawie nic nie zjadła, zakręciło jej się w głowie.

- Możesz do mnie wstąpić - powiedziała łaskawie. Stała pośrodku salonu, trzymając się kanapy. Utkwiła wzrok w podłodze.

- O czym myślisz, Avo? - zapytał Jake.

Nawykła do mężczyzn, którzy gładzili jej dłonie lub wzdychali z ustami ukrytymi w jej włosach. Jake jednak nie nalegał, jak zawsze czekając na jej decyzję. Tego wieczoru Ava nie myślała o przyszłości. Myślała o dotyku jego skóry, o budzącym się pożądaniu. Czasami trzeba zbłądzić, by znaleźć właściwą drogę. Podeszła więc do Jake'a, wysunęła jego koszulę ze spodni, by go pogłaskać po plecach. Usłyszała, że głęboko westchnął. Przyłgnęła do jego ciała, słuchając oddechu, całując usta tak łapczywie, jakby go chciała połknąć.

Ave obudził warkot kosiarki. Bolała ją głowa. Jake spał obok, piękny i nieruchomy w świetle dnia. Jedną ręką oplótł ją zachłannie. Nigdy nie spała tak objęta, więc poczuła się dziwnie i niepewnie. Jake poruszył wargami.

- Shfl - powiedział, jakby mówił w nieznanym i tajemniczym języku.

Powiodła palcem po jego ustach, ale on ani drgnął. Dotknęła jego ramienia. Otworzył oczy. Uśmiechnął się do niej leniwie.

- Cześć - powiedział. - Uniósł głowę i pocałował ją w usta. Odsunęła się.

- Spóźnię się do pracy - powiedziała.

- Zostań dziś w domu.

- Muszę.

- Zawiozę cię.

- Nie, pojedę sama.

Weszła pod prysznic i puściła tak gorącą wodę, że poczerwieniała jej skóra. Ubrała się i wyszła z łazienki. Jake był już całkiem ubrany. Parzył w kuchni kawę.

- Jedna dla mnie, druga dla ciebie, dziecinko - powiedział.

Chciał wejść do biura i poznać ludzi, z którymi pracowała.

- Pochwal się mną - zażartował.

- Przyjdzie na to czas - odparła.

Zacząli się znowu spotykać. Ava zaznaczała randki w kalendarzu. Jake został na noc, na dwa dni, a potem na trzy, ale Ava nie odczuwała ani dreszczyku emocji, ani spokoju. Wciąż była niezadowolona.

Pewnego wieczoru w salonie Avy Jake grał dla niej na saksofonie. Miał zamknięte oczy, kołysał ciałem. Od czasu do czasu zerkał na nią, a potem znów zatapiał się w muzyce. Zwykle siadywała godzinami, po prostu słuchając, albo przytulała się całym ciałem do Jake'a, żeby przeniknęły ją wibracje. Tego wieczoru jednak poczuła chęć zanurzenia rąk w mące. Słuchając muzyki, pomyślała, żeby do ciasta gruszkowego dodać wiórków kokosowych i oprószyć żłobkowany brzeg brązowym cukrem. Gdy Jake skończył swój występ, wstała i poszła do kuchni, by zająć się wypiekami.

- Hej, dokąd to!? - zawołał, a ona się roześmiała. Posadziła go na stołku, żeby mógł się przyglądać, ale nie

chciała, żeby jej pomagał, bo to by ją rozpraszało. W końcu praca tak ją pochłonęła, że zapomniała o jego obecności. Później, jedząc ciasto, opowiadała, jak je zrobiła, tak samo jak on opowiadał jej o swoim graniu. Jake wyskrobał talerzyk do czysta i wskazując Awę widelczykiem, rzekł:

- Sam nie wiem, co jest bardziej smakowite, ty czy twoje wypieki.

Później, gdy leżeli razem w łóżku, Jake oparł głowę na piersiach Avy i objął ją w talii. Byli tak spoceni, że wstał i przyniósł z kuchni miskę pełną kostek lodu. Wziął jedną z nich i powiódł nią po ciele Avy aż przeszedł ją dreszcz. Wtedy znowu położył się obok. Zamknęła oczy. Na schłodzonej lodem skórze poczuła gorącą skórę Jake'a.

Sięgnęła po kawałek lodu i wsunęła go sobie do ust. Szybko stopniał na jej języku. Zbliżało się lato. Nim się obejrzy zaczęły się wakacje, ojcowie będą podlewać trawniki, a żony wynosić dla nich oszronione dzbanki z lemoniadą. Sąsiedzi już wiedzieli, że Jake wrócił, ale ku zaskoczeniu Avy pozdrawiali go, machając. Bell chyba go polubiła. Za każdym razem, gdy przychodzili razem do jej kawiarni, podawała Jake'owi ogromne porcje.

- Z nami jest tak jak w muzyce - powiedział kiedyś. - Wszystko zależy od wycucia czasu. Teraz sąsiedzi dali nam spokój. Twój syn dorósł i jest samodzielny. Nie ma żadnych byłych małżonków. Tylko ty i ja. - Pocałował ją w usta. - Czy chciałabyś wyjść za mąż?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To poważna propozycja?

- A dasz mi poważną odpowiedź?

- Nie wiem. Muszę się zastanowić.

- Gdy tylko będziesz gotowa - odparł, ujmując jej twarz w dłoń.

Następnego dnia w pracy Ava była tak pochłonięta rozmyślaniami, że nie przejęła się wrzaskami Richarda, który napominał ją z powodu literówki.

- Klient nosi nazwisko Bohart, nie Bohert - warknął. - Weź sobie wolne i pójdz do okulisty.

Charmaine spojrzała na nią z niepokojem.

- Coś ci dolega? - spytała.

- Nie jestem pewna - odparła Ava.

Wsunęła do maszyny nowe arkusiki papieru przedzielone kalką i zabrała się do pisania. Piekły ją oczy. Najchętniej wyszłaby z biura i odnalazła Jake'a, żeby z nim porozmawiać. O czwartej zdała sobie sprawę z tego, że przepisała zaledwie sześć faktur, a czekało jeszcze co najmniej dwadzieścia.

Podeszła do automatu ze słodyczami, ale zmieniła zamiar i zatelefonowała do Jake'a. Odezwał się zaspanym głosem. Ava odchrząknęła.



- Kochasz mnie - oznajmiła.  
- Zawsze cię kochałem.  
- W takim razie tak.  
- Co „tak”?  
- A jak myślisz? - Jake się roześmiał, a ona usłyszała dziwne brzęczenie. Dopiero po chwili zorientowała się, że to drży jej ręka, uderzając słuchawką o ścianę.

Po tygodniu błysnęła małym tanim pierścionkiem, który kupił jej Jake. Betty i Charmaine wpadły w zachwyty.

- Najpierw Cathy, a teraz ty - powiedziała rozmarzona Charmaine.

Ava wiedziała, że ma szczęście. Większość kobiet nie wychodzi ponownie za mąż, zwłaszcza tych po czterdziestce. Jake miał się wkrótce wprowadzić do jej - ich - domu. Połączywszy dochody, prawdopodobnie będą go mogli kupić w przyszłym roku.

Wieczorem, gdy Jake koncertował w Blue Owi, zatelefonowała do Lewisa. Lewis nigdy nie lubił Jake'a. A jeśli nie zechce przyjechać na ślub? Przecież bez niego nie będzie mogła wyjść za mąż. Czekwała, nie odkładając słuchawki. Prawdopodobnie nadal podróżuje z Rose. Może zrezygnowali z poszukiwania Briana i pojechali na wycieczkę. Wciąż miała nadzieję, że zew miłości okaże się silniejszy niż chęć odnalezienia ojca.

Wreszcie zrezygnowała i odłożyła słuchawkę. Minęły niemiłe chwile, gdy przerażała ją dźwięk telefonu, bo nie wiedziała, kto dzwoni i czego może od niej chcieć. Ma za sobą bezsenne noce nad niezapłaconymi rachunkami. Noce, gdy wszedłszy do pokoju syna, przyglądała się, jak śpi. To moje dzieło - myślała o synku. Dla niego żyję. Wychodziła dopiero wtedy, gdy poczuła się lepiej.

Weszła do pokoju Lewisa. Wiedziała, że syn najprawdopodobniej nie zechce tu znowu zamieszkać, ale zachowała jego łóżko, książki, niektóre rzeczy. Czasami przychodziła tu za dnia, by sobie poczytać. Chłopcy. Dawno temu, będąc w ciąży, wiedziała, że Brian pragnie syna.

Znosił do domu miniaturowe kije i piłki baseballowe. Podczas porodu nie przestawała jednak myśleć: Annabelle, Christine, Joella. A potem lekarz zagrział: „Piękny chłopak!”. Ava przez chwilę nie mogła uwierzyć, że to nie jest pomyłka.

Ale zakochała się w Lewisie. Był ostrożnym chłopczykiem, mocno stąpającym po ziemi. Może jest teraz szczęśliwy. Może jest w łóżku z Rose, kobietą, którą kocha. I którą kocha Ava. Może tak właśnie ma być.

Usłyszała klucz w zamku. Już po północy, nadchodzi godzina wilka. Wyszła do przedpokoju. Poczula woń zadymionego klubu i chłód nocnego powietrza.

- Cześć, kochanie - powiedziała, a on spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie śpisz. Chciałem ci sprawić niespodziankę. - Uśmiechnął się szeroko.

Podeszła, stąpając bosą po chłodnej podłodze i oparła głowę na jego ramieniu.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała. - Tęskniłam za tobą tak długo.

Później, w łóżku, przytuliła się do niego, grzejąc sobie stopy. Spojrzał na nią i roześmiał się, sięgając po jej rękę, by ucałować każdy palec.

- Szkoda, że nie znałem cię wcześniej - powiedział. - Byłbym twoim pierwszym chłopakiem, pierwszym mężem, a ty nie musiałabyś przeżywać tego wszystkiego. Nie musiałabyś tutaj mieszkać.

- Mnie się tu podoba - odparła.

Nawinął sobie na palec pasmo jej włosów. Przytulił mocniej.

- Wiem, że to, co teraz powiem, jest okropne. Ale wciąż myślę o tym, że to, co mamy teraz, zawdzięczamy odkryciu tej strasznej tragedii.

Ava przykryła się prześcieradłem.

- Co masz na myśli? - spytała.

Jake obrócił się twarzą do niej. Wziął ją za rękę i chuchnął w jej dłoń, jakby były zmarznięte.

- Teraz jest świetnie, prawda? A ja pamiętam, jak patrzyli na nas sąsiedzi. Pamiętam, że Lewis za mną nie przepadał.

- Lewis był wtedy dzieckiem. I teraz mamy innych sąsiadów.

- Wiem, ale wtedy. O Jezusie. I ci gliniarze. Jimmy zaginął i wszystko się posypało. Ale teraz spotkaliśmy się w bardziej sprzyjających okolicznościach. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie - powiedziała Ava, przyglądając mu się. - Nie rozumiem.

Jake nachylił się nad nią, jakby miał jej powierzyć jakąś tajemnicę.

- W dniu, w którym zaginął Jimmy, coś się wydarzyło - rzekł.

Opowiedział Avie, że gdy po raz pierwszy do niej przyjechał, poczuł strach, zanim jeszcze zapukał do jej drzwi. Słyszał, że ludzie uważają przedmieścia za najlepsze miejsce do zamieszkania, że uciekają z zatłoczonych miast w poszukiwaniu porośniętej trawą parceli i małego domku z ogródkiem. Gdzie dzieci są bezpieczne, a dorośli żyją prawdziwym życiem. Słyszał to milion razy. Ale był mieszczuchem. Chciał się znajdować w centrum zdarzeń, więc był szczęśliwy, gdy znalazł dom w Cambridgeport, który kupił za niewielkie pieniądze. Była to wtedy ruina, ale poświęcił wiele czasu, by go wyremontować. Dzięki temu dom podwoił swoją wartość. Jake przepadał za zgiełkiem Cambridgeport. Uwielbiał wyskoczyć z łóżka o trzeciej rano i wyjść na tętniące życiem ulice, gdzie o każdej porze można wypić kawę i zjeść jajka lub spaghetti. Lubił przelewające się chodnikami tłumy ludzi. Lubił przechwytywać ich spojrzenia. Miasto ma swój rytm, swoją melodię, które dodają Jake'owi energii.

Na widok ulicy, przy której mieszkała Ava, zapragnął

zawrócić i zmykać. *Zobaczył* rzędy domów ustawionych równiutko niczym pudełka po butach, starannie utrzymane trawniki, przycięte niemal jak włosy na głowie. Drzew było niewiele, przynajmniej wtedy; tylko sadzonki, z których w przyszłości miało coś wyrosnąć. Wszystkie domy, z wyjątkiem domu Avy który był jaskrawoniebieski, miały identyczną spłowiałą pastelową barwę oraz identycznie wybrukowane, prowadzące do wejścia, chodniki. Nie sposób było odróżnić jeden od drugiego. Przedmieścia. Według Jake'a nie nadawały się do życia.

- Żyje się bardzo wygodnie - zaprotestowała Ava. - Co tydzień przyjeżdża ciężarówka z ciastami firmy Drake's Cakes, przychodzą sprzedawcy środków czyszczących kompanii Fuller Brush oraz konsultantki z Avon, a także ostrzy-ciel noży i dostawca mleka.

- A ja wychodzę z domu i mogę to wszystko kupić, kiedykolwiek zechcę. Mamy coś, co się nazywa „sklepy” - odparł Jake, a Ava się roześmiała.

Ale niepokoiło go coś więcej. Ava miała dziecko i uważała, że Jake nie nadaje się do tego, by je wychowywać. Usiłował więc wypaść jak najlepiej. Wypytywał ją o Lewisa. Jakim jest dzieckiem? Czy grywa w baseball? Czy jest bystry? Czy ma przyjaciół? Poprosił, żeby mu pokazała fotografię syna. Zobaczył na niej piegowatego chłopca o wielkich oczach. Ava zawsze lubiła opowiadać o Lewisie i mówiła o nim z rozrzewnieniem. Boże, ależ go kochała! Chwaliła się, że jest bardzo mądry, chociaż ma słabe stopnie w szkole. Wspomniła, że bardzo tęskni za ojcem, który nie zasługuje na uwielbienie syna. Opowiadała o Rose i Jimmym, których traktuje jak własne dzieci. Zwłaszcza Jimmy'ego, który jest najlepszym przyjacielem Lewisa. To dobrze - pomyślał wtedy Jake - Lewis ma przyjaciela, więc będzie zajęty, dzięki czemu on i Ava będą mieli czas dla siebie. Ale gdy usłyszał, że Jimmy często u niej bywa, odniósł wrażenie, że chłopak jest w niej zadurzony, więc poczuł się nieswojo. „Nie zachęcaj go” - powiedział.

W dniu, w którym zaginął Jimmy, Jake planował odwiedzić ją wcześniej, ale Ava powiedziała, że około czwartej wyjedzie do pracy. Pomyślał więc, że pod jej nieobecność zrobi niespodziankę i zreperuje pęknięty schodek prowadzący na ganek jej domu. Szybko się z tym uwinął i miał wrócić do siebie, by wziąć prysznic i ubrać się na wieczorną randkę. Był trochę zdenerwowany, bo miał poznać Lewisa. Poczł na sobie czyjś wzrok, a gdy się obejrzał, zobaczył przyczajonego w zaroślach chłopca, który przyglądał mu się przez turkusowy peryskop.

- Myślisz, że jestem szpiegiem czerwonych? - zapytał Jake. Przyłożył do oczu zwinięte dłonie i spojrzł przez nie na chłopca. - Ktoś ty taki? - zapytał.

- Jimmy.

Jimmy opuścił peryskop i wstał.

- Nie powinienes być w szkole? - zapytał Jake.

- Już po lekcjach - odparł Jimmy wsuwając peryskop do kieszeni.

- Gdzie są twoi koledzy?

- Na głupkowskim festynie dobroczynnym w kościele. A mój najlepszy przyjaciel Lewis jest u dentysty. - Wzruszył ramionami. - Nie mogę się doczekać mojej siostry Rose. Nie mam pojęcia, dokąd poszła. - Jimmy rozejrzał się w koło. - A tu nic się nie dzieje.

- Dlaczego nie zaczekasz na nich u siebie w domu?

- Wolę być tutaj. To wolny kraj. - Jimmy nie ruszał się z miejsca na trawniku Avy. - Pan i Ava pobieracie się, tak? -zapytał.

- To nie twoja sprawa - odparł Jake. Dzieciak ani drgnął. -Powinienes zmiatać do domu - powiedział Jake stanowczym tonem. Wtedy Jimmy podszedł do motocykla Jake'a i go kopnął. - Hej! - krzyknął Jake. Jimmy odskoczył, ale spojrzł na Jake'a wyzywająco. - Co ty wyprawiasz? Dlaczego to zrobiłeś? To nie jest zabawka - zganil go Jake.

Wargi Jimmy'ego zadrżały. Jake pomyślał, że chłopak zaraz się rozpłacze. Tylko tego było mu trzeba.

- Problem polega na tym, że obydwaj kochamy się w Avie - powiedział spokojnie. - Mam rację?

Dzieciak nie zaprzeczył. Po prostu gapił się na Jake'a.

- Bądź mężczyzną i odpowiedz - powiedział Jake. Wiedział, że dzieci lubią, by ich traktować jak równych sobie, jak dorosłych, ale Jimmy milczał nieugięte. Czas na inną taktykę.

- W takim razie ja będę mówił do ciebie. Wiesz, jaka jest między nami różnica? Ja jestem dorosły, a ty jesteś dzieckiem i powinieneś przebywać z rówieśnikami - powiedział głośniej, niż miał zamiar. - Zmywaj się stąd.

- Ja tutaj mieszkam - odparł Jimmy. - To moja ulica, a Ava jest moją przyjaciółką. Może to pan powinien się stąd zmyć.

Jimmy obrócił się i znowu kopnął motocykl, który upadł na ziemię. Na lusterku wstecznym pojawiły się rysy. Jimmy pobladł. Takie lusterko jest kosztowne. Jake szczyił się swoim motocyklem, a ten dzieciak ośmiela się go niszczyć. Niewiele myśląc, chwycił Jimmy'ego za koszulę. Pociągnął gwałtownie, unosząc chłopaka ponad ziemię. Jimmy krzyknął. Jake natychmiast go wypuścił. Jimmy upadł na chodnik. Jake pochylił się, podając mu dłoń, ale Jimmy jej nie przyjął. Jake zastanawiał się, czemu tak potraktował dzieciaka. Co też mu przyszło do głowy?

- Nic ci się nie stało? - zapytał. Własny głos wydał mu się jakiś dziwny jakby dobywał się z puszki. Jimmy odskoczył od niego.

- Wszystko powiem - zagroził.

- Nie ma o czym mówić - odparł Jake, ale poczuł ciarki na plecach.

- Pan się na mnie rzucił - powiedział Jimmy oskarżycielsko.

Słońce paliło. Po plecach Jake'a spłynęła strużka potu. Z daleka dobiegało histeryczne ujadanie psa.

- Nie chciałem - powiedział Jake.

Jimmy podparł się pod boki. Jake nagle poczuł, że cała

ta sytuacja jest po prostu śmieszna. Dzieciak miał umazaną twarz. Koszula wyszła mu ze spodni. Jego tenisówki pokryte były bągrolami. Czyżby był zazdrosny o chłopca? Lepiej być z nim w zgodzie, mieć go po swojej stronie. Jake wiedział, jak to zrobić.

- Hej - powiedział. - Chcesz się przejechać na moim motocyklu?

W oczach Jimmy'ego zabłysła iskierka.

- Naprawdę? Nie jest zepsuty?

- To tylko lusterko. Da się zreperować.

- Pan nie żartuje?

- Przejedziemy się. Naprawdę bardzo wolno.

- Słowo? Naprawdę? - Jimmy aż zeszywniał z podniecenia.

Jake podał mu swój kask.

- Usiądź z tyłu i trzymaj się mnie, jakbyś był przyklejony.

Kask był za duży i spadał mu z głowy, ale Jimmy promieniał, przytrzymując go ręką. Jake poczekał, aż Jimmy wsiądzie na motocykl.

- Teraz spokojnie - powiedział Jake.

Ruszyli tak wolno jak piechotą, ale Jimmy i tak był zachwycony.

- Bruum! - krzyknął Jimmy.

Jake prowadził powoli i spokojnie. Objechali kwartał, minęli ogromne zwalone drzewo, minęli dwie sąsiadki, które stały na chodniku pogrążone w rozmowie. Podjechali z powrotem pod dom Avy i Jake pomógł zsiąść Jimmy'emu. Twarz chłopca pojaśniała z zachwyty. Jake podał mu rękę jak dorosłemu mężczyźnie, a ten uścisnął ją z powagą.

- Dzięki - powiedział Jimmy. - Naprawdę. Dziękuję milion razy. Było bardzo w dechę.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - spytał Jake. Jimmy skinął głową.

- Idę do domu - oznajmił.

Jake patrzył, jak chłopiec przebiega na drugą stronę uli-

cy. Chyba mógłby polubić tego dzieciaka. Może polubi również Lewisa. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do piątej. Zdaży tu z powrotem na siódmą.

Kilka godzin później przebrał się w garnitur. Wziął pieczołowicie wybrany prezent dla Lewisa (zestaw do magicznych sztuczek, bo Ava powiedziała, że jej syn lubi czary). Nadchodził wielki wieczór. Miał poznać Lewisa i chciał, żeby spotkanie było udane.

Ale Ava była roztargniona, bo Lewis nie wrócił do domu. Jake robił, co mógł, by ją jakoś wesprzeć.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił.

Objął ją ramieniem. Nie odczuwał niepokoju. Jeszcze nie. Dzieci, jak to dzieci, w końcu przyjdą. A może Lewis chciał w ten sposób powiedzieć Jake'owi, żeby się odwalił. Ale Jake to zniesie. Da Lewisowi upominek i kupi lody o ulubionym smaku. Pokaże Avie, że zreperował schodek, a potem, gdy zostaną sami, opowie jej, jak się zaprzyjaźnił z Jimmym, pomijając epizod, kiedy wpadł w złość.

Ava naprawdę się denerwowała, zwłaszcza po telefonie matki Jimmy'ego, która powiedziała, że Jimmy i jego siostra nie wrócili do domu, więc wezwała policję. Jake stał na ulicy z Avą i z sąsiadami. Pojawili się policjanci. A potem ukazali się Lewis i Rose. Jake zobaczył, że nie ma z nimi Jimmy'ego. Wtedy poczuł się tak, jakby tonął. „Zmywaj się”- powiedział chłopakowi. Spadaj. A chłopak zniknął i nikt nie wie, gdzie się podział. Wszyscy zadawali pytania. Jake myślał o tym, że woził chłopca na motocyklu. Zastanawiał się, czy ktoś ich widział. Z wrażenia aż się spocił.

Sytuacja stawała się coraz gorsza. Policjanci wypytywali Avę, a potem wywołali Jake'a z koncertu i znów pytali o to samo.

- Aha - powiedział jeden z gliniarzy. - Muzyk jazzowy. -Jakby to było przestępstwo. Pytali go o to, co robił tamtego dnia. - Jak pan powiedział, że ile czasu spędził pan z Jimmym? - pytali.

- W ogóle go nie znałem - skłamał.



- Popytamy sąsiadów, zobaczymy, co powiedzą - oznajmił poliçant.  
Jake zniechęcił wizyty na przedmieściu Avy. Sąsiedzi tkwili na ulicy, pilnując dzieci. Jake bał się, że ktoś go wskaże, mówiąc: „Hej, przecież to pan woził Jimmy'ego na motocyklu tamtego dnia”. Albo: „To pan rzucił się wtedy na dzieciaka”. Wszystko się zmieniło. Gdy przyjechał tam po raz ostatni, widział, jak Ava rozmawia z grupą sąsiadów. Ludzie starali się sobie przypomnieć, co widzieli, i nawet Jake poznał, że zmieniają fakty. Czarny samochód nagle stał się brązowy i pędził ulicą, a potem jechał zwyczajnie. Widział, że odwracają się plecami do Avy, pozostawiając ją bezradną na środku ulicy.

„Wyjedźmy stąd” - zaproponował potem. Wszystko sobie obmyślił. Zawsze znajdą się chętni na jego dom. Sprzeda go w mig. Przenieśliby się do Kalifornii. Wyobrażał sobie, jak codziennie wraca do Avy i coraz lepiej poznaje Lewisa. Ale Ava zaczęła się wykręcać, wymyślała rozmaite przeszkody. A to Briana, a to śledztwo w sprawie zniknięcia Jimmy'ego. Zastanawiał się, czemu nie chce mu zaufać i po prostu wyjechać. Jeśli on tutaj zostanie, policja będzie go nękać pytaniami. Ale wyjeżdżając, zostawi Avę.

Potem odbyła się rozstrzygająca rozmowa w klubie. On namawiał, by z nim wyjechała, a ona odmawiała. W takim razie niechaj z nim zerwie. Niech sobie radzi sama. Ale któregoś wieczoru zatęsknił za nią tak bardzo, że przyjechał na motocyklu, by przeproszać i znowu namawiać.

Była ósma wieczorem, zapadał zmierzch. Sąsiedzi rozchodzili się w grupach, oświetlając drogę latarkami. Zupełnie jak w tym starym filmie o Frankensteinie, gdzie wieśniacy gniewnie wymachiwali pochodniami, poszukując potwora - pomyślał Jake. Słyszał coraz donośniejsze głosy sąsiadów. „Znajdziemy go!” - powiedział ktoś, skandując. Nieważne, czy jest się winnym, czy nie. Liczy się to, co myślą ludzie. A Jake świetnie się nadawał na kozła ofiarnego, którego byli gotowi zabić. Ile czasu minie, nim Ava

także zwróci się przeciwko niemu? Popęłił błąd, złościąc się na Jimmy'ego.

Zawrócił i odjechał do swojego domu. Od razu zaczął telefonować. Miał przyjaciół w Kalifornii, którzy byli właścicielami klubu. Znał ludzi w San Diego, u których mógł się zatrzymać, dopóki nie osiadzie gdzieś na stałe. Miał przyjaciół w Des Moines. Myślał o plaży i o oceanie, i o tym, że wyrzuci skórzaną kurtkę, bo jest tam tak gorąco.

Odbył sześć rozmów telefonicznych i po upływie godziny oczyma wyobraźni widział się w Iowa. Następnego ranka miał przyjść agent handlu nieruchomościami i wystawić dom na sprzedaż. Jake nawet nie musiał być obecny.

Powiedział sobie, że wyjeżdża nie ze strachu przed oskarżeniem i umieszczeniem go w więzieniu. Po prostu z Avą nigdy mu się nie ułoży, bo rozdziela ich Jimmy. Powiedział sobie, że gdy wyjedzie, Ava będzie mniej narażona na podejrzenia policji i niechęć sąsiadów. Zresztą to ona nie chciała z nim wyjechać. Prosił ją i nalegał, ale ona pozostała niewzruszona.

Nie brał pod uwagę tego, że nie będzie potrafił o niej zapomnieć.

Ava przypatrywała się Jake'owi, który na chwilę przykrył usta dłonią.

- Oto i cała historia - powiedział.

Chciał przygarnąć Avę, ale ona się odsunęła.

- Minęło tyle czasu, a ty nie wspomniałeś o tym, co najważniejsze - rzekła z wyrzutem.

- Przyznaję, źle postąpiłem. Nie powinienem był cię zostawić.

Sprawiał wrażenie zniszczonego, jakby ktoś zamazał jego rysy. Po raz pierwszy spostrzegła, że ma opuszczone kąciaki warg. Jego przystojna twarz wyblakła. Jake musnął włosy Avy a ona się zachnęła.

- Nie jesteś moją dziewczyną? - spytał. Milczała.

- Karany w przeszłości - powiedziała wreszcie. - Byłeś wtedy dzieckiem i zapłaciłeś za swoje przewinienie. Ale to z Jimmym? Byłeś dorosły. Wiedziałeś, co robisz.

- Nie zrobiłem mu krzywdy, Avo. Po prostu się wystraszył. Straciłem panowanie nad sobą, ale tylko na chwilę. I wynagrodziłem mu to. Postąpiłem dobrze. Gdy odjeżdżałem, był uszczęśliwiony.

- Ale nie powiedziałaś mi o tym.

- Szarpnąłem Jimmy'ego. Wiedziałem, że to źle wygląda. Po czymś takim łatwo się było do mnie przyczepić.

- Pozwoliłeś, bym myślała, że wyjeżdżasz z zupełnie innego powodu. Chciałeś się pokazać w lepszym świetle. Udawałeś, że nie zrobiłeś nic złego. W gruncie rzeczy dbałeś wyłącznie o własną skórę. Jimmy nic cię nie obchodził. Ani ja.

- Co byś sobie pomyślała, gdybym ci powiedział, że się rzuciłem na Jimmy'ego? Nie miałem nic wspólnego z jego zaginięciem, ale co byś sobie pomyślała?

- Czy ty rozumiesz, co mówisz?

- Widzisz to wszystko całkiem opacznie.

- Łatwo było wrócić teraz, kiedy nic ci nie grozi. - Pomyślała o sytuacjach, gdy czuła się przy nim bezpieczna, siedząc za nim na motocyklu, podziwiając gwiazdy, pływając na wypożyczonej łodzi po rzece Charles, gdy wiatr rozwiewał jej włosy. - Widzę to tak, jak należy - powiedziała.

Spochmurniał.

- Avo.

Ava wstała z łóżka. Patrząc na Jake'a, włożyła szlafrok.

- Avo, ty mnie kochasz. Wiem, że mnie kochasz.

- Byłam tu cały czas, a tobie nawet nie przyszło do głowy, by wrócić, nim znaleziono szczątki Jimmy'ego. I nie wróciłeś z tęsknoty za mną, ale dlatego, że nie miałeś się już czego obawiać. Wciąż mnie okłamujesz. Nie widzisz tego? Co jeszcze przede mną ukrywasz?

- Nie mów tak. - Jake wstał i usiłował ją przytulić, ale

się wywinęła. - Nie cenisz tego, co nas łączy? Chcę się tobą zaopiekować.

- Przez długi czas radziłam sobie sama. Chcę, żebyś wyszedł - powiedziała. Gdy się nie ruszył, schyliła się, pozbierała jego ubranie i rzuciła na łóżko. - Ubieraj się.

Jake spojrział na nią z niedowierzaniem i ociągając się, włożył koszulę i spodnie. Wsunął stopy do butów.

- Dojdziemy do porozumienia - powiedział.

Ava podeszła do drzwi, otworzyła je i czekała, aż Jake wyjdzie. Zamknęła drzwi na zamek i oparła się o nie plecami. Rozplakała się. Była bardzo zmęczona.

Jake wciąż do niej wydzwaniał. Podnosiła słuchawkę tylko dlatego, że mógł to być Lewis z wiadomościami o ojcu.

- Zapomnijmy o całej sprawie - powiedział Jake.

- Przestań do mnie telefonować.

A przecież dawniej czuła się przy nim taka szczęśliwa. Cóż, widziała tylko to, co chciała widzieć. Jake traktował ją jak równą sobie. Miał stałe zajęcie i dom. Pozwalał jej podejmować decyzje. Mogła wybierać restauracje. Powiedzieć mu, jakie lubi pieszczoty. No, i te cudowne wieczory, gdy grał dla niej, kołysząc się do rytmu, jakby zatonał w jakimś magicznym świetle, na który ona spoglądała z zazdrością. Nie mogła wtedy oderwać od niego oczu. Jak mogła być tak zaślepiona? Jak mogła nie dostrzec prawdy? Może podświadomie nie chciała jej poznać?

W piątek, gdy Ava robiła kserokopie, Jake przyszedł do jej pracy.

- Jakiś facet do ciebie - powiedziała Charmaine. - Wygląda okropnie. Mam mu powiedzieć, żeby się stąd zmył?

- Porozmawiam z nim - odparła Ava.

Wyszła z biura. Przygarbiony Jake stał obok windy. Czuła na sobie wzrok koleżanek.

- Muszę wracać do lova, ale chcę, żebyś pojechała ze mną - powiedział. Był wymiętoszony, jakby spał w ubraniu. Pod oczami miał worki.

Rozległ się dzwonek drugiej windy. Czym się różniło to zerwanie od poprzedniego? W pewnym sensie teraz było gorzej, bo tak bardzo dała się nabrać. Zobaczyła przechodzącego obok Richarda, który im się przypatrywał. Nie może tego puścić płazem, nie może przebaczyć ani na nowo zaufać Jake'owi. Bała się jednak, że gdy przemówi, zaleje się łzami. Więc tylko pokręciła głową. Twarz Jake'a jakby się zapadła, ale Ava nie zmiękała. Zostawiła go, wyminęła Charmaine i Betty i weszła do pokoju socjalnego. Nie usłyszała głosu ani kroków Jake'a. Nie poszedł za nią. Tak samo jak poprzednio.

Opadła na krzesło i zamknęła oczy. Usłyszała, że drzwi otwierają się i zamykają. Uniosła powieki. Obok usiadła Charmaine. Wzięła Avę za rękę.

- Niech sobie idzie, palant - powiedziała. I wtedy Ava się rozplakała.

Charmaine zabrała ją do toalety, żeby Ava obmyła twarz. Dała jej podkład pod makijaż. Ava położyła go sobie pod oczy, żeby nikt nie poznał, że płakała.

- Tej sztuczki nauczyła mnie mama - powiedziała Charmaine, poklepując skórę Avy umoczoną w zimnej wodzie chusteczką.

Gdy wyszły z toalety, Charmaine usiłowała zasłonić Avę przed Richardem.

- Jest dzisiaj nie w humorze - wyszeptała.

Ava usiadła przy maszynie. Zawadzał jej makijaż, ale go nie usunęła. Przed nią piętrzyły się faktury. Takiej ilości nie przepisałyby nawet w ciągu tygodnia, a co dopiero w jeden dzień. Podniosła wzrok i zobaczyła Richarda. Siedział przy biurku z nogami na blacie, rozwalony jak basza. Nie pracował, tylko gapił się na nią. Zebrała się w sobie, wzięła kartkę i zaczęła stukać w klawisze.

Wieczorem wróciła do domu. W sąsiednich domach toczyło się życie rodzinne, a ona była sama. Przejrzała pocztę, mając nadzieję, że nadeszła kartka od Lewisa i Rose, cho-

ciaż było na to za wcześnie. Dlaczego zawsze na coś czeka? Dlaczego wciąż spotykają ją niepowodzenia?

Jake nie zadzwonił wieczorem ani następnego ranka. W końcu sama do niego zatelefonowała. Poinformowano ją, że numer jest nieczynny, a abonent nie podał nowego. A więc Jake wyjechał. Przecież powiedziała mu, żeby się wyniósł, a on jej posłuchał. Więc dlaczego jest zaskoczona?

Wieczorem zaniosała do Beli swoje wypieki. Bell spróbowała kawałeczek jednego z ciast i zmarszczyła czoło. Ava pomyślała, że tym razem poniosła porażkę.

- Przejdźmy na zaplecze - poprosiła Bell. Tam Ava rozplakała się i opowiedziała o Jake'u. Bell wzięła ją za obie ręce. - On nie zasługuje na kogoś takiego jak ty - rzekła. - Powinnam była się zorientować, jakie z niego ziółko, ale mnie nabrał, tak samo jak ciebie.

Ava otarła oczy dłonią.

- Jestem okropnie głupia - powiedziała.

Przez całe życie była taka zajęta, pełniąc rolę żony, matki, przyjaciółki. A teraz? Jest zupełnie sama. Brian, Jake, Lewis — nawet Jimmy — wszyscy mężczyźni, którzy coś dla niej znaczyli, odeszli.

Bell wyprostowała się na krześle.

- Wcale nie jesteś głupia - powiedziała. - Ale ja jestem. Powinnam to była zrobić wcześniej. Jestem zmęczona. Prowadzenie lokalu to wielka odpowiedzialność. Przyprawia mnie o ból głowy.

Ava nie spuszczała z niej oka.

- Nie mów, proszę, że zamykasz kawiarnię - powiedziała.

Bell się uśmiechnęła.

- Nie zamykam - odparła. - Chcę, byś ty ją poprowadziła. Czy podejmiesz się tego, jeśli ci zapłacę za nauczenie się fachu?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Brian Lark zatrzymał samochód na podjeździe i wpadł do domu, gdzie zastał swoją żonę Glory, siedzącą na kanapie z młodym mężczyzną i młodą kobietą, których nigdy przedtem nie widział. Miał za sobą długi dzień na placu giełdy samochodowej. Był zmęczony, ale potrafił się przełączyć, by stać się miłym i gościnnym. Wyciągnął rękę na powitanie i uśmiechnął się entuzjastycznie. Młody człowiek wstał, spojrział na wyciągniętą rękę Briana i zmarszczył brwi.

- Jestem Lewis - oznajmił. Zdezorientowany Brian przekrzywił głowę.

- Lewis?

Podszedł bliżej. Zobaczył na stole szklanki po wypitych napojach chłodzących. Glory przyglądała mu się z uwagą. Nie mógł oderwać wzroku od swojego dorosłego syna. Starał się dopatrzeć znajomych rysów i zachowań: kształt nosa, ciemnobrązowe włosy, sposób, w jaki Lewis gestykulował prawą ręką, tak samo jak wtedy, gdy miał siedem lat. Ten młody człowiek zupełnie nie był podobny do Briana i tylko trochę przypominał chłopca, jakiego pamiętał. Ostrożnie dotknął ramienia Lewisa, jakby się spodziewał, że porazi go prąd.

- Jak się masz? Czy coś się stało? Czy u matki wszystko w porządku?

- Obydwoje czujemy się dobrze - odparł Lewis, unikając wzroku ojca.  
- Po prostu chciałem cię zobaczyć po tak długim czasie.

- Cóż, miło mi - powiedział Brian, czując, że jego głos staje się grzmiący, jak wtedy, gdy próbował dobić interesu. Spostrzegł, że Lewis wymienia spojrzenia z dziewczyną.

- Nazywam się Rose - przedstawiła się, wstając i podając Brianowi rękę.

Nieraz widywał wahających się ludzi, rozpoznawał strach przed nabyciem zbyt drogiego samochodu. Wiedział, że uśmiech działa cuda.

- Siadajcie - powiedział. - Zrzućmy kamień z serca. Mamy sobie tyle do powiedzenia. - Lecz gdy Lewis i Rose usiedli, Brian nagle zaniemówił. Tak wiele chciał się dowiedzieć. - Powiedz mi, gdzie mieszkasz - rzekł w końcu. - Czym się zajmujesz. - Pochylił się, słuchając, jak Lewis opowiadał o życiu w Madison i pracy w szpitalu.

- Pracujesz w szpitalu?

Brian pomyślał o swoim ojcu, który był chirurgiem i chciał, by syn poszedł w jego ślady, a sprzedaż samochodów uważał za odpowiednią dla kogoś z nizin społecznych. Ojciec umarł, pozostawiając po sobie złe wspomnienia i złoty zegarek, który Brian szybko sprzedał.

- Ma twoje oczy - odezwała się Glory zachęcająco.

- A więc dobrze sobie radzisz - powiedział Brian. Wiedział, że był niedobrym ojcem, ale patrząc teraz na

Lewisa, odczuwał ulgę. Syn miał dobrą pracę i ładną dziewczynę. Wyrósł na ludzi i chociaż to nie była zasługa Briana, kto by się tym przejmował teraz, gdy znów są razem?

- Wiele o tobie słyszałam - oznajmiła Glory, a Brian spojrzał na nią zaskoczony, poza jedną bowiem rozmową, jaką odbyli zaraz na początku znajomości, nigdy nie roztrząsał przeszłości.

Spostrzegł, że dziewczyna delikatnie zachęca Lewisa, by coś odpowiedział.



- Ach, tak - bąknął Lewis i zwrócił się do Briana. -Chciałbym cię o coś zapytać. Czy powiesz mi prawdę?

Brian spojrział na szklanki na stole.

- Nie ma żadnego alkoholu - cicho zapewniła go Glory. Brian podniósł szklankę i upił łyk. Poczłł smak imbiru, ale wciąż dokuczala mu suchość w gardle. Przełknął.

- Pytaj, o co zechcesz.

- Powiedz, dlaczego nas porzuciłeś.

Brian odstawił szklankę. Spozrzegł okrągłą plamę, którą pozostawiła wilgotna szklanka na mahoniowym stole. Był pewien, że Glory także ją zauważyła, ale nie poszła po serwetkę ani po podkładki z emblematem Wystawy Światowej. Siedziała, czekając, tak samo jak Lewis i Rose.

- Czy to teraz ma jakieś znaczenie? - zapytał w końcu. -Spotkaliśmy się i obydwaj jesteśmy dorośli.

Odgłosy domu dudniły mu w głowie. Tykanie zegara, oddech Glory. Lewis spoglądał na niego, nie rozumiejąc.

- Nigdy nie zatelefonowałeś ani nie przyjechałeś z wizytą. A potem zrezygnowałeś ze starań o otrzymanie prawa opieki nade mną. Znalazłem list w dokumentach mamy. Dlaczego zniknąłeś z mego życia? Czy to przeze mnie? Przez coś, co zrobiłem? - dopytywał się Lewis. - Po prostu chcę, muszę, się dowiedzieć.

- Ależ nie... - odparł Brian. - Jesteś moim synem. Kochałem cię.

- Więc dlaczego nigdy po mnie nie wróciłeś?

- Co ty mówisz. Przecież wróciłem.

Brian przyjechał do Waltham tydzień po śmierci swego ojca, mniej więcej przed dziesięcioma laty. Był wtedy pijany, ale nie przeszkodziło mu to w prowadzeniu samochodu. Opłakując ojca i wszystko, co się mogło między nimi zdarzyć, nagle zapragnął odwiedzić syna. Im więcej myślał o Avie i jej mężczyznach, tym bardziej wrzała w nim krew. Musiał zobaczyć na własne oczy, co się tam dzieje.

Na dodatek tęsknił za Avą. Wtedy jeszcze nie znał Glory

i doskwierała mu samotność. Zaczął mieć wątpliwości, czy nie popełnił błędu, opuszczając rodzinę.

Wyjechawszy z Cleveland, wypił jeszcze jedno piwo i poczuł się lepiej. Boże, jakże nienawidził tego miasta. Opuścił rodzinę, by być z Becky, ale nie upłynęło wiele czasu, a zaczęła na niego patrzeć z obrzydzeniem. Sam nie wiedział, czego nie znosi bardziej, Becky, czy pracy w firmie jej ojca, ale to z ich powodu sięgał po alkohol.

Gdy zajechał na ulicę Avy, od razu zapragnął zawrócić. Obiecywał Avie życie na przedmieściu, ale nigdy się z tego nie wywiązał. A teraz udało jej się samodzielnie spełnić to marzenie. Zaparkował i odczytywał numery domów, wypatrując domu Avy. Spojrzał tęsknie na sześciopak piwa na tylnym siedzeniu. Gdyby wypił jedną puszkę, od razu zrobiłoby mu się lepiej, ale wtedy Ava wyczułaby to w jego oddechu. Mogłaby go nie wpuścić do domu. Nagle poczuł okropne zdenerwowanie. Czy Ava będzie w domu? Zerknął na zegarek. Za kwadrans piąta. Chyba mówiła, że pracuje na niepełnym etacie. Ale o wielu sprawach go nie informowała. Może jest z jakimś mężczyzną, który zajął jego miejsce.

„Myśl pozytywnie - powiedział sobie. Patrz w przyszłość". Numer sto dwadzieścia. To jej dom. Stojący na rogu, mały, jaskrawoniebieski, w stylu wiejskim. Wyschnięty trawnik, ale z żółtymi kwiatami po obu stronach chodnika. Wysiadł z samochodu, podszedł bliżej i zajrzał przez okna. Zobaczył nakryty różowym obrusem drewniany stół w jadalni. Zobaczył część kuchni, żółtej i słonecznej. Za *domem* suszące się pranie. Czerwona sukienka. Niebieska koszula. Chłopięce ogrodniczki. Podszedł bliżej i wziął do ręki sukienkę Avy. Przytulił ją do twarzy i zamknął oczy. Pachniała cytrynowym płynem do prania i świeżym powietrzem. Zachwiał się na nogach. Swojego czasu kochał ją do szaleństwa. Wrócił przed dom, powtarzając sobie, co jej powie. Cześć, chciałem ci zrobić niespodziankę. Witaj, stęsk-

niłem się za tobą. Dzień dobry, przepraszam. Cześć, wybacz mi.  
Wszedł na ganek, gdy otworzyły się drzwi. Naprzeciw niego stał jego syn.

- Cześć - powiedział, a Lewis się zawahał.

Stał na najwyższym stopniu, spoglądając na Briana, więc Brian musiał zadzierać głowę.

- Wiesz, kim jestem, synu? - zapytał Brian. Nie widział Lewisa od chwili, gdy chłopiec miał siedem lat, ale dziecko powinno pamiętać swego ojca.

Lewis ani drgnął.

- Czy twoja mama jest w domu? - Brianowi tak zaschło w gardle, że mówił z trudem. - O której wraca? Pewnie jest w pracy, tak?

Lewis przyglądał mu się.

- Chodź. Załatwimy to później. Mój samochód jest tam - powiedział. - Przejedźmy się. - Pomyślał, że może pojedą na lody i wrócą przed powrotem Avey. - Może nawet dam ci poprowadzić - zażartował, ale przyszło mu do głowy, że łatwiej mu będzie oczarować Awę, jeśli najpierw zdobędzie sobie względy Lewisa.

Brian był lekko oszołomiony z powodu piwa i słońca. Czuł, że się poci, i nie podobało mu się, jak patrzy na niego Lewis. Wszedł na schody i rozwarł ramiona, by uściskać syna.

- Nie dotykaj mnie! - powiedział Lewis, robiąc krok w tył.

- Rozumiem, że jesteś na mnie wściekły - powiedział. - Ja też byłbym wście...

- Zostaw mnie!

- Nie mów tak do mnie - powiedział Brian, tracąc cierpliwość. - Przejechałem kawał drogi, żeby się z tobą zobaczyć, a ty tak mnie traktujesz? - Było zbyt gorąco. Brian łąknął mrożonej kawy, papierosa, chłodnego piwa. - Wsiadaj do samochodu - warknął i wyciągnął rękę, ale Lewis uskoczył. - Co z tobą? - zapytał Brian. - Wsiadaj do samochodu! - krzyknął, chwytając Lewisa za ramię.

- Puść mnie! - powiedział Lewis, ale Brian pociągnął go w dół po schodach. Wtedy Lewis obrócił się i ugryzł go w rękę. Ból i zaskoczenie sprawiły, że Brian wypuścił syna.

- Cholera jasna! - powiedział, rozcierając dłoń. Na skórze widać było czerwone ślady zębów. - Ty mały diable! - powiedział, a Lewis rzucił się biegiem w stronę ulicy. - Hej! - zawołał Brian. - Hej! Nie waż się przede mną uciekać! Wracaj tu zaraz!

Brian ruszył za synem. Tak szybko biegał, kiedy był chłopcem. Czuł, że teraz ciężą mu dodatkowe kilogramy, a nogi nie są już takie śmigłe. Słyszał świst wiatru. Mój syn! Gonię własnego syna! Przebiegł jedną czwartą odległości między przecznicami, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa i stracił oddech. Był zbyt pijany, żeby tak pędzić. Zamknął oczy, świat zewnętrzny odpłynął, a gdy otworzył je na nowo, Lewisa nie było. Brian pochylił się i wsparł dłonie na kolanach. Jego ręce dygotały.

- Wracaj tutaj! - wrzasnął zadyszany, ale ulica była wyludniona i słychać było tylko jękliwe bzyczenie komarów.

Trzykrotnie obszedł okolicę, usiłując odnaleźć Lewisa. Na ulicach panowała cisza. Gdy wykrzykiwał imię syna, powracało do niego echo. Do diabła, gdzież się wszyscy podziali? Czy na przedmieściach nie powinno być rojno? Wrócił przed dom Avy i zadzwonił do drzwi, żeby sprawdzić, czy nie ma tam Avy lub Lewisa. Bezskutecznie. Pulsowało mu w skroniach. Chciał się napić piwa. Pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kawałka papieru i pióra, by zostawić wiadomość. Ale co miałby napisać? Przepraszam? Zadzwoni do mnie? Nie znalazł papieru. Ani pióra. Jedynym miejscem, dokąd Ava mogła zatelefonować, było Cleveland. Rozejrzał się po ulicy, była pusta. Nie mógł przecież zadzwonić do drzwi obcych ludzi i poprosić o coś do pisania. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie Ava pracuje, ale czy ona w ogóle mu powiedziała? Miał całkowitą pustkę w głowie.

Położył dłoń na drewnianych drzwiach domu Avy.

A potem odwrócił się i podszedł do samochodu. Wsiadł i oparł głowę na kierownicy, zastanawiając się, co dalej.

Własny syn ugryzł go i uciekł. Gdy Ava się dowie, będzie na niego wściekła. Stracił okazję do nawiązania kontaktu. Rozmyślał o tym, co powinien był zrobić. Zatelefonować zawczasu, umówić się i dopiero wtedy przyjechać. Dlaczego sobie wyobraził, że niespodzianka to dobry pomysł? Po raz kolejny wszystko schrząnił.

Droga powrotna zajęła mu wiele godzin. Przez cały czas dręczyła go myśl, że Lewis przed nim uciekł. Obrócił się, sięgnął po piwo i opróżnił butelkę. Ponieważ nadal czuł się tak paskudnie, wypił jeszcze jedną. Z trudem opanował chęć, by zawrócić albo znaleźć automat telefoniczny i wydzwaniać tak długo, aż trafi na kogoś, komu będzie mógł się wyzalić. Wciąż na nowo odtwarzał w myśli przebieg zdarzeń. Widział Lewisa, który mu się postawił i uciekł, bo nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Przetarł oczy dłonią.

Co by się stało, gdyby Lewis nie uciekł i zgodził się z nim pojechać? Możliwe, że zjedliby razem lody i miło spędzili czas. Ale co potem? Musiałby go odwiedzić do Avey bo miejsce Lewisa było przy niej. Ava odbyłaby z nim rozmowę. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest głupcem. Ava nigdy nie telefonowała, by z nim rozmawiać. Ani razu nie poprosiła go, aby wrócił. Nie tęskniła za nim. Nie był jej potrzebny. A jeśli Ava i Lewis spakowaliby się i chcieli z nim zamieszkać, to czy on jest na to gotowy? Czy wróciłby do Massachusetts, gdzie spotykały go same niepowodzenia? Jak długo miałby się bić w piersi i przeproszać za błędy, które popełnił? Kiedyś przeczytał takie zdanie: „Jeśli okładasz kogoś batem, a nic się nie zmienia, to może czas odrzucić bat”. Do tej pory nie bardzo wiedział, co to znaczy.

Sięgnął po następne piwo, a wtedy nagle wyrósł przed nim jadący z naprzeciwka samochód. Rozległ się klakson i Brian zjechał z autostrady. Ściskając w rękach kierownicę, z całych sił naciskał hamulec. Samochód wypadł na pobo-

cze, a potem na trawę i uderzył w drzewo z takim impetem, że Brianowi chrupnęło w karku. Auto zatrzymało się, wyszedł z tego bez szwanku.

Brian słyszał o tym, że ludzie czasem przeżywają jakiś wstrząs, który zmienia ich życie na lepsze. Czegoś takiego doznał w tej chwili, siedząc przy szosie. Był pijany i zaskoczony, że uszedł z życiem. Udało mu się wepchnąć samochód z powrotem na jezdnię. Wkrótce zatrzymał się, by coś zjeść. Był tak roztrzęsiony, że wylał kawę na kon-  
tuar.

- Nic nie szkodzi, kochany - powiedziała kelnerka, ścierając kawę.

Była taka miła i troskliwa, że omal się nie rozplakał. Przenocował w hotelu i wrócił do Cleveland. Poszedł na spotkanie AA. Ze zdziwieniem stwierdził, że mu się tam podoba. Nigdy nie był specjalnie religijny, ale lubił słuchać, jak inni opowiadali o poddaniu się jakiejś sile wyższej. A teraz znalazł wsparcie, akceptację i pomoc, chociaż był pijakiem i oszustem, chociaż porzucił żonę i syna, chociaż własny ojciec nie chciał z nim mieć nic wspólnego. Bóg rozumiał to wszystko i oferował drugą szansę, wystarczyło o nią poprosić. Dla Briana była to wielka pociecha.

Z czasem, stopniowo przestawał pić. Dostał żetony za trzy tygodnie trzeźwości, potem za dwa miesiące, wreszcie za pół roku. Ułożył je na toalecie, aby je widzieć, gdy się obudzi. Na spotkaniach AA powiedziano mu, by otaczał się wyłącznie ludźmi, którzy go wspierają, więc gdy Becky wytknęła mu, że otrzymywane za trzeźwość żetony szpecą mieszkanie, zerwał z nią.

- W porządku - powiedziała. - Kto by się tym przejmował? I tak chciałam się z tobą rozstać - dodała.

Gdy przestał się z nią spotykać, w firmie jej ojca spoglądano na niego mniej przyjaźnie, ale Brian nie przejął się tym, bo postanowił odejść i wrócić do ulubionego zajęcia. Znalazł pracę dzięki znajomemu z AA i został kierownikiem nowego placu giełdy samochodowej. Pracował tam

niecały tydzień, gdy pojawiła się Glory wysoka, wspaniała blondynka, która odmieniła jego życie.

Nie można powiedzieć, że nie tęsknił za piciem. Brakowało mu alkoholu, czasem tak bardzo, że czuł jego smak w ustach. Ale podobało mu się, że potrafi zapanować nad tą dojmującą potrzebą, tak samo jak potrafił dać sobie radę bez rodziny. Za każdym razem, gdy odmówił sobie alkoholu, spotykało go coś dobrego. Gdy w AA przychodziła jego kolej, opowiadał o wszystkim z wyjątkiem byłej żony i syna. Należało naprawić krzywdy, które się wyrządziło i prosić pokrzywdzonych o wybaczenie. Brian robił to co wieczór, w myśli. Nie telefonował ani nie pojechał do Wal-tham, bo potrzebne mu było przekonanie, że odmienił swoje życie i stał się dobrym człowiekiem. Ava i Lewis przypominiliby mu, że nie zawsze tak było.

Brian zakończył swoją opowieść. Lewis poczuł, że jego zagmatwany świat jakoś się rozplątał. Wpatrywał się w ojca.

- Lewisie - powiedział Brian, składając dłonie jak do modlitwy. - Tak mi przykro. Przepraszam za wszystko, synu. Czy możesz mi przebaczyć?

- A więc przyjechałeś wtedy, by się ze mną spotkać? - spytał Lewis. Miał ściśnięte gardło. Z trudem przełknął ślinę. Myślał o tym, jak się zrywał i pędził do telefonu, pewny, że dzwoni tata. Wspominał weekendy, gdy przesiadywał na ganku, wypatrując samochodu ojca. - Chciałeś, byśmy na nowo stali się rodziną?

- Tak. Nie pamiętasz?

- Kiedy to było? Dlaczego najpierw nie zatelefonowałeś?

- Już ci mówiłem. Bałem się, że twoja mama się nie zgodzi.

- Nie zrzucaj winy na mamę.

- Hmm. Musiała ci o mnie opowiadać okropne rzeczy, dlatego tak przede mną uciekałeś. Może sobie na to zasłużyłem. Nie byłem zbyt dobrym ojcem. Wiem. Nie telefonowałem. Nie przyjeżdżałem. Wszystko schrzaniłem i na-

wet nie wiem czemu. Ale ludzie mogą się zmienić. Dlaczego nie dałeś mi szansy?

- W ogóle tego nie pamiętam.

- Cóż, to było dawno temu.

- Nie zapomniałbym. Ile miałem lat?

- Czy ja wiem? Mieszkam tu dziesięć lat. To było około dziesięciu lat temu. Wiosną. Był ładny dzień.

- O mój Boże - powiedziała Rose cicho i wyprostowała się. - Wiosną?

- spytała jakimś zmienionym głosem, który w uszach Lewisa zabrzmiał jak podzwanianie monet o ścianki szklanego słoja.

- Z całą pewnością wiosną. Ale dzień był bardzo upalny.

- W kwietniu? - spytała Rose.

- Chyba tak.

Lewis spojrzał na Rose, ale ona pochyliła się i patrzyła na Briana.

- Nadal nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Dlaczego przede mną uciekłeś? Dlaczego mnie ugryzłeś? Aż tak mnie nienawidziłeś? - dopytywał się Brian.

Lewisowi kręciło się w głowie.

- Nigdy bym cię nie ugryzł. Naprawdę, w ogóle tego nie pamiętam.

- Nie wciskaj mi kitu. Wyszedłeś z domu. Miałeś na sobie czerwoną koszulę i szorty w kratę. I tenisówki całe pomazane napisami. Założę się, że podobały się matce.

Rose rozplakała się, *wydając zduszone łkania*. Opuściła głowę. Dłonie miała splecione. Brian *zapytał łagodnie*:

- Co ci jest? Co się stało? - Usiłował położyć dłoń na jej ramieniu, ale się odsunęła. - Potrzebna ci chusteczka? Glory... - Glory wstała, wróciła z opakowaniem chusteczek i podała Rose. Pogłaskała Rose po ramieniu.

Lewis poczuł dziwny, metaliczny smak w ustach. Tenisówki. Pamiętał te tenisówki. Zdawało mu się, że czuje woń mazaka.

- To nie byłem ja - powiedział.



- Co ty opowiadasz? Jak to nie ty? - zdumiał się Brian.

- Gonileś Jimmy'ego - powiedział Lewis. Słyszał własny głos, jakby docierał z daleka. - To był mój najlepszy przyjaciel. Przesiadywał u nas w domu.

- Kto?

- Jimmy. Jimmy Rearson, mój brat - powiedziała Rose. Otarła łzy i wyjęła z pudełka następną chusteczkę. - Tamtego dnia zaginął.

- Cóż wy opowiadacie, dzieci? Myślicie, że nie poznałbym własnego syna? Toż to bujda na resorach. - Brian przysunął się do Glory.

- To mój brat miał takie tenisówki - powiedziała Rose. -Całe pobazgrane mazakiem. Moja mama wciąż je wyrzucała, ale on wyciągał je ze śmietnika i jeszcze coś dopisywał.

- Każdy mógł mieć takie...

- Ja nie miałem - powiedział Lewis. - Ani nikt inny. Rose wzięła nową chusteczkę i zwinęła ją w kulkę.

- Znaleźli go? - zapytał Brian.

Z oczu Rose znów popłynęły łzy, ale ich nie starła.

- Jego szczątki. Znaleźli je niedawno w opuszczonym schronie przeciwatomowym sąsiada - cicho powiedział Lewis.

- Co? O Jezu. Ale dlaczego myślicie, że to ma coś wspólnego ze mną?

- Gonileś go.

- Bo myślałem, że to ty! Dlaczego nie powiedział mi, kim jest? Dlaczego nie powiedział, jak się nazywa albo że nie wie, kim jestem?

- Bo był przerażony! Bo obcy mężczyzna goił go i wrzeszczał!

Brian opadł na oparcie kanapy. Wziął Glory za rękę. Lewis widział, jak mocno zacisnął palce.

- Nie wiadomo, kto tam był poza mną - powiedział ostro. - Chłopak w jednej chwili zniknął mi z oczu. Powtarzam, nic mu nie zrobiłem. Nie obwiniajcie mnie o coś, na co nie macie dowodu. Chciałem postąpić dobrze, ze wzglę-

du na ciebie. - Pochylił się nad stołem i odstawił szklankę. - Przyjechałem tam po ciebie. **Przyjechałem po ciebie.**

Lewis pomyślał o uciekającym Jimmym. O tym, jak bardzo musiał być przerażony. Opowiadał Jimmy'emu o Brianie. Wymyślał o nim różne historie, zmyślał na temat jego wyglądu. Wstydził się przyznać, że nic nie wie o własnym ojcu. Że chociaż pisze do niego listy, chociaż wypowiada życzenia, ojciec nie wraca, a on coraz słabiej go pamięta.

Pomyślał o tym, jak bardzo pragnął odnaleźć ojca. Przypomniało mu się, jak znalazł list od adwokata z wiadomością, że Brian nie będzie się starał o uzyskanie opieki nad synem. Był wściekły na matkę.

- Czy chciałeś uzyskać prawo do opieki nade mną? -zapytał, a ojciec uniósł ręce. - Tak? Naprawdę tego chciałeś? To nie były tylko pogrożki? Dlaczego zrezygnowałeś? -dopytywał się Lewis.

- Przejechałem wtedy kawał drogi, żeby cię *zobaczyć*, prawda? - powiedział Brian.

- Czy ktoś teraz dokładnie pamięta, jak to było? - zapytała Glory. Spojrzała na Briana, po czym przeniosła wzrok na Lewisa i Rose, a potem znów na Briana. - To straszna tragedia.

Lewis nie czekał na odpowiedź ojca. Teraz rozumiał. Brian powiedział, że przyjechał tamtego dnia, by naprawić krzywdy, ale nie zadał sobie trudu, by zostać na dłużej. Sprawy potoczyły się nie po jego myśli, więc wsiadł do samochodu i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Wcale się nie zmienił. Nigdy nie brał na siebie odpowiedzialności za syna. Nie obchodziło go, co stało się z Jimmym. Po prostu chciał sprawiać dobre wrażenie.

Brian spojrział na Lewisa i wyciągnął do niego rękę.

- Hej, dajże spokój - powiedział. Zerknął na Rose. -Bardzo mi przykro z powodu twego brata, ale może porozmawialibyśmy o czymś innym? Lewis wstał i pomógł wstać Rose.

- Czas na nas - oznajmił.

- Co? Chyba żartujesz? Przecież jeszcze wcześniej. Naprawdę musicie już jechać? - Brian i Glory także wstali, a ona położyła mu dłoń na ramieniu. -1 to ma być wizyta? Wpadłeś jak po ogień. Proszę. Nie co dzień widuję swego syna.

- Czas na nas - powtórzył Lewis.

- Moglibyście przenocować - namawiał Brian. - Mamy pokój gościnny. - Usłyszawszy to, Lewis zaczął się zastanawiać, jakich to gości miewa jego ojciec. Czy kiedykolwiek spodziewał się, że to będzie pokój Lewisa?

Rose spoglądała na niego wyczekująco.

- Nie, dziękujemy. Ale miło, że zaproponowałeś - powiedział.

Glory nalegała, by wzięli na drogę czerwony kratkowany termos z kawą. Przy drzwiach Brian wpatrywał się w Lewisa, jakby starał się zapamiętać jego wygląd.

- Co? - zapytał Lewis, a Brian pokręcił głową.

- Pomyśl tylko - powiedział. - Po tylu latach. - Wrócił do stołu, otworzył szufladę i wyjął białą karteczkę. Podał ją Lewisowi. Było na niej napisane: LARK MOTORS, ZASPOKAJAMY TWOJE SAMOCHODOWE AMBICJE. - Adres i numer telefonu są na odwrocie. Zadzwoń, proszę, lub napisz. Następnym razem zostaniesz dłużej - powiedział. -Zaplanujemy to sobie i pokażę ci miasto. Posiedzimy, pogadamy i poznamy się lepiej.

Zamilkł, czekając na odpowiedź syna. Lewis wiedział, że powinien mu podać numer telefonu i adres małej kawalerki, którą zachował w Madison, ale nie miał ochoty. Jego świat wywrócił się do góry nogami. Czuł na sobie wzrok ojca, więc nabazgrał nieprawdziwy adres i numer telefonu i podał karteczkę ojcu. Schował do kieszeni wizytówkę Briana.

- Dzięki - powiedział.

- A więc wszystko w porządku? - zapytał Brian. Spojrzał na Rose. - Przykro mi z powodu twego brata - powtórzył.

Rose w milczeniu cofnęła się o krok. Brian objął Lewisa, który zeszywniał. Ojciec przygarnął go do siebie. Lewis czuł zapach pomady na jego włosach. Nikt już nie pomadował włosów. Uniósł wzrok i zobaczył stojącą obok Briana Glory. Promieniała, jakby zdarzyło się coś cudownego.

- Nie zapominaj o starym ojcu - powiedział Brian znaczącym tonem. - Bądź co bądź, wciąż jesteśmy rodziną.

Lewis i Rose odjechali. Ojciec i Glory zostali na środku podjazdu. Ojciec machał ręką i miał na wpół otwarte usta, jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego. Lewis patrzył na ich odbicie we wstecznym lusterku. Ojciec stawał się coraz mniejszy i mniejszy. Glory oparła głowę na jego ramieniu. Potem usiłowała odciągnąć go z powrotem do domu, ale on ani drgnął. Jakby chciał się upewnić, że tym razem osobą, która odchodzi, jest Lewis.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lewis skręcił na autostradę. W głowie miał mętlik. Pomyślał o matce, która miała na temat ojca inne zdanie niż on, ale nie chciał jej słuchać. Nie chciał jej wierzyć. Opuścił szybę okna po swojej stronie i wyrzucił wizytówkę ojca, którą uniósł wiatr. Następnie cisnął przez okno termos z kawą, który rąbnął o asfalt i się potłukł. Poczował, że siedząca obok Rose się wzdrygnęła. Zamknął okno, ciężko dysząc.

- No, to teraz już wiesz, jaki jest twój ojciec - cicho powiedziała Rose.

Przez całą drogę do motelu nie zamienili ani słowa. Wjechali windą na piętro, weszli do swego pokoju, gdzie czekały na nich dwa wąskie łóżka i bielizna pościelowa w zielony rzucik. Z malowidła spoglądały na nich lecące kluczem gęsi. Lewis opadł na łóżko.

- Nie chcę go widzieć nigdy więcej - oznajmił.

Rose siadła na drugim łóżku. Złożyła dłonie na podołku. Była przy nim, ale jakaś nieobecna. Unikała jego spojrzenia i milczała.

- Rose - powiedział.

Wstał, by przesiąść się na jej łóżko. Wtedy Rose pochyliła się i mocno pocałowała go w usta. Przytuliła się mocno, jakby chciała się w niego wtopić. Lewis wiedział, co nią kie-

ruje. Nie była to miłość, pragnienie ani żądza. Była to spowodowana paniką potrzeba seksu. Do takiego pieprzenia wystarczy jakakolwiek osoba, byleby żywa, byleby poczuć pulsowanie jej tętna, które cię utwierdzi, że ty także żyjesz. Rose rozpięła guziki jego koszuli. Lewis poczuł, że oddycha coraz szybciej, i zamknął oczy. Gdy pocałowała go w szyję, zaczął zrywać z Rose ubranie. Ucałował jej włosy, szyję, perłową skórę ramion. Byli nadzy na łóżku w hotelowym pokoju.

- Otwórz oczy - wyszeptał, ale Rose nie uniosła powiek.

Kochał się z nią zupełnie inaczej niż poprzednio. Zmysły miał w najwyższym stopniu pobudzone. Nie zdziwiłby się, gdyby włosy Rose zmieniły barwę, gdyby nagle jej skóra stała się niebieska. Oddychał z ustami przy jej ustach. Gdy wreszcie w nią wszedł, poczuł wstrząs rozpoznania, jakby czekał na to przez cały czas i dopiero teraz to sobie uświadomił.

- Rose - powiedział. Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na Lewisa. Miała w oczach łzy. Wróc, błagał ją w myślach. Proszę, wróc.

- Czy z nami wszystko w porządku? - zapytał. - Rose, czy z nami wszystko w porządku? - Usiłował nie zasnąć. Chciał jej pilnować, ale Rose zapadła w coś w rodzaju śpiączki. Owinął ją swoim ciałem jak kocem. Ujął jej dłoń. Palce miała bezwładne. Trzymał je mocno.

Nad ranem Rose miała sen. Jimmy był dzieckiem, a ona już dorosła. Patrzyła na brata przez okno swojej sypialni w ich starym domu. Widziała go jak na ekranie telewizyjnym. Jimmy przechadzał się leniwie po opustoszałej okolicy. Wokół panowała cisza. Nagle pojawił się Brian Lark. Rose chciała otworzyć okno, ale było zablokowane. Waliła pięściami w szybę, wykrzykując imię brata, ale on jej nie słyszał. Wybiegła z domu na ulicę. Jimmy przemknął obok niej jak strzała. Biegł przerażony. Usłyszała za sobą

dudnienie kroków. Obróciła się i zobaczyła Briana. Jimmy przebiegł na drugą stronę ulicy na podwórko pana Gallaghery. Usłyszała tupanie tenisówek brata. Jego serce biło tak głośno, że chciała zakryć sobie uszy dłońmi. Jimmy kucnął i szarpnął drzwiczki zasłaniające włącz do schronu. „Tam się nie ukryjesz! - zawołała. - Biegnij! Biegnij dalej!”.

Rozdygotany Jimmy opuścił się do schronu, chwycił się rozchwianej drabiny i zasunął za sobą drzwiczki. Nagle Rose znalazła się obok niego i odczuła przerażenie brata. Słyszała jego myśli, jakby je dyktował. Gdy tylko droga będzie wolna, wróci biegiem do domu. Zostanie tam tak długo, jak będzie trzeba. A wtedy wyjdzie. I Jimmy czekał, przyłgnąwszy do drabiny, nasłuchując kroków i krzyków Briana. Ale zardzewiała drabina odpadła od ściany. Jimmy spadł na ziemię. Rose usłyszała trzask łamiącej się kostki. Jego ból eksplodował w niej niczym wybuchająca gwiazda. Przysunęła się do brata, ale nie była w stanie mu pomóc. Jimmy z trudem wdychał ciężkie, wilgotne powietrze. Rose patrzyła bezradnie, jak Jimmy, kuśtykając, podchodzi do półki, usiłuje zapalić latarkę, którą na niej znalazł, ale baterie są wyczerpane. Na chwilę pojawia się nikłe światło, które zaraz znika. Potem przychodzi głód. Jimmy po omacku szuka konserw i zardzewiałego otwieracza, które widział, będąc w schronie poprzednim razem. Najpierw zjada tuńczyka, potem ziarna kukurydzy. Kaleczy się o poszczerbione krawędzie puszek, ale to go nie zraża, taki jest głodny. Znajduje wodę i wypija ją. Wszystko, co Rose widzi, jest zamknięte w okręgu, a brat znajduje się w jego centrum. Potem ten okrąg staje się coraz mniejszy, a Jimmy kuli się, podwija pod siebie nogi w pobazgranych tenisówkach. Jego kraciaste szorty są wilgotne i utyłane błotem. Z trudem łyka powietrze. A potem dyszy. Rose jest tam z bratem i razem z nim czuje, że w schronie nie ma już powietrza, i tak jak on wie, że nikt go tu nigdy nie znajdzie.

Obudziła się gwałtownie, cała rozdygotana. Skupiła wzrok na toalecie, telewizorze i barku. Pomacała narzutę. A więc jest żywa w hotelowym pokoju. To, co ją otacza, jest rzeczywiste. Przez wiele lat rozpaczliwie pragnęła, by Jimmy jej się przyśnił, a gdy wreszcie się tak stało, zobaczyła coś przerażającego. Poczowała dotyk czyjejś dłoni. Obróciła się i zobaczyła Lewisa. Wtedy się rozplakała. Ale nie mogła mu opowiedzieć, co się jej śniło.

- Chodźmy stąd - powiedziała.

Na śniadanie poszli do restauracji w pobliżu motelu. Potem pospacerowali trochę, ale żadne z nich nie było rozmowne.

Rose wszędzie czuła obecność Briana. Prześladował ją niczym duch. Wstąpili do księgarni, gdzie przy półce stał mężczyzna o gęstych włosach Briana. W restauracji Brian siedział przy stole, trzymając dziecko na kolanach. Rose zasłoniła twarz dłonią.

- Źle się czujesz? - zapytał Lewis.

- Sama nie wiem - odparła.

Wszystko było nie tak. Zawsze myślała, że gdy dowie się, co się zdało z Jimmym, gdy poskłada w całość okruchy, będzie mogła zacząć żyć naprawdę. Ale teraz poczuła się jeszcze bardziej zdruzgotana. Myślała, że pragnie być z Lewisem, ale jego obecność przypominała jej to, o czym chciała zapomnieć. Nigdy nie rozumiała, dlaczego jej matka porzuciła dawny dom i wyjechała z Waltham, ale teraz wiedziała, że człowiek ucieka przed rozdzierającym go bólem. Jakże mogła tego nie dostrzegać? Cóż innego można zrobić, gdy ból staje się nie do zniesienia?

Wrócili do Ann Arbor, jakby odległość mogła coś zmienić. Ale sny nie ustały. Noc w noc, śpiąc obok Lewisa, widziała uciekającego Jimmy'ego i goniła go bezskutecznie. Noc w noc czuła, jak Jimmy'ego opuszcza nadzieja, słyszała jego rozpaczliwe błaganie. ***Przyjdźcie i znajdźcie mnie.***



Poszła do Thrift-T-Mart i kupiła sominex, ale pigułki nasenne działały tylko tyle, że była odurzona i oszołomiona, a sny nadal ją nawiedzały. Nie chciała o nich rozmawiać z Lewisem, żeby nie poczuł się współwinny. Bała się zasnąć. Nie chciała się kłaść do łóżka.

- Musisz spać - powiedział Lewis. Roztarł jej ręce i pogłaskał po włosach. Czuwał z nią tak długo, jak mógł, ale wreszcie zasnął niespokojnie, a ona wpatrywała się w ścianę, czekając na przerażające sny.

Wstała i przeszła do salonu. Włączyła telewizor, ale od razu go wyłączyła. Położyła się na kanapie, czekając, aż w końcu zasnął wbrew sobie. Zbudziła się, dopiero gdy potrząsnął nią Lewis.

- Wracaj do łóżka - powiedział szeptem.

- Nic mi się nie śniło - powiedziała zdziwiona, siadając. - Nic a nic.

Gdy tylko położyła się obok Lewisa, a on ją objął, zaczęło się na nowo. Biegła ulicą, usiłowała dogonić brata, wchodziła za nim przez otwór do schronu. Ale tym razem, gdy go dotknęła, Jimmy ją zobaczył. Mogła go przytulić i poczuć przy sobie żywego. Potem odsunął się od niej i spojrzał tak, jakby to, że są tam razem, w ogóle go nie dziwiło.

- To już koniec - powiedział i przygarbił plecy. - Już po wszystkim. - Obudziła się gwałtownie. - Już dobrze, już dobrze - powiedział Lewis, otulając ją własnym ciałem, ale Rose poczuła, że się dusi. Rozwarła otaczające ją ramiona Lewisa. - Miałś zły sen - rzekł, a ona, płacząc, pokręciła głową.

- To coś więcej niż zły sen. Już tak dłużej nie mogę - wyrzuciła z siebie. - Nie mogę wciąż być taka smutna. Wciąż śnię o Jimmym i twoim ojcu. Ja też tam jestem.

Lewis spojrzał na nią osłupiały.

- Śni ci się mój ojciec?

- Tak.

- Przez cały czas?

- Wolałabym nie wiedzieć, co się stało - powiedziała po chwili milczenia.

- Ja także - rzekł Lewis po namyśle. - Nie myślałem, że kiedykolwiek to powiem - dodał.

- Ja mogę to powiedzieć. Ale ty nie. To twój ojciec. Jest częścią twojego życia. - Wymówiwszy te słowa, poczuła, że się zapada.

- Co ty mówisz? Dlaczego myślisz, że chcę go jeszcze kiedyś zobaczyć?

- Teraz jesteś na niego zły, ale będąc dzieckiem, bardzo go kochałeś. Był dla ciebie niezwykle ważny. Skąd możesz wiedzieć, czy za nim nie zatęsknisz?

- Żartujesz? Nigdy za nim nie zatęsknię. To skończone. Dlaczego w ogóle poruszasz ten temat?

- Nie wiesz, jak będzie. Nie możesz wiedzieć. Ojciec to ojciec. Moja matka mówiła, że jak się jest z mężczyzną, jest się z jego rodziną, czy się tego chce, czy nie. Tak już jest. Muszę jakoś sobie poradzić. Znaleźć jakiś sposób. Chcę z tobą być, ale nie mogę ci zakazywać widywania się z ojcem.

- Wcale nie musisz. Już ci powiedziałem.

- A jeśli on zachoruje? A jeśli będzie umierający? A jeśli wyrzucą go z domu, a Glory odejdzie, a on nie będzie miał gdzie się podziać? Nie dasz mu szansy? Znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że dasz.

- Daj spokój, Rose, jak długo nad tym myślałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Wiem, co do mnie czujesz. Wiem. Nie rozmawialiśmy o tym. Ale co będzie, jeśli zostaniemy razem i będziemy mieli dziecko? Obydwoje wiemy, jak to jest wychowywać się bez rodziny. Chciałbyś swoje dzieci pozbawić dziadków? Rodzice mojej mamy nie żyją, a rodzice ojca usunęli się z naszego życia. Po śmierci mojego ojca matka powiedziała, że dla nich nie istniejemy. To nie w porządku. Rodzina to rodzina. Musi coś znaczyć.

- Skąd możesz wiedzieć, co będzie dalej? Nie możesz się skupić na dniu dzisiejszym?

Rose wzruszyła ramionami.

- Nie chcę być smutna. Czuję się tak, jakby nie było dla mnie ucieczki.

- Nie myślisz trzeźwo, bo jesteś zdenerwowana. To się zmieni.

- Skąd możesz wiedzieć? Jeśli będziemy razem, ilekroć spojrzymy na siebie, stanie nam przed oczyma tamten dzień.

- Kocham cię - powiedział Lewis.

Nigdy dotąd nie mówił jej tego. Rose odsunęła się, mrugając powiekami. Patrzył na nią, a ona pomyślała, że bardzo łatwo byłoby się z nim zgodzić, a potem już stale musiałyby mu przytakiwać.

- Myślę, że powinieneś wrócić do siebie - powiedziała słabym głosem.

- Nie.

Rose spojrzała na niego ze współczuciem.

- To nie jest prawdziwy świat. To tylko ty i ja w moim mieszkaniu - powiedziała.

- Możemy sprawić, że to będzie świat realny - odparł Lewis. A potem mówił coraz szybciej. - Wszędzie znajdę pracę. Mogę mieszkać w dowolnym miejscu. W szpitalach zawsze potrzebują pomocy pielęgniarskiej. Mogę się przenieść do Ann Arbor. Albo ty możesz zamieszkać u mnie. Jest tam mnóstwo szkół, na pewno znalazłabyś pracę. Sama powiedziałaś: „A jeśli będziemy razem, naprawdę razem...”.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nie mogę tego zrobić. Miała miejsce przerażająca rzecz i muszę sobie z tym poradzić albo przynajmniej jakoś to obejść. Dłużej tak nie mogę.

- Nie rozumiem. Tyle się wydarzyło, a teraz mamy się nie widywać? Przecież to nie ma sensu. Ko zna cię lepiej niż ja? Jak możesz coś takiego robić?

- Po prostu muszę. - Rose zaczęła się ubierać. - Gdy zasnęłam sama, nie obok ciebie, nic mi się nie śniło. I poczułam ulgę, krótkie wytchnienie. Ja cię nie obwiniam. Wiem, że to tkwi we mnie, ale chcę się obudzić rano z chęcią do życia.

- Rose - powiedział błagalnie, ale ona zabrała się do sprzątanania. Natrafiwszy na mapę Jimmy'ego, pieczołowicie ją złożyła i delikatnie włożyła do kosza na śmieci.

- Naprawdę musisz wyjechać - powiedziała.

Lewis był pewien, że Rose wkrótce zmieni zdanie. Po prostu jest zdenerwowana. Nie myśli jasno. Nie naciskał, bo nauczył się w szpitalu, że presja odnosi odwrotny skutek. Ale gdy przyniosła walizeczkę i podała ją Lewisowi, spojrział na nią skonsternowany.

- Zadzwoń do mnie? - zapytał. - A ja mogę zatelefonować do ciebie?

- Po prostu daj mi trochę czasu.

- Ile?

- Nie wiem. Nie będę wiedziała, dopóki nie poczuję się lepiej. - Z jej oczu popłynęły łzy. Lewis zrobił krok w jej stronę, ale ona się cofnęła, ocierając twarz palcami. - Nie mogę patrzeć, jak będziesz odjeżdżał. Pójdę na spacer, a jak wrócę, ciebie już nie będzie.

- Przestań, Rose - zaprotestował, ale ona sięgnęła po kurtkę.

- Musisz mi pozwolić być sobą - powiedziała i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Przez chwilę nie wiedział, co robić, dokąd iść. Chciał zostać i czekać na nią, ale w ten sposób zdenerwowałby ją jeszcze bardziej. Może pojedzie do Madison i zatelefonuje do niej później. Ale miał jeszcze wolne, a nie chciał tam być sam. Znalazł kawałek papieru na stole Rose i zaczął pisać: Rose... tylko tyle, to jedno słowo wystarczyło, więc odłożył pióro. A potem spostrzegł mapę Jimmy'ego w koszu na śmieci. Zabrał ją, wetknął sobie pod pachę i wyszedł.

Odjechał. Otaczały go samochody pełne mężów, żon i dzieci, zmierzających dokądś lub wracających do domu. Kierowca na pasie po jego prawej stronie pochylił się i całował siedzącą obok blondynkę, a gdy ta objęła go za szyję, w taki sam sposób jak Rose obejmowała Lewisa, odwrócił

głowę. On nie miał w domu nawet rybki w akwarium, która by na niego czekała.

Zatrzymał się, by kupić kawę. Wróciwszy do samochodu, rozwinął mapę Jimmy'ego. Zostały mu cztery dni urlopu, a nie chciał być sam. Wiedział, że Rose musi samodzielnie uporać się ze swoimi problemami, a może nawet zechce go wymazać z pamięci i zacząć wszystko od nowa. Nie miał jej tego za złe, ale na razie nie zamierzał pójść w jej ślady. Potrzebował towarzystwa, kogoś, kto ucieszy się z jego obecności, kto będzie miał pojęcie, co się z nim dzieje. Chciał porozmawiać o wszystkim, co go spotkało, i zrozumieć to wreszcie.

Skręcił w autostradę i jechał na wschód, aż zobaczył drogowskaz: BOSTON 67 MIL. Ilekroć tu przyjeżdżał, robił to z musu, bo należy odwiedzać matkę. Przejeżdżał tędy wielokrotnie, ale zawsze się gubił, kierując się na niewłaściwy zjazd, lub trafiał zupełnie gdzie indziej, na przykład do Auburn lub Cambridge, a nie do Waltham. Zatrzymał się na stacji benzynowej i spytał o drogę, ale wróciwszy do samochodu, już nie pamiętał numerów autostrad. „Byłeś tu tysiące razy - żartowała z niego Ava, gdy się spóźniał -i nie możesz zapamiętać drogi? Może robisz to celowo?”. Spojrzał przed siebie, a tam jak na zawołanie był znak z napisem DROGA 128 WALTHAM. Tym razem nie zabłądził. Skręcił, gdzie należało.

Zapadł wieczór. Kierując się w stronę swojej ulicy, Lewis mijął Bell's Cafe, gdzie matka sprzedawała swoje wypieki. Parking był zastawiony samochodami. Już miał pojechać dalej, gdy spostrzegł stojący niedaleko wejścia do kawiarni samochód matki. Zjechał na parking i objechał go dwukrotnie, zanim znalazł wolne miejsce. Wysiadł. Przed nim do kawiarni weszła para roześmianych młodych ludzi. Zerknął na zegarek. O tej porze Rose zapewne je kolację.

Wszedłszy do środka, poczuł woń cynamonu. Lokal prezentował się tak samo jak wtedy, gdy był tu poprzednim razem. Wszędzie dużo zieleni, lśniące drewniane stoły,

nakryte czerwonymi obrusami w kwiatowy wzór. Zegar miał kształt syreny której ogon odmierzał minuty. Jedna z dwóch kelnerek, obwiązana w talii niebieskim fartuszkim i ze spiętymi w koczek włosami, uśmiechnęła się do niego. Lewis nigdy nie widział takiego mnóstwa ciast. Pyszniły się za szkłem niczym trofea w gablocie. Wszystkie wyglądały smakowicie. Podeszła kelnerka.

- Chodź, skarbie - powiedziała i zaprowadziła go do stolika.

- Czy zastałem Avę? - zapytał nieco ochryplym głosem.

- Pójdę po nią - odparła kelnerka. - A przy okazji przyniosę kartę.

Lewis usiadł, wciąż zaskoczony tym, co widzi. Po chwili z zaplecza wyłoniła się zjawiskowo wyglądająca matka. Przyglądał jej się z niedowierzaniem. Włosy miała wzburzone, całe w lokach. Rozmawiała z jakimś mężczyzną, który ujął jej łokieć i mówił coś, przyciągając ją ku sobie, a ona zarumieniła się i roześmiała. Dostrzegł błysk w oku mężczyzny i sposób, w jaki dotykał jej ręki, ale oczy Avy pozostały niezmacone i wpatrzone w stół. Odsunęła rękę i sięgnęła po talerz. Wtedy podeszła do niej kelnerka i coś jej powiedziała, wskazując Lewisa. Ava z talerzem w dłoni obróciła się ku niemu. Stała jak wryta, wpatrując się w syna. Sprawiała wrażenie zmieszanej, jakby go nie poznawała albo nie wiedziała, jak się zachować. W końcu powoli podeszła do jego stolika i usiadła.

- Czyżbym śniła?

- Co tutaj robisz? - spytał Lewis.

- Pracuję. Na pełnym etacie. Bell przyucza mnie na kierowniczkę kawiarni.

- Nie do wiary! - Spojrzał na nią zdziwiony; taka była odprężona i szczęśliwa.

- Musisz ją poznać. Wiem, że wybiegam myślą wprzód, ale już planuję te wszystkie wieczorki przy wypiekaniu ciast oraz koncerty muzyki folkowej. Wyobraź sobie, że będę mogła sprzedawać nawet bajgle!

- Czy ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś, to twój przyjaciel?  
Ava westchnęła.

- A jeśli tak? To takie okropne?

- Przepraszam. Tak tylko spytałem.

- No więc nie. Jestem zbyt zapracowana, by się z kimś spotykać.  
Nachyliła się ku niemu, jak wtedy, gdy był mały, jakby nie chcąc uронić żadnego słowa.

- Powiedz mi wszystko. Gdzie jest Rose? Jak się udała wyprawa?  
Nigdy przedtem nie zwierzał się matce, ale teraz sytuacja się zmieniła. Będąc chłopcem, nie rozmawiał z nią o ojcu, na którego powrót czekał. Nie rozmawiał z nią o Rose, gdy była jego koleżanką. Ale teraz matka wydała mu się zupełnie inną osobą. Była taka spokojna. Wpatrywała się w twarz syna.

- Jakoś nam nie wyszło - powiedział.

- Nie wszystko się udaje - odparła. - Choćbyśmy nie wiem jak się starali.

- Staralaś się, żeby się udało z tatą? - Pomyślał o dniu, w którym ojciec miał przyjechać i matka siedziała z nim przed domem, czekając i pogryzając ciasteczka.  
Spojrzała na niego jakoś dziwnie.

- Och, kochanie - powiedziała.  
Nie wiedział, jak zacząć, jak jej powiedzieć.

- Czy myślałaś, co by się stało, gdyby po mnie przyjechał?

- Nigdy nie przyjechał - odparła bezbarwnym głosem. - Masz pojęcie, jaka byłam szczęśliwa, gdy skończyłeś osiemnaście lat? A wiesz dlaczego? Bo wtedy nie mógł cię zabrać. Było po wszystkim. Byłeś dorosły i on nie mógł już zmienić zdania na temat prawa do opieki nad tobą. Już nie. - Uniosła rękę. - Czemu to robisz? Czemu psujesz swój przyjazd rozmową o ojcu? Czy masz pojęcie, jaka się czułam opuszczona, bez pieniędzy, zdenerwowana nim i tym, co będzie z tobą?

Lewis poczuł dawny gniew, ale go stłumił.

- A co ze mną? Ja po prostu chciałem mieć ojca, a ty miałaś tych wszystkich adoratorów. - Siedząca obok kobieta spojrzała na nich wielkimi oczami i Lewis ściszył głos. - Miałaś Jake'a.

- Znow mówisz o moich facetach. Jesteś teraz dorosły. Nigdy nie czułeś się samotny?

Pomyślał o tym, że jadąc tu, wciąż sobie wyobrażał, że gdy zamknie oczy, a potem znow je otworzy, obok będzie siedziała Rose.

- Wciąż winisz mnie za postępowanie ojca? - spytała. - Najwyższy czas, żebyś przestał. To ja się o ciebie troszczyłam, nie on. Ja ci kupowałam ubrania i jedzenie. Za moje pieniądze, nie za jego. - Przechyliła się ponad stołem. - Co on dla ciebie zrobił? Wymień choć jedno. - Jej oczy zabłyśły. - Może się mylę? No, dalej. Powiedz mi.

Jadąc tu, zastanawiał się, jak powiedzieć matce o spotkaniu z Brianem i o tym, jakiego doznał wstrząsu. Mógłby jej powiedzieć, że się myliła, bo Brian chciał mieć syna przy sobie i nawet po niego przyjechał i z tego powodu umarł Jimmy. Mógłby jej powiedzieć, jak siedząc u ojca w salonie, nagle zdał sobie sprawę z tego, że przez cały czas miała rację. Brian nie zasługiwał na nią ani na niego, bo nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności, ale chciał, żeby się nim zachwycano. I wreszcie mógł jej opowiedzieć o tym, co najsmutniejsze - jak i dlaczego zerwała z nim Rose.

Jednak gdyby jej to opowiedział, byłaby przerażona i poczułaby się za wszystko odpowiedzialna. A czy wynikłoby z tego coś dobrego? Matka zawsze wiedziała, że poślubiła mężczyznę niewiele wartego, ale nie wiedziała, że był on zamieszany w śmierć Jimmy'ego, co zniszczyło związek Lewisa i Rose. Czy po tym wszystkim, co wycierpiała, zasłużyła sobie na to, by poznać prawdę?

- Widziałeś się z ojcem? - spytała. Lewis pokręcił głową.

- Adres jest nieaktualny - skłamał.



Zauważył, że matka się odprężyła. Wzięła go za rękę.

- Że też tak się przejmuję przeszłością - powiedziała. - Jestem na to wszystko za stara. - Wtedy zauważył, że ma lekko obwisły podbródek i pasmo siwych włosów. Do kawiarni wchodzili roześmiani i pogrążeni w rozmowie ludzie. Mężczyzna, który ujął matkę pod łokieć, właśnie wychodził. - Cieszę się, że cię zobaczyłam. Tylko to się liczy. Reszta nie ma znaczenia - powiedziała.

- Ja także się cieszę, że cię zobaczyłem. Lewis wstał.

- Zaczekaj, chcę, żebyś spróbował mojego ciasta. Śliwkowe z cynamonem. Jestem pewna, że padniesz na kolana.

Patrzył, jak matka się podnosi. W pierwszym odruchu chciał zerwać się, by jej pomóc. Przysunąć krzesło i podać ciasto. Ale nie zrobił tego, usiadł z powrotem. Gdy matka wróciła, niosąc czerwony talerzyk i zawinięty w kraciatą serwetkę srebrny widelczyk, wybąkał:

- Przepraszam.

- Za co, kochanie? - Zakrzętnęła się, rozwijając serwetkę i podając mu widelczyk. - Jedz - powiedziała, ale zupełnie innym tonem niż ten, jakim nakłaniała go do zjedzenia kolacji, gdy był mały. Teraz wypowiedziała to słowo z dumą. Czekwała, aż odkroił kawałek. Nigdy nie jadł czegoś równie wyśmienitego. Śliwka miała skrzący się, intensywny smak, a przyprawy nie potrafił zidentyfikować. - Dobre? - spytała. Przytknęła dłoń do ust, a gdy Lewis zamknął oczy i westchnął przesadnie, roześmiała się.

- Muszę dostać drugą porcję, żeby się upewnić - powiedział.

Tego wieczoru, gdy Ava skończyła pracę, pojechał za nią swoim samochodem do domu. Skręcili w Abbott Road, a potem z powrotem w Warwick Avenue. Wszystko wyglądało jak zawsze, a jednak inaczej. Podmiejskie domy, uliczki, po których włóczył się z Jimmym i Rose. Jakby oglądał kronikę filmową z czasów dzieciństwa. A oto i jego dawny dom,

niebieski z białymi okiennicami i obsadzony w koło żółtymi kwiatami. Zawsze żółte kwiaty. Po przeciwnej stronie jezdni, na rogu, dom Rose i Jimmy'ego, a kilka domów dalej pusta działka, która kiedyś należała do Gallaghera.

Ava zaparkowała na podjeździe, a Lewis wzdłuż krawężnika. Wyskoczyła z samochodu i niecierpliwie czekała, aż syn do niej dołączy.

- Dzięki pracy w kawiarni kupię ten dom za kilka lat - powiedziała. - Mówiłam ci, że go kupię. I lepiej wyremontuję. - Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże mu wnętrze. - Trochę czuć farbą, skończyłam malowanie zaledwie wczoraj.

Lewis wszedł do środka i poczuł się zdezorientowany. Dotknął ścian w salonie. Pamiętał, że były białe, ale teraz miały łagodny, uspokajający zielony odcień. A pośrodku podłogi leżał ciemnozielony dywan.

- Spłukałam się przez ten dywan - powiedziała. - Ale jest tego wart, prawda? - Kuchnia, która dawniej była żółta, teraz została pomalowana na niebiesko. Na środku stał duży stół z blatem pokrytym białym plastikiem. - Kupiłam go, bo potrzebowałam czegoś większego do wyrabiania ciasta - wyjaśniła.

- Jest bardzo ładnie - powiedział Lewis.

- Zawsze wiedziałam, że może być ładnie.

Tego wieczoru poszli przejść się po okolicy. Na początku Lewis myślał wyłącznie o patrolach i o tym, jak sąsiedzi zaglądali im do okien. Ale teraz na ulicy bawiły się dzieci. Jeździły na rowerach, skakały przez skakankę lub po prostu spacerowały. Lewis nie znał nikogo, ale wszyscy znali Avę.

- Cześć, Avo! - wołali.

- Aby wypróbować nowe ciasta, daję im darmowe próbki. Dlatego tak się cieszą na mój widok. Przekupiłam je.

- To chyba coś więcej niż ciasta.

- Może i tak. Traktuję je jak ludzi, a nie po prostu dzieciaki.

Pokazywała mu domy mówiąc, kto się wprowadził, a kto został. Bob Gallagher oczywiście wyjechał, ale niektórzy dawni sąsiedzi nadal tu mieszkają. Na przykład Debbie i Dick Hillowie. Debbie pracuje w niepełnym wymiarze godzin, sprzedając sukienki w Grover Cronin, i założyła grupę dla kobiet chcących pracować nad samoświadomością.

- I wprowadziło się wielu nowych ludzi. Teraz jestem „panią, która prowadzi kawiarnię”.

Spojrzał na matkę. Nadal była ładna, ale jej uroda już nie zapierała tchu w piersiach. Z domu po przeciwnej stronie jezdni wyszła kobieta. Lewis ze zdumieniem stwierdził, że ma na sobie takie same elastyczne spodnie jak Ava, a jej włosy są równie nieposkromione jak u jego matki. Sąsiadki brały z niej przykład. Możliwe, że teraz je wyprzedzała w dziedzinach, o których nawet nie miał pojęcia. No i dobrze.

- Jesteś naprawdę dzielna - powiedział, a ona się uśmiechnęła.

- Czym sobie na to zasłużyłam? - spytała, ale Lewis tylko wzruszył ramionami.

- Będę cię częściej odwiedzał.

- Jesteś tu zawsze przy mnie. Czyżbyś jeszcze o tym nie wiedział? - odparła.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Upłynęły trzy dni. Lewis wrócił do Madison. Plaskając gumowymi podeszwami tenisówek, szedł korytarzem oddziału chirurgicznego. Przywiózł z domu trzy ciasta matki, z którymi pielęgniarki szybko się rozprawiły.

- Powiedz mamie, żeby się tutaj przeprowadziła - zażartowała Elaine.  
- Znajdę jej pracę, bylebym tylko mogła codziennie jadać jej wypieki.

Tego dnia od razu go wezwano, aby pomógł dźwignąć z łóżka pacjenta, który szarpał się i wyrywał... Następnie uprzątnął wymiociny, zmienił prześcieradło młodej pacjentki z pokoju czterysta dwanaście i wysłuchał Elaine, która napomniała go, że nie układa pacjentki należycie, by ją obmyć gąbką.

- Urlop się skończył, kolego - powiedziała. - Dwa tygodnie laby, a ty już nic nie pamiętasz?

Wczesny lunch postanowił zjeść na dworze, gdzie jak zawsze zaskoczyła go woń świeżego powietrza.

Szedł przed siebie. Właściwie odkąd wrócił do Madison, nie był głodny, ale zmusił się, by wstąpić do delikatesów i kupić coś do jedzenia. Kanapka z pieczoną wołowiną miała smak kredy. Jabłko wydało mu się zbyt kwaśne. W szpitalu nikt nie zapytał go, jak spędził urlop. W pokoju pielęgniarek oświadczył niepytany:

- Po raz pierwszy od wielu lat widziałem się z ojcem.

Jedna z pielęgniarek powiedziała:

- Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę swojego. Nie uwierzycie, co mi zrobił ten łajdak...

Tym razem Lewis nie potrafił się skupić na jej opowieści. Spojrzał na drzwi, a wtedy ona spytała:

- Co z tobą, zasypiasz?

Po lunchu wrócił do pracy. Miał podtrzymywać spacerującą pacjentkę z pokoju czterysta jeden, ale gdy do niej podszedł, odskoczyła i kuląc się, warknęła:

- Nie bądź taki brutalny. Na co Lewis odpowiedział:

- Proszę się na mnie wesprzeć.

Jego zadanie polegało na tym, by przez dziesięć minut prowadzić ją w tę i z powrotem, aby nie zwiotczały jej mięśnie. Zazwyczaj, dotykając delikatnej skóry innego człowieka, odczuwał intymną bliskość. Dziś jednak podszedł do sprawy praktycznie. Dawniej lubił słuchać pacjentów, ale ta kobieta uskarżała się na dzieci córki, które jej nie szanują, i Lewis po prostu się wyłączył.

- Jutro opowiem ci o moim wnuku - powiedziała. -Mieszka w Massachusetts.

- To tak jak moja matka - odparł i ze zdumieniem zdał sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy, odkąd umarła Sheila, powiedział pacjentowi prawdę o sobie.

Zrozumiał, że opowiadając ludziom wysrane z palca historie, usiłował wypełnić życiową pustkę. A przecież w szpitalnych pokojach było mnóstwo ludzi, z którymi mógłby porozmawiać. Mógłby zadzwonić z automatu telefonicznego do matki, a ona byłaby zachwycona, usłyszawszy jego głos. Ale w ten sposób nie pozbędzie się zdenerwowania. Nie zapełni pustki. Ava powiedziała mu kiedyś, że jeśli chce zrozumieć, czego potrzebuje i gdzie jest jego miejsce, powinien wypatrywać znaków. Ale on nie dostrzegał żadnych znaków. Wiedział tylko tyle, że chce być z osobą, która go zna i wszystko o nim wie. Wiedział, że chce być z Rose, ale żadna mapa nie potrafiła mu wskazać drogi.

Następnego ranka wszedł do gabinetu Elaine i złożył wypowiedzenie.

- Muszę mieć trochę czasu, by zrozumieć, co chcę robić w życiu - oznajmił.

Ku jego zdumieniu Elaine chwyciła go za rękę.

- Nie odchodź - powiedziała. - Pracujesz ciężiej niż ktokolwiek i jesteś najszybszy i najbystrzejszy. Nie poradzę sobie bez ciebie. - Przyjrzała mu się. - Co zrobić, by cię zatrzymać? Chcesz podwyżki? Mogę się postarać, żeby cię przyuczono do pobierania krwi. Nie będzie łatwo, ale powinno mi się udać.

- Muszę odejść - odparł. Elaine westchnęła.

- Jestem tu na tyle długo, że dobrze poznałam lekarzy. Wiem, który jest dobry, a który nie. Zanim odejdiesz, pójdz do tego, którego ci polecę. Ot tak, na wszelki wypadek.

- Nie potrzebuję lekarza - powiedział, ale Elaine napisała coś na karteczce i podała ją Lewisowi. Doktor Mark Ka wolski.

Lewis nawet go nie znał.

- To psychiatra - wyjaśniła. - Zaświadczy, tak samo jak ja, że jesteś niezrównoważony psychicznie i nie można cię wysłać do Wietnamu.

- Dlaczego nie poleciłaś mi go wcześniej? - zapytał zdziwiony.

- Bo wcześniej tego nie potrzebowałeś. Ale jeśli odejdiesz z pracy, nie wiadomo.

Wiedziony impulsem, uściskał Elaine, a gdy ją wypuścił z objęć, miała łzy w oczach.

- I żebym cię nie musiała szukać - dodała. - Bądźmy w kontakcie.

Lewis nie odłożył sobie zbyt wiele pieniędzy, ale się nie martwił. Szpitale są wszędzie, więc będzie mógł podjąć pracę, gdziekolwiek zechce. Potrafi żyć skromnie, a w razie potrzeby prześpi się w samochodzie. Gdy poczuje się

samotny, zawsze znajdzie kogoś, kto zechce mu o sobie opowiedzieć. Wiedział, że ma dar słuchania. Gorzej było ze znalezieniem kogoś, kto by wysłuchał jego.

Nagle poczuł, że ma przed sobą nieograniczone możliwości. Jeśli zechce, może znów przystąpić do SAT i starać się o przyjęcie na studia. Tym razem, mając za sobą lata przepracowane w szpitalu, na pewno by się dostał i przyznano by mu stypendium. Zastanawiał się, kim mógłby zostać. Może pójdzie na medycynę. W tej chwili nie musi podejmować ostatecznej decyzji, ale będzie rozważał rozmaite możliwości.

Nazajutrz rano spakował swój dobytek do samochodu. Rozpostarł mapę Jimmy'ego i usiłował poczuć, dokąd chce jechać.

Po wyjeździe Lewisa Rose przestały nawiedzać sny, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że bez nich wcale nie czuje się lepiej. Co wieczór przyjmowała sominex i budziła się zdumiona, że świat nadal się kręci, a ona wciąż nie wie, co robić.

Postarała się, by szczątki brata przesłano do miejscowego domu pogrzebowego, gdzie zostały spopielone. Zatelefonowano, by je odebrała, i wręczono jej niewielkie brązowe pudełko, które ostrożnie zaniosiła do domu. Można by pomyśleć, że ma w ręce paczuszkę z babeczkami z cukierni. Postawiła pudełko w salonie i zastanawiała się, co zrobić z popiołami. Pochówek w ziemi nie wchodził w rachubę. Brat zbyt długo przebywał pod ziemią, zamknięty w niewielkim pomieszczeniu. Jimmy musi być w otwartej przestrzeni, w świetle dnia. Należało tylko znaleźć odpowiednie miejsce.

Rose uwielbiała Ann Arbor, jego parki i jeziora. Musi znaleźć miejsce, dokąd zawsze będzie mogła pójść i poczuć jego obecność. Postanowiła zdać się na intuicję.

Wreszcie miała co robić wieczorami. Spacerowała po Ann Arbor, szukając idealnej okolicy. Chodziła sama, z rękami w kieszeniach, chociaż mogłaby zabrać którąś z koleżanek. Jednego wieczoru usiłowała zatelefonować do Lewisa, po to tylko, by usłyszeć jego głos, ale nie podniósł słuchawki, więc powiedziała sobie, że to pewnie znak, by dała sobie z nim spokój i podążyła własną drogą. Utwierdziła się w przekonaniu, że prosząc go, by odjechał, postąpiła słusznie. Wciąż jednak czuła się zagubiona i samotna. Powtarzała sobie, że nie zawsze tak będzie. Obawiała się jednak, że już nigdy nie opuści jej poczucie braku jakiejś części siebie, a skoro tak, musi znaleźć sposób na to, by z tym żyć.

Przebiegła Burns Park i Bird Hills Nature Area. Szła brzegiem jednej z sadzawek w Logan, obchodząc ją wielokrotnie. W końcu zagadnął ją wędkarz.

- Zabłądziła pani? - Uniósł wędkę i Rose ujrzała lśniąca przynętę na końcu żyłki.

- Chyba tak - odparła z namysłem.

Wysłuchiwała jego wskazówek, chociaż doskonale знаła drogę. Pełna oczekiwania weszła w głąb lasu. W końcu ruszyła w stronę Arb1 i szła tak długo, aż dotarła do strumienia.

Tutaj. Oto odpowiednie miejsce. Gdy Jimmy był mały, uwielbiał przeskakiwać przez strumienie w lesie za ich domem. Opowiadał, że chce pojechać do Kalifornii, gdzie zawsze będzie w pobliżu wody. Czując otaczające ją niebo i powiewy wiatru, rozejrzała się w koło.

Następnego dnia poprosiła w szkole o urlop okolicznościowy.

- Znowu? - zdziwiła się sekretarka o imieniu Peggy, postukując ołówkiem w blat stołu.

**\* Arb - potoczna nazwa Nichols Arboretum, prowadzonego przez University of Michigan. Położone we wschodniej części Centralnego Kampusu w Ann Arbor.**



Rose pożałowała swojej prośby, ale Peggy przestała stukać i odparła spokojnie:

- Możesz wziąć tyle wolnego, ile zechcesz.

Nazajutrz Rose ostrożnie włożyła do plecaka brązowe pudełko i poszła do Arb. Nie bardzo wiedziała, w co wierzy, ale czasami myślała, że gdy w końcu pozwoli Jimmy'emu spoczywać w spokoju, poczuje z nim jakąś łączność. Może brat powróci do niej w mniej przerażających snach, a ona pozna go lepiej.

Przeszła przez Centralny Kampus do Geddes Road i ścieżką do Arb. Pod jej stopami chrząścił żwir. Podniosła rękę i musnęła palcami liście drzewa nad głową. Brady nauczył ją, jak po kształcie liści rozpoznawać gatunek drzewa. Policzyła żyłki. Pięć. Klon. Pamiętała. Wypuściła liście z ręki. Nie ma się czego bać.

Tutaj Jimmy nigdy nie będzie sam.

Dotarła na rozległą polanę w Arb. Było tam kilka osób. Chłopiec owijający przyjaciółkę kocem, rozciągnięta na trawniku całująca się para, czytająca pod drzewem kobieta. Nikt nie patrzył na Rose. Minęła ich, kierując się nad skalisty brzeg strumienia.

Otworzyła pudełko i zaczerpnęła garść popiołu. Myślała, że będzie to wyłącznie pył, ale tkwiły w nim kawałeczki kości; poczuła w palcach ich ciężar i chropowatość. Zapragnęła zacisnąć dłonie na prochach i nie rozstawać się z nimi. „Złapię cię - powiedziała we śnie, gdy Jimmy wpadł na nią w schronie. - Trzymam cię”. Zaczerpnęła więcej popiołu. Rozstawiła ręce i otworzyła dłonie. Połyskujący w powietrzu pył powoli opadał na powierzchnię wody i na skały. Rose zapragnęła go zebrać z powrotem. Usłyszała śpiew siedzącego na drzewie ptaka. Rozsypała więcej popiołu, a gdy dotarła do dna pudełka, płakała. Teraz już wie, gdzie jest Jimmy, i będzie tu przychodziła, aby z nim pobyc. Otarła dłonie o płaszcz i obróciła się. Po jej policzkach płynęły łzy. Dotychczas pragnęła, by smutek skończył się wraz z ceremonią. Teraz poczuła się tak, jakby połknęła ów popiół.

Wszystko wydawało się jakieś ogromne i trudne do objęcia rozumem. Gdy wróciła na polanę, oczy miała suche. Piekły ją jednak nadal i czuła, że są czerwone.

Na polanie w Arb było teraz pusto. Kobieta, która wcześniej czytała, już odeszła. Zniknęła również całująca się para. Nie było chłopca i jego przyjaciółki. W ciepłym blasku słońca została tylko trzymająca puste pudełko Rose. Wokół panowała cisza. Nagle zobaczyła jakiegoś mężczyznę. Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach i patrzył na nią.

To Lewis.

Nie podszedł do niej, a ona przyglądała mu się ze zdumieniem, nie będąc pewną własnych uczuć. Jak ją tu znalazł? Poczwała powiew wiatru. Lewis wyjął ręce z kieszeni i Rose zobaczyła, że trzyma mapę. Wiedziała, że to mapa Jimmy'ego, ta, którą wyrzuciła. Nie do wiary. Facet nie-mający orientacji w terenie znalazł ją tutaj. Wprawdzie przejazd przez ulice Ann Arbor nie był skomplikowany, ale odszukanie jej w Arb to z pewnością nie lada wyczyn. On jednak tego dokonał.

Po trawie, ku Rose, przemknął cień w kształcie wyciągniętej ręki. Poczwała wtedy, że przepelnia ją światło.

***Oto jesteśmy wszyscy razem.*** W tym pięknym, zielonym lesie. Trzej muszkietierowie. Ona, Lewis i Jimmy. W końcu spełniło się jej pragnienie. Nie spodziewała się tylko, że stanie się to w taki sposób. Miała przed sobą świat, który nigdy nie jest całkiem bezpieczny. Kochanka, którego obecność nadal ją raniła. Brata, który niby to był z nią, ale właściwie nie był. Pomyślała o wszystkich przysięgach krwi, które złożyli. O sygnałach świetlnych, które w dzieciństwie ona i Lewis wysyłali latarkami do siebie nawzajem. SOS. SOS. ***Jestem tutaj. Jestem tutaj.*** Oto co mówiły te światła.

Byli wtedy tacy młodzi. Zaledwie dzieci. Wydawało im się, że świat należy do nich.

- Lewis! - zawołała, ale nie mogła się ruszyć z miejsca. Jeszcze nie. Czekala, co będzie dalej.

## PODZIĘKOWANIA

Z wielkim przejęciem kieruję słowa: „Odmieniliście moje życie” do bogów i bogiń z wydawnictwa Algonquin, zwłaszcza do mojej genialnej redaktorki Andry Miller. Wielkie dzięki dla wspaniałych: Boba Millera, Iny Stern, Elisabeth Scharlatt, Petera Workmana, Michaela Taeckensa, Megan Fishmann, Kelly Bowen, Craiga Popelarsa, Lauren Moseley Brunsona Hoola, Carol Schneider, Sary Rose Nord-gren, Emmy Boyer, Katie Ford oraz pozostałych gwiazd zespołu. Nigdy nie zdołam wyrazić wdzięczności wobec mojej uwielbianej agentki Gail Hochman. Bardzo dziękuję Jody Klein, Billowi Contardiemu, Gabe Szabo i Joanne Brownstein.

Dziękuję moim młodym, cudownym asystentom: Madison Wilson i Robby'emu Auldowi za pomoc w pracach badawczych i składam głębokie podziękowania badaczce Victorii Romero. Joe Flores pomógł mi w kwestiach związanych z prawem oraz w opisanu zabawnych historii na temat pracy mężczyzn wykonujących zawód pielęgniarki w latach 60. XX wieku. Oficerowie policji Peter Noonan i Al Loustalot (podziękowania dla ich wnuczki Victorii) byli nieocenieni. Kathleen Decosmo, Pat Carey Amelia Quirin, Maggie Balistreri, Wendy Schwartz Kaplan, Loucille Four-nier i Mo Bordenca otworzyli przede mną świat lat pięć-

dziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Joseph Clark i John McHugh pomogli mi rozwiązać problemy związane z terminologią sądową. Zaś mistrzyni cukiernictwa Gale Gand pomogła mi smakowicie pisać o wypiekaniu ciast. Dziękuję także Jeffowi Clarke'owi, Judy Cohen, Carze DeBeer, Ginie Hyams, Bonni Miller, Lindzie Matlow, Eileen Oliver i Caroline Muir.

Rochelle Jewell Shapiro, Leora Skolkin-Smith, Katharine Weber, Robb Forman Dew, Liza Nelson, Gina Sorell, Jane Praeger, Lisa Cron, Jeff Lyons, Jeff Tamarkin, Molly Moynahan, Jennifer Gooch Hummer, Jessica Brilliant Keener, Clea Simon i Dori Ostermiller pomogli mi przebrnąć przez szkice i projekty, podsuwali też wiele interesujących pomysłów. Dziękuję za wsparcie i dodawanie mi otuchy Victorii Zackheim, Johnowi Truby'emu, Leslie Lehr, Lindzie Corcoran, Jo Fisher, Sarah McCoy, Amy McKinnon, Dawn Tripp, Jo-Ann Mapson, Elizabeth Brundage, Liz Flock, Peterowi Salzano, Sandy Novack, Sheili Weller, Helen Leavitt, Ruth Leavitt, Nancy Lattanzi, Kathy L. Patrick i Pulpwood Queens oraz Barbarze Drummond Meade, której bardzo mi brak. Dziękuję także moim przyjaciółom z Facebooka i Twittera, którzy wspierali mnie, gdy obwieściłam, że piszę tę powieść.

Spełalne podziękowania i wyrazy miłości dla Jodi Picoult, która była moją dobrą wróżką, dla Anne Lamott za jej serce, wielkie jak Jupiter, i dla Adriany Trigiani za ciepło i dobroć.

I oczywiście dla współników zbrodni, którzy są również miłością mojego życia - Jeff a i Maxa.

## OD AUTORKI

W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku przeprowadziłam się z mieszkania babci na Brooklynie do nowego osiedla domów jednorodzinnych w Waltham, w stanie Massachusetts. Przedmieścia! Nasz własny dom! Mój ojciec bez przerwy powtarzał: „To jest życie!”. Moja siostra i ja mogłyśmy swobodnie biegać bez opieki po okolicy szkoły były wspaniałe, miałyśmy świeże powietrze i słońce. Posadzono nawet drzewka trzmieliny jako zapowiedź przyszłej bujnej zieleni. Nasz wymarzony dom oznaczał szczęście, bezpieczeństwo, wspólnotę. Ale czy tak było naprawdę?

Pamiętam dreszcz, który odczuwałam, włócząc się sama po okolicy, wchodząc do domów sąsiadów i wychodząc z nich, kiedy mi przyszła ochota, bo nikt nie zamykał drzwi na klucz. Ale w tym momencie była łyżka dziegciu. Gdy na osiedle chciała się wprowadzić rodzina ciemnoskórych, niektórzy sąsiedzi pisali petycje, by ich powstrzymać. Moja matka dostała listę i zatelefonowała do wszystkich osób. „Nie wstyd wam?”- pytała oskarżycielsko, dopóki protest nie został wycofany. Byliśmy jedyną rodziną żydowską w przeważnie chrześcijańskim sąsiedztwie, i często słyszałam wypowiedane od niechcenia słowa, że zabiliśmy Chrystusa, że pójdziemy do piekła. Kiedyś zatelefonowała do mnie jedna z przyjaciółek i z płaczem oznajmiła, że nie możemy się spotykać, bo jej rodzice „nie ufają Żydom”.

Ale to był nie tylko rasizm. Ludzie bali się komunistów. Jeden z sąsiadów oskarżył moją matkę o to, że „jest więcej niż trochę różowa”, bo była przeciwko wojnie. W szkole mieliśmy zajęcia z ochrony przeciwoatomowej; kryliśmy się pod ławkami przed bombą i rozprzestrzeniającym się promieniowaniem. Wszyscy byliśmy w pogotowiu, zwłaszcza gdy po sąsiedzku wprowadziła się nowa, podejrzana rodzina: rozwiedziona kobieta z synem i córką. „Zaznała małżeństwa, zrobi więc wszystko, by znów to mieć” - orzekła jedna z sąsiadek, i nawet my, dzieci, choć nie bardzo wiedziałyśmy, co oznacza owo „to”, miałyśmy swoje zdanie na ten temat. Rozwódka często opalała się w bikini w ogródku przed domem, podczas gdy inne matki nosiły skromne kostiumy jednoczęściowe, a obcisłe sukienki, jakie wkładała na spotkania przy barbecue, sprawiały, że wszyscy ojcowie chcieli z nią tańczyć przytulanego. Rodzice przestrzegali nas przed chodzeniem do jej domu, ponieważ, jak twierdzili, jest tam brudno i nie ma co jeść. Co gorsza, rozwódka pracowała zawodowo, zamiast prowadzić miły dom, gotować obiady, być żoną. Była inna, a to nie jest godne pochwały.

Jej córka - nazwijmy ją Anna - i jej syn, Roger, byli moimi przyjaciółmi. My, dzieci, lubiłyśmy Annę i Rogera i szybko zorientowałyśmy się, że za ciasteczko Roger odrobi za nas lekcje. Anna zaś za paczuszkę gumy do żucia pokaże majtki. Ale owego lata zdarzyło się coś wstrząsającego. Bogata rodzina, w której Anna pilnowała dzieci, chciała ją zaadoptować i zabrać do Nowego Jorku, dokąd się przeprowadzali, i matka Anny się zgodziła. Ot tak, po prostu, matka ją oddała i Anna zniknęła. Po dwóch dniach matka Anny i Roger także zniknęli.

Nigdy ich nie zapomnę. Będąc dzieckiem i dorósłszy, usiłowałam się dowiedzieć, co się z nimi stało, ale wciąż trafiałam na ślepią uliczkę. Gdy zaczęłam pisać *Gdzie jesteś, Jimmy?*, opisywałam tę właśnie rodzinę, ale jak zawsze w przypadku beletrystyki historia zaczęła żyć własnym

życiem i wkrótce przybrała inny kształt. Pisałam o Avie Lark, rozwiedzionej Żydówce, kobiecie pracującej i pięknej, co spowodowało, że stała się celem ataków mieszkańców podmiejskiej enklawy Ale w przeciwieństwie do pierwowzoru Ava jest bez reszty oddana swemu synowi, Lewisowi, który obwiniał ją o to, że tęskni za nieobecnym ojcem. Osobą, która znika, jest Jimmy, najlepszy przyjaciel Lewisa, którego postać potęguje niechęć, jaką wszyscy odczuwają w stosunku do Avy i niszczy panujące w okolicy poczucie bezpieczeństwa, gdy niewyjaśniona tajemnica zniknięcia chłopca mimo upływu lat wciąż prześladowuje mieszkańców i wywiera na nich wpływ...

Umieściłam akcję powieści w latach pięćdziesiątych, ponieważ kontrasty owej epoki są dla mnie szokujące. Pod powierzchnią porządnego życia, pod bezbarwnością Eisenhowera, w wyłożonych boazerią pokojach wypoczynkowych, pod pozorami podmiejskiej idylli, kryły się rozpaczliwy strach przed tym, co inne, przed terrorem komunistycznym, przed atomową destrukcją, a także nieufność w stosunku do wszystkich choć trochę wyjątkowych oraz konieczność atakowania ich za tę wyjątkowość. Istotne jest to, że takie odczucia, takie postawy, wciąż jeszcze odbijają się echem.

Nigdy się nie dowiedziałam, co stało się z prawdziwymi ludźmi, którzy zniknęli bez śladu, ale musiałam zamknąć opowieść o moich fikcyjnych bohaterach, rozwiązując ich zagadki w sposób, jakiego żaden z nich, a nawet ja nigdy się nie spodziewaliśmy. I dzięki temu zdołałam przedstawić przyszłość, która budzi nadzieje na postęp i prawdziwą akceptację innych.